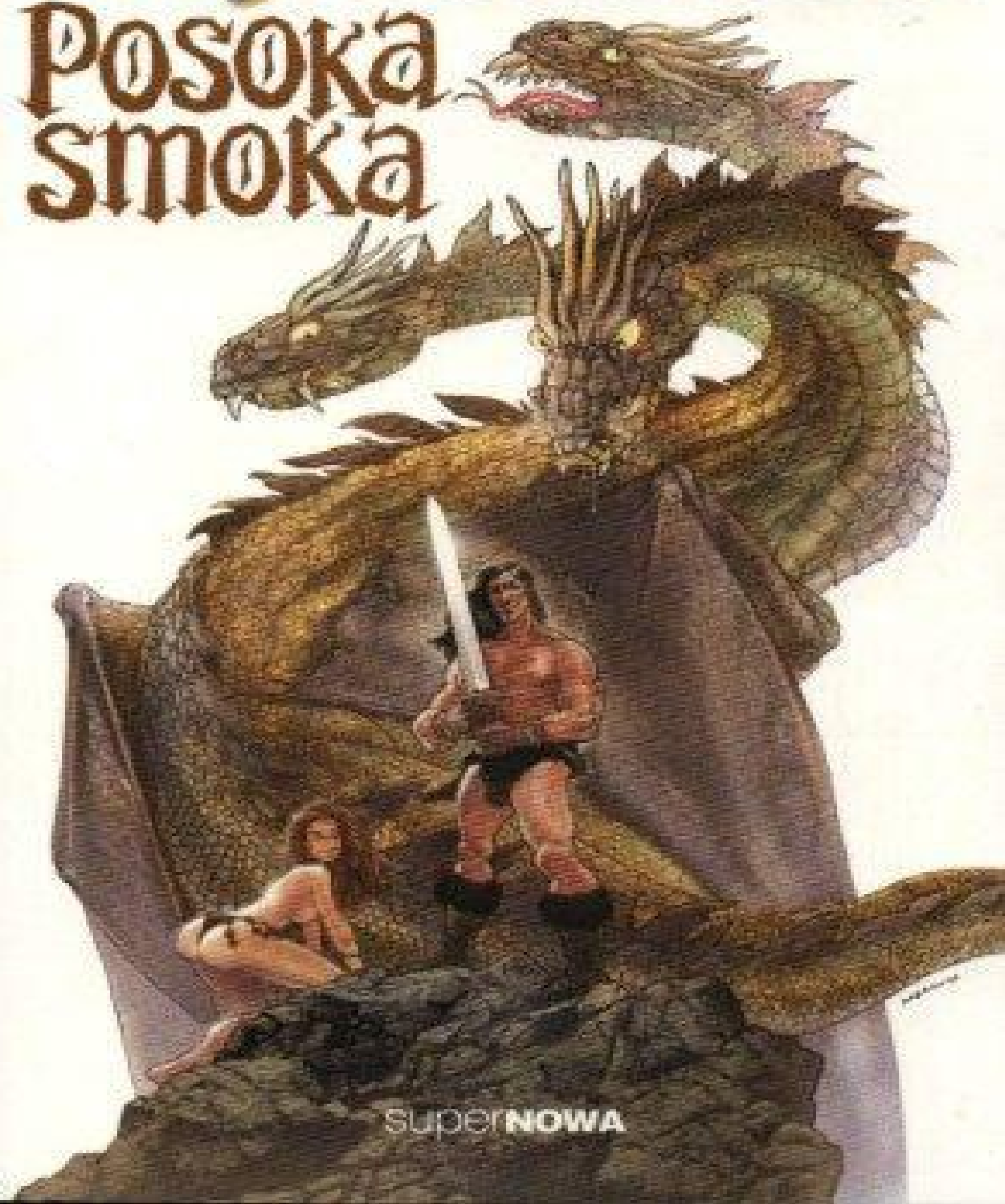


Zbigniew  
**WOJNAROWSKI**  
Posoka  
Smoka



SUPERNOWA

**Zbigniew WOJNAROWSKI**

# **Posoka smoka**

*Horg sa ummerpha yg!!!*

Mag Amuse Gueule,

*Nekromancja w czopku, vol. MMCLXXVII*

# Prolog

*z którego dowiadujemy się, jaki był początek wszech rzeczy, czyli że tego za bardzo nie wiadomo*

Najsamprzód istniało Wielkie Nic.

Jeno z dala błyskała nieziemska światłość. Diabli wiedzą, co to było?

Post factum ustalono w religijnych foliałach tyle, że zapalił ją swą legendarną mocą Ten—Który—Ja —Za—palił. Z niej narodziło się mrowie Mrugających Gwiazdek Na Czarnym Tle. W konsekwencji jak pęcherzyki w drożdżach pączkowały światy. Jeden na drugim, jeden na drugim. Na nich mnożyły się pierwiosnki, krzesła, weksle terminowe, wazoniki z porcelany, nimfy o cudnych biodrach, broje płytowe, mżawki, wiersze miłosne, wrzody jelita grubego, krwiolubne potwory, pasztety z gęsich wątróbek, miłowanie łajdactwa, żaboty, Bóg Winobrania, petycje do burmistrza, rurki z kremem, nekrofile, białe wieloryby, oszustwa podatkowe, zez, czarna magia, morowe powietrze, puszczałstwo, słodkie fiołki...

Namnożyło się tego do licha i trochę! Kto by z początku przypuścił!

Nie wiadomo, czy najpierw wyszły z niebytu smoki, czy smokobójcy. Defetyści z klasztoru Amate są zdania, że ani jedno, ani drugie. Ich Teoria Nieistnienia Ogólnego powstała pod wpływem halucynogennych jagód z cukrem, toteż świat nauki nie bierze jej serio. Doktor Abelard z przesławnej Akademii Bajońskiej dowodzi, że zaczęło się od smoków, jak łatwo poznać z przyrodzonej struktury słowa. Smokobójca znaczy tyle, co zabójca smoków. Żeby istniał derywat — musi istnieć rzecz sama, tak jak, dajmy na to, nie istnieje żytnia bez sianożęcia. Z kolei ceniona doktor Helois z Katedry Filozofii Gadów i Ssaków kontruje, że pierwsi byli smokobójcy, tyle że dowody na to ukryli religijni fundamentaliści.

Dla własnego dobra fundamentalistów lepiej nie tykać, ale co do smokobójców —

racja stoi po stronie doktor Helois, każdy przyzna. Istnieli od zarania dziejów, mimo że nazwa jako taka powstała później. Tym samym zresztą teoria doktora Abelarda nie jest tu od rzeczy.

Jak zwykle, prawda leży pośrodku. Nie wiadomo tylko — też jak zwykle — gdzie szukać środka.

W praczasach smokobójcy zwali się narwańcami. Walczyli z mitycznymi węzami pasącymi się na rajskich jabłoniach. Z włochatymi mamutami o spiralnych kłach. Z morskimi mutantami wychodzącymi na brzegi w szczęśliwych osadach. Walczyli wreszcie pomiędzy sobą, jeżeli nie trafiało się nic zaniejsze—go. Gdy przyszły na świat pierwsze smoki zrodzone w kraterach gór, narwańcy odczyścili miecze z rdzy, wzięli kokardy z rąk dziewic, przybrali nowoczesną nazwę smokobójców i ruszyli do odwiecznego boju.

Taki to już zasmarkany ludzki los, że wszelkie paskudztwo wszechświata stanie człękowi na drodze. Chociażby wcale nie rwał się na jego spotkanie. Chociażby siedział

spokojnie nad rzeką z wierną wędką i patrzył w leniwy nurt. Takie fatum człowiecze.

Bo elfy marzące o niebieskich migdałach, zapóźnione w rozwoju orki, słabowite hobbity, krasnoludy przyziemne jak maślaki — na smoki nie chadzają.

Tylko sami nieszczęśni ludzie.

## **Rozdział pierwszy**

*który jest pełen przemocy,*

*seksu, wynaturzeń,*

*żeby dobrze się zaczynało*

Zanim w blasku księżyca Tabrys Śpiewak natknął się na smoka, nie narzekał na monotonię. Jego życie było pasmem szczęśliwych przypadków, mimo że od czasu do czasu płacił za to praniem po gębie. Zważywszy, że z zalegania męskich soków w gonadach biorą się frustracje, wapory i ponura poezja, na której trudno zarobić — parę sińców to skromny koszt. Zwłaszcza, że dotychczas żaden zdradzony mąż nie powiesił Tabrysa za jaja, choć niejeden mu to w zapale obiecywał.

Tak było i tego zimowego wieczoru w domu hrabiego Oresta w Błud.

Pierze fruwało po komnacie! Cios padał za ciosem!

Ostrze mizerykordii pojawiało się w świetle kaganka i nikło, zagłębiając się po gardę w skowyczących, spoconych ciałach.

Do zapartych drzwi dobijali się zbrojni giermkowie gospodarza, co dodawało dramatyzmu chwili. Wydymały się kotary haftowane w lilie, trzeszczały deski, dzwoniła srebrna zastawa na stole. Księżycowa noc w ozdobnych wycięciach okiennic kolebała się niczym konik na biegunach.

Tabrys zadał pchnięcie od góry. Odpowiedzią był przeciągły jęk. Poprawił drugim, trzecim, czwartym głębokim sztychem, wyginając kręgosłup jak strunę. Aż stęknął. Jego lśniąca, obłana purpurą mizerykordia zdawała się pulsować żywym ogniem. Plecy przygniótł

mu ciężar, więc odwrócił się wężowym ruchem i tym razem pchnął od dołu. Dwa jęki rozległy się jednocześnie. W gęstwinie fruującego pierza ujrzał przed sobą trzepoczącą się rudą czuprynę. Chwycił ją pełną garścią. Przyciągnął silnie do siebie, zadając serię pchnięć w podbrzusze. Z otwartych kobiecych ust wydarł się spazmatyczny krzyk. Szturmowane od zewnątrz drzwi łomotały. Spod balkonu niosły się wrzaski Oresta. Krzyczał, że gdy dorwie gacha, tak go spreparuje najostrzejszym nożem, iż ten będzie uprawiał seks analny sam ze sobą.

Obie klaczki stały teraz na czworakach. Bok w bok. Ściągane za trefione grzywy przez smukłe dłonie Tabrysa. Twarze uniesione ku górze, spięte grymasem — przypominały pyski wader. Choć były zdecydowanie ponętniejsze. Gdzie trzeba przyczernione korkiem, gdzie trzeba uszminkowane, tu i tam zarumienione od miłosnego szału.

Ekstacycznie dyszały ku gipsowym amorkom na stiukach sufitu.

Zelda, rudowłosa ślicznotka po lewej, była żoną

Oresta. Kuszącą trzydziestolatką. Jej wielkie piersi tłukły się w tę i nazad, poklaskując w euforii. Zawsze dochodziła szybciej niż Amfira, jej piętnastoletnia córka. Czarnowłosa po lokaju. Romantyczna i owocowa. Miała cycuszki malutkie jak jagody, a pośladki podobne różowym rajskim jabłuszkom. Obie damy rozdzielone były z szat, choć całe w klejnotach i koronkowych podwiązkach. Pociągające, niezaspokojone. Dżgając je na zmianę mizerykordią wytatuowaną na swojej dorodnej męskości, Tabrys Śpiewak każdy cios potwierdzał męskim rymem wyrzaskiwanym przez zęby.

— Raj!... Pchaj!... W picz!... Kwicz!... Rad!... W zad!

Miłość to poezja! Pyta nie błądzi! Lędzwie płoną!

Szaleństwo!

Zelda doszła trzy razy, Amfira dochodziła powtórnie, gdy podparte zydłem drzwi komnaty puściły. Ponad łóżem przetoczył się trzask łamanego drewna. Wtórował mu jęk z dwojga ponętnych ust.

— Uchodź, boska mizerykordio!

Tabrys zdążył zdmuchnąć wonny kaganek. Pozostał zapach berberysu w powietrzu.

Giermków wbiegających z obnażonymi mieczami osadziła ciemność, w której jurny śpiewak widział jak kot. Bez tej zdolności lepiej nie brać się za uwodzenie cudzych żon i córek.

Napastnicy, podświetleni blaskiem pochodni z sąsiedniej komnaty, świdrowali wzrokiem czarną przestrzeń dyszącą trzema namiętymi oddechami. Tabrys wyszarpnął spod stóp intruzów niedźwiedzią skórę. Gdy polecili na plecy w przeciwne strony, wrzasnął i zanurkował pomiędzy nich. Wielkie dębowe łożo kurzyło kaczym puchem jak śnieżna zaspą.

Giermkowie poderwali się z podłogi jednocześnie. Ich miecze z obu stron wycelowały tam, gdzie w ciemności wibrował jeszcze podstępny męski wrzask. Poruszyły się półkoliście, aż ostrze zmacało ostrze — wysunięte z przeciwnika.

Kobiety wrzeszczały. Zapach berberysu snuł się cienką smużką.

Bratobójcze ciosy giermków padały chaotycznie, po omacku.

— Mam go, mam!

— Bij, zabij!

— W mordę! Trafiłem!

— W mordę! Dostałem!

Tabrys był już na balkonie. W dole miotał się po zaśnieżonym dziedzińcu hrabia Orest z

halabardnikami i ogarami ćwiczonymi do łowów na dziki. Pozostawał dach.

Rasowy uwodziciel to taki, który pośród ciskanych halabard potrafi wspiąć się po oblodzonych gzymsach ze spodniami w garści. Tabrys nie musiał wysilać kocich oczu.

Zasypane śniegiem dachy bieleły pod czarnym niebem. Wzgórki, zapadliny, stromizny, sterczące wieżyczki i kominy, śliskie płaszczyzny cięte przepaściami ulic lub spojone przez łamane strychy. Wiatr przepędził chmury, a ponad zimowym pejzażem gontów wisiał

malowniczy księżyc. Jasny i wielki.

Śpiewak wędrował na czworakach, żeby nie ześlizgnąć się z oblodzonych stromizn. W

dole miejski mrok pstrzyły nieliczne światełka, bledsze od świętojańskich robaczków. Tabrys przełazi przez dwa dachy i dostrzegł obwieszoną soplami kopułę dzwonnicy u madrygałów, skąd po szerokich przyporach mógłby opuścić się na ulicę. Wtem ujrzał coś nieoczekiwanego.

Za granatowym cieniem komina, rozciągniętym nieruchomo na ośnieżonej gładzi dachu, poruszał się inny cień. Giętki, chudy, szemrzący w ciszy niczym strumyczek.

Tabrys wtulił się w śnieg całym ciałem. Płaty białego puchu osypały się w noc.

Za kominem goły mężczyzna o chudych owłosionych łydkach sikał na swoje zdjęte ubranie. Szemranie moczu niosło się w noc. Parował w śniegu topniejącym od jego ciepła, śmierdział z daleka jak psia uryna. Nieznajomy zadarł głowę do księżycy, wciągnął w nozdrza północny wiatr.

W tejże chwili siedział w kucki przed struchlałym Tabrysem.

— Pachniesz uwodzicielem — odezwał się całkiem rozsądnie. — Masz na sobie zapach babskich kosmetyków i męskiego nasienia! Z pociętych opuszków wnioskuję, żeś śpiewak. To rany od strun liry? Ostro w nie bijesz! Zuch!

— A ty kto? — odpowiedział ostrożnym pytaniem Tabrys.

— Nie poznajesz mnie? Jam twoje przeznaczenie. Północ oddzwonili u księży madrygałów, a księżyc jest dziś w koniunkcji z gwiazdą Awatar.

Wskazał palcem srebrny krąg ponad dachami. Szczerze mówiąc, rozebrany do rosołu nie wyglądał na przeznaczenie. Wyglądał na takiego samego uciekiniera z damskiej sypialni jak Tabrys. A zarazem nie wyglądał. Szaroskóry, szczupłogęby, owłosiony jak zwierzę. W

pewien sposób odrażający. Niepokojący.

Tabrys warował naprzeciw niego na czworakach, czując w sobie upokarzającą psią czujność. Z mizerykordią oklapła jak kapciuch na tytoń, smętnie schowaną w spodniach —

tracił kawalerską fantazję.

— Uuuuu—łłu! — zaskowyczał nieznajomy, unosząc twarz do księżycyca.

Tabrysowi zlodowaciała ślina w ustach. Ten odgłos nie miał nic wspólnego ze słodkimi skowytami, którymi niedawno pieścił uszy. Budził dreszcze zupełnie innego rodzaju.

— Lubisz być człowiekiem? — kontynuował tamten. — Co to za przyjemność, sam powiedz? Otaczają cię bydłeta w ludzkiej skórze, skaczą ci do gardła przy byle okazji. A być prawdziwym bydłem, owłosionym, czworonożnym? Mózdzek malutki, tęsknisz za nieśmiertelną duszą, zgroza! A gdyby jedno z drugim połączyć? Dzielić szczęście z miesiącem srebrzystym i niewinną łzą w oku dogorywającej ofiary? Co ty na to?

Tabrys milcząco wzruszył ramionami — że nie ma zdania na ten temat.

— Sursum corda, uuuuu—łłu! Twe szczęście służy światu. To budujące, gdy dostrzegasz w bliźnich dobre rzeczy. Wgryziesz się w apetyczne płuca dziewczeczki, ciepłe, kwaskowe, i myślisz ze wzruszeniem, że słodka ptaszyna musi śpiewać w anielskim chórze, taka smaczna! Wywleczesz flaczki z kanonika, nadziewane specjałami, pieprzne, i wiesz, że zacy człek wiele dobrego czynił, skoro nagrodzono go dostatkiem! Wyssiesz oczka matronie, miękusie jak kurze jajeczko, i doceniasz bogobojne widoki, które tak pysznymi ślepkami widywała! Urody świata trzeba poszukać samemu. Tylko wtedy obcuje z odwiecznym pięknem.

Tabrys dałby wiele, żeby dopadli go na dachach wszyscy małżonkowie, którym przyprawił rogi. Nie ten czule przemawiający hipokryta. Z tamtymi byłby pewniejszy siebie.

— Niekiedy zachodzi na koniec przykre nieporozumienie, uuuu—łuu. Zajadły egzorcyta śle ci pod żebro srebrny grot. Patrzy zdumiony o brzasku, jak sierść wylazi garściami z twojej martwej skóry, pysk skraca się, martwe kły przybierają kształt ludzkich zębów. Zamieniasz się w nagie zwłoki pięknego młodziana. Oj, głupi egzorcyryna, uuuu—

łłu! Chciał zabić potwora, zabił ciebie! Ofiarom nie wrócił życia, a uśmiercił jedyne, który znajdował radość tam, gdzie inni tylko lali szpetne łzy! Jakże może twoje sprawy pojąć ten, co szczęścia nie zaznał?

Nagus przerwał.

Uniósł głowę ku księżycowi, zawył oblany sinym światłem nocy.

Zaczęły się w nim odbywać zdumiewające metamorfozy. Palce zgięły się w szpony, paznokcie poczerniały na kształt pazurów. Szczeka wysunęła się jak na sprężynie, czoło zaś odwrotnie — cofnęło się. Szara sierść porastała goliznę tak szybko, jakby po ciele przesuwiał

się cień czegoś niewidocznego.

Opadł na kolana i ręce. Nastawił szpiczaste uszy, oblizwał się szerokim jęzorem.

— Tyś wilkołak! — jęknął Tabrys.



— Skąfże! — odparł tamten, myląc głoski, jak to się dzieje przy metamorfozie krtani.

— Jam fmok!

— Fto kaki?... Kto taki? — poprawił się oszołomiony Tabrys. — Smok?

— Fyba mówię fyrażnie! Moja rasa wiezie się od starofytnych fmoków! Wieki efolucji w niefprzyjającym ludzkim środofisku fymagają mimikfy! Zanikły nam skrzydfa, ogon stał się niefidzialny, tylko fmocza dusza żyje wciąż pod tą sierścią! Odwieczny fmoczy apetyt na ludzkie mięfko! Prostacy widzą w nas prymifywnych filkołaków. Odmawiają nam złoślifie fmoczego rodowodu. Co z intrygantami począć? Musimy rozszarfyać ich na sfrzępy, nolens folens. Żeby kłamlifych plotek o nas nie roznosili po pięknym śfiecie. Uuuuu—łłłł!

Trafić na wilkołaka na śliskim dachu — to pech,

pomyślał z rozpaczą Tabrys. A już trafić na wilkołaka niespełna rozumu to katastrofa.

Obrastający coraz gętszą sierścią nieszczęśnik w niczym nie przypominał ludobójczej smoczej gadziny, która gnieździła się w górskiej dolinie opodal miasta Foksterier, jak niosła fama. Był smutnym świadectwem upadku współczesnych wilkołaków, targanych przez pierwotne instynkty i zwyrodniały snobizm. Miał się za bóg wie kogo!

— Oszczędź mnie, odwieczny smoku — wyszeptał przypoehlebnie Tabrys.

— Gdyfym był filkołakiem, przystałbym na pokorną prośbę. Dzieliłbym fszak z tobą połofę frednej ludzkiej natufy. Ale jako fmok nienafidzę cię! Taki nasz odfieczny fmoczy farakter. Pożrę cię do oftat —niej kosteczki! Przepuszczę cię przez moje odfieczne fmocze kiszki! Fysram cię jufro w śnieg z rozkoszą! Juf po tobie, odfieczny fiucie!

Sprężył do ataku gibkie ciało. Łapa poślizgnęła mu się na spadzistym dachu mansardy.

— Kuffa! — zaklął już w skoku.

Jego wilczy cień z łoskotem uderzył o komin.

Tabrys zjechał na cizmach w dół. Po drodze zaczepił kaftanem o kamienny gargulec, zadudnił żebrami o gonty strychu. Gdy wisiał, szukając wzrokiem drogi pośród ciemności, uderzenie w plecy strąciło go niżej wraz z tuzinem dachówek.

— Kuffa! — usłyszał nad sobą zawiedziony okrzyk. — Ja ci jefcze pokażę!

Zjeżdżał na brzuchu po daszkach, bezradnie machając rękami. Przeturlał się przez gzyms, przekoziołkował w powietrzu. Z impetem wpadł w dziurę, gdzie nie docierało księżycowe światło. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła, poczuł pieczenie na skaleczonym udzie.

Leciał w dół głową do przodu, póki uderzenie w czoło nie pozbawiło go przytomności.

Ocknął się wśród puchowych pierzyn i połamanych desek. Na głowie miał guza.

Zgubił po drodze spodnie z modnym sączkiem na genitalia. W stropie nad nim ziała dziura, którą wybił, spadając.

Ale poza tym było już tylko dobrze! Jak to w życiu szczęściarza!

Obok spało cudne dziewczę w zwiewnej nocnej koszulce. Słodkiego uśmiechu nie spędziło z jej ust męskie ciało wpadające z nienacka w łóżko. Na kominku płonął trzaskający ogień, na stole pachniały resztki wieczerzy. Ser, wędzony ozór, kiść winogron, dzban wina.

Gdy Tabrys przeciągnął się lubo, spod wygrzanej pierzyny wysunęło się nagie udko zniewalającej urody. Cmoknął je nad kolanem, a dziewczeczka zamruczała i przytuliła się namiętnie.

Po zbudzeniu okazała się całkiem niestrachliwa, toteż noc minęła upojnie. Jak to noc szczęściarza!

Za to szarym świtem Tabrysa wyrwał ze snu przeraźliwy wrzask i żelazny chłód na gardle.

Przed oczami ujrzał naszyjnik z ludzkich zębów — sławny na cały kraj. Nawleczone na szpagat siekacze, kły, trzonowce, mleczaiki kołysały się tuż nad jego twarzą. Pobrzękiwały złowroźnie na szyi właściciela, który siedział okrakiem na poecie.

Słodką dziewczeczkę trzech zbirów gwałciło drewnianą protezą nogi. Przy stole brodacz z opaską na oku pożerał wędzony ozór, zapijając winem z dzbana i czkając. Tabrysa łaskotała w nagą klatkę piersiową broda z końskiego włosia, stercząca z ludzkiego podbródka o umaszczeniu zębry. Paraliżował go dziki wzrok najdzikszego mężczyzny pod słońcem.

Zimą czarne żagle rzadko łopotały nad nieszczęsnymi miastami, ale okazało się, że piraci Deyerpotha przeciągnęli statek po zamarznętej rzece na linach. Ich żądza rabowania nie znała granic.

## Rozdział drugi

*w którym czytamy o czerwonych koralach i o smoku, a Walek wplątuje się po pijaku w życiową awanturę*

Walek nigdy nie roił, że wyprawi się na smoka. Że pogoni na oklep za uciekającą gadziną, aż ta popuści ze strachu pod siebie — i jeśli koń pod męznym smokobójcą nie poślizgnie się w gównie, będzie po niej. W ogóle w Psiej Wólce mało kto marzył. Może dziewczuchy o czerwonych koralach, a tak to nikt. Ani o znalezieniu skarbu, zakopanego na Wzgórzu przez powracające z wojen elfy, ani o fruwaniu nad wsią na skrzydłach zmajstrowanych z brzoźki. Jedyna bohaterska rzecz, na jaką decydowały się tutejsze chłopcy, żeby godnie pokazać się światu, to była żeniaczka. Poza tym każdy klepał swoją biedę, nie rzucając się w oczy. Z miejscowych jeden stary Kusztel miał podobno heroiczną młodość, ale już jej nie pamiętał.

Walek sądził, że i jemu tak zejdzie do ukichanej śmierci. Raz złowił szczupaka grubego jak męskie udo, parę razy pomacał Kaškę w olszynie, dwa razy ujrzał strzygę wyłazącą z bagna — i tyle miał z życia.

Póki nie spotkał na swojej drodze nieznanego. Często tak się zaczyna.

W Psiej Wólce trudniej niż o nieznanego było tylko o kurę na obiad. A ten siedział

w rowie przed karczmą Szamela, jakby nigdy nic. Owinięty szarą burką, uwalany błotem, otoczony swojską wonią siwuchy, której resztki schły mu jeszcze na wąsach, drzemał z głową na piersi.

Walek siadł obok. Z ciekawości, która jest pierwszym stopniem do smokobicia.

Nieznanomy otworzył jedno oko. Zielone. Takich też się w Psiej Wólce nie spotykało.

Drugiego nie otworzył, tylko zagadnął Walka, czy ten ma co wypić? Ponieważ Walek nie miał, w przymglonym siwuchą oku pojawił się cień pogardy. Nieznajomy wysupłał zza pazuchy czer—wońca i kazał przynieść z karczmy dwa pełne garnce. On stawia.

— Znasz się na smokach? — zagadnął Walka z wyższością, gdy już zgodnie popijali.

— Nie znasz się, go—łodupcu! Pijesz za cudze! A ja nieźle z nich żyję, imaginuj se. Nawet nie ze wszystkich. Z tego jednego jedyne, co nam pustoszy kraj i najwartościowszych obywateli wyżera jako smokobójców!

Walek słyszał co nieco o smoku, ale niewiele. Wiedział, że straszny. Tyle każdy wie.

— Psiej Wólki nie spustoszył. Ani smokobójcy u nas nie ubił — zapewnił.

— Bo to dziura niewarta splunięcia! — Nieznajomy rozejrzał się ze wstrętem i czknął.

— Ale w wielkim świecie nie jest się pewnym dnia ani godziny.

— Moiściewy! To jakim sposobem dobrze z niego żyjesz, wędrowcze?

— W życiu trzeba się umieć ustawić, gołodupcu! — wyjaśnił tamten ze znajomością rzeczy. — Nie musisz kończyć szkół, żeby swoje wiedzieć. Weźmy smoka. Bez kija nie podchodź! Rodzi się z rzygowin cudzoziemca, żyje sto tysięcy lat, do smokobójców nie raczy się odwrócić, tylko ich topi we własnym łajnie. Strasznie zajadła bestia! A ja z niej żyję jak królisko!

Ciekawość Walka napięła się niby świeża cięciwa. Widział gołym okiem, że nieznanomy nie kłamie. Wyleguje się beczynie w rowie, samogon popija, czego mu brakuje do szczęścia?

— Ja też bym tak poradził wygodnie żyć? Zielone oko znad garnca przyjrzało mu się z pijacką uwagą i mrugnęło w takt kolejnego czknięcia.

— Tyś na to za głupi. Ale przyłożywszy się, mógłbyś z tutejszego gnoju wyrzeć na świat, co za problem!

Zza karczmy Szamela wyszedł drugi nieznanomy. Takiego ich urodzaju nie notowano w Psiej Wólce od czasów, gdy jeszcze nazywała się Szczenięcą Wólką. Ten drugi podszedł

do pierwszego i dźwignął go na nogi. Na Walka nie zwracał uwagi. Bez słowa włożył tamtemu dwa palce w gardło. Wytrząsnął z niego w rów zawartość żołądka, po czym powłókł kolegę do poidła. Najpierw wepchnął tam jego głowę, następnie dorzucił resztę ciała.

Pierwszy nieznajomy zerwał się na nogi i stał po kolana w wodzie, wodząc niepewnym wzrokiem po wsi. W tym czasie drugi nieznajomy zwłókł z niego szarą burkę, zawiesił mu na szyi werbelek i nałożył na głowę beret z piórkiem. Kiedy zdjął także swoją burkę, okazało się, że ubrani są identycznie. W dwubarwne kubraki i kolorowe gacie. Strój królewskich heroldów. Mieli też na sznurkach złote trąbki, w które trzeźwiejszy z nich zadał, zwołując naród przed karczmę.

Z namaszczeniem odczytali pismo ciężkie od laku. Monarchia ogłaszała konkurs na zabicie smoka. Każdy chętny może wziąć udział, bo nie będzie się w danym przypadku odróżniało pana od chłopca.

Przy tej ostatniej nowinie smutek skwasił miny zebranych. Królestwo ewidentnie robiło bokami, skoro zapewniało o równości ludzi.

Werblista skupił się, trafił w werbelek, a jego współtowarzysz zatrąbił. Odczytali listę nagród.

Pół królestwa i cała królowa. Ku chwale ojczyzny!

Na koniec też wydali jakieś melodyjne dźwięki, ale zagłuszyło ich westchnienie podziwu, które wydarło się z płuc zgromadzonych.

Heroldowie ze swojej strony westchnęli s politowaniem. Jak poprzednio owinęli się w ubłocone burki i poszli pić do sąsiedniej wsi.

Walek wracał do chałupy zygzakiem. Myślał intensywnie, a to go wyczerpywało.

Ubić smoka? To ci dopiero! Toć nawet Matias zmarszczył się na te słowa, a przecież Matiasa miano za wioskowego głupka, bo po całych dniach zajmował się wyższą matematyką.

Pół królestwa żadna gratka. Poddani kwękają, wrogowie biją. Szczęście, że pół, a nie całość! Ale ręka królowy? Pierścionek na pierścionku! A jeszcze do ręki król dołoży całą córę gratis. Tam już bogactw co niemiara, choćby ją w jednej kusej koszulinie oddał!

Zwłaszcza wtedy! Te cycuszki królewskie, ten tyłeczek monarszy!...

Po pijatyce z nieznajomym Walek czuł w sobie ochotę, hej, do śpiewania.

— Hopaj—siup, zmiana dup! — huknął więc buńczucznie.

Dlaczego miał spędzić życie, kopiąc glinę na garnki, hej? Pole więcej w nią wprawdzie obrodziło niż w płody rolne, siupaj—siup, ale co to za wstrętna robota! Brudząca, lepiąca. Czy żywot chłopca mniej wart od żywota rycerza, który między jedną a drugą bitwą w puchach się wyleguje? Służbę w zadki kopie, wybrzydza, a jeśli z łoża się zwlecze, to w gości do cudnej panny, gdzie zaraz z

powrotem się kładzie.

— Przygotuj węzełek z wiktem, matka! — zadysponował, wkraczając w wydeptane progi chaty. — Ciągnie mnie, coby smoka, hopsa—hopsasa, utłuc!

— Po pijaku?! Dajże spokój, synku! — powstrzymała go matka i pokusiła z chytrym uśmiechem: — Na wieczерzę ci zupę z pokrzyw uwarzyłam. Z tych tłustych, co to rosną przy komórce, gdzieśmy za lepszych czasów bili wieprzki!

Kundel, który mieszkał z nimi, nawykłszy do jedzenia trawy, oblizał się. Walek nie.

— Lepsze czasy dopiero będą, matka! Jak utłukę smoka. Nakupię ci czerwonych koralu, że nie wstaniesz ze stołka, jak się nimi poobwieszasz!

— Waluś! Dyc nie ma co do gęby włożyć, a tobie się korale marzą?

— Bom chłop, nie kiep! — rzekł Walek, przewracając się na snopek słomy. — Psu daj zupę! Ja sobie zjem u króla! Nawet nie wiesz, wsiowa kobieto, co króle żrą! Pierniki w miodzie, dzika w cieście, gruszki w czekoladzie! Wino leją w kielichy wyższe niż knajpa Szamela razem z dachem! Może i omaszczoną kapustą poczęstują, kto ich tam wie?!

Matka podrapała się z namysłem po siwej głowie.

— Okazja jest, nie powiem! Waluś, syneczku, najedz się tam, aż uszami bekniesz! Ale nie czekaj, coby talerze zebrali, zapamiętaj moje słowa. Dawaj drapaka! Usłuchaj doświadczonej matki, która z niejednej hulanki wiała przed twoim nawalonym ojcem. Juści, gdyby dało się po drodze urznąć komu od pasa brzęczący mieszek, rznij śmiało... Byłoby na korale! U nich mieszków jak u nas wszy!

— Pitolisz, matka! — ofuknął ją Walek

. — Ja im pół królestwa urznę! Świat się zadziwi, gęsi pipek!...

— Święci moi! Na jaką zgryzotę nam pół królestwa rznąć?

Walek nie słuchał jej. Czekąło go życie, że hejże—ha! Nie zemrze chyłkiem w Psiej Wólce, żeby świat przeoczył, że żył. Jeszcze heroldy w kolorowych gaciach zatrąbią o nim przed karczmą Szamela!

— A co, psiakrew!... — chrapnął. — Ja sam... się zadziwię, hopaj siup!...

# R

## ozdział trzeci

*w którym Walisław liczy dochody i smokobójców, jednakże nie dolicza się*

— France w bok! — zaklął król Walisław. — Psia mać! Pardwy i ortolany!

Siedział w najwyższej komnacie zamku, takiej, że pod sufitem mogłeś wypatrzeć orle gniazda. Ale gapił się znacznie niżej. W stos pergaminów, które księgowy koronny położył

przed nim na intarsjowanym blacie.

— A niech to! Co za gryzmoły! To siódemka czy czwórka, mości księgowy?

Nienawidził papierów. Dlaczego wszystkich królewskich obowiązków nie da się odbębnić tak przyjemnie jak polowania z psami, gośćmi i nagonką?

— To zero, wasza wysokość. Wszędzie. Wyjątkiem jest rubryczka z liczbą 202 746.

To dług królestwa. W milionach.

— Coś takiego! — stropił się Walisław. — Spory! Nie mylisz się, mości księgowy?

Rubryczka podobna do rubryczki. Znasz tę opowieść, jak mój dziad Rębomir zamiast włóczni wziął na polowanie wachlarz babki? Przez pomyłkę rzucił się z nim na rozwścieczonego odyńca. Ten w sceny pasterskie, co ma moc zbijania gorączki połogowej... — Zerknął na zde gustowaną minę księgowego i uzupełnił: — Naturalnie włócznia nie jest podobna do wachlarza, chodzi o przykład. Twierdzisz stanowczo, że to zero? Takie, że nic tam nie ma?

— Akuratnie, wasza wysokość.

Walisław nalał wina w puchar zdobny rubinami, wychylił go duszkiem.

— To mniej niż wart taki puchar! — Brzdęknął paznokciem o złoty brzeg.

— Znacznie mniej — zgodził się księgowy.

— A rachmistrze nie fałszują?

— Jeśli wolno mi użyć metafory, wasza wysokość: żeby oszukiwać przy grze w kości, trzeba mieć kości.

Intarsje wyzierające spod dokumentów przedstawiały sceny chwały królestwa. Tam, gdzie Walisławowi wychlupnęła się kropla wina, jego pradziad Stępomór, odrobiony w dwukolorowym jesionie, ścierał w pył zastępy Sprzęgaju. Miał u boku wykładanego hebanem czarnoksiężnika Tatumma. Ten potrafił z zeschniętych liści produkować dukaty na potrzeby monarchii oraz własne.

Niestety, szybko zmarł z przepracowania i wstydlivych chorób.

Walisław westchnął.

W narożniku stołu dziad Chomot z berłem w garści nadzorował nawlekanie na pale czterdziestu tysięcy buntowników. Zwano go od tego szwaczką, ale łeb miał jak bankier!

Buntującym się przeciw jego dekretem ekonomicznym konfiskował majątki. Z konfiskat królestwo kwitło, choć dekrety istotnie nadawały się do powieszenia w wychodku.

Walisław westchnął.

Pod dzbanem wina wuj Rębomir zarabiał w gigantycznej dzieży ciasto, którym wytruł opozycję i szczury. Z wrodzonym sprytem nagłośnił propagandowo tylko to drugie.

A teraz królestwo ginęło.

Walisław westchnął i ziewnął.

— A propos gry w kości... — przerwał ponure milczenie. — Kiedy padł ostatni smokobójca?

— Dobrze pół roku temu — obliczył na palcach księgowy. — Ale sprzedaliśmy niewiele. Rzepkę kolanową, parę paliczków, żebro. Zmalał popyt na relikwie.

— Co za świat! Boga w sercu nie mają! Lud się nie buntuje?

— Lud zawsze się buntuje, wasza wysokość. To przez to, że wywodzi się z ludu.

— Cośmy przedsięwzięli w tej sprawie?

— Wydatki. Jak zwykle. Cztery kompanie uzbrojone po zęby.

— Cóż począć, bezczynne wojsko dostaje małego rozumu. Kaprale mają zgrabne antypaństwowe powiedzonko. Żołnierz, mówią, nie dokradnie, nie dojedzie, a morale swe pogrzebie. Ot, nawet w pułkowym biuletynie nie ujmiesz tego podniosłymi słowami. Nie buntują się?

— Ci, co w lochach, buntują się. A raczej odwrotnie, ci, co się buntują, w lochach. Ale tam już ciasno. Szerzą się z tego męskie zboczenia.

W zapadłej ciszy białościory orzeł wyfrunął z gniazda pod sklepieniem sufitem.

Walisław przykrył wino otwartą dłonią.

— Bez obaw — uspokoił go księgowy. — Ptasie guano najlepsze na potencję.

— Dostyc kłopotów i bez potencji! — Walisław rozparł się na tronie ciałem obleczonym w gronostaje, zabębnił palcami po poręczu. — Może stawiamy za wysokie wymagania? .

— Nie sądzę. Brak nam idiotów, ot co! Poświęcających się dla wzniosłych celów.

Giną szybko, a nie odradzają się, niestety, w tempie państwowotwórczym.

— Ani jeden nie ocalał?

— Poleciałem strażom, by siłą sprowadzili każdego, kto choć zająknie się o smoku.

Obojętnie, kim będzie! Jeżeli o smoka spyta twój koń, jego także zapisze się do naszego nieustającego konkursu!

Walisław potarł w zamyśleniu czoło, odcisnięte przez koronę.

— Mój koń nie mówi! — przypomniał.

— Użyłem figury retorycznej, za pozwoleniem — skłonił się księgowy. — Miałem na myśli to, że w końcu kogoś przyprowadzą, ufajmy!

## **Rozdział czwarty**

*w którym poznajemy mroczną przeszłość Rjukana ajn Deyerpotha i jeszcze mroczniejszą przyszłość Tabrysa Śpiewaka*

Rjukan ajn Deyerpoth siedział w fotelu na pokładzie. Obsługiwał go mały elf, trzymający na tacy smakołyki. Pirat lubił ten smak. Elfów. Z apetytem lizał ich delikatne, długouche ciała. Mięciutkie jak małże.

Na burtach „Nomada” płyty ludzkich skór szeleściły w podmuchach jesiennego wiatru. Wypatroszone z ciał, przybite do desek, wyprawione przez słońce na pergamin, śpiewały Deyerpothowi na dobrą wróżbę.

Okręt o czarnych żaglach wpływał w wieczorną mgłę wiszącą u ujścia Smrdy.

Aflaston na dziobie, w formie smoczego łba, sunął ponad przybrzeżnymi krzakami, płosząc bydło i wieśniaków pędzących je na noc do obórek. Szerokoskrzydły kapelusz ocieniał

tatuowaną twarz Deyerpotha. Pasy kreśliły ją jak zad zebry. Dla postrachu. Temu służył też naszyjnik z ludzkich zębów i broda z końskiego włosia. Przed wiekami wiązali ją królowie ze sławnych klanów, a Deyerpoth zamierzał przedłużyć ich legendę. Być ostatnim prawdziwym mężczyzną na ziemi. Pośród maminsyneków i pantoflarzy trwoniących męską ikrę po burdelach.

Gdy zasiadał do biesiady w gronie kompanów, miał najmocniejszą głowę. Gdy rozkazywał ścinać, był głuchy na jęki. Gdy noce parowały od żądz, zaspokajał po cztery damy i o świcie dusił jedną po drugiej. Gdy palił fajkę, mieszał tytoń z prochem. Gdy nienawidził, lepiej było zawczasu poderżnąć sobie gardło.

Kto szukał wzoru męskości, nie znalazłby wspanialszego.



Sam Deyerpoth krył jednak na dnie okrutnej duszy nie gojący się wrzód. Wstydlivy sekret, którego nie zdradziłby na rozżarzonych węglach. Za skarby świata. Za królestwo boże.

Jaki to sekret? Straszny! Deyerpoth był niewiastą.

Wychował się w wiosce u podnóża gór. Uczono go wicia wianków i wyszywania. Z

przyjaciółkami śpiewał przy darciu pierza. Chichotał po kątach, obgadując starych kawalerów i młodych żonkosiów. Był dziewoją trochę może porywczą, lubił dopiec ciętym słówkiem, nie tulił do piersi puszystych stworzonek, które zwykle płaczą się w obejściu. Ale też nie sikał na stojąco.

Aż przeżył idylliczną miłość do pasterza kóz, a ten niewdzięcznik wybrał wszeteczne życie z własnym stadem. Deyerpoth odchorował utratę dziewiczych złudzeń. Dostał gorączki, włoski nad górną wargą dramatycznie mu ściemniały. Gdy pewnej nocy obudził się na posłaniu z falbankami zmoczony do suchej nitki przez fizjologiczne płyny, które we śnie chlusnęły ze wstydlivych zakamarków jego ciała, zbuntował się przeciw światu.

— O w dupę—pupę mać! — zawył z rozpaczą w blasku przedświtu.

To nie był świat dla podniosłych ideałów miłości! Nie dla kobiet! Niszczył ich dusze, upokarzał ciała!

Odtąd Deyerpoth zhardział. Dziewicze powaby skrył pod męskimi szatami. Mordował

bez opamiętania, myśląc: „Oto jeszcze jeden, który zasmarkanym nochalem nie wyniucha kłątwy mojego losu!” Obsesyjnie dbał też o swój publiczny wizerunek.

Dlatego to na zwoju okrętowych lin kręcił korbką siedmiostrunnej liry Tabrys Śpiewak. Wzięty do niewoli w zasypanym śniegiem mieście Błud, miał opiewać czyny pirata.

Za miskę strawy i życie. Zwłaszcza polecono mu częste używanie epitetu: „Bezlitosny”.

Wpływając na „Nomadzie” w ujście Smrdy, śpiewak nie wątpił, że czeka go nowe poetyckie zadanie. Deyerpoth miał na oku stołeczny gród Foksterier. Piraci będą palić mieszkańców na nabrzeżach, a ogniska w domach. Senatorowie zadyndają na szyldach knajp, król zaś z dworem ucieknie do letniej rezydencji, choć ma się na jesień. A on, Tabrys, będzie opiewał tę rzeź w skocznych rytmach jak idiota!

Powoli zapominał, że kiedyś był dzieckiem szczęścia i miłości.

Miał dość — śpiewania na rozkaz, kołysania pokładu pod stopami, rojów komarów.

Bał się każdego spojrzenia. Pytania. Nocy. Albowiem on też miał swoją tajemnicę!

Jaką? Straszną! Odgadł najskrytszy sekret Deyerpotha.

Nie podglądał w tym celu przez dziurkę od klucza. Użył intuicji artysty. Głos pirata miał fałszywy

tembr jak na kształt jego klatki piersiowej. A słownictwo? Deyerpoth mawiał, naturalnie: „Wrazić im kołki w rzyce, żeby gardłem wylazły” albo: „Zróbcie im z jaj wisiorki”. Ale po sutym jedzeniu i gorącej kąpieli robił się dziwnie miękki w słowach. Raz rzekł: „Jejku, jejku, byłem taki bezlitosny”. A kokietyjny sposób noszenia naszyjnika z ludzkich zębów? Dekoracyjny makijaż zębry? Grymas zdumienia na twarzach dziewcząt uduszonych po nocy miłosnej?

Któregoś ranka śpiewak zbudził się, mamrocząc inwokację, ułożoną nieświadomie we śnie zgodnie ze wszystkimi regułami sztuki rymotwórczej: *O, babo, która cyce zmieniasz w tajemnice, Laurów pragnąc, co męskiej glorii mają lice...*

Odtąd wiedział, że jego życie zawisło na włosku. Wystarczyło nieopatrznie odezwać się przez sen.

Gorliwie opiewał, co się dało, byle uśpić podejrzliwość pirata. Gdy okręt z łopotem czarnych żagli wpływał w zamglone ujście Smrdy, Tabrys śpiewał hymn na chwałę Deyerpotha.

### *ŚPIEW WYSUSZONYCH SKÓR*

*Oto jest pieśń o tysiącu grzechów. Oto jest pieśń tysiąca skór.*

*Swym powabem okrywałam strzeliste uda dziewczeczki w haremie Hulaj Paszy.*

*Sklepioną katedrę brzucha z ołtarzem pępka. Pośladki jak czara niebios. Namaszczały mnie wonności Arabii, pieściły masujące dłonie eunuchów i lubieżne palce kochanka.*

*Pachniałam ambrą, sphywalam złotym potem, w szale miłości zlizywano ze mnie soczyste sorbety i wonne rachatlukum. W żarze południa oddawały mi swój cień jedwabie parasolek, do snu tulily mnie atłasy prześcieradeł. Od świtu do świtu moim blaskiem lśnił*

*drogocenny kruszec naszyjników i bransolet.*

*Aż w armatnim dymie, w świście jataganów zjawił się Bezlitosny. „Uczynię twe życie jeszcze słodszy!”, rzekł, nie bacząc na lzy żłobiące aksamit mych policzków.*

*Smarowano mnie miodem — czy widzicie dziurki po żarłocznych szczękach czerwonych mrówek? Wsypano mi w rozplątany brzuch rodzynki, suszone figi, słodkie proso*

*— to rany po dziobach pysznych pawi, które wydziobywały przysmaki wraz z drgającymi jelitami. Czy wywietrzył zapach różanego wina, które lano w puchary odciętych piersi? Czy sztormowe wiatry osuszyły na mnie miłosne soki? Czy nie pozostało we mnie nic oprócz soli łez i soli morskiej wody? Czy wiecznie będę słuchała śpiewu kaszalotów, które już nie dla mnie kryją w żywych ciałach ambrę i olbrot?*

*Albowiem grzeszy, kto piękny na tej ziemi.*

*Oto jest pieśń o tysiącu grzechów. Oto jest pieśń tysiąca skór.*

*Okrywałam elfie członki. Każdego ranka golono mnie srebrną brzytwą, żeby ani włoszek nie szpecił*

*alabastrowej gładzi. Namaszczano mnie pachnid—łami przeciw chorobom roznoszonym przez ludzi i krasnoludy. Malowano mnie w dynastyczne wzory błękitem z górskich kamieni i purpurą z morszczyków.*

*Pieściły mnie wiatry na tarasach ażurowych zamków. Łasiły się do mnie oswojone zwierzęta i niewiasty dzikie od miłości. Pachniałam rosą ogrodów kwitnących wśród chmur.*

*Chroniłam się w stroje z zamorskich tkanin, by nie urzązał mnie opadający jesienny liść lub skrzydło wiosennego motyla.*

*Aż w ulewie strzał, w łoskocie podniebnych drabin zjawił się Bezlitosny. „Nauczę cię fruwać najwyżej!”, rzekł, a mnie nagły powiew wiatru zdmuchnął w elfi strach.*

*Czy widzicie cięcia bezlitosnych ostrzy? Okrojona z goleni odstłoniłam ptasi szkielet nóg. Odarta z pleców łopotalam w locie jak skrzydła, ale nie dźwignęłam ciała ku blankom.*

*Popękałam na piersi od ptasiego krzyku, który wydarły ze mnie strzały łuczników.*

*Dźwięk mego głosu obalał na twarz nikczemnych i nie zrywał ze snu szlachetnych.*

*Dzisiaj suchy szelest, jakim krzyczę na wietrze, nie przy—zwie koników morskich, nie spłoszy stada szprotek, nie doleci do szczęśliwych brzegów.*

*Albowiem grzeszy, kto wytworny na tej ziemi.*

*Oto jest pieśń o tysiącu grzechów. Oto jest pieśń tysiąca skór.*

*Okrywałam ciało Fuka, pokojowego pieska. Moją puszystą sierść szcotokowała służka. Dobry humor pana łaskotał mnie po brzuchu. Pani głaskała mnie palcami słodkimi od pomadek i kandyzowanych owoców. Koszyk z poduchą malowaną w szmaragdowe łąki tulił*

*mnie do łona. Kapano mnie w wodzie o zapachu leśnych ziół.*

*Aż w huku pożaru, w łunie mieczy zjawił się Bezlitosny. „Dam ci powód do ujadania!”, rzekł, a na mnie sierść podniosła się jak wodorosty w wodach przyływu.*

*Gdy przybijano mnie do burt, słyszano skomlenie obdartego ciała, które nie było już Fukiem.*

*Jam jest Fukiem jedynym. Pierwszym i ostatnim. Fukiem w oddechu wodnych mgieł.*

*Szeleszczącym cieniem pokojowego pieska. Nie ma innego Fuka prócz Fuka rozwiewanego ponad fale z garścią sierści. Jak z ostatnim posiewem rozkosznych chwil.*

*Albowiem grzeszy, kto radosny na tej ziemi.*

*Oto jest pieśń o tysiącu grzechów. Oto jest pieśń tysiąca skór.*

*Napinały mnie sękate mięśnie wodza Trytów. Pokrywały mnie bohaterskie tatuaże z czterech stron świata. Bił ze mnie smolny zapach podbitych osad i spalonych ciał. Śnieżne zadymki topniały na mnie jak nad ogniem paleniska. Groty strzał ślizgały się po mnie jak kamyki po wodzie. Nie miały się mnie wrzody cudzych chorób i liszaje trucizn mieszanych potajemnie do jadła. Nie paliły mnie łzy skrzywdzonych. Nie szkodziła mi ślina sprawiedliwych. Blizny porastały mnie, jak niezapominajki porastają niebiańskie krainy.*

*Aż we mgle przedświt, w jęku mordowanych we śnie, pojawił się Bezlitosny.*

*„Odmiana dobrze ci robi!”, rzekł, a pęta niewolnika cięły do krwi moje nadgarstki.*

*Te dwie żaloszne dziury? Tam sutki przyszyto do tryumfalnego rydwana, aż nie sposób było nadążyć za własnymi sutkami. Podbrzusze? Tam męskość przywiązano do końskiego ogona, aż nie sposób było nadążyć za własną męskością. Ten wzór jak dno durszlaka? Tam wykrojono ostrzem miecza tatuaże wiekopomnych zwycięstw.*

*Słońce świeci przeze mnie na wylot, wiatr wieje przeze mnie jak przez sitowie, latające ryby szybują środkiem mojego cuchnącego żywota.*

*Albowiem grzeszy, kto żyje na tej ziemi.*

*Oto jest pieśń o tysiącu...*

— Zamknij się ze swoją lirą—szmirą! — odezwał się Deyerpoth i liznął

przewieszzonego przez kolano elfika. — Nie idzie słuchać tych radosnych piosenek! Nie umiesz wymyślić czegoś na poważnie? Co wzruszy, do zadumy skłoni!...

Tabrys pomyślał, że lizanie jest namiastką niespełnionego macierzyństwa, które draży jestestwo pirata. Jak u psich matek. A niezależnie zamknął się.

Deyerpoth splunął za burtę. Nad wodą niosły się dalekie poszczekiwanie, ryki chudoby.

— Każę przybić twoje głupie łapy do tego pudła z głupią korbką, śpiewaku, a głupi pysk zaszyję ci niemi z głupich kurzych kiszek! Odwaliło ci? Kogo obchodzi, co sobie myślały skóry, zanim dałem im w dupę? Mnie miałeś sławić, rzępo! Bezlitosnego zabójcę i co on sobie myśli, i jakie ma uczucia różne podniosłe, kiedy tych dupków wykańcza! Taka pieśń pójdzie w świat, a nie twoje smęcenia—dupczenia! Piejesz staroświecko, jakbym miał

sto lat!

Tabrys zbladł. Czyżby w piracie odezwała się feministyczna strona natury? Niewinną pieśń uznał za aluzję do wieku? Na pewno zachował przynajmniej jedną cechę stuprocentowo kobiecą — kapryśność. Bo oto ściągnął dziko przerażającą twarz zebry i wrzasnął ku piratom, zapalającym oliwne lampki na wantach:

— Kojtus! Penys! Linę na maszt, migiem, bo wam poodrzynam głupie miny od głupich pysków! Obłu

—piąć ze skórki będziem lirnika, póki widno! Skończyło się sranie—

rymowanie!

Tabrys przypomniał sobie, że tak właśnie kończą wielcy w małych czasach. Ale po raz pierwszy to szczytne zjawisko nie wydało mu się godne pieśni, tylko łez. Albo wrzasku.

Po namyśle wybrał to drugie.

# Antrakt

*kiedy to następuje pierwsza scena z wiedźmami*

Ofelia mieszkała samotnie na północy Kapiółka Valley w eleganckiej willi, która odwiedzającym jawiła się jako chałupa z dachem zapadłym od starości. Ten halucynacyjny efekt dawał anapest cesarski, porastający dolinę jako kępy dychawicznych mleczy. Za młodu wiedźma była piękną dziewczyną, lecz zirytowana nieustannymi męskimi zalotami, uniemożliwiającymi jej samorealizację, rzuciła na siebie czar akosmetyczny. Teraz miała brodawkę na nosie, jeden ząb i zaropiałe oczy przesłonięte skołtunionymi włosami, z których wychylały się syczące węże.

Żyła z tego, że dostawcom i sklepikarzom umiała wtłoczyć w podświadomość sugestię swej wypłacalności. Była wybitnie inteligentna, dociekliwa, towarzyska. Z

przyjaciółkami, Julią i Desdemona, spotykała się na codziennych konwentyklach.

Żelaznym punktem spotkań było gotowanie wywaru, mieszanego w kadzi chochlą do wtóru żartów. Brało się nań dwa pudy mysich gówienek, drobioną palcami bruśnicę (w żadnym razie krojoną, taka traci wartości profetyczne), niegaszone wapno, arszenik, siarkę —

do smaku. Po doprowadzeniu ingrediencji do wrzenia wkrapiało się w nie rozczyń saletry, łój, naturalne ludzkie wydzielinyienne i miesięczne. Na to zasmażka z jadu bazyliuszka, żółci krogulca, wrzodu cyruliczego. Dekokt warzył się dwie godziny, nim nabrał mocy.

Ofelia rozlewała go do porcelanowych kubeczków z uchwytem w formie kurzej łapki.

We trzy kosztowały w milczeniu. Przymykały oczy, pomlaskiwały, wysuwały języki, by ze smakiem przesunąć nimi po dolnej wardze.

Skutki nie dawały na siebie długo czekać. Przed oczami przyjaciółek robiło się ciemno, milkło po— miaukiwanie kota Belzebuba, bzyczenie much, bulgotanie wywaru.

Nikły zapachy i wrażenia dotykowe. Bioprądy pełzały przez powietrze wyczyszczone z naskórkowych doznań.

Nastawała ulubiona Godzina Plotek.

OFELIA: Ach, mam wizję przyszłości! Widzę zwłoki. Unosi się czarna kurtyna zdarzeń i widzę je w liliowych oparach przedświt. Czy widzicie, przyjaciółki moje?

DESDEMONA: Widzę, ale... Wszak w terażniejszości jeszcze żyją. Nie skaziła ich mordercza rana.

JULIA: Wkrótce skazi. To kwestia dni.

DESDEMONA: O, nie... Raczej kwestia godzin. Zabójca kroczy już ścieżką zabójcy, ofiara weszła na ścieżkę ofiary. Węzeł czasu został zadzierzgnięty.

OFELIA: Czy to zwłoki smoka, przyjaciółki moje?

DESDEMONA: Nie.

OFELIA: Czy elfa, przyjaciółki moje?

DESDEMONA: Nie.

OFELIA: Czy...

DESDEMONA: To ludzkie zwłoki, Ofelio, mówiąc krótko.

JULIA: Lecz ich zgon ma ze smokiem związek. Wiele myśli bieży w tej chwili ku smokowi. Czuję je! Wiele dróg skrzyżuje się na progu smoczey pieczary.

DESDEMONA: Co wtedy?

OFELIA: Nie widzę. Na razie nie widzę. Widzę zwłoki. Unosi się liliowa kurtyna zdarzeń i...

JULIA: Odwrotnie. Czarna kurtyna. Opary przedświtu są liliowe. Poza tym już to mówiłaś.

OFELIA: Skupmy się, przyjaciółki moje. Jaką śmiercią umrą zwłoki, gdy dopełni się czas?

JULIA: Widzę ranę od noża. Kałuża barwy krwawnika. Twarz we krwi, włosy we krwi, kolana we...

OFELIA: Wszystko we krwi. Nie rozdrabniajmy się. Kim były zwłoki, gdy nosiły w piersi bijące serce? Gdzie leżą zdjęte śmiertelnym snem? Kto obłupił je z życia?

DESDEMONA: Przyjaciółki moje.

OFELIA: Jak to? Ja z Julią?

DESDEMONA: Mówię, że nie dodałaś „przyjaciółki moje”. Zawsze dodajesz.

OFELIA: Przepraszam. Czy widzicie więcej martwych ciał, przyjaciółki moje?

JULIA: Jest ich o wiele więcej, jak zwykle, w różnych miejscach. Ale tamte są pogodzone ze śmiercią. Tylko te zwłoki nie znają swojego zabójcy.

DESDEMONA: Czy my go znamy?

JULIA: Sprawdźmy ostatnie spojrzenie... Ha, na dnie oka wizerunek pustego wnętrza.

Co to znaczy?

OFELIA: Starajmy się, przyjaciółki moje. Zawsze pozostaje ślad. Co widzicie?

JULIA: Zwłoki na posadzce. Nagie. To mężczyzna czy kobieta?

OFELIA: Płeć we krwi. Straszna masakra.

DESDEMONA: Mężczyzna.

JULIA: Kobieta. Ofiara męskiej chuci.

DESDEMONA: Wszędzie widzisz ofiary męskiej chuci! To facet!

OFELIA: Rozwiewa się lil...

JULIA: Zostaw już opar przedświtu! Mówmy o twardych faktach!

OFELIA: Zamknięte pomieszczenie. Krwawy odcisk ręki na ścianie.

DESDEMONA: Rdzawa cegła. Ha! To zamkowa komnata.

JULIA: Klockowa koronka na pościeli. Modna dwa sezony temu. Komnata należy do osoby, która nie jest *au courant* w sprawach mody. To nie królowa ani jej córka.

DESDEMONA: Oczywiście, że nie! Zwłaszcza, że to facet.

OFELIA: Zestrzelmy myśli w jedno ognisko, w jedno ognisko, duchy!

DESDEMONA: Ściana! Spójrzcie tam, na ścianie! To straszne!

JULIA: Co straszne? Zasłonki? Fakt, że też niemodne. W tym sezonie marszczy się tkaninę od góry.

DESDEMONA: Otóż to, od góry! Tak chcę urządzić salon. Nie mogę się tylko zdecydować, dziewczyny, jaki kolor do łososiowych ścian w mitologiczne sceny?

JULIA: Na twoim miejscu poszłabym w ostre kontrasty. Drobny wzorek, ale agresywny.

DESDEMONA: Na to mnie nie namówisz, Julio! Dwa lata temu wzięłam agresywne szafki do kuchni, tak jak radziłaś. Wiesz, że zaatakowały kucharkę? Na imieniny kota musiałam sama kręcić ser na sernik!

OFELIA: Co masz na myśli mówiąc: „zasłonka”, Desdemono?

JULIA: Bo ty wszystko rozumiesz dosłownie, a potem masz pretensje!

DESDEMONA: Nie powiedziałam „zasłonka”, Ofelio. To ona powiedziała! Mnie chodziło o znak na —mazany krwią na ścianie.

OFELIA: Ach, widzę go! Co znaczy?

DESDEMONA: Jakby odwrócona czwórka. Czy któraś wie?



JULIA: Ja wiem! Nie, zaraz... Wiem, co znaczy pozioma ósemka.

OFELIA: Czwórka, Julio! Odwrócona czwórka!

JULIA: O, kurczę! Muszę lecieć, dziewczyny! Zasiedziałam się, a mam umówione pacjentki na seans odnowy biologicznej. Dokończymy jutro, dobrze?

DESDEMONA: Zaczekaj na mnie, kochanie! Wyjdę z transu razem z tobą!

## Rozdział piąty

w którym zapoznajemy się z kierunkami ewolucji słodkowodnych śledzi Słodkowodne śledzie *clupea dolcevita* cieszyły się zasłużoną kulinarną sławą w całym cywilizowanym świecie aż po wulkaniczną krainę orków, gdzie jada się wstrętny ryż z cynamonem. Przyrządzone na słodko, z lukrem, przypominały w smaku makrelę w sacharynie. Pycha! Inaczej niż oceaniczne *clupea harengus*, nie dawały się przechowywać w beczkach z solą — co przesądziło o ich losie. Musiały być odławiane na świeżo, w wielkich ilościach, przy sporym procencie odrzutów, bo ryba w stresie gorzknieje. Trzysta lat wcześniej Wielki Ryboczy Dworu, zapytany przez dziennikarza „Głosu Monarchii”, dlaczego masowo morduje się słodkie śledzie, odparł zgodnie z prawdą: „Ponieważ je lubimy”.

Mianem „dolce vita” określano wygodne życie. Delikatne filety serwowano niemowlętom zamiast mleka. Łebki noszono w sakwach ku pomnożeniu dostatku. Życzono sobie nawzajem słodkich śledzi. Gdy płynęły rzeką, łapano się za ucho na szczęście.

Jeszcze sto lat temu.

Obecnie na Smrdzie pozostała ostatnia ławica, licząca tysiąc dorosłych osobników *clupea dolcevita*, i nikt nie uważał spotkania z nią za dobrą wróżbę.

Albowiem eksterminowane śledzie ewoluowały w samoobronie. Miały teraz kły, wciągały w głębiny mieszkańców nadrzecznych wiosek, w zagrożeniu umiały scalić srebrzyste ciała w jeden morderczy organizm o sile tarana.

Ostatnia ławica żyła w Gwnie, odnodze Smrdy, pośród wodnych korzeni nadbrzeżnych wierzb. Atakowały kąpiące się dziewczuchy, zagryzały pojone krowy, pielęgnowały wojskowy dryl, który czynił z nich najpoważniejsze zagrożenie na zachód od Helemu, gdzie wyroiły się pszczoły z pazurami. Rozwinęły niespotykane wśród śledzi zdolności nadzmysłowe. Z tej przyczyny pewnego wieczora ławicę przeszył impuls, zapożyczony u elektrycznych węgorzy.

Tysiąc srebrzystych ciał zatrzepotało w kipieli.

Alarm! Wróg! Setki żywych trupów!

Nadchodziły ku żerowisku ławicy dnem żeglownego koryta. Grzęzły w szlamie, kryły się w oparach mułu wzbijanego gnijącymi stopami. *Clupea dolcevita* wyczuwały sunącą rzeką martwicę. Wabioną przez słodycz ich śledziowych ciał. Przerazał je śpiew śmierci, który towarzyszył pochodowi.

Ławica wiedziała, że to, co pod wodą — jest nieme. *Co* nie żyje — tym bardziej jest nieme. Podwodny śpiew trupów wróżył coś upiornego.

Ławica użyła doktryny wymarłych *clupea clausevitz*. „Najlepszą obroną jest atak!” Migoczący łuską taran wpłynął w Smrdę, ustawił się w karnym szyku. Ruszył z nurtem niosącym trawy, liście, krowie placki. Zmierzch przebarwiał wodę, na powierzchni przeświecało niebo zachodu. Mknący w ciszy taran nabierał krwistego połysku.

Pierwszy alarm okazał się fałszywy. Woda niosła wzdęte truchło owcy.

Drugi alarm był spóźniony. Śledziowa szpica ustaliła, że taran przebił się na tyły zombich nie zauważwszy ich. Zdumiewające!

Deformowany przez wodę śpiew umilkł. Zdezorientowana ławica zawróciła w ciszy.

Po kolejnej bezskutecznej zmianie kierunku stało się jasne, że nieuchwytny wróg płynie górą.

Po powierzchni.

Nie do wiary! Prócz talentu do szarpania ciał na sztuki, zombi nigdy nie wykazywały innych talentów, w tym żeglarskich. A jednak tajemnicza trupiarnia żeglowała statkiem, ani chybi!

Ławica uniosła pyszczki ku górze. Dwa tysiące niedowierzających ślepków złapało światło księżycowego zmierzchu.

Wodę pruło głęboko zanurzone dno. Trumiennie czarne.

Srebrzysty taran ruszył ku górze nabierając rozpędu. Atak! Atak! Ciemna woda bulgotała, pieniała się, rozpękała. Do abordażu! Czarne dno jęknęło wszystkimi deskami.

Rozdarł je trzask.

Rzekłbyś — rzeka ze statkiem uniosła się ku górze!

Drewniany smoczy łeb stanął dęba razem z dziobem „Nomada”.

Trupi fetor odfrunął w wieczorne niebo z trzepotem pozrywanych z burt ludzkich skór, a zmasakrowany czub zdumionej ławicy wdarł się w codzienny marynarski zapach potu, dziegciu, oliwy do lamp, żaglowego płótna, męskiego nasienia, zdobycznych karmelków, perfumowanych fragmentów damskiej garderoby ukrytych przed zwierzchnością w kojach.

— Oszustwo! Martwe skóry! Skóry i głos śpiewaka! — pomknął przez srebrzyste ciała impuls ostrzegawczy.

Za późno.

Na górnym pokładzie „Nomada” Deyerpoth fiknął kozła nad fotelem. Broda z końskiego włosa

sterczała na jego czole jak róg jednorożca.

Elfik chlupnął do wody przez nachyloną burtę.

Marynarze siedzący na rejach spadli na pokład jak dojrzałe jabłka.

Tabrys poturlał się po deskach z urwanym sznurem na gardle. Prawdziwy cud! Przed chwilą stał już na beczce i konsekwentnie wrzeszcząc, żegnał się z prozą i poezją życia.

— Zostawić mi grajka—srajka! Dawać świńskiego ryja, który stał za sterem! — wył

wściekle Deyerpoth. — Nasadzę go głupią gołą dupą na głupią gołą kotwicę! Rozerwie na pół

kurzego zbuka! Zostanie po nim sam głupi smród!

Oliwa z postrąconych lampek spływała po pokładzie żywym ogniem. W wodospadzie płomieni ostatnia ławica rozpadła się na ogniki, które umykały w głębiny Smrdy, zostawiając za sobą tragiczny zapach smażeniny

W jego ulotnych oparach marły śledzie i ich odwieczni bogowie.

Tabrys rozluźnił wisielczy sznur, nie mając pojęcia, że świadkuje końcowi *clupea dolcevita*. Kulił się w cieniach nabierającego wody „Nomada”, patrząc bez zrozumienia na ogniki gasnące w rzecznych otchłaniach. Nie rozpoznał, że jest wybrańcem, ku którego ocaleniu wiodły pokolenia ewoluujących śledziowych istnień. Wielki szlak rybiej ewolucji.

## Rozdział szósty

*którego akcja dzieje się w drodze, jak w amerykańskim filmie* Strach na wróble Walek wyruszył z chałupy skoro świt. Ani zerknął za plecy na Psią Wólkę, utopioną w porannych rosach. Ledwie gdzieś postukiwał drewniany cebrzyk do udoju, skrzypiał

żuraw studzienny, dzwonił łańcuch budzący się razem z psem.

Chłopak szedł poświstując przez zielone łąki, pola, gaje i strumienie. Aż wylazł na bity trakt. Stał tam kamienny słup, ale dokąd wskazywał drogę? I piśmienny by nie zgadł.

Pradawni woje, ostrząc na kamieniu miecze na dobrą wróżbę, i pradawne podwiki, trąc się o niego podbrzuszem dla płodności — pozacierali litery.

Walek pomyślał, że gdyby on państwem rządził, nie robiłby okrągłych drogowskazów, tylko ze szpiczastym drewnikiem na górze. O takie potrzebę się nie da bez własnej krzywdy.

Przysiadł pod słupem, wypił zupę z dwojaków i usłyszał pastuszą fujarkę. Młokos w słomianym kapeluszu grał owieczkom skubiącym trawę.

— Którędy do miasta, pasterzu? — zagadnął go Walek. — Do zamku.

Pasterz wyklepał fujarkę o dłoń, żeby wytrząsnąć ślinę.

— Też mi miasto! Nie znasz czego lepszego? Dzicz tam mieszka, co od natury się odwróciła! Już im współzycie z owieczkami niemiłe, cudów—niewidów się zachciewa!

Sracze murują! W polu kucnąc, łopianem się podetrzeć nie łaska? Dziad kuczał i pradziad i tylko sława nasza od tego rosła na ościenne kraje! Wczoraj trzy owieczki mi padły u wodopoju! Za dziada—pradziada zboże się wodą spławiało, nie obrzydliwości! Do królestwa bożego drogi z miasta nie znajdziesz! Żebyś zdążył dojść, nim ich sprawiedliwe gówno z nieba zaleje!

Żyjąc we wsi Walek przeczuwał, że miasto jest nicpote, ale aż tak? Może pasterz gadał w złości? Mało takich nerwusów ziemia nosi? Łońskiego roku pokazał się w Psiej Wólce jeden z nich, z kapotą jak skrzydła dziurawe. Koniec świata wieszczyl. A taki był

zawzięty na świat, że w każdej chałupie bliższy termin przepowiadał.

— Duszy się trzeba wyrzec, migiem trafisz do miasta!

— Gdzie ci się duszy na poczekaniu wyrzeknę? Nie możesz normalnie palcem pokazać?

— Mądry miasta nie szuka! A głupi ma szczęście, trafisz!

Za górką dzwonienie owczych dzwoneczków przestało ścigać Walka. Zdawało mu się, że wołały za nim zawzięcie: „Duszę idziesz zaprzedać! Tam się albo dusze zaprzeda, albo smoki ubija! Tam tylko murowane sracze i piekło!”

Długo wędrował samotnie, opędzając się od złych myśli. Wreszcie zoczył na gościńcu wielmożę w futrzanym kołpaku. Jechał na wierzchowcu z rzędem zdobionym miedzią, z czaprakiem wyszytym złotą nicią. Za nim turkotał po trakcie wóz wyładowany sianem, dalej dreptała gromada wieśniaków z widłami na ramieniu, za nimi mieszczuch na ośle wzbijał

kłęby kurzu szczudlastymi nogami, szorującymi po ziemi.

Wszyscy oni odpowiadali Wałkowi, że zdążają do królewskiego grodu, a jeśli niektórzy nie odpowiadali, to i tak zmierzali w tę samą stronę, co inni.

Walek się przyłączył.

Za parę staj namnożyło się wędrowców bez liku. Jedni wybierali się kupić, drudzy ukraść, zależnie od zamożności. Uczciwi nieśli do urzędów skargi, roztropni łapówki. Panny szukały zamożnego chłopca na męża, kawalerowie chcieli znaleźć zamożne damy, które nie ciągną do ołtarza. Cały świat ze swoimi interesami szedł do miasta.

Dobrze po południu z szarego powietrza wynurzyły się na wzgórzu mury, roгатki, bramy pod łukami z surowych cegieł. To było miasto, jak zdradził Wałkowi któryś z idących obok niego. Wielka potęga, powiedział. Cywilizacja. Wyższa kultura.

W ogóle kurewskie miejsce.

## Rozdział siódmy

*w którym akcja toczy się na lądzie i na wodzie, aczkolwiek tu i tu na jednostkach pływających*

Przez noc piraci budowali suchy dok i na linach wyciągali „Nomada”. Deyerpoth walił

nahajką na chybił trafił. Rozwścieczył go elfik, który skąpał się w Smrdzie, toteż przy lizaniu smakował zabim skrzekiem. Na złapanie nowego nie było szans w tej okolicy. Zatem Deyerpoth dał upust pretensjom do świata. Pił i bił. Krew tryskała po wantach. Bosman Fagina skrył się pod pokładem z rzemieślnikami i klecili drewniane nogi, skórzane oczy, metalowe haki, żeby starczyło na jutro. Zapomniany Tabrys, nie mając odwagi zdjąć oberwanego stryczka z szyi, siedział pod koją jak trusia. Tyle że poluzował pętlę, żeby nie piła w grdykę. Kiedy rzeką popłynęły poranne mgły, zrobiło się ciszej. Spracowani majtkowie pokładli się, Deyerpoth zamknął się w kajucie z baryłką rumu. Jego sługa, czarnoskóry Huehue, spał na warcie na jednej nodze, jak mieli w zwyczaju wojownicy jego plemienia.

Za chwilę w gałęziach drzew miały zbudzić się ptaki.

— Spierdalaj, póki czas! — szepnęło w lewym uchu Tabrysa coś, co odzywało się z zakamarków małżowiny w kryzysowych sytuacjach.

Śpiewak był zdania, że to opiekuńczy duszek. Nic innego nie może odzywać się w ludzkim uchu. Może jeszcze strzykanie po przewianiu, ale ono za nic w świecie nie doradzi czegoś sensownego.

Udzielona rada była wprawdzie prymitywna i w stylu, i w treści, niemniej kusząca.

Z burt zwisały liny, którymi wyciągano „Nomada” na brzeg, wokół statku wznosiło się rusztowanie z nieokorowanych brzoź. Tylko uciekać! Tabrys z lirą na plecach zląził

zamknąwszy oczy, gdyż było wyżej, niż się spodziewał. Uniósł powieki obliczywszy, że lada moment dotknie twardej ziemi. Gdzie tam! Opuścił się ledwie do połowy burt. Wokół niego cuchnęły nostalgiczne resztki ludzkich skór, pozrywanych w starciu z ostatnią ławicą śledzi.

Śledziami też zresztą zalatywało.

Tuż przed twarzą Tabrys miał bulaj w kajucie Deyerpotha.

Filował stamtąd blask oliwnej lampki.

Przed pójściem spać pirat rozwijał bandaż, którym krępował piersi. Śpiewak, wiszący na linie z rozdziawionymi ustami, ujrzał je teraz w całej okazałości. Zgrabne trójeczki!

Spocone dłonie nie utrzymały ciężaru ciała. Tabrys runął w dół po brzożowym rusztowaniu.

Uderzył o ziemię z brzękiem strun.

— Lirę—szmirę też obedrże się jutro z lakieru, żeby mi tak dupa nie przeciekała! —

zamruczał z góry gniewny pijany dyszkant.

Stojąc u stóp „Nomada”, Tabrys patrzył z przerażeniem ku górze. Pod bulajem Deyerpothowej kajuty zaczepił się wisielczy stryczek, który przed momentem zwisał z jego szyi. Nieusuwalny dowód wścibstwa!

Teraz już nie było odwrotu.

Jakby dla potwierdzenia tego faktu, okuty żelazem smoczy łeb na dziobie statku wgapiał się złowrogo w Tabrysa z korony drzewa, w której utknął.

Pół dnia śpiewak biegł przed siebie poobijany od upadku, pojękujący, pobrzękujący lirą tłukącą się o plecy — póki drogi nie przegrodziły moczary. Brodził po kostki w szlamie, macał kijem grunt i wycofywał się, kiedy kij nie sięgał dna. Czasami wycofywał się wcześniej, przerażony, że w gnijącej wodzie siedzi Deyerpoth! Z nożem umazanym czerwoną szminką. Albowiem trzyma go po piracku w zębach i ma na twarzy makijaż kokoty z portowych doków. W takiej to postaci wyskoczy spod wody uczepiony końca kija, którym Tabrys gruntuje dno.

Było dobrze po południu, gdy trafił na szałas. Smolarz Łomatko żył z różnicy podatkowej pomiędzy gotowaniem smoły a przewozem podróźnych. Załadował Tabrysa z lirą na płaskodenną łódź, ujął w dłonie długie wiosło i odbił od brzegu, stojąc na rufie.

Dokoła dudniło i ciamkało, odgłosy niosły się po wodzie przeraźliwym echem. Z

czarnej topieli sterczały kępy uschłych drzew obwieszane festonami mchu, wysepki porastała wredna i cuchnąca roślinność. Dziób łodzi pruł rzęsę, spod której wydobywały się tajemnicze bulgoty. Smród zgniłych jaj zatykał dech, strzelały płomyki lub kotłowały się pęcherze powietrza, wydychane w głębinach nie wiadomo przez jakie lichy. Tu kołysała się na wodzie kłoda, wokół której wiły się rogate węże, tam obgryziony szkielet mutanty, ówdzie wypływała ruszona wiosłem czaszka wielkiego szczura lub małego hobbita.

— Są tu potwory?

— Ło matko najświętsza, jeszcze by nie! — smarknął w palce Łomatko. — Żebyśta się ino zapytali, jakie!

— Jakie?

— Takie zaś, że lepiej się nie pytać!

Wskazał sękatą dłonią patyk zatknięty na dziobie łodzi. Podfruwiała na wietrze przywiązana do niego czerwona wstążeczka.

— Bez strachu! Póki ją mamy, nie ruszą nas, ścierwa! Arcyflak ci to jest!

— Jak to zwiesz? — Mimo powagi sytuacji Tabrys parsknął śmiechem. — Nie artefakt raczej? Skądś wziął, smolarzu, magiczny artefakt?

— Wisiał jednej damulce u gorseta. Ale jaki on tam magiczny, oszaleliśta? Magiczny jak psie gówno pod progiem! Ale zaś skuteczny, a o to się rozchodzi, co nie? Potwory boją się jego jak zarazy! Cholera ich wie, czemu? Pewnikiem temu, że zajebiecie furkota, słyszyta?

— A bez niego nie przeprawi się nikt przez mokradła?

— Nima prawa! — zapewnił Łomatko. — Bez niego zeżrą, kto im zaś popadnie w pyski!

Tabrys odetchnął po raz pierwszy od miesiący. Znaczyło to, że piraci nie ruszą w pogoń tą drogą. Deyerpoth mógł trzymać w kufrach tysiące magicznych artefaktów, bo okradł

niejeden chram. Ale nie mógł mieć wstążki od babskiego gorsetu. To by go demaskowało.

Pod wrażeniem tej myśli śpiewak zerwał się na nogi, aż łodzią zakolebało.

Uniósł głowę w niebo i wyrzucił z siebie tajemnicę, w której od miesiący kisiła się jego strwożona dusza. Obwieścił ją mokradłom, potworom, ciamkaniom w głębinie, dudnieniom w oddali, wszystkiemu, co chciało i nie chciało słuchać.

— Rjuuuuuten aaaajn Deyerpooooth jest kobieeeeetaaaaa!

Głos poszedł ponad wodą, budząc gnilne bulgoty w głębinach.

— Któren zaś? To piracisko okrutne? — zainteresował się przewoźnik.

— Ten sam! — wyciął hołubca Tabrys, a deski łodzi jęknęły. — Deyerpoth jest babaaaa!

— Ło matko najświntsza! — pociągnął go za rękaw Łomatko, uspokajając rozkołysaną łódź. — Zatopita nas, gadając zaś takie pieprzone nedorzeczności!

Ale Tabrys wyskoczył już na brzeg i uciekał w las, furkocząc ukradzioną wstążką.

Tam, gdzie niedawno unosiła się na wodzie łódź, wiosło i Łomatko — bulgotała kipiel.

Wylatywały z niej strzępy smolarskiego odzienia, kawałki smolarskich kości obgryzionych ze smolarskiego mięsa, smolarskie przeraźliwe wrzaski.

— Przebacz, przewoźniku! — darł się ze swej strony uciekający Tabrys. — Zabrałem wstążkę, żebyś nie przewiózł tych suczysynów! Nie miej mi za złe! Zmusiliby cię, padalce, ja ich znam! Musiałem zabrać, daję ci słowo! Nie miałem wyboru! Chodzi o wielką sprawę! O

mój tyłek!

**Rozdział ósmy**

*w którym Walek spotyka różnych ludzi, ale zwróćmy uwagę na królewską służkę, zwłaszcza na jej biust*

Walek błąkał się w tłumie, gdzie ciągle ktoś następował mu na odcisk. Znajdował

miasto zgoła inne, niż gadano. Malutkie, ciasne, mieszkańcy ledwie się w nim mieścili, jak wynikało z tłoku. Prawie na głowach sobie siedzieli w gwarze i hałasie. Wozy turkotały, bydło ryczało, konie rżały, kobiety piszczały jakby z uciechy cielesnej, a jakby wprost przeciwnie. — Kup rybkę, kup, tanio sprzedam! — zaczepił Walek handlarz stojący pod słomianym daszkiem. — Palce lizać. Jeszcze nie ma dwóch dni, jak zaczęła wonieć.

Aligancka jest, z dalekich mórz karawaną ją przywieźli bez pustynię. Tam piaskuny grasują, co wilgoć z ciebie do cna wyciągną i reumatyzm mija.

Rybka tyż zdrowa! Pieprzu do niej dodam arańskiego za pół ceny. Przegryziesz ziarnko i ani poczujesz, że nadgnita. Lepsza nadgnita niż świeża, delikatesik, każdy medyk ci powie! Złe kwasy zdążyły z niej odparować!

— Powiesz mi, którędy do króla, handlarzu? — zapytał Walek.

— A co to, król lepszą rybką częstuje? Nie łudź się, nie łudź! Nie wpuszczą cię za próg, bałabajo! Tam tacy wyposzczeni, że ikrę żrą! Ani poczekają, aż jesiotry się z niej ulegną! Wino takie piją, że w nim tylko połowa wina, a do pełna dopchane powietrzem w bąbelkach! Korek pod sufit odrzuca od tego świństwa, a ich nie odrzuca! Radzę, kup rybkę!

Opuszczę na cenie! — Handlarz popatrzył z irytacją na podniesionego z drewnianej lady karasia, któremu przy tej operacji odpadł łeb. — Zresztą pies cię trącał! Daj miedziaka i możesz nie kupować.

— Nie mam miedziaka, handlarzu.

— Pchasz się w świat bez miedziaka, bałabajo?! Idźże stąd, bo interesy psujesz, psujo zapchlona! Tutaj, klientelo! Do rybek zepsut... Tfu! Do świeżych! Do świeżych! Zdrowo nadgnitych!

Walek podrapał się po spoconej czuprynie.

— Poradź, handlarzu! Tu ulica w ulicę taka sama. Przy każdej domy ceglane.

— Ceglane, wielkie mi mecyje! A cegła z krowich placków zrobiona! Nie tup, jak włazisz, bo ci się na łeb zawałą. Bogacze tacy, że rybki od rana nie sprzedasz!... — Handlarz machnął dłonią, żeby Walek odszedł i nie zasłaniał straganu. — Nos masz? Niech cię prowadzi! Gdzie trudno iść od perfumiarzkiego zaduchu, idź. Kichaj, aż dojdiesz. W

aromacie na biednego nie trafisz!

Walek skręcił w pierwszą uliczkę i pociągnął nosem.



Czym też miasto nie pachniało!

Końską uryną w okolicach piwiarni. Pudrem i opróżnianymi z okien nocnikami w dzielnicy kurtyzan. Przy warsztatach cebulą, garbowanymi skórą, mokrą gliną.

Księgosuszem i damską szminką u żaków. Drożdżowymi ciastami i zbożową kawą u urzędników. Jodyną, płynem do czyszczenia sreber, wieńcami — w kwaterach medyków.

Idąc tak w morzu zapachów, za rzeką Walek zobaczył wielki zamek, który z daleka nie pachniał wprawdzie, ale i tak robił wrażenie.

Szpiczaste baszty pięły się w ołowiane niebo, ściany z rdzawej cegły obrosły gęstwiną przypór i daszków krytych pozieleniałą blachą, pod parapetami ostrołukowych okien zwisały brody mchu. Na gzymsach łopotały proporce, z kominów ulatywał dym, gołębie krążyły dookoła jak śnieżne zadymki. Obwiedzione siwym konturem zacieki po deszczach przywarły do murów niczym cienie gigantycznych nietoperzy. Większej budowli Walek na oczy nie widział. Nawet nie domyślał się, że taka może istnieć na świecie.

Most nad fosą był opuszczony, ale bramę zamykała krata.

Z wykusza na murach wychylił się hełm z nosalem.

— Ani kroku dalej, elfie parszywy!

— Jaki tam ze mnie elf— wyjaśnił Walek, przystając. — Ani trochę. Ze wsi idę.

— Mnie za jedno, elfie, czyś ty elf, czy nie! — odkrzyknął hełm. — Nie lubimy tu elfów! Szczególnie kłamliwych, co nie chcą się przyznać do swojej parszywej rasy! Z daleka ich po tym rozpoznamy!

Ciemne lochy dla nich mamy pod zamkiem. Dwa dni drogi w dół.

— Psiajucha! — zdziwił się Walek. — To będzie środek ziemi, co?

Hełm uniósł się i schował się pod żelazną pachę, odkrywając wąsatą głowę o czerwonych oczkach wystającą z brudnych blach. Głowa poprawiła cisnący blaszany kołnierzyk i prychnęła.

— Tego nie wiem, czy środek. Po co innego tu stoję, niż na głupie pytania odpowiadać. Czarodzieja królewskiego by popytać. Ino że z elfem parszywym nie będzie gadał.

— Jam nie elf! — zaprotestował ponownie Walek. — Do konkursu zawezwany jestem w potrzebie przez trąby złociste. Dużo tu takich?

— Trąb?

— Zawezwanych jako ja.

— A bo ja wiem, czy zawezwane, czy nie zawezwane? Różne bywają. Czasem zagraniczne, na

szkapach garbatych przyjadą albo na dywanach fruujących. Te są szykowne. Takich łapserdaków jak ty nie sprasza się zasadniczo. Czasem samowolnie po chleb przyleżą i w święto im się go daje. Choć kłopot, bo nakruszą po dziedzińcu, głodomory, jakby jedzenia nie widzieli. Idź od kuchennego wejścia i stań za kolejną. Nie przyznawaj się, żeś elf, bo przegnają!

Krata dźwignęła się z łoskotem.

Z bramy wychodziło się na dziedziniec brukowany płaskimi kamieniami. Kręcili się po nim dworscy, prowadzono nie osiodłane konie, biegały psy i kaczki. W kuźni purpurowej od ognia wałyły młoty, z okna pralni wpuszczonego w bruk szły kłęby pary pachnącej mydlinami. Zewsząd pięły się ku niebu ceglane mury, aż Walek wtulał głowę w ramiona, jakby zamkowe konstrukcje miały się na niego zawalić.

Przy studni z drewnianym daszkiem przystanął niepewnie. Sądził, że gdy już dostąpić zaszczytu wejścia do zamku, od drzwi do drzwi prowadzą człowieka lokaje. Tymczasem puszczonego samopas, nawet dworskie charty nie podbiegły obwąchać łydek. Tylko brązowy gryf z daszka studni gapił się ślepymi oczami.

Opodał Walek trafił na drzwi, do których wchodziło się po schodkach, za załomem muru na inne, i jeszcze inne. Któreś z kołatką.

Zapukał nią w dębowe bale, poprawił gołą pięścią.

W drzwiach pojawił się dworzanin w pludrach, pończochach, ufryzowany w loki, z packą na muchy pod pachą. Spojrzał spod zmarszczonych brwi.

— Jestem! — obwieścił oględnie Walek, ponieważ nie wiedział, jak odezwać się do kogoś, kto na co—dzień widuje samego króla pana.

— Nie przypuszczam — odparł zimno dworzanin. — Widzę, że zasłaniasz mi studnię swoją osobą i nabłocilesz na progu sabotami. Lecz z tego czy wynika, że jesteś?

— Czego więcej trzeba, żeby być? — stropił się Walek.

— Trzeba, żeby ktoś cię zauważył na świecie — odparł flegmatycznie dworzanin i zatrzasnął drzwi.

Na wszelki wypadek Walek zastukał do drzwi z klapką. Ta uchyliła się, ukazując parę dorodnych piersi w wycięciu białej koszuli. Koszula modna, bielutka, ładniutka, a piersi to już całkiem precudnej urody!

Walek pomyślał, że właściwie nie musi iść dalej, nie musi szukać w zamku króla ani nikogo innego. Tu w tym miejscu, w towarzystwie tych piersi mógłby spędzić resztę życia i nie miałby pretensji do stwórcy o swój chłopski los. Ale nie wiedział, jak to zrobić, żeby nie robić tego, co zamierzał zrobić. To nie na chłopski pomysłunek!

— Jestem! — powtórzył z uporem. — Zło szkaradne wytępię za nagrodą!

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc. Właścicielka piersi miała poniżej biustu serdak w czerwone róże, powyżej zaś oblicze wymalowane burakiem dla urody. Całkiem niczego sobie oblicze!

Zbliżyła się, popluwając na miedziany talerz, który czyściła do połysku. Uśmiechnęła się zalotnie, zaglądając Wałkowi w oczy, filuternym palcem zrobiła mu na nosie „pik—pik”.

## *ŻALE SŁUŻKI*

*Nie gardź służką, gładyszu! Doceń ją! Pokochaj biedną!*

*Zbawcą świata zostaje się z byle przypadku. A służącym musisz się urodzić! Trzeba cierpliwie się kłaniać, w brudnej robocie babrać, żeby wspiąć się tam, gdzie wreszcie pozwolą ci opróżnić pański nocnik. Wtedy świat należy do ciebie! Okiem w naczynie rzucisz i widzisz, że temu w koronie poddani czapkują, a owsiki go lekceważą! Że on rządzi krajem, a nim rządzi biegunka po wczorajszej kiszce z grochem. Oj, tylko służka wie, na jaki to stolec król naprawdę zasiada!*

*Weźmy naszego Walisława. Wigoru miłosnego już w sobie nie ma, mój ty gładyszu, choć pod—szczypać jeszcze lubi, nie powiem. Kuchareczkę, pokojówkę, praczkę. Byle młoda.*

*Dawniej na wysokie urodzenie leciał, teraz niski wiek mu wystarcza. Za szczyknięcie w półgęsek daje dukata, ale bywają takie miejsca w anatomii, że i naszyjnika nie poskapi.*

*Mówię ci o tym, bo obce lubieję ciekawostki. No i zrozumiesz z tego, że nie byle wiejski tłumok, co tylko swoje krowięta zna po imieniu.*

*Weźmy Dobrodawkę, małżonkę królewską. Ta z czarodziejem Verhunem się puszcza.*

*„Moja ty złota różdżko!” — go nazywa. On jej nie nazywa, tylko od razu tryka jak tryk.*

*Kobiet nie szanuje, choć wygodzić im umie jak mało kto! Bez różnicy — pani, służka. Rozogni do czerwoności! A ciąży zapobiega aż miło! Żadna po nim spędzać nie musiała!*

*Córka ich królewskich mości ma po ojcu, że nie przebiera. Kunegunda słodka! Gdyby mogła, smokowi by nie przepuściła! „Samam piękna — powiada — tedy mój umiłowany może być kudłaty, dziobaty, pryszczaty, byle rogaty!”*

*Stąd też Kundzia łasa na jednorożce! Stoją u niej w komnacie rżnięte z jaspisu, hebanowe, ze szkła dmuchanego, z mandragory, przeważnie sam róg, bo najporęczniejszy, ale zdarza się i całe zwierzątko, jeśli gładkie!*

*Miej serce dla skromnej służki, gładyszu, bo najważniejsza w królewskim rodzie!*

*Obznajomiona! Tyle że kroniki rodowe pisują te ludziska, co piśmienne, a nie, co obznajomione!*

*Wielkie są zasługi służki! Czego też by mogła dokonać, ho, ho!*

*Aż tu nagle przybywa znikąd gładysz jak ty, gładyszu, żeby w łaski monarchii się wkraść. A ty,*

*służka—biedna duszko, witaj go, kłaniaj się w pas. Jakby komu wielkiemu! A sama idź w cień!*

*Co to za zasługa — smoka zamordować! Sam powiedz!*

*Smok raz na całe życie się przytrafia, a zatwardzenie może król mieć codziennie!*

*Kto mu podagrę łagodzi świeżo parzonymi ziółkami? Kto mu nagrzane szkandele pod pierzynę wtyka w zimowe noce? Kto mu kompresami leczy fluksję? Smokobójca?*

*Ten przywłókł się śmietankę spić! Smoka raz——raz ubić i zaznawać zaszczytów.*

*Obok monarchy figurować w encyklopediach. Na trybunie honorowej zasiadać. Błyszcząc się od medali wśród piszczących dzierlatak!*

*A bodaj to! Kurze pościerać, pościel wywietrzyć — oto człowiecze zadania na świecie!*

*Porządek koło siebie utrzymać! Łóżko ścielić, podłogi myć, szaty prać! Żyć godnie, po człowieczemu, nie jak zwierzęta w brudnych norach!*

*Spróbuj nie posprzątać w zamkowej komnacie transmutacyjnej! Niech no myszy się tam zalęgną! Na cewkę indukcyjną nasikają! Krótkie spięcie obróci całe królestwo w świat alternatywny. A ładna mi to alternatywa! Lochy się otwierają, katakumby piekielne, z których wylażą takie indywidua, że wrogowi nie życz! Ciało im od kości odpada, a ty zamiataj! Krwią chlapią, a ty ścieraj! Odbić nie mają, a ty lustra pucuj! I przez co to? Przez smoczysko? Nie!*

*Przez to, że zapracowana służka zapomniała ustawić łapkę na myszy!*

*Z muchami wygraj, kiedy lato przyjdzie!*

*Czy to smok obsrywa portrety najjaśniejszych państwa? Nad głową brzęczy, kiedy dospać próbują? Czy smok przylatuje prosto z latryny pospacerować po wołównie na obiad?*

*Ile niewinnych dziewic prostego rodu padło od starości w śmiertelnym boju z kotami kurzu?! Ile z roboty wyleciało za rysę na politurze?! Ile skończy w staropanieństwie, polerując czerniejące platerę?! Ile straci skórę na toczonych kolankach od ługów żrących?!*

*Nikt biedaczek nie zliczy, gładyszu! Cnoty uciśnionej nie doceni!*

*Jedno pewne, że nas za to w kronikach nie opiszą jak byle smokobójcy! Ani ciut—ciut!*

*Co z tego, że namiętna dusza pragnie wzlecieć, a spragnione serce kochać?*

*Służka przejrzała się w talerzu i zamknęła za sobą drzwi. Uchyliła klapkę, żeby po drugiej stronie dygnąć jeszcze białą piersią i buraczanym rumieńcem. Na pożegnanie.'*

*Walek pomyślał poniewczasie, że powinien zapytać ją o imię, bo otworzyła przed nim duszę, a swego imienia nie wymieniła. Mógłby też gibnąć ją w pasie, jak to z Kaśką w leszczynie robił.*

Byłoby co wspominać do końca życia! Gdyby tak to ta piersiasta królewska służka była nagrodą w konkursie, nie zaś córa, która płaska jest może jak tablica herbowa, ech!

— Czego tu szukasz, kmiotku? — przerwał mu te rozterki strażnik z błyszczącą reprezentacyjnie halabardą. Stał w rozkroku, prezentując skórzane boty do pół uda z wyłogami. — Chcesz, żeby cię katu dali?

— Za co? Nie po to mnie zawezwali, żeby katu dać.

— Skąd wiesz? Taka ich rozrywka. Gdyby cięgiem rządzić, człek by oszalał.

Rozrywka musi być. Przyłóżą różne, a każdy jeden ma tyle członków cielesnych do poobcinania, jakby się prosił. Ten do hiszpańskich butów pasuje, ten do rwania paznokci, inny w żelaznej dziewicy siedzi jak ulał. Rozmaitość ludzi na świecie. Ja najlepiej lubię, jak skórę zedrzeć, posolić i kożę sprowadzić do lizania. Ucieszne widowisko, niech mnie kule biją! Ty lubisz co?

— Ja? — zastanowił się Walek. — Najwięcej grochówkę. A ich królewskie moście?

— Wybredne nie są. Byle dużo krzyku. Dajmy na to, lania ołowiu w gardło nie lubią, bo za ciche. Zawezwali cię, mówisz? Do smażenia na stosie może? Tego przez lato nie było, za gorąca pogoda. Ale już chłodniej. Albo żelazne krzeselko, o tak, tak! Jak na rozpalonym żelazie gołym zadkiem siadasz, to lepsze niż stos! Z niejednego krew odparuje od samych emocji.

— Mnie zawezwali na smoka! Heroldy w pstrokatych gaciach trąbiły po wsi, aż uszy puchły!

— To nasze heroldy, oni takie pedalskie gacie wdziewają — zgodził się strażnik. —

Smok, powiadasz? Wypsnęło ci się to słówko na zgubę! Muszę cię teraz zabrać na pokoje.

Już tam cię wyczekują takie osoby, że strach. Na zatracenie poślą i zapomną O tobie, nim na miejsce własnej kaźni dotrzesz. Po co sobie smokiem gębę wycierasz?

— Strażnik zniżył głos. — Możemy się ugadać. Dasz dukata i ani pisnę, żem słyszał o smoku.

Ba, nie wspomnę, żem o tobie słyszał, nieszczęśniku! Pójdiesz wprost na żelazne krzesło, nikt się nie dowie. Własnoręcznie pod siedzeniem napalę. Możemy ich mościów nie wołać, sami we dwóch się zabawimy. No jak? Targ dobity?

— Na co mnie taki targ? — wzdrygnął się Walek. — Wolę smoka!

— Oj, durny kmiocie! Cacane krzeselko, a ty ani spróbujesz? Tfu!... — Splunął z pogardą strażnik.

I do czego się rwiesz, smokojebco zatracony? Zdaje ci się, że ze smokiem szast—prast i po krzyku? A o swój pogrzeb zadbałeś zawczasu? Bo tamte na górze nie zadbają, nie rób sobie nadziei! Wiesz, czego ci trzeba, żeby swoje doczesne szczątki sprowadzić po walce ze smoczej pieczary?

Otworzył pękiem kluczy drzwi na szczycie schodów, popchnął Walka w głąb ceglanego korytarza. Pachniało w nim stęchlizną, wetknięte w ściany pochodnie rozjaśniały mrok.

— Czego mi trzeba? — zapytał Walek niespokojnie. — Trumny?

— Jakiej trumny? Dobrze sobie! Lewatywy trzeba! Najmij se tylko kogoś, kmiecie, kto ją smokowi wetknie!

## **Rozdział dziewiąty**

*w którym mają miejsce wielkie odkrycia naukowe, choć pojawiają się też elementy religii wudu*

Na dnie „Nomada” był wilgotny, ciemny loch. Zgniła słoma na legowisku, ściany pokryte sztuką erotyczną w stylu prymitywistów. Agresywne szczury. Smrodliwy zaduch.

I więzień z brodą po pas pełną insektów.

Tkwiał tu tak długo, że jego szata stała się szara jak zimowy wieczór i wziąć by go można za Telepor —tasa Szarego. W istocie był dawno nie opranym Teleportasem Śnieżnobiałym. Deyerpoth pochwycił go w tamerlańskim lesie na dorocznym Zjeździe Magów w Trzy—Dwójce Zachodniej, gdzie naszedł go kaprys, by sprawić sobie osobistego czarodzieja. Teleportas oddalił się od zgromadzenia za potrzebą, co go zgubiło, niestety.

Znana to przypadłość człowiecza! Ludzi zawsze gubią potrzeby albo zdobywanie środków na ich zaspokojenie.

W momencie porwania mag usiłował rzucić samoobronny czar, ale to nigdy nie wychodzi, kiedy w kiszkę stolcową tłoczą ci drewnianą nogę, a w gardło trzy krzywe miecze.

Jeśli istnieje skuteczna metoda, Teleportas musiał być chory, gdy jej nauczano w przesławnej ABC Magii, czyli Akademii Białej i Czarnej Magii. Nie dolegało mu nic groźnego, pewnie katar lub grypa, gdyż poważniejsze schorzenia nie imają się magów tej kategorii. Niemniej powikłania po owej dawno zapomnianej grypie okazały się paskudne — wilgotny loch

„Nomada” i utrata mocy.

Należał do solarystów, czerpiących manę od Słońca. Zamknięty pod pokładem i zapomniany, opadał z sił magicznych. Co z tego, że ocalił skórę. Wytatuowane na niej świetne zaliczenia semestralne, nagrody roczne, piętna prymusa nikły z wolna pod nalotem strupów i rozdrapanych krost. Resztki mocy mag wykorzystywał na utrzymanie się przy życiu. Początkowo stać go było na bażanty nadziewane kasztanami i wino, cygaro po posiłku, wygodne łóżko z panienką lub dwiema, ciastko na kruchym spodzie, krzyżówkę dla rozrywki.

Ostatnio ledwie materializował zimną kaszę i łyk wody, a nałożnice wydrapywał sobie zapuszczonymi paznokciami na ścianie podpokładzia. Płaskie jak deska i cuchnące rybą.

Sporo mocy tracił też na finalizowanie przemiany materii. Został mu uraz po tamtym dniu, kiedy to

pochwycono go w lesie, sikającego spod zadartej śnieżnobiałej szaty na święty dąb. Odtąd wypróżniał się magicznie, żeby nie ryzykować kolejnego upokorzenia. Na cieńsze lewitował pod stropem w czasie zaprzyszłym niedokonanym, grubsze teleportował z pominięciem naturalnego odbytu. Osiągnął w tym dużą wprawę i dni urozmaicał sobie układaniem w pamięci czarnoksięskiego kompendium *Wypróżnianie się w czasie i przestrzeni*. Aczkolwiek nie miał nadziei, że znajdzie wydawcę dla dzieła swego życia.

Marniał w oczach.— Jego tęczęwki stawały się coraz przejrzystsze, aż poziom many znaczyła tylko niebieska kreseczka nad dolną powieką.

I wtedy nadeszło ocalenie, choć zrazu na takie nie wyglądało.

Wyglądało na Annusa i Klajtorisa, jak zwykle zionących rumem, którzy chwycili Teleportasa za zmierzwioną brodę i wywlekli na górny pokład.

Słoneczne popołudnie cuchnęło spalenizną. Deyerpoth siedział pod masztem na osmalonym fotelu i uśmiechał się, jakby miał w planach obdzieranie ze skóry. Teleportas struchlał, twarz ściągnęła mu się trwożnie, pokrywająca ją warstwa wieloletniego brudu popękała. Gdy Annus i Klajtoris rzucili go do stóp fotela, Deyerpoth nachylił się. Dwa straszliwe oblicza zbliżyły się do siebie — jedno pasiaste jak zebra, drugie spękane jak kra wiosną.

— Gdzieżeś ty się chował przede mną przez tyle czasu, magu—sragu? — zapytał

dobrotliwie Deyerpoth. — Masz mi służyć jak wierny pies, zapomniałeś?

Teleportas zmrużył oczy osłepione słonecznym blaskiem.

— Pamiętam — wychrypiał. — Ale straciłem moc.

— A co ty jesteś, skisłe wino, żebyś stracił moc?

— Magowie mogą stracić moc, jako i wino ją traci.

— Ale magom można nakopać do głupiej dupy, że w te pędy odzyskają głupią moc!

Dla poparcia swej sentencji Deyerpoth wymierzył kopniaka Teleportasowi. Na razie w twarz. Mag poturlał się po pokładzie pod nogi stojących w krąg piratów. Niektóre własne, niektóre z dębowego drewna na skórzanych przegubach, inne z wielorybiej kości.

— No i jak? Odzyskałeś moc? Gadaj!

— Nie — wyjaśnił posłusznie Teleportas, plując krwią. — Straciłem dwa zęby.

— Zaraz stracisz szczękę. Wyrwę ci ją, zatknę na patyk i będę się nią drapał w plecy!

Teleportas pozbierał się z pokładu, uniósł spękaną twarz ku niebu. Jesienne słońce zbyt wolno ładowało mu biologiczne baterie many.

W depresyjnym nastroju, z bólem głowy, odniósł wrażenie, że piraci, statek, ziemia, na której stoi, rzeka obok i drzewa na jej brzegu — wszystko to krąży wokół Słońca, a nie odwrotnie, jak uczono go w szkółce niedzielnej. Czy świat od tego czasu tak bardzo się zmienił, czy też on sam, Wielki Mag, stoi na progu wiekopomnego odkrycia? Może to szok?

Otarł rękawem krew z twarzy. Jeszcze raz zerknął opuchniętymi oczami w niebo.

Dalipan! Ziemia naprawdę krążyła wokół Słońca. A przepływ prądu musiał mieć coś wspólnego z różnicą potencjałów na końcach przewodnika!

To było olśnienie!

Teleportas rozumiał teraz wszystko jasno jak nigdy. Ludolfina w zaokrągleniu do dwóch miejsc po przecinku równa jest trzy koma czternaście! Małpy należy zaliczyć do naczelnych! Ciało zanurzone w wodzie traci pozornie na wadze tyle, zaraz, zaraz, ile?... Tyle, ile waży woda wyparta przez to ciało, dokładnie tak! Suma kwadratów przyprostokątnych musi być równa kwadratowi przeciwprostokątnej, nie ma siły! Natomiast E równa się em ce kwadrat!

Liczenie jak chcecie — równa się! Nie może być inaczej!

O, Preceptorzy Pokoleń, Dostojni Magowie Poprzedniej Ery — zasmucił się Teleportas Śnieżnobiały — jeżeli ten zafajdany świat naprawdę tak właśnie wygląda... Toż tylko — usiąść i łbem o kamień filozoficzny tłuc!

— Odezdziesz się, magu—sragu?! — zapytał Deyerpoth, zagłębiając ostry koniec trzcinki w zmierzwioną brodę Teleportasa, aż krew spłynęła po nim rubinową kropelką. —

Czy głos będziemy z ciebie wrywać przy pomocy obciążków razem ze strunami głosowymi, jęzorem i płuczkami?

— Nie trzeba! Powiem wszystko, co wiem. Kręcimy się wokół Słońca! — zdradził z naukową uczciwością Teleportas, choć nie liczył na poklask.

— Mów za siebie! — Deyerpoth zawiercił trzcinką w jego brodzie, aż wystraszone pchły skoczyły na boki. — Kręcisz się wokół Słońca, powiadasz? Ja cię z tego wyleczę w łaskawości mojej. A potem ty z wdzięczności zrobisz coś dla mnie. Trzech do mnie, świńskie ryje!

Teleportas podniósł błagalny wzrok w niebo, ale nic się tam nie zmieniło. Ziemia kręciła się nie tylko wokół Słońca, lecz jeszcze wokół własnej osi.

Na domiar złego kąt odbicia równał się kątowi padania!

— Ty i ty! — Deyerpoth wskazał na swoich ludzi. — Wy trzej! Nie, dwaj... Czy trzej?

Ilu was jest, cholerni krętacze? Ty, ty i dołącz ty! Wy w siedmiu przybijecie starego pierdołę do pokładu, żeby się nie kręcił! Bo to mu nie w smak! A żywo!



Kadłub „Nomada” wzmocnił stuk młotków niby pudło rezonansowe. Teleportas resztkę many pchnął raptownie w żyły jako znieczulenie i zemdlął od wysiłku.

Kwadrans później leżał na pokładzie obdarty z szat. Rozciągnięty wzdłuż i wszerz, z żelaznymi hufnalami wbitymi w przeguby i golenie, ze szmatką okrywającą przyrodzenie na wypadek, gdyby chłopskie dzieciaki z okolicy przybiegły pogapić się dla rozrywki.

Gdy wrócił do przytomności, słoneczny dzień mniej cuchnął spalenizną. Wywietrzała w chłodzie nadrzecznej wilgoci.

Za to nie wiadomo skąd cuchnął ostry pot dzikich plemion. Teleportas wykręcił głowę i ponad sobą ujrzał czarny cień na tle bezchmurnego nieba. Gdy słońce przesunęło się na drugą stronę masztu, a tamten człowiek ciągle zdawał się pozostawać w cieniu, Teleportas rozpoznał w nim czarnoskórego Huehue—go. Stał zwyczajowo na jednej nodze, trzymając w ręku kukielkę charakterystyczną dla swych rodzinnych stron.

Ludzika z bambusa, muszelek, włóczki i końskiego włosia ugniecionego z błotem.

— Wiesz, kto to taki?

To był głos Deyerpotha. Kucnąwszy obok, potrząsnął figurką nad magiem, a ten ze swojej strony potrząsnął głową, że nie wie.

— To Nikt — wyjaśnił pirat. — To znaczy Każdy Oprócz Mnie! Statystyczny Bambusowy Dupek! Ale za chwilę to będziesz ty! Huehue, czyń swoją powinność!

Czarnoskóry sługa pochylił się nad Teleportasem, nawinął na dłoń kłęb włosów z jego brody, po czym wyrwał je jednym szarpnięciem. Przykleił szary kosmyk na głowie figurki, popluwszy w odpowiedni Punkt czarną lepką śliną.

— Huehue, dziabnij drzazgą maga! — polecił Deyerpoth.

Sługa nachylił się nad leżącym i wbił mu w ramię odłupany z masztu kolec. Ledwie zakłuło, niemniej Teleportas skrzywił się, aby nie pozostawić u tamtych uczucia niedosytu.

— Co, zaboląło? Delikutasik z ciebie. Teraz, Huehue, dziabnij ludzika!

Wierny sługa wykonał polecenie.

Bolesny wrzask Teleportasa poderwał ptaki z drzew. Fala na rzece spieniła się. Z

pobliskiego pastwiska odpowiedziały paniczne ryki krów. W dalekim mieście Rejfanfan kobieta porodziła w tym momencie dziecko z trzema parami uszu, które w przyszłości zostało szpiclem, choć przepowiadano mu karierę muzyka. Kowal z Alansin zachorował na czę—

stomocz krwawy. Szczep Dagon wyginał w podjazdowych walkach z plagą jednonogich elfów. Na północy kraju zakwitły czarne anemony, krzyczące ludzkimi głosami: „Proszę bileciki do kontroli!”.

Pojawiła się gwiazda Pikława, która nigdy dotąd nie pojawiała się na nieboskłonie przed nocą.

Miało miejsce wiele niezwykłych wydarzeń w promieniu dwustu siedemnastu staj —

widać magiczna moc Teleportasa doładowała się z grubsza w promieniach słońca.

— Zamknij się! — Stojący nad nim Deyerpoth zatkał mu usta swoją stopą. — To tylko lekcja pogładowa. Huehue nie będzie cię pilnował z drzazgą czy innym kaczym piórkiem do łaskotania w dupę! Zostawiam mu maczetę, widzisz to? Jeśli strzeli ci do zawzonego łba, żeby wystawić mnie do wiatru po doładowaniu many, to masz pecha. Gdy tylko Huehue zauważy, że znikasz z pokładu, wali maczetą w bambusik, widzisz go? W ten tu bambusik, co jest szyjką ludzika! Gdziekolwiek się teleportujesz, wylądujesz tam bez łba, magu—sragu! Na razie daję ci czas, żebyś przemyślał, czy ci się to opłaca. Z łbem jesteś trochę wart, ale bez niego już tylko robaki wejdą ci do sraki, bo cię własnoręcznie przerobię na zdechłego maga! Wybieraj!

## **Rozdział dziesiąty**

*w którym odbywa się dyskusja polityczna, wymówki, pogrożki, małżeńska scysja, a wszystko w rodzinie*

— Mamy go! — zawołał Walisław, wkraczając do komnaty. — Smokobójca przybył!

Dobrodawka siedziała przed lustrem, dopasowując aksamitne muszki do dekoltu.

Miała swoje lata, ale wciąż mogła się podobać. Kąpiele w naparach z ziół leśnych i czarodziejskie maści z łożysk pierworódek nadawały jej skórze aksamitną miękkość.

Pełnokrwista, szlachetna w liniach, wypukła i wklęsła tam, gdzie jej rówieśniczki bywały już obwisłe i napuchłe. Z wysoką fryzurą posypaną ryżowym pudrem i obwiązaną sznurami pereł, tylko Walisławowi zdawała się mniej pociągająca niż za młodych lat, gdy przywiózł ją na łęku siodła z rodzinnej Idyli.

Męska część dworu wciąż żywiła nadzieję, że czarodziej Verhun znudzi się królową, zanim ta dostanie wypukły brzuch, zmarszczki pod piersiami i cellulitis.

— Zamknij drzwi! Przeciąg! — zniecierpliwiła się Dobrodawka przez nos. —

Przeziębnię pęcherz i będę biegła na stronę przez całą wieczność! Samego stołu trzydzieści osiem łokci, bagatela!

Walisław bez słowa pociągnął ją za sobą ku obrazowi w złoconych ramach.

Na malowidle tłumy wojaków szturmowały ufortyfikowane miasto. Unosiły się dymy, konie konały z kopytami do góry, głowy sterczały na pikach, z drabin oblężniczych spadali atakujący. Naprzeciw z barbakanów spadali obrońcy. Strzały zamieniły niebo w zbożowe pole rosnące do góry nogami, tarany o baranich głowach tłukły w bramy. Panował wzniosły bałagan jak zwykle, gdy królewskie sztandary wydawano z magazynów hurtem. Tak wyglądało zdobycie Barbiconu przez Yarguta Ciecica

II po osiemnastoletnim oblężeniu z dwuletnią przerwą na zarazę.

Perspektywicznie zmniejszone okno w blance Barbiconu, atakowanej przez gołębie nakarmione czarnym prochem, otwierało się od strony komnaty.

Królowa pochyliła się do otworu z taką miną, jakby kazano jej zaglądać psu pod ogon.

W kącie antyszambru młodzian ostrzyżony pod donicę rozglądał się po ścianach obwieszonych arrasami.

— Och, obdarty! — stwierdziła z niejakim zainteresowaniem. — Całą strukturę mu widać. Może wytrzyma ze dwa pacierze, ale bo ja wiem, *mon cheri*? I smok nieźle w sobie zbudowany.

— Wytrzyma cztery pacierze! — zapewnił król. — Lud będzie wniebowzięty!

— Życzliwość gminu, *mon cheri*... — westchnęła królowa. — To jak przyjaźń sztormu na pełnym morzu.

— Muszę czymś zatkać ludowi antymonarszą gębę! Wepchnę mu smokobójcę tak głęboko w gardziel, że będzie na nim siedział.

— Daruj sobie obrazowość w moim towarzystwie. Nie dość ci, że za pomocą niedomytych znajdów rozwiązujesz problemy monarchii? Czyżby kanały dyplomatyczne utraciły drożność? Jesteśmy spowinowaceni ze wszystkimi liczącymi się dynastiami cywilizowanego świata. Mój prapradziad spłodził stryjeczną ciotkę twojej praprababki, twój stryj spłodził kuzyna wujenki, moją mleczną mamkę spłodziła boczna linia twojego...

— Dobrze choć, że psiarnię mieliśmy nie spokrewnioną! — przerwał porywczo król.

— Nie sprowadzaj wszystkiego do seksu! Monarchie nie tylko się walą, lecz...

— Prosiłam o mniejszą obrazowość, panie — przypomniała zimno Dobrodawka.

Walisław usiadł na krześle wybitym atłasem, zakładając nogę na nogę.

— Sądzisz, że kochani kuzynkowie wyciągną do nas pomocną dłoń, moja droga? Otóż mylisz się. Czy wiesz, że Longbardczycy notorycznie podkradają smokowi żarcie...

— Jeśli już, to z głodu!

— Musieliby zjeść cztery obiady dziennie na taki apetyt!

Dobrodawka puszką do pudru przejechała w rowku pomiędzy piersiami. Oceniała efekt krytycznym spojrzeniem w zwierciadło, przesunęła kameę z motywem różanego kwiatu na lewo. W nowym miejscu nie prezentowała się dobrze, więc wpięła ją tam, gdzie poprzednio. Zdawała sobie sprawę, że jej zachowanie drażni męża, więc wtrącała niekiedy:

„Tak, tak, słucham, *mon cheri*”. W odpowiednio wybranych nieodpowiednich momentach.

— Longbardczycy podkradają smokowi żarcie, Helemici denerwują go, strzelając z bacików, choć nie wiem, doprawdy, czemu to denerwuje smoki? Robberowie teleportują magów w pobliże pieczary, żeby rzucali jakieś idiotyczne czary na naszą niekorzyść. To jest szczucie smoka na biedny kraj! Połączone z naruszaniem suwerenności. Twój kuzyn Zeir Bokobrody daje popisy chamstwa dyplomatycznego... Czy ty mnie słuchasz?

— Tak, tak, słucham, *mon cheri*. Mówiłeś o twoim kuzynie.

— Tak samo moim jak twoim! Przy każdym spotkaniu dąży do konfliktu dyplomatycznego. Czy słyszałaś, jak szyderczo wysysał ostatnio ostrygi? Oczywiście nie słyszysz, jesteś zbyt dobrze ułożona! Więc może słyszałaś, co twój kuzyn Eryzett nucił w toalecie? Szkalującą mnie piosenkę ludową! Czy on zbiera folklor po naszych siołach?

Bynajmniej, on sam go po siołach kolportuje! Nasze tradycje ludowe tworzą obcy agenci!

— Tak, tak, słucham, *mon cheri*.

— Więc słuchaj, skoro słuchasz! Wyprawiają sobie wesela z siostrami ciotecznymi, chędożą bratanice pod pretekstem zagęszczenia krwi, odwiedzają się z feretronami i wódeczką, a u nas? Nie ma na żołd, na uzupełnienie arsenałów, na nowe mapy, na utrzymanie dróg i transport. Ale drodzy przyjaciele nie biorą pod uwagę potęgi pradawnego ducha naszego narodu! On wystarczy za ich katapulty i ha...!

— Tak, tak, słucham, *mon cheri*.

— ...i hakownice! Bądź łaskawa nie przytakiwać w połowie wyrazu, moja droga. Czy ktoś zastanowił się, dlaczego popadliśmy w biedę? Dlaczego żyzny kraj kroczy od klęski do klęski? Dlaczego ratuje nas tylko głupota poddanych, którzy nie wiedzą, kogo za co winić i o co chodzi? Dlaczego nie mamy skąd pożyczyć i z czego oddać? Dlaczego brak pracy, dobrobytu, perspektyw?

— W samej rzeczy — zaciekawiała się królowa. Oparła brodę na dłoni, patrząc na króla za pośrednictwem zwierciadła, w którym odbijał się jako zwalista, nieatrakcyjna figura.

— Czy ktoś się nad tym zastanowił?

— Ja! Zastanawiałem się nad tym nie dalej niż miesiąc temu, moja droga. Chcą naszej klęski? Nie doczekają jej! — Król oskarżycielsko wyciągnął palec w kierunku okna w malowanej blance. — Już przybył ten, który nas uratuje! Smok jest mój z dziada pradziada i będzie mi aportował patyki, jeśli zechcę! Mnie, a nie tym patałachom z dziedziczną franca!

Królowa skropiła się pizmowymi perfumami. Ich zapach rozszedł się po komnacie.

— Już to smutne, *mon cheri*, z kim przeciw komu przyszło nam się sprzymierzać. A ty chlubisz się tym, jakbyś był dumny! Proszę cię, zostaw mnie samą. Mam migrenę i jeśli nie wezmę fiołkowego eliksiru, będzie mi trudno usiedzieć obok ciebie w czasie audiencji.

— Doprawdy? Dawniej miewałaś migrenę głowy, a nie tego, na czym siedzisz w czasie audiencji! Niech ci się nie zdaje, że swoimi chimerymi powstrzymasz mnie od skopania nosów twoim zafajdą—nym kuzynom!... Tam do licha! Od utarcia im zadków, chciałem rzec!!!

Królowa pisnęła jak ściśnięty w drzwiach kot.

— Przestańże używać furmańskiego języka, prosiłam! Mówisz z damą, *mon cheri*, a nie z jakąś tanią portową kurwą, och!

To powiedziawszy, osunęła się zemdlona na fotel.

## Rozdział jedenasty

*w którym Walek przechodzi straszliwą próbę postmodernistycznego snu* Haftowane dywany na ścianach, które Walek oglądał czekając na audiencję, zdawały mu się niewiarygodne. Czego tam nie było! Drzewa z gałązkami delikatniejszymi od pajęczyn. Wodospady jak żywe. Niebo przejrzyste, że nad ziemią takiego nie ujrzysz. A ludzi aż chciałoby się dotknąć palcem., czy nie za—chichoczą od łaskotek! Panowie w szatach kapiących od złota, panie w ogóle bez szat, a jeżeli zwierzę artysta umieścił, to jednorożca, gryfa, sfinksa, w żadnym razie pospolitą świnię czy kurę. Po prostu wielki świat.

Długo Walek się nie zachwycał, gdyż stojący w kącie kufer uchylił wieko, a z wnętrza wyrzała męska głowa. Z włosów sypał się kurz, twarz oblepiały pajęczyny, gęba pluła rozdrobnioną cegłą. Kiczort? W Psiej Wólce absolutnie niespotykane!

Walek gapił się ciekawie na głowę, aż ta półgębkiem psyknęła, żeby się zbliżył.

— Siądź no na kufrze, podziwiał niby te ichnie żyrandole i ucha nadstaw!

To mówiąc, schowała się pod wiekiem.

Walek przysiadł zaciekawiony. Co głowa robi w kufrze? Żywa! Bo że po zamkach walają się odcięte głowy na łańcuchach i szkielety w szafach, to każdy wie. Ale głowa z człowiekiem? Owszem, w zamku mrowie ludzi, służbę spotyka się i w kuchni, i w piwnicy, i na strychu, ale żeby w kufrze? Może dworzanie tłuką mole po kufkach, żeby na naftalinie oszczędzić? Naftalina droga, służący zaś nie bardzo.

— Tłuczesz mole? — zagadnął Walek.

— Jakie znowu mole? — obruszył się tamten spod wieka. — Monarchię tłukę!

— W kufrze?

— Kufer jest dla niepoznaki. W podziemiach siedzimy z druhami spiskowcami i takie sztuczki na monarchię obmyślamy, że gdyby ona wiedziała, strachem by się zadławiła. Że zaś podziemia mają tajne połączenie z kufrem, tedy przez kufer wyłażę na świat boży... Tfu! —

Wieko zatrzęsło się z oburzenia pod Wałkiem. — Zawsze się pomylę, psia mać! Boży świat jest w podziemiach, ma się rozumieć! Przez kufer wyłażę na to fałszerstwo, co je nam władze przedstawiają jako realny świat, żeby tumanić i niewolić! Opodatkowane, psia mać, fałszerstwo! Z naszej krwawicy! Chcesz cukierka?

— Ja? — zapytał Walek. — Jakiego?

— O, widzisz! Roztropne pytanie. Mam czerwonego i niebieskiego. Wybierz sobie.

— Najlepiej lubię anyżkowe.

Kufer wzdrygnął się nerwowo, aż sztaba przy wieku klapnęła.

— Nie rozchodzi się o smak! Jak wybierzesz czerwonego, pójdziesz drogą wybrańca, ażeby ujrzeć świat w całej ohydzie. Prawdziwy, nie sfalszowany! A jak niebieskiego, to detalicznie nie wiem, co będzie, bo powszechnie wybierają czerwonego. Będzie pewnie to, co miało być i bez cukierka. Obudzisz się we własnym łóżku i już. Duperele codzienne. To którego?

— Daj niebieskiego! — Walek podrapał się po głowie.

— Chyba czerwonego?

— Niebieskiego. Żebym obudził się we własnym łóżku i już.

— Zdumiałeś?! — warknął ze złością kufer. — Toż mówię ci, że powszechnie wybierają czerwonego! Na oryginalność się wysilasz?

— Skoro jeżeli anyżkowego nie ma...

— Żartujesz? — zapytał ponuro kufer.

— Gdzie bym śmiał!

Kufer zamilkł, wieko dźwignęło się ku górze, podrzucając Walka. Po podłodze poturlała się niebieska landrynka.

— Masz i udław się!

Walek przydeptał cukierka, zanim ten wtoczył się pod komodę. Odmuchał go z kurzu.

Cyckając, od nowa zapatrzył się na dywany rozwieszane po ścianach. Zwłaszcza te, na które dużo cielistej nici wyszło, przypomniały mu królewską służkę. W wolnej chwili wartałoby rozejrzeć się za nią. Ma tu swoją komnatę, jak — nie przymierzając — królowa. Człowiek powinien w życiu wysoko mierzyć. Gdy się da, t° i królewskiej służce pod spódnicę sięgnąć!

Niepodobna w dni powszednie i święta w kółko ze smokiem się użerać.

W tejże chwili Walka rąbnął ząb. Podniósł dłoń, żeby wypluć cukierka na później, ale nie zdążył. Ręka opadła mu bezwładnie na kolana.

## *SEN WALKA*

*Zajac stał słupka jak prawdziwy zajac, ale mordkę miał jakoś mądrzejszą niż zajac. I siwiutki był niby mędrzec. Może dlatego mówił.*

*— Kicaj za mną! — wezwał, nim zanurkował w pole konopne.*

*Co za dziw! Więc Walek zgiął ręce w łokciach, ugiął kolana i posłusznie ruszył jego śladem. Dopiero na łąkach, pośród mleczy i tymotki, zajac obejrzał się za siebie.*

*— Nie rób jaj, chłopie! — zniecierpliwiał się. — Tak mi się wyrwało „kicaj”.*

*Odruchowo. Możesz biec za mną po ludzkiemu, jak to wy, ludzie. O, tam kicamy, o! —*

*Pokazał łapką.*

*Na horyzoncie obracały się ramiona wiatraka. Aż tu słyhać było trzeszczenie więzadeł. Walek o nic nie pytał. Gdy spotykasz na swej drodze gadającego zajaca, reszta robi się nieważna. Czy to wiatrak, czy melonik ze skrzydełkami, czy stepująca zakonnica!*

*Zajac doprowadził go po stromych zewnętrznych schodach pod niziutkie drzwi i tam rozwiął się w powietrzu. Nie wyjaśnił, kto go przysłał, po co, za ile. Zupełnie nic.*

*Ale że z zajacem czy bez zajaca — ludzki los i tak nie tłumaczy się sensownie, Walek nie ubolewał.*

*W wiatraku zielone światło unosiło się jak mgła. W narożniku kamienne stopnie zagłębiały się w ziemię. Wiało stamtąd chłodem. Ani chybi wiatrak stał dla pozorów, a tak naprawdę był bramą do podziemnego świata.*

*Wpierw Walek trafił do groty, na której dnie stała mętna woda. Tu i ówdzie płonęła, cuchnąc. Cienie skakały po grocie, jakby gromada ludzi tańczyła, nie jeden jedyny Walek stał*

*w zadumie. Kawatek dalej korytarz rozszerzał się w następną pieczarę, gdzie na ścianach porysowano owłosionych ludzi, kobiety chodzące na czworakach, mężczyźni o rękach do kostek, a polowały na nich wszystkich zwierzokształtne istoty.*

*Świat na opak.*

*Do trzeciej groty Walek zajrzał z obawą, czy i tam nie ma czegoś przeciwnego rozumowi.*

*Było pusto. Kamienne nacieki sterczały z podłogi i słyszało się oddech. Najpierw Walek sądził, że jego własny, powtarzany przez echo. Ale on tak nie rzeźił.*

*Gdy na czoło kapnęły mu jakby mydliny, podniósł oczy.*

*Przyczepiony lepkiemi łapami do sufitu wisiał obmierzły czworonożny stwór. Patrzył na Walka głową w dół, dłubiąc w nosie szpiczastym jęzorem porośłym brodawkami.*

*— He, he, hel — roześmiał się z góry ni w pięć, ni w dziewięć. — Kawalek świata jużś widział, wędrując z matczynej chałupy do królewskiego dworzyszczu. I jak się podoba?*

*— Świat? Ładny — odparł grzecznie Walek.*

*— Chyba, kurde, gustu nie masz! — warknął stwór, choć gdyby jego samego ze światem porównać, marnie by na tym wyszedł.*

*— Ładny, ale nie za bardzo — ustąpił Walek dla zgody.*

*— Już lepiej — pochwalił stwór. — Nie za bardzo. Przebiegł się po suficie mlaskając podszwami, splunął cuchnącą substancją na ścianę i wrócił nad głowę Walka.*

*— A nawet do dupy! — dokończył. — Prymityw nie świat! Drogi wyboiste, karczmy obskurne, chłopstwo zacofane, rycerze szaleni, ideały ogólnikowe, pedofilia i gerontokracja, pieski transport, bandyckie miasta, przedpotopowe uzbrojenie... Istne średniowiecze! I ty smoka zamierzasz szlachtować, jakby to on tylu szkód narobił? Puknijże się w łeb, smokobójco!*

*— A kogo?*

*— Tego, kto winien! Kto świat obskurantyzmem plugawi! Uzdę mu ściąga, gdy tylko ku postępowi idzie! Nie domyślasz się? Magów pieprzonych ubić, czarodziejki francowate, czarnoksiężników i ich więdźmy—kurwiędźmy. To tałatajstwo zetrzeć w proch, żeby świat odetchnął wolną pierśią, postępem się nasłodził!*

*— Magowie zamienili cię w to paskudztwo? — domyślił się Walek. — Za złe im masz?*

*Stwór pozagniatał swoją gębę w zdziwioną minę.*

*— W jakie paskudztwo? Nie podoba ci się moja przyrodzona postać?*

*— Czemu? Ładna — zelgał konsekwentnie Walek.*

*— To słuchaj i nie wtrącaj się! Czy myślisz, że wygrzebiemy się z tego szamba, jeżeli nie wytłucze się wstecznej czarnoksiężskiej elity? Kto wymyśli maszynę samojezdną, skoro może teleportować się w piz... gdzie dusza zapragnie! Komu zechce się karku nadstawiać w eksperymentalnych pojazdach latających, gdy lewitacją dysponuje? Kto medycynę unowocześni, jeżeli czary—mary leczą? Kto zarobi na darmowych weekendach i gratisowych rozmowach po dwudziestej, skoro w szklanej kuli widać i słyhać przez okrągłą dobę?*

*Czarodziejskie dupki władowały nas po uszy w prymityw. Jeszcze po wiekach będziemy opisywani pośród tandety z drewna, gliny i zardzewiałego żelastwa, kurde! Strzygi, smoki, wilkołaki, od groma tego, a ci, na których sierść nie rosla albo inna łuska, zatracą się w pomroce dziejów! Nikt ich nie wspomni! Zdechniemy tu bez perspektyw i nasze dzieci tu zdechną, i wnuki biedne!...*



— *Wnuki też masz? — zaniepokoił się Walek. Stwór znowu pobiegł po suficie, popluł i wrócił wściekły do Walka.*

— *Nie chodzi o moje wnuki, w dupę! Chodzi o zasadę, rozumiesz coś z tego!*

— *Rozumiem. Że czarodzieje winni.*

— *Każdy głupi to wie! Ale co dalej? Domyślasz się? Ich ubić zamiast smoka! Zaraz się polepszy, nowoczesność zawita, kuchenka mikrofalowa, stringi, napoje w puszkach!*

— *Magów nie sposób zliczyć. A pokonać? Życia nie starczy. Smok może mniej winny, na to wygląda, ale za to pojedynczy. Da się popróbować.*

— *Oto ludzie! — zawył stwór z sufitu i splunął żrącą śliną pod nogi Walka. — Nie to, co konieczne, tylko to, co możliwe. Jakby o wykonalność się rozchodziło, nie o pryncypia! To jest takie durne robienie, kurde, że sami sobie koło pióra robicie! Żebyś potem nie mówił, żeś nie uprzedzony! Niebieską landrynkę zjadłeś za darmo, sen proroczy miałeś, wtajemniczenia dostąpiłeś! Co z tym zrobisz, szczerze powiedziawszy, mam gdzieś! Nie za to biorę pensję!*

*Owrzodziałe cielsko odpadło od sufitu z mokrym chlapnięciem. Wśród błysku i dymu zamieniło się w urzędnika w tużurku, z aktami pod pachą. Pieczara przeobraziła się w ciasną izbę kancelisty, nacieki w biurko z balustradką, kałamarzem, pieczętkami, przyciskiem do papieru w kształcie nimfy i bibułkową suszką.*

*Urzędnik usiadł za biurkiem, starannie nałożył zarękawki.*

— *Miałeś mnie za potwora? He, he, he! Wyglądam, jak widzisz. Łysinę mam od urodzenia, jeżeli chcesz wiedzieć. Nie będę wyglądał inaczej dla twojego kaprysu! —*

*powiedział i zmienił się w zająca. — Tamto było dla zaciekawienia publiki! Żeby zbawić świat, trzeba mieć oglądalność!*

*To powiedziawszy zając zmienił się w niebieskiego cukierka, a niebieski cukierek zmienił się w sam słodki smak w gębie.*

## **Rozdział dwunasty**

*w którym król udziela audiencji, a orły srają, aczkolwiek nie sposób zaprzeczyć, że odwrotnie byłoby zabawniej*

Po zbudzeniu ze snu Wałkowi tłukł się po głowie nie światowy postęp, tylko królewska służka. Tańczyła na stole w karczmie Szamela odziana tylko w pas cnoty, ale jaki fikuśny, z żelaznymi falbankami! Chłopy siedzące nad siwuchą biły brawo, utykały jej za skorodowane żelazo w pachwinie, co miały najcenniejszego — kwit na drzewo, brewiarz, pół

litra.

Złudzenie było przyjemne, jednak krótkotrwałe, gdyż poproszono Walka na pokoje.

A tam — cuda!

Sam dworzanin, który prowadził Walka, przewyższał prezencją pawia. Każda haftka na pludrach, haft na kaftanie, trzewik z zadartym nosem, koronka u mankietu — w innym kolorze. Czerwień, zieleń, niebieski z żółcią, amarant, purpura, szkarłat. Niektóre barwy całkiem w naturze nieznanne, specjalnie przez sukiennika wymyślone na dwór królewski.

Za drzwiami szpaler żołnierzy. Żyrandole pod sufitami większe niż młyńskie koła, a świeczkami nadziane jak kiszka kaszą. Światło odbijało się w podłogach, zwierciadłach, halabardach, jakbyś wśród gwiazd promenował. W ostatniej komnacie, gdzie siedzieli król i królowa, w ogóle nie było widać sufitu, tylko górą szedł wiatr i poszum, aż Wałkowi wydało się, że deszcz stamtąd lunie. Pogasi światła i zbudzi go pod płotem ubłoconego jak nieboskie stworzenie, bo zasnął po pijaku, wracając z karczmy Szamela. A tam żadne cycate cudo po stole nie tańczyło, tylko wszyscy jak zwykle kładli sobie po mordach, ile wlezie.

Ale szedł i szedł po czerwonym chodniku i wciąż wszystko działo się naprawdę.

Rycerze w blachach różowiących się od żyrandoli, panny precudnej urody zerkające znad wachlarzy, mężczyźni w kołnierzach wyższych od głów i dworki, które składały takie ukłony, że dekolty kładły się na wyfroterowanej posadzce. Pomiedzy nogami śmigały jaskółki mające gniazda w ciemnościach stropu —widać na zewnątrz szło na burzę.

Na końcu Walek ujrzał króla i królową. Za ich tronami stał czarodziej z trenem, ministrowie ze złotymi łańcuchami, ochroniarze w hełmach z blaszanym rondem. Córa królewska popatrywała na Walka, odymając wargi jak malina. Żadna w Psiej Wólce takich nie miała.

— Witaj, śmiałku! Witaj, smokobójco! — rzekł Walisław, wyciągając łaskawie dłoń w cielejącej rękawicze do pocałowania. — Nuże, szambelanie!

Królowa niedbale skinęła Wałkowi palcami lśniącymi od pierścieni.

Królewska córa wystawiła język. Różowy jęzorek!

Brodaty szambelan w sobolej szacie ze złotymi guzami wystąpił przed tron, rozwinął

obwieszony lakiem papier. Odczytał go dostojnym głosem:

— Jako wszem i wobec wiadomo, kraj nasz cierpi biedę od smoka w pieczarze. Bestia ta, bez uszanowania dla zasług i dorobku, pustoszy, unicestwia, rujnuje, dewastuje, obraca w perzynę, korumpuje, krzywoprzysięga, malwersuje, maltretuje, defloruje, terroryzuje, molestuje, sprzeniewierza, defrauduje i robi moc rzeczy, o których w obliczu majestatu nie Iza mówić. Zawsze była przekleństwem naszej ziemi, lecz dopiero męskiego klimakterium zaznawszy, co za panowania obecnego tu króla nastąpiło, całkiem ześwirowała. Siła rycerzy wytopiło się jak skwarki na patelni od jej dechu. Siła pobożnych pielgrzymów, co unieśli łby z barbarzyńskich krain, w jej brzuchu ziemską wędrówkę zakończyło. Siła dziewic w ponurej cnocie ducha oddała. Siła dorodnych

młodzieńców za granicę uszło, żeby im tu tchórzostwa nie wytykano. Czyli panmiłościwie nam panujący pozwoli, by zło tryumfowało? Po stokroć nie!

Szambelan wyciągnął palec w kierunku Walka.

— Oto stoi przed wami, czcigodni, żywy dowód królewskiej opieki. Miecz monarszej odwagi! Ścierka, co osuszy łzy cierpiących! Oto smokobójca, tu wpisać jego chamskie imię...

Szambelan przerwał, przeczytawszy niechcący didaskalia dla własnego użytku.

Zbliżył papier do oczu i odchrząknął.

— Tu wpisać... — powtórzył, ratując niezręczną sytuację. — Raczej, tu wpiszę...

Imię tu jego... wpisze się, znaczy, złotymi zgłoskami do księgi imion. Do złotej księgi bohaterstwa! ... Tak jest! Niech żyje Wa—lisław i królowa Dobrodawka! Niech żyje Kunegunda, ich królewska córa! Tu ukłonić się bokiem, żeby nie wypiąć się na ich słodkopierdzące królewskie moście.

Dworzanin dał Walkowi sójkę w bok, toteż ten padł na kolana.

— Co ty na to piękne przemówienie, smokobójco? — odezwał się łaskawie król. —

Ruszysz na bestię choćby zaraz?

Do ucha Walka pochylił się mistrz protokołu i szepnął:

— Królowi odpowiadać krótko, jednoznacznie, tytułować „miłościwym panem”, wystrzegać się naleciałości gwarowych i zwrotów powszechnie uznawanych za nieobyczajne, nie popisywać się erudycją, stosować *pluralis majestaticus*, budować zdania proste bez podmiotu domyślnego, nie chrząkać znacząco, unikać trybu rozkazującego, panować nad gestykulacją i mimiką, koniec wypowiedzi podkreślać pełnym szacunku skłonieniem głowy, milknąć, gdy władca się wtrąca, akcentować tak, by strzec się intonacji pytającej. Pojął?

Oszołomiony bogactwem uwag, Walek skinął głową.

— Brawo! To mi chwat! — zawołał król, choć Walek odpowiedział nie na jego pytanie. — Gorąca krew przeciw gorącemu oddechowi bestii! Pozwól, by monarchia sponsorowała twoją glorię. Dostaniesz najostrzejszy miecz, jaki za trzy dni wykowa nasza kuźnia.

Walek nie mógł skupić się na mowie króla, tylko myślał o ręce królowny, jej różowym jęczorku i innych częściach jej ciała, a królestwo oglądał w myślach z lotu ptaka i zdawało mu się całkiem, całkiem. Urodzajne pola, brzęczące pasieki, poddani wędrują po łąkach w kwietnych korowodach, śpięwiają pieśni na cześć... Życ nie umierać. Byle mieć za co żyć.

— Nagroda aktualna? — zapytał więc przezornie. Królowa zapatrzyła się w noski swoich ciżm, ale król nie stracił rezonu.

— Jako się rzekło! Pół królestwa i ręka naszej jedynaczki ukochanej.

— Bez połówki nie da rady?

— Jak to bez połówki? — stropił się król. — A ile ma być? Trzy czwarte?

Mistrz protokołu pochylił się nad Wałkiem.

— Jednoznacznie — przypomniał przez zęby. — Bez przymawiania się o alkohol. Z szacunkiem.

— Żal rozpoławiać takie piękne królestwo jak wieprzka w świniobicie. Wystarczy mi sam posag. Córka królewska, rozumie się, z posagiem.

Królowa rozłożyła wachlarz ze słoniowej kości i strusich piór, zwróciła twarz ku mężowi. Błysnęły złowrogo perły owijające jej szyję po czoło.

— Skończ targi, *mon cheri!* — szepnęła, uśmiechając się dla pozorów. — Ludzie patrzą! Daj mu do wyboru pół królestwa albo baty, nim w całej sali będzie czuć obornikiem.

— Bez obrazowości, moja droga! — odplacił jej król za niedawne docinki i irytujące:

„Słucham, *mon che—ri!*”. — Ten obornik cuchnie tutaj w sprawach wagi państwowej!

Walek patrzył wyczekująco.

— Kochasz wszak swoje królestwo? — zapytał król w nieustannym uśmiechu. —

Wcześniej byłeś poddanym niż smokobójcą, czy tak?

— Ano tak — przytaknął po namyśle Walek, a mistrz protokołu skinął z pochwałą głową.

— Zatem załatwione! — orzekł z zadowoleniem król.

Walek zamierzał dopytać, co takiego załatwione, ale akurat krążący pod wysokimi stropami orzeł sfajdał się w świetlisty krąg rzucany przez żyrandol. Ochrona otworzyła parasole nad królewską parą. Choć na pozór żadna ze zgromadzonych dobrze wychowanych osób nie zauważyła incydentu, dźwięk trąb pospiesznie zakończył audiencję.

Zamkowe orły tresowano, żeby przerywały audiencję w drażliwych momentach, niemniej o tym przybysz z prowincji nie mógł wiedzieć.

## Rozdział trzynasty

*w którym opowiada się o tym, jak się opowiada o czym innym, a dyskretnie w tle poznajemy sytuację polityczną świata*

Pagórek dymił na środku gościńca w mglistym powietrzu wczesnej jesieni, przenikliwym pod wieczór do szpiku kości. Tabor kupieckich wozów zatrzymał się o strzał z łuku. Ucichł skrzyp osi i desek, tylko wiatr łopotał płótnem bud.

— Smocze gównno na drodze! — zawołał od czoła przewodnik Kostrup. — Estra!

— Będzie wojna! — zawyrokował korzenny kupiec Bolsa, który ze wszystkich znaków na ziemi i niebie wnioskował to samo.

Rekk, kupiec bławatny, pytał go wtedy z niepokojem, jaka wojna?

— Dynastii Mikuców z Haluunami, ani chybi! Cesarstwo ma do psiajuchów serdeczną zadrę. Kopalnie barytu, które eksploatuje delfin, prawnie powinny się przynależeć starszemu z Wittyngów. Temu, co poślubił własną ciotkę, żeby wydrzeć majątek babce. Ta zaś była siostrą czarownicy z Mrocznych Gór choć łąą, że przyrodnią. A z Mrocznych Gór prowadzi tajemny podziemny tunel do południowej sztolni Wielkiego Bazytu.

— Aha — odpowiedział zwięźle Rekk.

Mawiał mało, gdy z otwartą gębą podziwiał ludzi wtajemniczonych w sekrety świata.

Wraz z innymi kupcami siedzieli kręgiem wokół dymiącej estry, jak nazywano smocze nieczystości, i zatykali nosy szalami. Grzali stopy w ciepłej jeszcze substancji. W

jesienne chłody całe tabory chroniły się w ten sposób od przeziębień. Jedynym mankamentem był zapach. Woń estry przypomina woń więdnących róż, co nie każdy lubi. Za to dzięki niej obywało się bez rozniecania ognia, który ściągał zbójców kręcących się po okolicy.

Estra znakomicie trzymała ciepło. W jej głębi jeszcze nazajutrz jajo ugotuje się na twardo w dwa pacierze.

— Mikuce to gównojady — wtrącił kupiec tekstylny Midrasz. — Hanza Mikuc ukradł

złoty pierścień Wawrzynowi Pobożnemu, z czego wynikła wojna o Dębowe Kopce. Mój szwagier dał w niej gardło.

— Sameś gównojad! — zaperzył się Strupacz, który nie wiedział, czym handluje.

Powiaდაł, że zajmują go interesy, a nie towary. — Dębowe Kopce z dziada pradziada są Mikuców. Sameś ten pierścień podpieprzył, a łiesz!

— Ja? — zerwał się Midrasz, pokazując łydki uwalane w estrze. — Miałem wtedy dwa latka! Ja kradnę?! Ja łgam?!

\_ I smarkasz w rękaw — dorzucił bez litości Strupacz.

Przewodnik karawany szturchnął łokciem Przecherezada, gawędziarza. Księżyc wschodził na niebo,

a spać nikomu jeszcze się nie chciało. Najlepsza pora na opowieści.

— Poczynaj w imię boże! Byle ciekawie! Z nudów ludziom na łeb bije. Tylko bez łgarstw, boś na głupich nie trafił!

— To jak? — ziewnął Przecherezad. — Ciekawie czy bez łgarstw?

— Tak i tak.

— Albo albo... Inaczej się nie da! Chyba że opowiem wam, jak się tworzy literaturę ustną, co? Oprócz tego, rzecz jasna, że gębą się rusza. Co zresztą niektórym gawędziarzom za całą wiedzę wystarcza. Uwagami warsztatowymi się podzielę, może być? To całkiem ciekawe. I prawdziwe też będzie! Nie zełgam przed wami, bo co wy za literacka konkurencja dla mnie?

— Gadaj, nie zagaduj!

— Trzeba znać się na sztuce. — Przecherezad potarł piętą o piętę i wciągnął nosem unoszącą się woń. — Biorę, dajmy na to, anioła. Fruwającego pocziwinę, co ludzi strzeże ode złego w niektórych światach. Biorę go do mojej gadki, ale robię z niego monstrum.

Dziewice chędoży, banki rabuje, marychę rozprowadza pod szkołami. Słuchaczom z podziwu szczęki przytrzaskują paznokcie u nóg! Albo biorę apostołów od Jezusa Chrystusa...

— Od kogo? — zapytał Midrasz, który przysnął w cieple.

— Taki półfacet po ludzkiej matce. Z równoległego świata, nie nasz — wyjaśnił

Przecherezad. — Syn ichniejszego boga. Świat chciał miłością zbawić ze swoimi uczniami do spółki. Na krzyżu go inni rozpięła bo trochę dziwaczył. A ja jego biorę, że zszedł z krzyża zamiast umrzeć, apostołowie się dołączają z kałachami i robią ogólną rozpierduchę! Ze złych pierze leci pod niebo! I głuchy zaklaszcze, kiedy o tym opowiadam! Gdyby onże Jezus walczył miłością i dobrocią, słuchacze by posnęli z nudów. A tak napięcie masz w gadce, wszystko. Sensu może najmniej, ale po co komu sens, kiedy nogami przebiera z zaciekawienia? Światu też sensu brak, a prosperuje jak należy od początku świata.

— Tak to znaczy, że łgasz! — podsumował Rekk.

— Dla efektu. W dobrej sprawie! Gdy powiesz coś mądrego, a cię nie słuchają, to jakbyś nic nie rzekł. Łgam, żeby mądrość po świecie roznosić. Bom śpiewak i poeta.

Znajomością świata się z wami dzielę. Wiedzą, której w tułaczce nabyłem. Jest dajmy na to jedna taka tajemnica, którą wiem tylko ja. Nikt więcej na całym świecie! Moja wielka święta prawda! Przyjdzie dzień, że ją rozpowiem ludzkości. Otworzę na nią oczy ciołkom, dupkom, waszym pociotkom, suchym szwagrom, nieślubnym bachorom!

— Łgasz! — mruknął Midrasz. — Ale napij się! Podał odszypuntowany bukłak.

— O, widzisz — potaknął smutnie Przecherezad, pociągając łyk wina. — Nie dowierzasz mi. A wiesz ty, na czym polega potęga sztuki? Gdybym ci to samo z rymem zaśpiewał, uwierzyłybyś. Ale człowiek nie może w normalnej rozmowie gadać do wiersza, bo za idiotę go mają! Musi stworzyć, napisać, zaśpiewać. Wtedy wierzą, a i to nie wszyscy! Tak to układam wielką pieśń, która ludzkości otworzy oczy, ale idzie mi jak po grudzie. Los artysty! Zimno, głodno, podatki w urzędach, zbójcy na drogach. Pewnie, że poecie lepiej tworzyć, gdy doznaje nieszczęścia.

W szczęściu nie ma o czym pisać. Brzuchem do góry się wylegujesz i dobrze ci. Ale w nieszczęściu nie ma za to kiedy pisać! Żarcie załatw, dach nad głową załatw, skombinuj na wino. Ale skończę wielką pieśń, klnę się tu przed wami! Świat oniemieje! Na kolana padnie!

Może rewolucja wybuchnie, kto to przewidzi! Taką prawdę zawrę, o jakiej nikt nie wie. Wy też, grzejący się w smoczym gównie bez aspiracji!

— Co to za taka nieznana prawda? — zapytał dociekliwie kupiec Rekk.

— Po co wam ona, kiedy mi w nią nie uwierzycie?

— Uwierzymy! — odezwał się zgodny chór wokół estry.

Przecherezad zmierzył ich przenikliwym spojrzeniem. Niewiele dostrzegł. Zza horyzontu szła burza, duchy niewinnych łkały po lesie, gałązki na drzewach szeleściły złowrogo.

— Nie uwierzycie, profani wędrowni! Ale powiem wam. Niech będzie moja strata!

Trudno samotnie nieść prawdę przez świat. Znacie Deyerpotha? Po co pytać, kto to nie zna tego parszywego gada! Więc odkryję wam, naiwni, że pirat Rjuten ajn Deyerpoth, przed którym drżycie i dziatki nim straszycie, kiedy lekcji nie odrabiają, tenże pirat Deyerpoth jest białogłową! Zatkąło was, co? Otóż to! Jest normalną babą z cyckami!

Przez chwilę zaskoczona cisza wibrowała nad estrą, pograżającą się w zmierzch na środku gościńca.

Aż kupiecki tabor ryknął tytanicznym śmiechem. Echo odbiło się o lasy i góry, jakby natura oszalała w jesienny wieczór. Konie rżały, psy towarzyszące karawanie zanosiły się szczekliwie, puszczyki cha—chały, żaby rechotały w szuwarach. Mówi się, że jeszcze wieki później leśne duchy w tych stronach chichotały zamiast łkać.

— O takich nonsensach piesz pieśni, śpiewaku? — zapytał kupiec Bolsa, ocierając łzy śmiechu. — Oj, żeby ci słuchacze tyłka nie sprali. Za moich czasów literatura była całkiem mądrzejsza! Śpiewało się pieśń o życiu, dajmy na to, że ono jest jak bal nad bale! To się pamięta! Życiowa pieśń, z sensem, za serce chwyta! A te nowoczesne pierdoły, dajże spokój, same świństwa i zboczenia! Lepiej idź spać, śpiewaku. Tym oddasz lepszą przysługę światu! A i nam, póki mamy przepony w całości!

Nie pamiętali, nieszczęśni, że śmiech po zmroku przywabia złe licho!

## Rozdział czternasty

w którym Deyerpoth zajmuje się sztuką, a Teleportas kładzie podwaliny nauki. W rzeczach Tabrysa pozostał papier i ołowiane rysiki. Przy ich pomocy Deyerpoth przez cały wieczór męczył się nad portretem pamięciowym śpiewaka. Najlepiej z lirą do towarzystwa.

Ślęczał w kajucie pod oliwną lampką i do krwi przygryzał wysunięty język.

— Powywieszałbym wszystkich malarzy—sraży, w pędzel—dzyndzel mać! —

mamrotał pod nosem, powodowany bardziej emocją niż związkami przyczynowo—

skutkowymi.

Nie mógł sobie przypomnieć, jaki kształt mają Uszy Tabrysa, i w końcu byłby przysiągł, że zdrajca nie miał uszu. Z drugiej strony wielokrotnie go za nie targał.

Niewprawna do rysowania ręka zawodziła go przy nosie, podbródku, aż doszedł do wniosku, że ludzie są głupszy niż larwa muchy plujki! Dlaczego nie tatuują twarzy w zebnę jak on sam?

Czy ktokolwiek zapomni pirata Deyerpotha, jeśli raz go zobaczył? Nie zapomni! Jeśli trzeba

— opisz, narysuj, zaśpiewaj i zatańcz! Z nikim nie pomyli! Gdyby wszyscy ludzie mieli twarze w pasy, bez problemu wytłumaczyłoby się, o kogo chodzi. Nie trzeba by przypominać sobie w pocie czoła, jakimi to niezwykłymi szczegółami gęba jakiegoś szczurojebca różniła się od jego zafajdanego tyłka.

Nie ma to jak w rodzinnej wiosce u podnóża Wężowych Gór, gdzie chaty kryte strzechą przycupnęły jak rozczochrane boginki. Całymi dniami mógł tam beztrąsko skubać kurki, doić krówki, wic wianki. Jeśli chciał się na kimś zemścić, wrzucał mu żabę do zupy —

bez rysowania jego durnej gęby. Jeśli chciał komuś skopać zadek, kopał — bez rysowania jego durnej gęby. W żadnych okolicznościach nie musiał rysować cudzej gęby!

A górale z Wężowych Gór? Bez gryzmolenia po papierze wytłumaczyli ci, na czym życie polega. O co w świecie chodzi. Jak dziewczusze wygodnie. W której chałupie najtańszy samogon. Mądre chłopiska! Taki Zadzierzgoj z Kumpnego! Jak w pysk przywalił, nie było co zbierać! Zdiraj zza Świńskiego Potoka! Swoje wiedział i przystępnie ujął. „Górol nigdy nie bydzie znoł, wiele ma łowieczek, skoro jeżeli ich najprzód nie policzy!”, mawiał. Albo:

„Aleśta se, Maciejoku, uwalali portki na rzyci!”. I pierwsze to była bezcenna życiowa prawda, i drugie przeważnie też, bo z Maciej oka był niechluj.

Ej, żyli byli w Wężowych Górach tacy, co umieli świat zamknąć w trafne maksymy.

— Dawać tu do mnie maga—sraga, a migiem! — wrzasnął wściekle Deyerpoth, aż zatrzęsły się maszty nad „Nomadem”.

Za chwilę Huehue wprowadził do kajuty oderwano od pokładu Teleportasa. Jeszcze gdzieniegdzie



sterczały z niego skrzywione hufnale. Deyerpoth otaksował ponurym spojrzeniem regenerujące się tęczęwki maga, nim podetkał mu pod nos swój rysunek.

\_ Co to takiego, mądralo? Gadaj!

Trwała napięta cisza, tylko w czuprynie Teleportasa cykały insekty.

— Lira! — Wskazał czarnym paznokciem. — Struny i korbka, ot!... Tu narysowane.

— Bravo! — klepnął go po ramieniu zadowolony z siebie Deyerpoth. — To mi mądrala! Lira, jakbyś zgadł! Grający instrument! A ten większy obrazek? Ten na środku, o!

Co to takiego, jak ci się widzi? Gadaj że, śmiało!

— Fortepian? — poszedł wypróbowanym przed chwilą muzycznym tropem Teleportas.

— Chybaś zdumiał! — wściekł się pirat, aż w koję kopnął. — Jaki fortepian? A gdzie klawisze?

— Tu... — pokazał niepewnie Teleportas.

— To zęby, ośle! Zęby! Co takiego mogłem narysować zębatego?

Mag z niepokojem wyteżył wyobraźnię.

— Może... Grabie!

Ręce Deyerpotha same skoczyły, choć naprawdę bardzo się starał.

Kiedy Teleportas odzyskał przytomność, pirat był spokojniejszy. Strugał patyczek, co dobrze robiło mu na nerwy. Za bulajami błyskało, z daleka szła jedna z ostatnich letnich burz.

Na dębowym stole stała wieczerza dla maga. Mule, ser, butelka wina, pieczone śledzie.

Ostatnie pieczone *clupea dolcevita* na tej Planecie. I pierwsze jabłka jesieni, żółte sekundanty, które Huehue upiekł w popiele.

— Jedz, magu — zachęcił Deyerpoth. — Źle odgadłeś, ale daruję ci. Czy sądzisz, że taki bezlitosny pirat jak ja wyciągnąłby cię ze śmierdzącego loszku, dał ci smacznego jadła i pozwolił doładować manę na słoneczku po to, żebyś pomógł mi ścigać grabie? Śpiewające grabie? Grabie z lirą—szmirą na plecach? Gdzieś ty spotkał na świecie takie świrowate zaczarowane grabie? Czyś widział „stoliczek—nakryj się”, który olewa przyjęcia? Albo kije—samobije, które brzydzą się przemocą? Jakim sposobem mogłyby istnieć na świecie zafajdane śpiewające grabie, które mnie nie lubią, zamiast śpiewać! Uciekają bez pozwolenstwa, zamiast śpiewać! Ocipiałeś i tyle! Nie zryj, jak pytam, tylko odpowiadaj!

Stojący w drzwiach kajuty Huehue przerzucił bambusową figurkę z ręki do ręki i Wielkiemu Magowi zakręciło się w głowie.

— Nie! — odparł, podnosząc niewinne niebieskie oczy. — Nie chodzi o grabie, jak mniemam.

— Nie mniemaj, tylko wyteż gały! Narysowałem ci dokumentnie, o kogo chodzi! —

Pirat rozprasował dłonią rysunek. — To jest Tabrys Śpiewak, widzisz? Złapię parszywego podglądacza, choćby wlaź w mysią cipę! A ty mi w tym dopomożesz. Wypatrzysz go swoim wewnętrznym okiem i teleportujesz mnie prościuteńko w dupę tego gada, rozumiemy się? A ja mu tam zrobię bitwę pod Azincourt! I żryj, jak ci mówię, żebyś żarł!

Teleportas pospiesznie wpakował do ust garść sera.

— A żebyś go dobrze rozpoznał, magu! Radzę ci po dobroci! Patrz się tutaj na papier, bo trochę mi nie wyszło. Resztę słowami wytłumaczę. Te kółka, co narysowałem, o, te, widzisz? To jego zafajdane oczy! Łatwo poznać? Tylko że na swojej prawdziwej paskudnej gębie ma je oba na tej samej wysokości. Zapamiętasz? Oko ma jedno koło drugiego i równe wielkością. A znowu tutaj w nosie ma dwie dziurki, tylko druga mi się nie zmieściła. Ale ma dwie, więc rozglądaj się za takim z dwoma, zapamiętasz? Także samo nos ma bardziej na środku twarzy. A ucho z bolcu. Widzisz tu? — Deyerpoth postukał palcem w papier. —

Odwrotnie, zapamiętasz? Ucho tu, nos tu, odwrotnie niż narysowane. Proste? Tu wąsy, widzisz? Ich na jego prawdziwej gębie w ogóle nie ma. Wąsów nie nosi, szczurojebiec, tylko mi się upačkał papier na czarno. Kiedy brwi wymazywałem. Bo źle mi wyszły, nie w tym miejscu. Z brwiami, psia mać, niełatwo trafić, ale sam wiesz, gdzie człowiekowi rosną. Na dole czoła. Domyślisz się, że to jego brwi, jak go zobaczysz wewnętrznym okiem.

Zapamiętasz? I teraz tu patrz, o, to jest najważniejsze. Noga! Jedną tylko narysowałem, bo drugą ma dokładnie taką samą, łajdak. Wyrasta z szyi, ale na to nie zwracaj uwagi, normalnie mu wyrasta gdzie trzeba. Chodzi o to, żebyś sobie wyrobił pojęcie o wzroście. Od stopy do czubka głowy! Aha, na czubku miały być włosy, tylko się nie zmieściły. Tu je dorysowałem z boku, widzisz? Inny trochę mają kolor, nieważne. I tak mógł przefarbować, zdrajca, żeby zgubił trop. Zapamiętasz? Nie żryj, jak pytam, tylko odpowiedz!

Teleportas wypluł w garść pieczone jabłko, które gryzł.

— Zapamiętam. Ale to nieproste.

— Gdyby było proste, już bym trzymał szczurojeb—ca za dupsko bez twojej durnej pomocy! A ty byś dalej gnił w loszku! Więc ciesz się, że nieproste! To jak będzie?

Wypatrzysz go wewnętrznym okiem od razu, czy ci czaszkę otworzyć, żeby zrobiło się widniej?

— O świecie mówię, że nieprosty — poprawił się Teleportas, rozgarniając skołtunione włosy sprzed oczu. — Miałem naukowe widzenie po wyjściu na po—kład z ciemności.

Iluminacja interdyscyplinarna. Świat może być bardziej skomplikowany, niż nam się zdaje.

— Bo co? — Deyerpoth wbił w blat kozik, którym strugał patyk.

— Jak wnioskuję po doznanym olśnieniu, jest możliwe, że światem rządzą fizyczne prawidła. Reguły, przeciw którym nie poradzimy! W naszym ludzkim ograniczeniu nie poradzimy! Nic nie będzie takie jak dawniej, bo otworzyły się przed nami drzwi do dogmatu.

— Kiedy nie pojmuję, o czym mowa — ostrzegł Deyerpoth — biorę ostry kozik i tym kozikiem...

— Kwadrat przyprostokątnych jest równy kwadratowi przeciwprostokątnej! —

wyjaśnił pospiesznie Teleportas. — W każdym razie nie da się tego wykluczyć. E równa się em ce kwadrat. Surowe prawa fizyki, piracie. Możliwe, że jesteśmy nimi spętani jak baleron sznurkiem. Nic nie jest takie proste, jak uczyli mnie w Akademii Magicznej. Pod powierzchnią rzeczy istnieje mroczna podszewka. Są zjawiska, które rządzą nami bardziej niż najwięksi magowie! Zjawiska, przeciw którym nie poradzą najpotężniejsze czary! Prawdziwy świat jest straszny i nieokiełznany, piracie! Nie damy mu rady!

Deyerpoth wyrwał bambusową kukielkę z rąk Huehuego z taką siłą, że Teleportas padł na kolana w drugim końcu kajuty. Z półki posypały się na jego głowę żeglarskie mapy, pełne lądów niewidzianych ludzkim okiem. Wielki Mag wygrzebał się spod sterty pergaminów, zanim Deyerpoth wyrwał z kukielki włóczkowe flaczki.

— Powstrzymaj się! — wrzasnął. — Błagam! Mogę udawać, że jeszcze tego nie odkryłem! Żaden kłopot!

## **Rozdział piętnasty**

*w którym z rzeczy polecanych dla młodzieży szkolnej zawarto krótki rys geograficzny oraz niedługi opis umundurowania Ósmego Regimentu*

Przygraniczne miasta w Mook ulokowały się na skraju mapy świata. Z okien Mordliku widziało się bezdenną Otchłań, w której kłębiła się gwiazdna materia, na balkonach w Ujedern mieszkańcy popijali sorbety i czytali popołudniówki smagani alternatywnym wiatrem, zaś z pięterka u burmistrza można było dostrzec ogródek aptekarszej, która w cieniu georginii zwykła zdradzać męża z rogatymi Adonisami. W ciepłe dni przybywali oni

— pachnący i pod każdym względem trendy — z Ogrodów Haim, lewitujących ponad Otchłanią na prawach podnajemcy.

Z Mook zmierzał tabor wiedziony przez Kostrupa.

W drodze do Foksterier dołączył do karawany śpiewak z korbową lirą na ramieniu.

Kazał zwać się Przecherezadem, choć wielu sądziło, że nie jest to jego prawdziwe imię. Nikt nie rozpoznał w nim sławnego Tabrysa Śpiewaka, o którym dawno temu, po napadzie piratów na miasto Błud, zaginął ślad.

Za pieśni o miłości i śmierci dawano nieznanemu nocleg. Ale na miskę ciepłej stawy musiał już solidnie zapracować. Co wieczór ustawiał dyszle wozów na Gwiazdę Nieba, żeby rano tabor trzymał

kierunek.

Tego wieczora, wykonawszy zadanie, zjadł miskę soczewicy z żeberkiem suhaka i rozłożył derkę pomiędzy wielkimi kołami. Podwozie chroniło od nocnych deszczów, rzęsiстых o tej porze roku.

Z dala już od dawna grmiało. W świetle księżycy wieczorna rosa lśniła pomiędzy lasem a gościńcem. Ledwie Tabrys przyłożył głowę do ziemi, kołysany do snu przez szum starych drzew i puchanie puszczyków, ocknął się opiekuńczy duszek w jego uchu.

— Spierdalaj stąd! — szepnął spanikowany jak zwykle. — Nie słyszysz?

Tabrys nastawił ucha.

Z kniei dobiegała piosenka, śpiewana męskim basem z typowym akcentem wolontariusza pomocniczego regimentu. Przybliżała się w ciemnościach.

*PIOSENKA WOJAKA CHWATA*

*Przygrzmocilem mu, aż padł,*

*Bom ja chwata!*

*W krzyżu mu złamałem gnata,*

*Bom ja chwata!*

*Konia z rzędem żem mu skradł*

*I ruszyłem na nim w świat,*

*Bom ja chwata!*

*Wielki chwata!*

*Sławy brata!*

*Piękniej zaraz dookolnie,*

*Gdy się fiuta w dziób pierdolnie!*

*Każdy rada!*

*By zasłużyć na zbawienie,*

*Skop łachudrze przyrodzenie,*

*Żeby zbladł!*

*I wokół gdy noc głucha,*

*Ty mu nie daj się wyruchać*

*Kuśką w zad,*

*Tylko jebnij, tylko pizgnij,*

*Nie łudź się, że jest ci bliźnim*

*Głupi gad!*

*Wstrętny gad!*

*By go kat!...*

— Niech mnie piorun! To ja! — ucieszył się Tabrys.

— Odbiło ci ze strachu? — przestraszył się duszek. — Nie możesz nadjeżdżać z głębi boru, skoro w tej samej chwili leżysz pod wozem!

— Nie mówię, że nadjeżdżam, tylko że piosenka moja! Napisana za studenckich lat!

Wtedy byłem zadziorniejszy, słyszysz? Twórczość służyła mi do miłosnych awantur, a nie do babrania się w sensie życia! Były czasy i były piosenki, ech!

— I z czego się cieszysz? W takim razie zarobisz w łeb od kogoś, kto śpiewa twoje głupie szansony. To ci robi różnicę?

Tabrys wyteżył swój koci wzrok.

Z nocy wynurzył się jeździec w paradnym stroju Ósmego Regimentu z czasów odwrotu spod Alaban. Każdy element garderoby upamiętniał fragment bojowego szlaku. Na grzbiecie ornat skradziony z kaplicy w Mieneertator, nogi owinięte zdobycznym dywanikiem z burdelu w Koko, spodnie wypchane dla ocieplenia trocinami z tartaku krasnoludów w Mims, mantylki z elfiego domu starców zrównanego z ziemią w Intehaj. Głód, mróz, skorbut i syfilis dziesiątkowały wtedy szeregi Ósmego Regimentu.

Blade światło księżyca oświetliło surowe, wąsate oblicze. Wojak zatrzymał klacz w świeżych koleinach i wyteżył wzrok spod nawisłych brwi.

— Widzisz kryte wozy, Dereniu? — odezwał się do niej. — Gdzie dla dobrych ludzi wygodne miejsce na nocleg, tam i my nie będziemy sobie krzywdowali.

Tabrys wylazł na drogę razem z kupieckimi pachołkami zbrojnymi w kolczaste dekany.

— Wolno przyłączyć się do kompanii? — spytał dwornie wojak. — Jam jest Fest z Ósmego

Regimentu. Już dwie niedziele człowieka nie widziałem na oczy. Same wilkołaki i strzygi. Ze stancy Ulum jadę przez nawiedzone lasy. Z koniem jem, z koniem śpię, z koniem gadam. Choć ostatnio i to nie, bo udaje głuchą, kobyła uparta. Fochy stroi! Inną drogą chciała jechać, a nie pozwoliłem. To się obraziła.

Dano mu resztkę wieczerzy. Podziękował uprzejmie, zjadł, wyciągnął fajkę z morskiej pianki i zapalił, mruczając z ukontentowaniem.

Tabrys nie odstępował go na krok. Nadskakiwał, jak potrafił. Podścielił derkę, osłaniał

fajkę od wiatru, zabawiał światową rozmową. Przy wojaku chwacie czuł się bezpiecznie, a i Fest darzył go sympatią, od kiedy dowiedział się, kto jest autorem jego ulubionej piosenki.

Wprawiony w bojach przyjaciel to skarb w podłych czasach, myślał sobie chytrze Tabrys.

Wyglądało, że sam Deyerpoth byłby wojakowi niestraszny. Śpiewak nabrał przy nim takiej odwagi, że brawurowo wrócił do prawdziwego nazwiska.

Podmuchy wiatru, zapowiadające burzę, niosły woń wędnących róż.

— Estra! — rzekł Fest, wciągając powietrze nosem. — Cel mej drogi bliski.

— Jak to? Do smoczego gówna waść jedziesz? — zdziwił się Tabrys.

— Gdzie smocze gówno, tam i sam smok niedaleko. Jadę go ukatrupić. Cierpiący naród uratować. Zresztą dają za to pół królestwa i całą królową. Jak mi się powiedzie, jedno i drugie wydymam! W miękkiej pościeli będę sobie leżał z cud dziewczką, tu ruchną, tam ruchną, a w przerwach urzędy z całego królestwa będą mi do łóżka łapówki znosiły w zębach!

Całe życie o tym marzyłem, kiedy mnie niedorobieni kaprale gnoili, w błocie przeczołgiwali, na stracone placówki wysyłali, żebym za generalstwo tyłek nadstawiał. Teraz się na nich odkuję! Gówno już czuć, czyli że zwycięstwo blisko!

— Dasz radę smokowi?

— Nie poddawaj się zwątpieniu, śpiewaku. Zdziwiłbyś się, gdybym ci opowiedział, komu dałem radę. Oj, zdziwiłbyś się! Sam jeden gołą pięścią utłukłem tysiąc uzbrojonych mamlaków na uroczysku! Zarznąłem cesarza Impreusu, bo mi się jego państwo nie podobało!

Flaki wyprułem z potwora Juhyu, który był wyższy od góry Mikkuju!...

— Ha! Zdziwiłem się, ani chybi! Masz rację! — zgodził się Tabrys i dla pokazania, że on też nie wypadł sroce spod ogona, dodał: — I ja wiem o czymś, co by cię zdziwiło, jeśli masz ochotę posłuchać. Na pewno znasz jak każdy bezlitosnego pirata Deyerpotha? Nie uwierzysz! On jest babą! Sam widziałem!

— Co ty powiesz? Taki to tchórzliwy?

— Nie w tym sensie. Ma dwa cycki i tak dalej. Normalna baba!

Fest pyknął fajeczkę i wypuścił kłąb dymu w niebo.

— Coś ci zdradzę... — Popatrzył spod oka na Tabrysa, pogrążonego teraz w cieniu burzowych chmur, które zakryły księżyc. — Podobasz mi się. Jest rozmach w twoich opowieściach. Tylko nie możesz łągać aż tak bezczelnie. Dyskretnie, wiarygodnie, jak każdy.

Nie potrafisz tego, ale zmierzasz w dobrym kierunku. Deyerpoth wylatuje na miotle przez luk ładowni, Deyerpothowi przy pełni księżyca bawoli róg wyrasta tam, gdzie facetom wyrasta co innego... Tak spróbuj ponawiać. Tego się nie da łatwo sprawdzić. Z babskimi cyckami, wybacz szczerłość, przesadziłeś. Zdrowo przesadziłeś!

— Ale kiedy on...

— Nie upieraj się, wiem, co mówię. Chcę dla ciebie dobrze, podoba mi się twój tok myślenia. Jeśli mi obiecasz, że powściągniesz język, nie za bardzo, bo to też niekorzystne, ale trochę... Wziąłbym cię ze sobą. Co ty na to?

Tabrys westchnął obłudnie.

— Nie znam się na zabijaniu smoków. Jestem poetą.

— Zabić smoka to pestka, sam dam radę. Jeszcze ciebie ochronię! Potrzebuję kogoś, kto opisze mój wiekopomny bój, nie wpadając w nędzne pułapki przesadnego realizmu. Kto zadziwi ludy moim niepokalanym męstwem. A zwłaszcza francowatego Miersza Zuba, mojego sąsiada, który mi miedzę zaoruje przy każdej wiosennej podorywce! Pasujesz mi do tego, śpiewaku! Czuję w tobie poezjotwórczy rozmach!

Poezja poezją, ale zaoferowana ochrona była łakomym kąskiem dla Tabrysa. Nie zdążył jednak oznajmić Festowi swej zgody.

Powietrze przed nim rozerwało się, jakby niewidzialny stwór rozdarł pazurami nocny pejzaż namalowany na płótnie. Ze szpary błysnęło mgliste światło i wytoczyła się stamtąd zwinięta w kłębek postać. W świetle błyskawicy śpiewak i wojak ujrzeli ją wyraźnie. Ale tylko jeden z nich rozpoznał człowieka z obliczem zebry, z furczącą od pędu brodą z końskiego włosia, dzwoniącego ludzkimi zębami w naszyjniku.

W garści ścisnął piracki jatagan i ział nienawiścią.

Powietrze nabrało intensywnego zapachu ozonu, co niechybnie zwiastowało otwarty teleport.

Już po mnie! — pomyślał Tabrys, zanim zemdlał.

Duszek w uchu nawet nie zdążył zareagować.

Za lasami grzmiało ponuro i złowieszczo.

## Rozdział szesnasty

*w którym Walek zaznaje rozkoszy łoża i stołu, choć w wielkim świecie to całkiem inaczej wygląda niż na wsi*

Walek dostał na nocleg Komnatę Uciętych Łbów w północnym skrzydle zamku. Z jej okien widziało się przepaść suchej fosy czarną od nocnych ciemności, wzgórze oszronione księżycem, przetrzebione owocowe sady w dali. Nazwę wzięła od zwierzęcych łbów, rozwieszonych po wnękach. Ówdzie martwa wilcza paszcza jak żywa, ówdzie jeleni o szklanych oczach, w których odbijały się płonące na kominku szczapy, gdzie indziej mantikora zwieszała pomiędzy zębiskami jęzor z koziego flaka, bo prawdziwy zeżarły psy Pod ścianą stało łoże tak szerokie, jakby miała w nim nocować kompania wojska.

Tylko kto by pościelił wojsku takie gęsie puchy, pierzyny, spiętrzone poduchy obszyte koronką. Nad głową baldachim, pod stopami miękkie skóry niedźwiedzie, w ścianie kominek trzaskający iskrami, ech, dolo radosna!

Trzy dworki wtaszczyły balię, napełniły ją wodą, nasypały pachnących ziół, by pływały po wierzchu niby rżesa na sadzawce, i dalejże zwlekać ciuchy z Walka. Aż nie wiedział, gdzie oczy podziać. Gdyby w Psiej Wólce panna się tego dopuściła, wywieziono by ją na wozie z gnojem! A te jakby wstydu nie miały! Nie chichotały, trącąc się pod boki, nie płoniły się jak piwonie, nie zerkały spod dziewiczych rżes, tylko wpakowały Walka do balii, wrzątek wylały na łeb i szur, szur, szur — szczotką po skórze. Zawinęły w wielkie prześcieradło, osuszyły, ubrały w czyste rzeczy z dworskiej garderoby, balię wzięły i poszły, kłaniając się w pas.

Zaś Walek został z męskimi sokami grającymi larum, gdy tymczasem ani kogo osiodłać, ani kogo ujeździć, by na hejnał odpowiedzieć czynem.

Za całą rozrywkę — wyszczył się do kominka i obejrzał w lustrze nowy strój, wyginając się jak sójka czyszcząca pióra. Galoty z falbanką u dołu, koszula z tyłu gładka, z przodu spieniona na kształt strumienia, na to jakby pstrokata sukmana do ziemi.

Okute drzwi komnaty skrzypnęły.

Ucieszył się, że dworki ruszyła przyzwoitość i wróciły, ale to nie były one.

Czterech dworzan z minami, jakie w Psiej Wólce miewa grabarz przy pracy, wniosło wieczerzę. Dwóch takich mogłoby obsłużyć weselisko, a ci wparadowali rzędem tylko z czterema cynowymi półmiskami każdy, niesionymi na ręce zadartej jak koci ogon.

Czego tam nie było! Płaty matecznikowej dziczyzny pachnące dymem, bułeczki z elfiej pszenicy, ser odciskany z miodem i orzechami, zmutowane przepiórki w marynacie, gniazda gryfie pod sosem beszamelowym, bażanty z ogonami barwionymi lukrem, obłożone jajami na półtwardo, gołąbki w liściach winogronowych, jakie u krasnoludów jada się zamiast zrazików, ostrygi z morza heckiego, w którym żyją dwunogie potwory z brodami, kiszony morszczyk, galantyna z Anienes, gdzie stoi najdrożej.



Na wety gruszki w occie siedmiu złodziei, pączki róży w maladze, jabłka nadziane zamorskimi korzonkami, sery z podwójnymi dziurami, kandyzowane owoce, biszkopty, rajskie jabłuszka, serniki według runicznego przepisu. Do tego wino, dzban źródlanej wody, szampan z Ferrum, kawa ze śmietanką w porcelanie ręcznie zdobionej, zioła na trawienie i sen, drogi niebieski burgund.

Stół się ugiął!

Walek siedział za nim sztywno z rękami na kolanach. Gdyby podano ziemniaki i zsiadłe mleko, zasuwalby łychę na zmianę. Raz to, raz to. A tak musiał wybrać. Polecił się boskiej opiece, zamknął oczy, sięgnął na chybił trafił ze środka stołu — i do gęby!

Brzęk, chlupot! Ujrzał się w okrągłym lustrze na ścianie z uszkiem filiżanki w zębach, z truskawkowym kisielem na kolanach, z winem na gorsie.

Niełatwo się najeść w wielkim świecie. Gdyby na domiar złego użył widełek, noża i innych srebrnych duperek, których wkoło talerza naukładali, jakby, nie przymierzając, kura nasrała — chyba z życiem by nie uszedł. Diabli go tu przynieśli. Jedząc już człowiek ryzykuje, a jeszcze smoka ubić!

Za drugim podejściem złapał ze stołu plaster uwędzonej dziczyzny.

Spróbował syrenich filetów posypanych żółtym szafranem. Smakowały jak karpie.

Rozochocony, sięgał coraz szybciej utłuszczonymi palcami. Zaspokoiwszy pierwszy głód poznawał smakowity świat na oślep — Jakby puścił ster łodzi i zdał się na łaskę fal. Na końcu tej kulinarnej podróży, jak na prawdziwym morzu, zebrało mu się na mdłości.

Ulżył sobie w fosę przez wysokie okno, ale żołądek mu ciążył.

Drzwi uchyliły się, z ciemnego korytarza wślizgnęła się przygarbiona postać. Był to mistrz protokołu odziany w płaszcz z kapturem, który skrywał twarz w nieprzeniknionym cieniu.

Wyrzał czujnie na korytarz, zanim zamknął za sobą drzwi.

— Odwiedzi cię znamienity gość incognito — szepnął. — Pamiętaj odpowiadać jednoznacznie, dodawać: „Miłościwy panie” i uszanować dyskrecję! Jeśli posiadasz broń, oddaj.

— Dopiero kują mi miecz w królewskiej kuźni — przypomniał mu z dumą Walek. —

Czasem słyszę’ dzwonięcie młota o kowadło.

— O tej porze nie kują. To hrabia Alfred dzwoni jajcami po krużgankach. „Moim najdroższym” przezywają go tutejsze dierlatki, bo urodę wyzarła mu franca. Teraz sobie sprawił złoty ząb i brylantowe jajca. Powodzenie ma duże, gdyż niewiasty są u nas łase na kosztowności i na urodę nawet z osobna, co dopiero łącznie! — Mówiąc, obmacał zgrabnie Walka. — Kosy na sztorc przy sobie nie nosisz, jak to chłopcy? Co masz po kieszeniach?

— Procę, rzemyk, kamyk, modlitewnik. Ale to w starych spodniach, któreście mi zabrali.

— Po co ci tyle śmiercionośnych przedmiotów? — Zapytał nieufnie mistrz protokołu.

— A już modlitewnik?! Coś chciał wymodlić, mając pod ręką i procę i kamyk, i króla?

— To na smoka! — wyjaśnił Walek. — Zabrałem z domu! Czy ja w Psiej Wólce przewidziałem, że miecz mi podarujecie?

— Na smoka? — westchnął cynicznie mistrz protokołu. — Za dużo wzięłeś. Nie sądzę, żebyś zdążył wszystkiego użyć.

Założył kaptur i zniknął za drzwiami niczym zjawa.

Walek czekał na zapowiedzianego gościa, nudząc się jak mops.

Gdzieś w piwnicy albo na strychu, niedaleko, mieszka jego znajoma królewska dworka, przypomniał sobie. Jagła! Tak ją zwał w myślach, gdyż zdawała mu się smakowita jak kasza jaglana. A i bardziej — bo teraz pewnie rozbierała się do snu, a prosta kasza, choć smaczna, takich atrakcji nie wykona.

Przez ceglane stropy prawie słyszał szelest krochmalonych halek, które Jagła zwleka z siebie w chędogiej komnatce, gdzie franki na oknie, wonne geranium na parapecie, słodki placek w piekarniku. W rogu łóżeczko przytulne, malusieńkie takie, że gdyby się we dwóje położyć, to już jedno na drugim musi leżeć, nie ma wyjścia.

Jagła zdejmuje oto halkę obszytą koronką, a pod koronką tylko czekać, co będzie!...

Ha, też halka! Wiązana na troczki. Pod spodem jeszcze ładniejsza. Zdejmuje i tę, szeleszcząc powabną materią. Następna jest na haftki, które pobrzękują jak dzwoneczki konwalii na wiosnę...

Przy siedemnastej halce Walek poczuł senność. Liczył, myśląc liczby. Uczył się rachować na sztachetach w płocie, a tych było w sam raz siedemnaście.

Stos halek rośnie na środku izdebki, Jagła coraz cieńsza w pasie. Coraz zgrabniejsza!

Szczodrze wyposażona w budowę anatomiczną! Już udko błysnie spośród falban, gdzie indziej bioderko toczone albo cycuś słodki.

Chyba się z psiajuchą hajtnę! — pomyślał w półśnie Walek, jak to młody, kiedy trochę gołego ujrzy w pruderyjnych okolicznościach.

Osiemdziesiąta halka, trzydziesta czwarta, tysiąc dwieście osiemdziesiąta, czterdziesta... A pod spodem gorset czeka na zdjęcie. Oj, seks w wielkim mieście nie taki prosty, jak się zdaje, wyglądając na świat z kurnej chaty. Milion sto druga halka, dwieście dwunasta, piąta, nie, piąta już była, może pięćsetna, a pod nią sto siódme damskie udko, to najbardziej łakome ze wszystkich...

I przy tym udku drzemiący Walek poczuł męską ulgę. Wzdrygnął się, zwilgotniał za uszami, między

palcami nóg i tamój, i ówdzie — i zachrapał błogo.

## Rozdział siedemnasty

*w którym Teleporth się deyerpotuje, to jest, sorry, Deyerpoth się teleportuje* W czasie wylądowań atmosferycznych teleporty przeważnie koniugują, niemniej Deyerpoth nie dał się odwieść od swych zamiarów. Przyłożył krzywe ostrze jatagana do gardła maga, a ten wyrzekł w świetle błyskawicy starożytne zaklęcie Melga—od—Fazdy.

Poszło zgodnie z najgorszymi przewidywaniami, to jest teleport uległ koniunkcji trzeciego stopnia. Kąt nachylenia popadł w wartości ujemne. Deyerpoth ujrzał na moment przerażonego Tabrysa obok nieznanego wojaka Ósmego Regimentu. Zaraz potem portal wessał go z powrotem.

Wyrzuciło go na górskiej przełęczy, gdzie walczyły ze sobą dwa gigantyczne włochate słonie — i zaraz zassało go wstecz razem z tumanem słoniowej sierści i posoki.

Ocknął się na dnie morskich otchłani. Kątem oka ujrzał nad sobą obłe cielska przelewające się w mrocznym przestworze i już z własnej woli rzucił się na powrót w jasną czeluść portalu.

Krztuszącego się słoną wodą wypchnęło go w miejscu, które zdawało mu się grobowcem. Rozdygotany od szumu dekompresji, odturlał się pod otynkowaną ścianę. W

jedną i drugą stronę prowadziły niskie bezokienne korytarze. Ściskając w prawicy jatagan, poszedł jednym z nich, aż trafił na rozwidlenie. Wybrał odnogę, z której dobiegał ludzki głos.

W betonowej klitce z pryczą, półką i blaszanym dzbankiem siedział na taborecie mężczyzna w rozpiętym mundurze. Czyścił do połysku czarne oficerki, popluwając na nie często—gęsto. Kiedy nie popluwał, nucił pod nosem piosenkę o Liii Marlenie.

Na wszelki wypadek Deyerpoth poderżnął mu gardło.

Przyciskając dłonią naszyjnik z ludzkich zębów, żeby nie grzechotał, ruszył w głąb korytarza. Zostawiał za sobą mokre ślady podeszew z focznej skóry. Z góry świeciły lampy w drucianych koszyczkach, pod każdą z nich cień człowieka z cieniem krzywego miecza przesuwiał się po posadzce z tyłu w przód.

Następny ludzki głos dudnił głucho w pustce. Bolesne stękanie.

Deyerpoth przykucnął za metalową szafką. Myślał. Na razie nie wściekał się, choć zdawało mu się coraz mniej prawdopodobne, żeby natknął się w tym tajemniczym miejscu na Tabrysa Śpiewaka i wypruł mu flaki zgodnie z planem.

Drzwi obok otworzyły się, wybiegła z nich wysoka Postać w czarnym mundurze.

Stukot obcasów niósł SIC echem przez korytarz. Oddalił się i za moment 116 Zbigniew Wojnarowski wrócił razem z tym samym mężczyzną. Wtedy Deyerpoth ujrzał go od przodu. Gładko ogolony blondyn w czapce z trupią główką. Nie zamknął za sobą drzwi, więc pirat wsunął się do pomieszczenia. Było ciasne, zastawione prostymi meblami, oświetlone nocną lampką. W

głębi stała skrzynka, która gadała cichym trzeszczącym głosem. Na ścianie portret mężczyzny w wojskowej czapce.

Obok uchylone drzwi.

To za nimi zniknął blondyn w czarnym mundurze.

Wewnątrz był jeszcze ten z portretu, tyle że bez czapki. Z opuszczonymi spodniami siedział na sedesie. Starszy od blondyna, z ciemną grzywką zaczesaną na lewo i wąsikiem jak szczoteczka.

Deyerpoth, przytykający ucho do szpary drzwi, ani w ząb nie rozumiał toczonej w pomieszczeniu rozmowy.

— *Mein Führer* — z rozpaczą mówił w obcym języku facet z trupią główką — jeśli nie pomaga trzecia porcja oleju rycynowego, to już nie wiem? Może spróbujemy lewatywy z rumiankiem?

— Durniu! — stęknął ten z grzywką i wąsikiem, uderzając dłonią w kolano. —

Zapominasz, że mam uczulenie na rumianek, błękitny kolor i dobre uczynki?

— A może pokazowy proces lekarzy, *mein Führer* ?

— Durniu! — stęknął jeszcze boleśniej siedzący. — Rozstrzelać bez sądu! Nie nadawać rozgłosu!

Cierpiał niewyobrażalnie.

Deyerpoth uchylił drzwi i wsunął do środka swą twarz zębry. Zauważył go tylko ten z wąsikiem, siedzący naprzeciw. Spopiełał na twarzy ze strachu, stęknął bardziej głucho niż poprzednio. Z jego wnętrza wydobył się głośny trzewiowy odgłos i przez ciało przebiegło upiorne drżenie.

Fala przerażającego smrodu runęła w stronę Deyerpotha.

— Poszło, *mein Führer* ! — wrzasnął z radością blondyn.

Usłyszał skrzypnięcie drzwi. Odwrócił się, wyszarpując pistolet z kabury. Huknęło raz za razem. Deyerpoth rzucił się w tył, kiedy tuż obok jego głowy odprysnął kawałek ściany.

Obok drugi. Odłamek tynku rozorał mu policzek.

— Goń go, durniu! — wrzasnął Führer . — Zabić szpiega! Zanim zamieni słowo z zasraną aliancką prasą! Ten dureń poznał największą tajemnicę niezwycięzonej Trzeciej Rzeszy!

Wąskimi schodami Deyerpoth gnał do góry. Za najbliższym zakrętem usłyszał krzyki, ale nie miał pewności, czy dotyczą akurat jego.

— Obersturbahnführer ! — wrzeszczał ktoś histerycznie. — Przed dwunastoma minutami wystąpiły nagłe zakłócenia energetyczne na świecie! Centrum anomalii znajduje się gdzieś tutaj, w bunkrze! Atakuje nas SS!

— Z byka spadłeś?! Jakie SS? — odwrzasnął inny głos. — Schutzstaffeln?

— *Nein!* Smoki Stalina!

W rytm dudniącego odgłosu zrywały się fragmenty zbrojonego stropu. Odlatywały w dal lekko jak bloki styropianu. Powietrze tworzyło wiry, uskoki, ciągi wznoszące. Niebo, które Deyerpoth zobaczył nagle ponad głową, purpurowiało od płomieni. Eksplozja na niższym piętrze wyrzuciła go z głębi bunkra na piętro zrujnowanej kamienicy. Wpadł prosto w szerokie mieszczańskie łóże, nad którym jak śnieżna zadymka wirował puch rozprutych pierzyn. Oszałały kanarek śpiewał w klatce wiszącej w pokoju bez ścian.

Dostrzegało się stąd płonące kolumny bramy, którą miejscowi zwali Brandenburską.

Przestrzeń ponad tympanonem cięły ogniste smugi pocisków, na lewo otworzył się pośród sinych chmur największy teleport, jaki Deyerpoth widział w życiu.

Z tęczowej jasności wyfruwały ciężkie cielska smoków z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach. Wyginając długie szyje, pluły ogniem w okna domów i tunele ulic. Były ich dziesiątki. Na łbie każdego siedział okrakiem mołojec w sukiennej budionówce. Nie trzymał

w dłoniach lejców, tylko furkoczącą czerwoną szturmówkę. Świadome ideowo smoki własną przemyślnością parły ku gniazdom wrażego oporu. Nurkowały lotem koszącym, wzbijając z ulic czarny kurz popiołów, topiący miasto w sypkiej mgle.

Za plecami Deyerpotha mur kominowego szybu rozsypał się w gruz. Pirat zbiegł po schodach. Obok niego kwadratową studnią klatki schodowej spadł kłęb płomieni wrzeszczący ludzkim głosem. Za moment wrócił, widać trafił w dole na ciąg wznoszący.

Kanonada artylerii przeciwlotniczej na moment przycichła i pod niebem, wypełnionym przez furkot flag i syk płomieni, poniósł się żelazny chrzęst czołgów T—34.

Gąsienice darły bruk. Za chwilę zagrzmiała charakterystyczna palba. Jedna z pancernych maszyn, porwana w smocze pazury i upuszczona, spadała w skos czerwonego nieba, koziółkując i rażąc pociskami własne baterie.

— O w dupę—pupę mać! — zawył przerażony Deyerpoth.

Takiego piekła w życiu nie widział. Zdawało mu się, że dzień, w którym puścił z dymem portowe miasto Eremirus, był sądnym dniem na świecie, ale teraz miał pewność, że całe jego życie było leniwą poobiednią drzemką. Dopiero tutaj coś działo się naprawdę!

W jednej chwili zapomniał o wrażym Tabrysie Śpiewaku z jego idiotyczną siedmiostrunną lirą. Biegł przed siebie, zapadał w gruzach, słysząc nad głową ciężki łopot skrzydeł z czerwonymi gwiazdami. Rozpruwał jataganem wszystkich, którzy stanęli mu na drodze.

Z zaułków i z odkrytych dołów piwnic, wprost spod jego nóg niczym spłoszone wróble, wyfruwali ludzie z rozwartymi szeroko ustami. Ale nie słyszał ich krzyków. W

uszach brzmiały mu tylko świsty, jęki, terkoty kul mijających o włos jego okrwawioną głowę.

A w tle huczało morze ognia. Falowało od ruchu niezliczonych skrzydeł, na których smoki unosiły się na różnych wysokościach, wypluwając ku ziemi krótsze lub dłuższe wstęgi płomieni.

Z góry jak deszcz gwiazd spadała płonąca eskadra Luftwaffe.

Otwarty portal przesuwiał się ponad miastem śladem smoczej inwazji, podobny do tęczy. Deyerpoth dostrzegł go tuż nad sobą. Uniesioną twarz skropiła mu posoka rosząca spod chmur jak deszcz. Ranny smok wracał do teleportu. Ciężko ciągnął przez spalone powietrze kikut osmalonego skrzydła, z którego zwisała mokra od krwi budionówka. W każdej chwili mógł spaść, żeby roztrzaskać się pośród ruin.

Łapiąc stateczność ogonem, zawinął pod siebie kurzawę cegieł i strzaskanych mebli.

Deyerpoth uczył, że pęd powietrza porywa go —i tęczowy portal wessał w swą świetlistą czeluść jego ciało, ugrzęzłe w gęstwinie frunących śmieci.

Oba portale, wielki portal smoczy i osobisty portal Pirata, znowu koniugowały. Tym razem — na szczęście. Bowiem dzięki temu Deyerpoth został wypluty w pałacowym korytarzu, a nie w smoczych stajniach na nabrzeżach rzeki Moskwy, pełnych smrodu i wielkich ogonów tłukących na oślep o marmurowe ściany.

Rozjechał się jak żaba na elegancko wypastowanym parkiecie.

Młodziak w szerokich spodniach i wojskowej kurtce ściśniętej pasem zniknął za pobliskimi drzwiami. Wchodząc tam, z uszanowaniem zdjął z głowy niebieską czapkę z czerwonym otokiem, przygładził włosy na ślinę.

Schylony wpół Deyerpoth pobiegł jego śladem. W głowie huczało mu jeszcze piekło płonących domów. I tutaj widział za oknem płomienie łopoczące na wietrze wokół

cerkiewnych kopuł. Ale tym razem były niezliczonymi czerwonymi sztandarami. A ognista żółć — to sierpy i młoty, zdobiące co się da.

Gdzieś w pobliżu orkiestra dęta grała marsze.

— Nikt was nie struł, towarzyszu generalissimusi — zapewniał ktoś niedaleko w języku, którego Deyerpoth nie rozumiał. — Sam próbuję każdej potrawy. Weźcie węgla medycznego, bo odwodnicie się ku chwale ojczyzny. Toż leje się z was rzeką jak Wołga, *mać radnaja!*

Deyerpoth zajrzał przez uchylone drzwi.

Tym razem na sedesie siedział ze zboląłą miną kostropaty mężczyzna zaczesany do góry, z wąsem jak miotła.

— Trzeba nam pokazowego procesu lekarzy! — odpowiedział z rozpaczą młody, którego poprzednio Deyerpoth widział na korytarzu. — Ku chwale ojczyzny! Za radinu!

Wpieriod!

— Durak ty, był proces lekarzy! — stęknął ten z sedesu. — Już po nich!

— To złapmy Giso, towarzyszu Soso! — zaproponował usłużnie młody. — Poślemy go na Sybir ku chwale ojczyzny! Za wasze cierpienia, towarzyszu, i światowego proletariatu!

Ulży wam!

— *Kawo? Tiso?*

— Giso! *Gitlerowskij Smokoubijca!* Desantują ich do nas, szpionów i dywersantów, żeby truli smoki bojowe Związku Radzieckiego!

W tejże chwili Deyerpoth poczuł, że przytknięto mu coś do potylicy. Nie mógł

wiedzieć, że jest to pistolet TT kaliber 7,62 mm, ale skojarzył lufę z owym czymś, co nie tak dawno odłupywało ściany wokół niego. Toteż przezornie wypuścił jatagan z dłoni.

Dwóch mężczyzn w brązowych mundurach złapało go pod łokcie i pociągnęło za sobą, wierzgającego wściekle łydkami. W niskim pustym pokoiku obdarto go z odzienia, splukano

szlauchem i odtąd był w szoku. Daremnie starał się zasłonić dłońmi swe kobiece atrybuty.

— Co wy na to, towarzyszu akademiku? — spytał ktoś za otwartym wizjerem drzwi.

W półmroku połyskiwały szkła jego okrągłych okularów.

— Samica!

— Ale czy samica Giso?

— Z pewnością nie. Współczesna nauka radziecka nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, co to takiego. Powinniśmy zrobić samicy pokazowy proces i sama wyśpiewa prawdę.

— Ochujeliście, towarzyszu akademiku? — zapytał z oburzeniem jeszcze inny głos.

— Zamierzacie ośmieszyć ludową sprawiedliwość? Takiego zasranego kanibala chcecie posadzić na ucziwej ławie oskarżonych, obok naszych własnych sobaczych zdrajców i innych świńskich kurwisynów?!

— To może do ogrodu zoologicznego, towarzyszu komisarzu? — zaproponował z przerażeniem głos towarzysza akademika.

— Do zoologu można — zgodził się łaskawie głos towarzysza komisarza. — Tylko z prawomyślną tabliczką. I niech się nie wazą dokarmiać samicy!

— Zwiedzający?

— Nikt! Na razie nikt, a za miesiąc będą dyrektywy.

Dwie godziny później Deyerpotha zakwaterowano w klatce po szympansie Czerwona Gwiazda Afryki, który zdechł w wyniku Jeszcze Nowszej Ekonomicznej Polityki. Tuż za kratą szeleściło drzewo, którego liście pirat żuł z głodu. Z wyjątkiem największego. Tym posłużył się, żeby zakryć swoje damskie przyrodzenie. Upokorzony i głodny, najpierw rzucał

się na kraty, a gdy potraktowano go prądem, już tylko siedział osowiały w kącie, nasłuchując, jak w basenie obok pluszcza się białe niedźwiedzie, a z sąsiednich wybiegów dolatuje pomrukiwanie lwów i ciężkie człapanie słoni.

Pół godziny później zatrzymała się przed Deyerpothem wycieczka pionierów z miasteczka Leninowski Krasnodar.

— Towarzyszko nauczycielko — zapytał jedenastolatek w czerwonej chuście na szyi, wskazując palcem skulonego pirata — czy to towarzyszka małpa? Bo Igorek mówi, że już prędzej towarzyszka zebra.

Tęgawa blondynka z dorodnym warkoczem wczytała się w tabliczkę informacyjną wiszącą na klatce.



— Nie, Taliku — odpowiedziała — to całkiem nowe, nieznane nauce zwierzę.

Towarzysz Stalin wymyślił je osobiście dzisiejszej nocy na Kremlu dla uciechy wszystkich postępowych dzieci świata. A teraz pospieszcie się, zaraz zaczyna się zwycięska defilada smoków bojowych na Placu Czerwonym! Czy chcecie się spóźnić? To nie po pioniersku!

Godzinę później Deyerpoth, z przyrodzeniem okrytym wędzącym liściem, wciąż wpatrywał się osowiałym wzrokiem w alejkę, na której niedawno stali pionierzy. A pionierzy stali już wówczas po lewej stronie trybuny honorowej, z której salutujący dostojnicy państwowi odbierali defiladę.

Całą szerokością placu, niosąc w pyskach krasne chorągwie, a na łbach wielkie zielone budionówki, maszerowały wielotonowe cielska z gwiazdami na skrzydłach.

Przewalały się niezgrabnie z łapy na łapę, jak to spieszne smoki.

Moskiewska ziemia dygotała pod ich dudniącym krokiem.

## **Rozdział osiemnasty**

*który wciąż dzieje się tej samej burzliwej nocy, kiedy to Deyerpoth jest pechowo teleportowany, Tabrys zapoznaje się z dzielnym wojakiem, Walek oczekuje wizyty króla, a tymczasem spiskowcy...*

— Nienawidzę elfa Sylfona Marcha vijen derf Euron Saposthyła Mitty! — warknął ze złością mściciel Murmurat. Odsunął wzrok od tubusów optycznych wystających z kamiennej ściany. — Najchętniej bym go zabił, wsadził do formaliny i pokazywał w szkołach, żeby dzieciaki od małego wiedziały, co to za wredny stwór!

— Książę czystej krwi! — odparł Yesuph w stopniu starszego mściciela.

Siedział nad malutkim pulpitem oświetlonym smolnym łuczywem i przy pomocy pędzelka z impregny oraz kwasu solnego, produkowanego przez krasnoludy na dnie nieużywanych sztolni w Dolinie Moru, wytrawiał napis na głowni zardzewiałego miecza.

Drżał z obawy, że nie wystarczy mu miejsca. Pochopnie rozpoczął grawerunek daleko od masywnej, okręconej żelaznym powojem rękojeści. Był dopiero przy pierwszym „v” w wyrazie „vivat”, a zapisał już połowę wsławionej legendą klingi.

To ona wypruła zielone od przyrodzonego jadu wnętrzości Hieronimusa Okrutnego, to ona podzieliła Amfaza Dzielnica na pięć części, na ile wcześniej poszatkował królestwo pomiędzy synalków, ona szybkim sztychem zwiedziła krwawe wnętrze Mści—sława Śmiertelnego, od tłustego karku po brzuszysko pełne cuchnących gazów, aż wysterczyła się z podbrzusza twardym końcem, który nie zapowiadał przedłużenia dynastii, lecz jej zgon.

Wytrawiany napis brzmiał: „Śmierć tyranowi Walisławowi! Vivat Antywalisław Pierwszy!” Litery Ye—suph stylizował na runy, żeby napis miał szlachetną starodawność —

ale też dał się odczytać, nie to co prawdziwe runy, których za diabła nie pojmiesz.

Zdecydował, że jeżeli nie zmieści się ze słowem: „Antywalisław” do przewężenia ostrza, wyraz „Pierwszy” napisze cyfrą. Najgorzej, gdyby zmieściło się tylko: „Vivat Antywalisław Pier...!”

— Książę! — powtórzył pogardliwie Murmurat. — U nich każdy książę, co psom buty wiąże! Prawdziwy książę leży brzuchem do góry i w służbę kapciem rzuca. Nie zajmuje się wyrobem szkieł optycznych i szklanych breloczków! Wiem, co powiesz! Elfy, Starsza Rasa!

A jużci! Prędzej starcza rasa! Połowa to tabetycy i sklerotycy! Kaszkę jedzą i pioseneczki śpiewają! Wyglądają, jakby już umarli, ale się rozmyślili! Niezapominajki wredne!

— Nieśmiertelnicy! — poprawił Yesuph, zabierając się do litery „i”.

— Co za różnica? Nikt normalny nie jest jednym ani drugim, bo by się wstydził!

— Jesteś niesprawiedliwy, przyjacielu! Elfy są sprzymierzeńcami naszej sprawy.

— Zobacz sam to ichnie przymierze! — Murmurat wskazał z wściekłością na tubusy w ścianie. — Nic nie słyhać, za to widać na zielono. Jakbyś ryby pod wodą szpiegował!

Spaskudzona robota!

Yesuph przytknął oko do tubusów. Rzeczywiście widział na zielono i niczego nie słyszał. Być może elfowie użyli szlifowanego szmaragdu Ghrgt? Na kominku bezgłośnie buzował zielony ogień, za oknem izby rozpościerała się zielona noc, młodzian w zielonym surducie drzemał nad stołem zastawionym mięsiwem tak zielonym, że patrzącemu robiło się niedobrze.

Obok zielona kamienna kolumna obracała się w ścianie, tworząc zieloną szczelinę.

— Ktoś zmierza sekretnym przejściem do smokobójcy — szepnął Yesuph.

— Może będzie piłeczkami żonglował, to popatrzymy! — mruknął gorzko Murmurat.

— Bo podsłuchać nie podsłuchamy! Mam głęboko w rzyci elfa Sylfona Marcha vijen derf Euron Saposthyla Mitty i wszystkie pieprzone elfie wynalazki!

— Król — rzekł Yesuph, stwierdziwszy, że mimo kręcenia tubusami zielone zabarwienie nie znika.

— Co król?

— Przybył do smokobójcy incognito. Obserwuj go, ja wracam do pracy.

Z zielonego sekretnego przejścia wysunęła się opatulona zieloną opończą postać. W

prawej ręce trzymała cienką rączkę maseczki z zielonego złota, którą osłaniała górną połowę twarzy. Zielony nos nadnaturalnej wielkości sterczał ponad obwisłymi zielonymi wąsikami, w owalnych dziurach czujnie płonęły kocio zielone oczy.

— Po czym wnioskujeś, że to król? — zapytał nieufnie Murmurat.

— Po maseczce. Nosił ją na ostatnim karnawałowym balu.

— Bywasz na karnawałowych balach u tego satrapy!?

— Służbowo. Bal kostiumowy to dziecinna robota! — wyjaśnił Yesuph, przechodząc do wielkiego „A” w imieniu „Antywalisław”. — Wkładasz kieckę, białą tapirowaną perukę, podmalujesz się trochę, pieprzyk tu, pieprzyk tam i świat wysadzisz z posad, zanim ktokolwiek nabierze podejrzeń, że ty to ty.

Zielony król rozparł się na krześle stojącym przy zielonym kominku, gdzie najwidoczniej zażyczył sobie czegoś zielonego do przepłukania gardła, gdyż zielony smokobójca nalewał mu zielonego szampitra z bąbelkami.

— Za kogo się przebrałeś?

— Za krasnoludkę.

— I nie rozpoznali przebrania? Tam, gdzie ochroniarz potyka się o ochroniarza? —

prychnął powątpiewająco Murmurat. — Nie wierzę.

— Jasne, że rozpoznali przebranie. To był bal przebierańców. Nie rozpoznali mnie pod przebraniem, na tym polegała misja. Król osobiście przetańczył ze mną cztery kolejki.

Swoją drogą nieźle tańczy, tyrani mają klasę. Pachną markowymi perfumami, dobierają alkohole jak nikt. Dusery mi prawił, próbował umówić się ze mną po balu w oranżerii. Nie mogłem się zgodzić, bo mam uczulenie na Pyłek orchidei. Dałem mu po łapach. Szkoda.

— Szkoda, bo co? Bo dobrze tańczy i już ci w głowie zawrócił?

— Nie o to chodzi! W oranżerii ludzie są wylewniejsi. W ogóle w intymnych sytuacjach są wylewniejsi.

Zielony król sączył zielone wino, smokobójca na zielono womitował przez zielone okno.

— Jest coś odstręczającego w przebieraniu się — orzekł z niechęcią Murmurat. —

Czyliż istnieje rzecz szlachetniejsza niż męska walka z otwartą przyłbicą?

— Z otwartą przyłbicą najbliższej na stryk! Nie szafuj życiem, póki sprawa nie zwycięży.

— Nienawidzę elfa Sylfona Marcha vijen derf Euron Saposthyla Mitty i jego zielonych szkiełek! — powtórzył ponuro Murmurat. — Bardziej niż tej popieprzonej monarchii!

— Skończyłem! — oznajmił z zadowoleniem Yesuph.

Wstał zza pulpitu z mieczem w garści. Zmieściło się nie tylko „Pierwszy” słownie, ale i wykrzyknik słownie. Wystarczyło ścieśnić runy.

Murmurat obejrzał napis, podczas gdy Yesuph podniósł leżącą pod ścianą pochwę. Z

twardej skóry, okuta metalem, nosiła na sobie ślady podróży, okaleczeń bitewnych, zmiennych nawyków kolejnych właścicieli, z których jedni nisko zgrzewali zaczepy do noszenia broni na rapciach, inni znów przesuwali je wyżej, by troczyć miecz pod pachą.

Brzeczot zgrzytał, gdy oblizując wargi z emocji, mściciele wprowadzali grawerowane ostrze w otwór okolony napisem: „Nie masz kochania lepszego dla męża cnotliwego!”

— Jeśli dadzą mu wysłużony rożen z zamkowego arsenału, podmienimy jeden na drugi bez kłopotu — stwierdził Murmurat, głaszcząc leciwą skórę pochwy — Ale gdy wykują nowe żelazo w zamkowej kuźni? Różnica będzie widoczna gołym okiem.

— Naonczas odwiedzimy smokobójcę! — zapowiedział Yesuph.

Patrzac pytajaco, Murmurat przejechał palcem po swoim gardle w tę i z powrotem.

— Zależy — odparł Yesuph. — Niebieskiego cukierka zjadł za darmo, ma u nas dług.

— A gdy nie pojmie wagi chwili?

— Wtedy jak mówisz! — rzekł Yesuph, przeciągając palcem po grdyce. — Trzeba będzie go podmienić na bardziej ideowego!

## **Rozdział dziewiętnasty**

*w którym odbywa się spotkanie Walka z królem, a na jaw wychodzą niebywale tajemnice monarchii*

Król Walisław z troską przyjrzał się Wałkowi przez dziury w masce.

— Choryś, smokobójco? Nie mogłeś wybrać gorszego terminu!

— Nic mi nie jest, wasza wysokość! — uspokoił go Walek. — Rzygnąłem raz, drugi i mi zarutko ulży.

— Materia nie jest flegmiasta? — zainteresował się życzliwie król. — Ciągająca się z wątpi? Taka występuje przy podaniu tojadu w ciepłym mleku. Zamek to nie jest zdrowe miejsce.

— Przeżarłem się, wasza wysokość — zapewnił Walek.

— Ufajmy, że to istotnie przeciążony żołądek. — Król postukał monarszym palcem w nochal maski. — Pewnie cię zadziwia, że nie ujawniamy twarzy? Ty się domyślasz, kto myśmy, my się domyślamy, kto myśmy... A raczej, my się domyślamy, że ty się domyślasz.

Wszakże maski nie zdejmujemy na znak, że nas tu nie było! Pojmujesz?

Za oknem błysnęło nad wzgórzami, szybki w oknach rozjarzyły się.

— Nie za bardzo — przyznał się Walek.

— Czego nie pojmujesz? Śmiało wyznaj.

— Żeście byli, wasza wysokość, skoro was nie było. Ale też nie przybyłem tu dla pojmwania, tylko smoczysko usiec i uciekać, póki łeb mam przy sobie!

— Ano i tu widzimy następne problemata! — zafrasował się król w kwiecistej wymowie.

Sam sobie wlał szampana do kielicha, sam na siebie klasnąwszy jak na służbę, a tak był markotny, że nie zauważył tego poniżenia.

— Smoka usiec to ojczyźnie ukochanej wrazić w serce brzeszczot! Słuchasz mnie, smokobójco? Gdy już ona, biedaczka, ledwie zipie! Palić ją ogniem, pustoszyć mieczem, owszem, podniesie się po tym i święty sztandar dźwignie nad głowę. Ale smoka nie ubijać, bo ona tego nie przetrzyma!

Walek otworzył gębę z zadziwienia. Heroldy w koronnych gaciach po świecie go po to szukały, żeby smoka nie ubił? Tego by przecież dokonał, nie ruszając się krokiem z Psiej Wólki.

— Czemu nie? — wyjąkał.

— Ano widzisz, czemu? — zasepił się król. — Bo on pożyteczny!

— Smok? Dla kogo?

— Dla naszej pięknej krainy! Zważ sam! Przychodzi delegacja szewców ze skargą, że skórki na cholewki... Detalicznie nie pamiętam, ale coś nie tak ze skórką na cholewki, z czego szewstwo upada. Przychodzi poselstwo rolnicze, że źle się dzieje i nawet trudno dojść powodu. Kramarze pod oknami gardłują, że ich dzieci głodne, a handel jak cała reszta...

Czegoś mu nie dostaje, pietruszka za droga czy marchewka za tania, jakieś takie warzywne problemy. Burmistrzom łapówki za niskie, sądy nie chcą z bandytyzmem się borykać, poborcy toną w błocie na drogach, zgroza! Co na to poradzić, smokobójco? Czy staniemy w koronie pietruszkę sprzedawać albo fleki do cholewek przybijając?! Nie wypada! Dostojnie pokazujemy się w oknie z berłem i przemawiamy: „Ludu umiłowany, przypadł tobie ciężki los w krainie umęczonej przez smoka! Rwie nas on na sztuki, nie przebierając! Następny smokobójca oddał życie, a bestii powodzi się po staremu! Ale nie ustaniemy, aż padnie! Łby parszywe zakopie się na rozstajach, ścierwo spali się w siarce! Już my, wasz ukochany król, zadbamy o to!” A efekty, zapytasz? Odchodzą w spokoju. Poznali, gdzie światowe zło się gnieździ. W smoku! Nadzieję unoszą, że w końcu musi ktoś smoka ubić i nastanie raj na ziemi! Miałbyś sumienie wygnać nadzieję z serc? Odebrać im kojące odpowiedzi? Smoka zabić i dowieść, że raj u nadal nie ma, bo go pod tym smutnym niebem być nie może, tylko że na dodatek nadzieja umarła? Jak żyć bez nadziei?

— Znaczy się... nic tu po mnie? — zdumiał się Walek.

— Przeciwnie! Przybyłeś kraju bronić! Smoka ubić! Za dwa dni ruszysz na niego z pompą, a do tego czasu musimy przygotować paradę. Orkiestra, dziewczeczki sypiące kwiaty pod nogi, sztandary, miecz złocisty, eskorta na koniach!... Już tam księgowy koronny głowi się, żeby każdemu dogodzić przepychem!

— Znaczy się... mam li smoka ubić?

— Masz pojechać, powalczyć i nie ubić! Ani rany nie zostawić, po której by słabował.

— Jakże to, iść na smoka i nie usiec go? — osłupiał Walek.

— Cóż w tym trudnego? — osłupiał z kolei Walisław. — Wielu takich było. Poszli i nie usiekli. Kości ich masz na dowód porozciągane wokół pieczary!

— Moim kościom też taki pochówek pisany? — zapytał Walek ze zgrozą.

Za oknem zagrzmiało ponuro, wielkie cienie mignęły na ścianie.

— O ile po walce, pokryty ranami, mężnie uciekniesz i smok cię nie dogoni, nie mamy nic przeciwko temu. Byłeś go nie okaleczył w głupiej zapalczywości. Miecz ci w kuźni wykowamy tępy jak do rozcinania kopert. Gdyby nieszczęście się stało, nie spodziewaj się litości! Lud ma widzieć, że walczy się, ale wróg silny jak bies! Tyle wystarczy!

— A nagroda? Pójdę w krwawy bój bez widoku na nagrodę, bo mi jej nie wolno wygrać?

— Za samą chęć ją dostaniesz! Za to, że nie ubijesz!

— Czemu inni przede mną nie wzięli nagrody? — zapytał chytrze Walek. — Pół

królestwa leży odłogiem, córa to samo. Przecież nie pierwszy smokobójca pod słońcem?

— Prawda, że coś z nimi nie tak — westchnął król. — Proste instrukcje otrzymali jako i ty, a wypełnić nie dali rady. To wielki sekret! Czemu im się nie udało, biedakom? Może przy okazji rozwikłasz zagadkę, smokobójco? Mnie samego ona nurtuje!

Tu Walisław popadł w markotny filozoficzny nastrój, który zaraz udzielił się skołowanemu Wałkowi.

## *KRONIKI KRÓLEWSKIE*

*Nie daj ci Boże być królem! Na byle podzamczu, gdzie jada się kaszę bez skwarków i nie widuje się słońca, bo plecy przygięte ku ziemi robotą, matka rodzi chłopca albo dziewczkę, jakby pestkę od wiśni wypluła. W rowie, przy drodze, z dnia na dzień.*

*We dworze inaczej. Najpierw królowa matka zlegnie na łożu w jękach. Potem są komplikacje, konsylia, cięcia cesarskie. Wreszcie babka położowa zagląda ci między nóżki i woła: „Król!”*

*Jakby odkryła trzecią pleć.*

*Pierwsze doby bywają koszmarne. Ani oko zmrużysz w betach z atlasu i koronki. Za oknem armaty huczą na wiwat, aż kołyska się kolebie, komnaty widne od fajerwerków, których cienie szaleją po ścianach niczym upiory. W te noce królowie nabierają nawyku ssania kciuka, co wiekami wymawia im się po kronikach jako źle ukształtowane libido! Ze strachu robisz w pieluchę, słysząc wycie pochlebców: „Urodził się król! Niech żyje król!” Ściagać cię ono będzie po grób. Nawet po twojej śmierci drą się: „Umarł król! Niech żyje król”, choć sensu już w tym nie ma z subiektywnego punktu widzenia.*

*Za życia trapią cię wieszczce znaki i przepowiednie. Jest armia ludzi, pustoszących za to państwową kiesę. Ten ma pierścień z pradawnym napisem, ten miecz wyszarpięty z omszałego głazu, tamten coś, co nie wiadomo, czym jest, bo umarły tego czegoś właściciel był*

*bożyszczem o stu rękach, mieszkającym na dnie czynnego wulkanu, ale to, co po nim pozostało, przypominające świński kamień nerkowy, rządzi światem w dni parzyste!*

*Astrologowie po nocach badają niebo rurami z podziałką i wypisują ci idiotyczne recepty, żebyś uważał na pęcherz moczowy i gulasz z cynaderek, kiedy gwiazda Rapulus zbliża się do gwiazdy Ne—mis. Albo żebyś nie podpisywał aktu kapitulacji o nowiu księżyca*

*— choć o nowiu z całej armii już chorąży tylko ci pozostał, a i ten złapał trypra.*

*W rewanżu musisz próżniakom przyznawać odznaczenia państwowe. Inaczej ogłoszą, żeś czas równonocy wiosennej spędził na orgietce z pacholętami! Bezczelnie wskażą ludowi pierwszą lepszą konstelację, a ty udowodnij, że ona oznacza co innego niż rozpustę za koronne pieniądze.*

*Wróżki gotują ci obrzydliwe napary, czarodziejki każą pić eliksiry, kąpać się we krwi dziewic. Co z tego masz? Smród, brud, wrzody żołądka i niejasne wskazówki!*

*A gdy trafi się urodziwa wieszczka, co ci po niej? Kłótnie, awantury, rzucanie retortami — jak w starym małżeństwie. W końcu do kochania używacie tego samego instrumentarium, co zwykli ludzie. Oczywiście, czary przydają się na jurność, ale w obecnej dobie krasnoludy fabrykują takie medykamenty, afrodyzjaki, czopki, uaginetki, że i bez czarodziejki sobie wygodzisz.*

*Mieszkają zaś one, że nikomu byś nie życzył takiego gniazdka miłości! Bałagan od szkła alchemicznego i papierzysk, kolorowe dymy się wiją, ściany pomazane w pentagramy.*

*Bywa, że w optimum amorów tresowane gryfiątko siedzie ci na zadku i pióra sobie czyści.*

*Bywa, że czarodziejka na pozór piękna, czarnowłosa, krew z mlekiem, gdy wtem od męskiego pchnięcia rozpadnie się pod tobą w trzystuletnie truchło, sam kurz i poczerniałe ścięgna, bo czar jej się skończył. Nabawisz się palpacji serca i wynika z tego śmierć, co ją idiotycznie zowią: „słodką”!*

*Ale kogo masz w swoim życiu erotycznym poza czarodziejkami? Dynastyczne panny są szkaradne i na portrecikach, i w naturze, a jeżeli prostą chłopkę w stogu gdzie wychromoczesz — to*

*satysfakcji z tego nie masz żadnej prócz seksualnej.*

*Za to życie powszednie króla, powiesz, jak w bajce! Tu trzosik brzęczący, tam nahajka, by złość wyładował. Dla rozrywki ma obrazy w galerii — kolekcje specjalne, obscena, boginki rozebrane do rosółu...*

*A gdzież tam! Czasu na to nie znajdziesz!*

*Zwykłe ubranie, które rankiem na grzbiet się wciąga na pół śpiąc, u króla wymaga ceremoniału. Nogawkę kalesonów dwóch lokajów trzyma, a czterech dostojników przygląda się temu w pań—stwowotwórczej powadze. Korona ciśnie, spocona blacha ślizga się po czole.*

*Wysiedź dostojnie, kiedy niejedna uroczystość trwa tydzień. Gronostaje gryzą, że byś się zadrapał berłem na śmierć, sikasz zaś, kiedy jest okazja, nie gdy się chce.*

*Dwie tylko rzeczy masz do zrobienia w królewskim stanie.*

*Pierwsza codzienna — z nieprzeliczonych zamachów wynieść całą skórę.*

*Pomysłowość zamachowców nie ma sobie równych w przyrodzie. Strzeżesz się czujnie, nie pijesz byle czego, nie jadasz byle gdzie, nie siadasz w przygodnej latrynie, w której o zapadnięciu łatwo, nie chodzisz pod oknami, skąd coś wypaść może —no to ci miłośnicę wrogowie zatrują i jej puder! Liźniesz gdzie bądź — a ustami rzuca się czarna krew, pod pachami rosną wrzody, korona zielenieje w zetknięciu z twoim śmiertelnym potem.*

*Jesz zimne dania, bo ktoś musi je przeżuć przed tobą. Biegunka cię przydusi w podróży*

*— nie zdążysz, zanim krzaki sprawdzą, czy bezpieczne. Kąpiesz się — tresowane czyżyki zapaskudzą pierzem wodę, chłepcząc, czy nie kwas żrący. Na polowanie jedziesz — psy obślinią rękawice, siodło, strzemię, liżąc, czy trutki nie ma. Fajkę chcesz zakurzyć —trzy osoby ją obmacują, bo główka może wybuchnąć po zapaleniu, bo w ustnik da się wsunąć strzałkę, którą wciągniesz z oddechem, bo cybuch łatwo szkodliwą substancją zabejcować, która uaktywni się od gorąca...*

*Siedzisz, czekasz, nudzisz się i nigdy nie masz pewności, czy owi sprawdzający jeszcze z wiernych tobie, czy już skaptowani przez wroga?*

*W tych srogich warunkach masz spełnić drugie zadanie. Życiowe! Godne króla!*

*Wygrać bitwę! Inaczej twój żywot potomność uzna za zbyteczny! Zapomni! Wykreśli z podręczników!*

*Trzeba znaleźć pole chwały ze sposobną nazwą, żeby uczniaki po wiekach nie łamały sobie na niej języków. Trzeba dobrać wroga, który w następnej epoce nie wyrośnie na sojusznika, czyniąc kłopot ambasadorom.*

*Najsposobniej ruszyć na Armię Ciemności, bo tego ścierwa nikt nie lubi. Tyle że potyczka*



*nieprzyjemna. Nieprzyjaciel ryczy świńskimi głosami, cuchnie zgnilizną, a gdy ciąc celnie — miecze oblepiają się ciągnącymi glutami, co je tępi. Odcięte członki żołnierzy Ciemności często samodzielnie toczą dalszą bitwę i po dłuższym czasie trudno się rozeznać, kto już był zabity, a kto nie. Wojacy wychodzą psychicznie poturbowani z takich bojów i potrafią do końca życia ucinać pogaduszki z głównem w latrynie.*

*Ale gdy ludzką bitwę wygrasz, kronikarze ci wy—najdą podejrzane interesy, zakulisowe machinacje, zaprzepaszczenie szans... Tłukąc zaś przebrzydłe elfy lub barbarzyńskie krasnoludy, narażasz się na zarzut rasizmu.*

*Nie masz, dalipan, dobrej wojny na świecie, ale bierze się, co jest.*

*Po cóż monarcha naraża się na męki koronne, mógłby kto spytać. Czy dla pomnika z brązu, który mu na skwerze wzniosą i raz do roku przejadą ryżową szczotką na kiju, żeby odmyć ptasie guano? Czy po to, żeby stopę w kamaszu postawić na karkach poddanych i spijać ptasie mleczko za ich podatki? Czy żeby upodobać sobie egzotycznego ptaszka, którego dostarczą pocztą kurierską z końca świata i podadzą mu na obiad nadziewanego?*

*Nie, nie po to!*

*Cierpisz niebezpieczeństwa, trudy, znoje, aby kraj napelnić szczęśliwością! Choć nikt w to nie wierzy, widząc efekty. Czasami nawet ty sam. Po nocach śnią ci się cyferki, których nie sposób zsumować. Każdy cień bierzesz za radę ministrów, która obraduje ku twojej zgubie, żeby dobrobyt podnieść. Gdzie inni widzą na horyzoncie malowniczą chmurę, tobie się zdaje, że to szarańcza, która nie zostawi w kraju źdźbła trawy po sobie.*

*Życie w cnocie nie dla ciebie! Przyjaciele czy wrogowie jednakowo w rozpustę cię wepchną, korupcją omamią, nie dadzą po bożemu dokonać dni! Żywy władca to dla nich obraza majestatu, dopiero po jego śmierci odczuwają ulgę i wywieszają pyszne nekrologi.*

*Są królowie, co nie zważają na kłopoty, przestaniając je dla uspokojenia nerwów piramidami trupów. Temu rozkażą wbić nóż, temu zaciągnąć sznur na grdyce, temu sfabrykować proces.*

*Wbrew pozorom żyją oni krótko.*

*Ale bywają tacy, co żyją długo, tyle że nikt o tym nie wie. Nieostrożnie afiszować się życiem w królewskim stanie. Siedzisz za ścianą jak trusia, broda ci siwieje, wzrok zachodzi bielmem, wokoło szepty, skrzypy, stapania, słyhać, jak wydrapują z kronik przydomek*

*„Wspaniały” i wpisują „Szalony”.*

*Odwiedzają cię umarli, ani zauważysz w ich towarzystwie, kiedy sam oddasz ducha.*

*Niech żyje król — król umarł.*

*Dokonało się.*

*Czy usypali ci kurhan, czy ścięli głowę na szafocie — z jednego i drugiego wywyższenia jednakowo widzisz, że nie doszedłeś przez życie do niczego ponad to, z czym się urodziłeś. Jak byle wieśniak, którego nigdy nie widziałeś inaczej niż razem z całą wsią, chałupami, inwentarzem, nie rozróżniając, co jest co.*

*Widzisz, królu, ile twoich czyżyków zdechło na marne ?*

Walisław ze smętkiem wychylił do dna szampitra.

Za oknem zagrzmiało kolejny raz.

Nagrodę wezmę i już od samego tego będę sławny po wsze czasy! — pomyślał

Walek. — Na co mi jeszcze ubijać smoka?!

— Niech tak będzie! — zgodził się głośno.

## **Rozdział dwudziesty**

*który zaczyna się od uciętej głowy, a Tabrys dowiaduje się, co to jest właściwa chwila* Tabrys Przecherezad obudził się, kiedy przelatywała nad nim ucięta głowa kupca Bolsy. Ujrzał ją w świetle błyskawicy posiniałą, okropną, trzepoczącą w powietrzu przetłuszczonymi włosami i krwawymi końcówkami żył. Odbiła się o koło furgonu, poturlała po ziemi.

Leżeli na boku twarzami do siebie — Tabrys na podłożonej derce, głowa w mokrej trawie. Ona miała oczy szeroko rozwarte, on swoje zamknął, uznawszy, że śni. Takie rzeczy nie mają prawa dziać się na jawie. Nawet w najbardziej burzową noc po świecie nie latają głowy kupców korzennych ociekające świeżą krwią.

A może jednak?

Tym bardziej, że wokół niosły się wrzaski i szczęk broni. Szumiał deszcz.

Dotychczas Tabrys sądził, że zgiełk wydobywa się z koszmarnego snu, jaki dręczył go tej nocy. Raz po raz widział Deyerpotha wyłazącego z teleportu — tak jak ujrzał go na jawie przed zaśnięciem. Pirat zgrzytał pirackimi zębami, brał zamach pirackim mieczem i...

błogosławiony teleport zasysał go z powrotem.

Tabrys znów otworzył oczy. W źrenicach Bolsy nie dostrzegał chciwej iskierki, która była sednem jego kupieckiego życia. Migotały w nich martwo refleksy pochodni. Pierwsze źle wróżyło tylko Bolsie, drugie mogło okazać się zgubne dla Tabrysa. Bo tymi pochodniami bynajmniej nie przyświecali sobie wielbicieele jego poezji!

Przeczołgał się po zimnej trawie do miejsca, gdzie umościł się na noc wojak Fest. Lał

deszcz, wrogie pochodnie syczały, wkoło dały się nieznanym głosom, a znajome wydawały

śmiertelne chrapnięcia. Zgrzytało żelazo, bulgotała krew, nad lasem dodatkowo waliły pioruny — sceneria jak z fantastycznej opowieści.

Fest chrapał w najlepsze pod furgonem, gdy pomiędzy nim a Tabrysem wraziła się w ziemię pika, która przebiła dno wozu nad nimi. Cofnęła się zaraz, a z dziury posypał się pęczak. Dopiero on zbudził Festa, gdy zassał go do ust chrapnięciem.

— A to co? — wykaszłał półprzytomnie w twarz schylonego nad nim Tabrysa.

— Kasza! Pęczak! — odszepnął Tabrys. — To napad!

— Pęczak na nas napadł?

— Nie, zbójcy!

— A, zbójcy — mruknął Fest. Odpluł ziarna kaszy.

— Zaniepokoiłem się, że przesadzasz z pęczakiem jak z tymi cyckami pirata. A zbójcy tak, oni napadają.

— Mordują!

— To oczywiste. Napadają i mordują.

— Nas mordują! — sprecyzował Tabrys. — Teraz!

Ktoś złapał go kurczowo za włosy, a gdy wyszarpnął się przerażony, na jego ramię spadła dłoń. Ucięta w nadgarstku. Po sygnetach z motywem rondli rozpoznał dłoń kupca żelaznego Barucha. Bezpośrednio potem wymiotował.

Fest przyjrzał się kupieckiej kończynie, wykorzystując światło błyskawicy.

— Piękne hamilskie cięcie z przyrzutu — ocenił. — To banda Ramireza.

W istocie była to banda Ramireza, choć sam Ramirez nie żył od pięciu lat.

Powieszono go za żebro w dolinie Pulardy i zjadły go tamtejsze psy. Teraz trzon bandy stanowiło osiemnastu braci Ramireza oraz matka. Oni zbójowali. Jej zadaniem było zachodzić w ciążę i odchowywać młodszych braci na miejsca opróżniane przez starszych, których sukcesywnie wieszano. Nie wrócono przyszłości temu rodzinnemu biznesowi, choć bracia darzyli się atencją, szanowali domowe tradycje, aktualnego herszta tytułowali donem i całowali go w rękę.

— Popędzimy kota Ramireziakom! — zachichotał półgłosem Fest. — Chodź ze mną, złotko, chodź! Przydasz się tatusiowi!

— Teraz to już spierdalaj! — popędził Tabrysa duszek w ucho. — Słyszysz, co wygaduje?! Gorączka okopowa albo co gorszego! Nigdzie z nim nie idźmy!

Z ciemności dobiegł cichy zgrzyt żelaza i cmoknięcie. Odgłos pocałunku. Swoimi kocimi oczami Tabrys dostrzegł, że Fest wyciąga z pochwy dwuręczny miecz Ósmego Regimentu z rękojeścią oplecioną skórą węzosczurą. Do niego mówi: „Złotko”, jego ostrze całuje przed walką.

— Ani nos wytknij, cywilu! Nie pomagaj mi, bo będziesz przeszkadzał.

Światło błyskawicy oblało zaciętą twarz z charakterystycznym zarostem Ósmego Regimentu. Przecinał ją cień uniesionego bojowo miecza.

— No dobra! — ustąpił duszek w uchu. — Na razie nie spierdalaj. Zobaczymy, co będzie dalej.

Ponad szczęk broni wzniósł się przeraźliwy krzyk i na kolana Tabrysa spadła noga kupca Rekka. Poznał ją po zygzakowatym wzorku wełnianych skarpetek, w jakich tamten sypiał podczas chłodnych nocy. Przez dziurę wystawał wielki paluch, który poruszył się jeszcze, nim skonał. Na ten widok Tabrysowi już tylko odbiło się trawionymi żeberkami suhaka. Widać do wszystkiego można przywyknąć w podróży.

— Skoczysz na zbójów?

— Nie gorączkuj się, cywilu! — odszepnął pobłaźliwie Fest, aż Tabrys pozazdrościł mu żelaznych nerwów. — Przyjdzie pora! Wiesz, co dzieje się pomiędzy wozami?

— Trudno nie wiedzieć. Biją, rzeżą, krztuszą się krwią...

— To wszystko, co wiesz?

— Nic nie widać w ulewie. Mam kocie oczy, wojaku, ale to za daleko. Za dużo się kotłuje. Nie potrafię ci pomóc...

W ciemnościach Fest ścisnął go za ramię i zbliżył twarz do jego twarzy.

— Ja sam ci powiem, co się dzieje. Za wozem z tekstyliami dwóch walczy z Kostrupem. Oparł się plecami o koło, żeby nie zaszli go z tyłu. Trzeci wlaź pod wóz i czeka na okazję, czwarty dźga z boku pochodnią. Słyszysz? To Kostrup ciął! Riposta na kwintę, już po uchu tego z lewej... O, jak wyje z bólu! A teraz cios spod ramienia, z półobrotu! W tego pod wozem. Diabło nieprecyzyjnie! Słyszałeś zgrzyt? Ostrze ześlizgnęło się po obojczyku!...

Tu z prawej za nami kupiec Luwaks broni się z klęczek. Przecięli mu ścięgna, psubraty, —

nie może wstać! Dziabnął w wątrobę! Słabo wyszkolony, choć jak na kupca to...! Ej, wziął

maczugą przez łeb, aż wiew poszedł! Krew zalewa mu oko. Długo tak nie zdierży! Zaraz, spokojnie, woźnica idzie mu na pomoc! Z cepem! Nie, z rohatyną! Pięknie dziabnął! I hakiem od dołu, miło posłuchać! Dwóch Ramireziaków dobija toporami leżących. Tam za krzakami.

W przerwach chleją z beczułki, aż im grdyki grają! A dalej z prawej tłuszcza dorzyna zbrojnych

pachołków kupieckich. Teraz blondynek uśmiechnął się podgardlem...

— Jakże ty to widzisz w taką noc, żołnierzu? — zdumiał się Tabrys.

Nawet dla jego kocich oczu nocna sytuacja meteorologiczno—militarna była nadmiernie skomplikowana.

— Nie widzę. Wyczuwam. Po dźwięku, po wibracji powietrza, po drganiu ziemi.

Uczyli mnie sztuk walki w klasztorze Reyeban, całe dni ćwiczyłem z opaską na oczach.

Żołnierz myśli za pomocą miecza. Cios nie ma prawa chybić, bo nie znajdziesz okazji do następnego! Najważniejsze to wyczuć odpowiednią chwilę. Rozumiesz? Nie zwycięża się na wariata. Musisz mieć pod czaszką plan pola bitwy. Każdą dziurę w ziemi, na której możesz się potknąć. Każdego przeciwnika. Skąd przybiegł, gdzie stoi, dokąd zamierza odskoczyć.

Gdybym teraz wypadł z mieczem pomiędzy wozy, wiesz, co by było, cywilu? Nadziałbym się na dwóch z toporami, tam są, o parę kroków. Za plecami miałbym takiego barczystego z widłami i trzech myszkujących po wozach. A na drzewie przy drodze siedzi łucznik. Drugi konar od dołu. Senny jest, ale czuwa. Biegając z mieczem, trzy razy znalazłbym się w zasięgu światła pochodni. Łatwy strzał. A gdybym obszedł od tyłu, spłoszę konie Ramireziaków, co może usłyszeć aż siedmiu z nich. Moja Derenia jest spętana razem z nimi, córeczka, nie da się jej przywołać cichcem. Bądź cierpliwy, cywilu. Miałem starego nauczyciela Yodo, który przez dwa lata uczył mnie czekania. Tylko i wyłącznie czekania. To najtrudniejsza sztuka: umieć czekać! Nie dać się ponieść krewkości. Każdy wróg popełnia błąd, na moment traci czujność, patrzy nie w tę stronę. Trzeba wyczuć odpowiednią chwilę i uderzyć jak sokół na zająca! Jeden raz! Szybko i celnie. Ani wcześniej, ani później.

Tabrys wyteżył wzrok i słuch, ale nie potrafił rozpoznać, co działo się w ciemnościach, rozświetlanych pochodniami zalewanymi przez deszcz. Dla niego z nocy dobiegała tylko chaotyczna wrzawa i łoskot oręża, od którego włos jeżył się na głowie.

— A jeżeli oni zginą, zanim nadejdzie odpowiednia chwila?

— A jeżeli ja zginę, kiedy się wyrwę nie w porę? Uratuję ich tym?

Siedzieli w atramentowym cieniu wozu. O płótno bębnił deszcz. Nasłuchiwali.

— Już? — zapytał niecierpliwie Tabrys.

— Wszyscyście w gorącej wodzie kąpani, cywil—bando! Kiedy nadejdzie „Już”, mnie o to nie zapytasz! Będę wtedy tam, w ogniu walki, a nie pod ciepłym wozem u mamusi!

Tam, gdzie miejsce żołnierza!

Tabrys ujrzał, że koniec Festowego miecza kłoni się w kierunku łąki otoczonej na noc kręgiem kupieckich wozów. Niektóre z nich leżały teraz przewrócone, z innych towary mokre od deszczu ciągnęły się kaskadami ku ziemi jak wyprute wnętrzności. Dookoła widziało się krew i drgające

ludzkie ciała wśród trawy. Żaden z dyszli nie pokazywał już Gwiazdy Nieba, na którą Tabrys orientował je pieczołowicie wieczorem. —

— Jesteś pewien, że wciąż nie wyczuwasz tej chwili? — zapytał niespokojnie.

— Gryzłbym ziemię od dwudziestu lat, gdybym nie był pewien elementarnych rzeczy.

Ale mówiąc to, Fest uniósł się zgięty w pół, jakby szykował się do nagłego skoku.

Mięśnie łydek napięły się jak sprężyny. Tabrys ujrzał ciemny tygrysi profil wojaka na tle pomarańczowego blasku przesuwającej się pochodni i zacisnął kłykie ze zdenerwowania.

Mamrotał pod nosem modlitwę do Joachima, boga wiatrów i wzdęć. To nie był najtrafniej dobrany patron, ale inni chwilowo wywietrzeli mu ze skołatanej głowy.

Kolejna błyskawica rozdarła niebo.

— Teraz! — wrzasnął przenikliwie Fest. Wskoczył spod wozu jak z katapulty.

Rozległo się głucho stęknienie, huk, a może huk i głucho stęknienie, Tabrys nie był pewien kolejności. Tuż obok niego zważyło się w trawę zakrwawione ciało Festa.

— Kurwa, nie wyczułem chwili! — stęknął wojak. Kopał ziemię nogami. Ustami rzuciła mu się krew.

Z jego piersi sterczał potężny topór, zagłębiony między żebra aż po stylisko.

Krztuszący się od mdłości Tabrys usiłował dźwignąć jego głowę, ale wyslizgiwała się z rąk

— mokra od deszczu i krwi.

— Całkiem zapomniałem... że to u nas... rodzinne... — wyrzeźbił Fest resztką sił, z oczami zamkniętymi już na wieczność. Na jego powiekach złociły się wytatuowane himmą nieśmiertelniki Ósmego Regimentu.

— Co rodzinne? — zapytał Tabrys. — Brak wyczucia?

— Śmierć... — wyszeptał ledwie słyszalnie Fest, nim skonał.

A Tabrys nie mógł pojąć, dlaczego wokół zrobiło się nagle widno?

Widział jak w dzień.

Widział pośmiertny grymas na twarzy wojaka, który mężnie dotarł do smoczego gówna, ale do smoka i do wiecznej chwały nie dał już rady dotrzeć.

Widział lśniąca od deszczu darń, powyrywaną przez konające nogi w butach Ósmego Regimentu.

Widział swoje drżące smukłe dłonie lirnika mokre od cudzej krwi.

Czyżby z martwego ciała Festa, który padł na progu sławy, bił nieziemski blask, jaki w legendach emanuje z ciał poległych bohaterów?

Ale nie. To była tylko bandycka pochodnia.

Ten, który ją trzymał, nachylił się, żeby zajrzeć pod wóz, i Tabrys ujrzał przed sobą brodate, dziobate, na wpół ślepe oblicze jednego z młodszych braci Ramireza. Jego sine usta wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu, pokazując szerniałe opieńki zębów.

— Tuś mi się schował, koguciku!

— No i doigrałeś się! — jęknął z rezygnacją duszek w uchu śpiewaka. — Ja stąd spierdalam! Radź sobie dalej sam, skoroś taki mądry!

Z drugiej strony wozu też rozlał się po trawie i obręczach kół pomarańczowy blask pochodni. Tabrys dostał kopniaka w nerki, aż zarył twarzą w mokrą trawę. Gdzieś obok żałośnie brzdęknęła kopnięta lira.

— Raz, dwa, trzy, moje szczęście! — ryknął tubalny głos. — Zdechłeś w butach, koguciku!

## **Rozdział dwudziesty pierwszy**

*w którym żebrak Dubinek zachodzi do szulerni nie by trwonić pieniądze, lecz by je zarabiać*

Burza uspokoiła się na jakiś czas, spoza chmur wyrzwał księżyc. Żebrak Dubinek wywrócił powieki, żeby wygarnąć spod nich plastry słoninki, dzięki którym udawał ślepeca.

Popatrzył do góry, gdzie ponad niewidoczną w mroku fosą piął się w czarne niebo mur północnego skrzydła zamku, oblany księżycem. Okienko jarzyło się wysoko pod okapem, odgłosy torsji niosły się z niego w dżdżystą noc. Drugi ludzki cień, dotychczas widoczny na powale, zniknął, ale wędrujące światełko nie przesunęło się w oknach korytarza. Znaczyło to, że gość, który odwiedził smokobójcę, odszedł sekretnym przejściem.

Dubinek złożył żebracze szczudło, które służyło po fajrancie jako pałka, włożył pod sukienną czapę migeczkę na datki, żeby chroniła głowę w potrzebie, j nastawił uszu, czy nie słyszą strażników. Strasznie byli cięci na żebraków z powodu zarobków, na jakie w straży miejskiej nie ma co liczyć.

Pomiędzy domami podzamecza przeszedł jeden z lampką na kiju. Walił kołatką i dał w glinianą świstawkę, żeby oznajmić, że trwa cisza nocna. Odczekawszy, Dubinek skręcił w uliczkę ku rzece. Nocami w karczmie Małdrzyka urzędowała sławetna szulernia.

Zapukał trzy razy, tupnął, splunął przez ramię i zapukał jeszcze raz, szybciej. To był

umówiony sygnał. Nikt w środku nie usłyszał, więc Dubinek kopnął w krzywe drzwi.

Uchyliły się, rzucając smugę światła na błotnistą ulicę, która dawniej nazywała się Ochochjejuńciu, lecz od kiedy zlikwidowano tu burdel, nie nazywała się wcale.

— Czego? — zapytał mężczyzna trzymający woskową świecę ponad głową.

— Jeż już żre — podał hasło Dubinek.

— Że co? — Nie dosłyszał ten ze świecą.

— Żer jur że — powtórzył Dubinek, po czym poprawił się: — Rusz żesz je!

Mężczyzna za progiem wepchnął język pod górną wargę i zastanowił się. Żółtawy blask świecy pełgał po jego tępej, nieogolonej twarzy.

— Mamrotasz, Dubinek, że gdybym sam nie znał hasła, nie wlaźłbyś! Czego?

— To nie wymyślaj głupich haseł, Małdrzyk! — odciął się Dubinek, wchodząc do wnętrza. — „Koza śpiewa!” Żle? I wymówić się da, i też o zwierzaku. Czemu takiego nie dasz?

— Specjalnie. Na uchlanych — wyjaśnił Małdrzyk, odstawiając świeczkę w żelazny lichtarz na ścianie.

— Same z nimi kłopoty! Awanturują się o sztony, szcza w kubki do kości i jeszcze szczęście mają w grze. Morowe powietrze z nimi! Uchlany nie wymówi jeża za skarby świata.

— No to nie „koza śpiewa”, tylko „koza rży”. Też trudne.

— Trudne, nietrudne. Więcej durne, bo koza nie rży.

— Reż tesz nie rje — odciął się Dubinek i zaraz poprawił: — Też żesz nie rżnie!...

Psiakrew, szukam Hufnala Bezpardonowego! Jest tu?

— Gdzie indziej ma być? — Małdrzyk pokazał głową w odpowiednim kierunku. — A jeż na pewno żre! Zostaw mu jabłko na noc, rano ani ogryzka nie znajdziesz. Na kolcach je nosi i żre. Mogę się z tobą założyć! O co?

— Nie zawracaj dupy zakładami, Małdrzyk! — zachnął się Dubinek. — Nie przychodzę do twojej speluny, żeby się hazardować jak reszta!

Nie przychodził po to, jednakże bywał u Małdrzyka często. Ci, którzy płacili mu za informacje, zwykle tutaj spędzali czas. Hazard wciąga. Co innego możesz robić w zapyziałym grodzie, gdzie ledwie na jednym końcu fajkę wytrząsniesz w słomę, już na drugim szaleje pożar? Możesz pić w karczmie albo modlić się w kościele, jednak mając większe aspiracje i jaki taki potencjał intelektualny — musisz wylądować w szulerni.

W pierwszym pomieszczeniu, do którego wszedł Dubinek, cuchnęło czymś zjełczałym. Hazardowali



się tu robotnicy manufaktur, pośledni mieszczenie, chłopci nocujący w obrębie murów. Odbijali monetę o ścianę, obstawiając, czy Walisław, czy reszka, rzucali kości, czasem przynosili żyłaste koguty i puszczali je do walki zaopatrzone w drucziane ostrogi. Zwyczajnie w soboty, żeby wykorzystać ptaszyska, zanim pójdą na niedzielny rosół.

Główna izba hazardowa u Małdrzyka mieściła się w piwnicy. Schodziło się do niej po drabinie przez klapę w podłodze.

Na ścianach płonęły tam nowoczesne lampki oliwne, rzucające delikatne światło na dębowe sprzęty i szklane naczynia. Pachniało dobrym tytoniem, lekkim gronowym winem, a stawka szła o poważne pieniądze.

Na wydzielonej części podłogi namazano kredą ośmioramienną gwiazdę. Sfałdowana zasłonka tworzyła wokół niej obszerny tubus od podłogi do niskich belek sufitu. Naprzeciw stał fotel, w którym zasiadał starzec w długiej szacie. Oczy miał przewiązane chustką w gwiazdki. Był to czarodziej Marvin, ongiś słynny od Mundyjskich Gór do Podziemnego Morza. Skutkiem przejść rodzinnych popadł w alkoholizm, przesadził z halucynogennymi grzybkami i teraz, zupełnie podupały, najmował się do najgorszych posług.

Za jego plecami, w boksach wyposażonych w ruchome pulpity, stali gracze. Dubinek znał ich, choć nie wszystkich dostrzegał teraz w półmroku. Najbliższy niego, Jamary, wąsał o grubym karku i obrośniętych dłoniach, był właścicielem młyna na podzamczu.

— Hufnal gdzie, kolego? — zagadnął go szeptem Dubinek.

W szulerni wszyscy byli sobie równi. Jeśli znali hasło. Jak wszędzie.

— Ciiiiichchhajjj! — uciszył go przeciągle Jamary, nie odrywając wzroku od zasłonki na środku izby. — Nie przeszkadzaj teraz, kolego! Kolega Hufnal trzyma bank!

W spoconych paluchach, porośniętych czarną szczecina, Jamary obracał malowaną kartę, na której widniał pustynny żabon o błoniastych skrzydłach.

Dubinek mimo woli poczuł dreszcz emocji.

— Koniec obstawiania, panowie! — uniósł trzciniową pałeczkę Przewodnik Gry, ubrany w szamerowaną liberię. — *Non, je ne regrette rien!*

Włożył pałeczkę w starczą dłoń drzemiącego w fotelu Marvina i płaskim ruchem ręki uderzył go w obnażoną czaszkę. Rozległo się kłaśnięcie, głowa przebudzonego czarodzieja odskoczyła, obróciła się w lewo i w prawo ze ślepą dezorientacją.

— Dawaj, dziadku! — szepnął mu do ucha Przewodnik.

Siny, giętki jak wąż język Marvina wysunął się z szarej brody, oddech starca poruszył

zwisający na nos rozek chustki zasłaniającej oczy. Dały się słyszeć mamrotane półprzytomnie

zakłęcia. Przez dłuższą chwilę nie działały, aż nagle kłęby dymu spowiły zasłonę na środku izby, jakby ktoś je wydmuchnął spod podłogi.

Przewodnik Gry pociągnął za sznurek, rozsuwając zieloną kotarę raptownym ruchem.

— Goblin! — wrzasnął radośnie tęgi gracz, w którym Dubinek rozpoznał hrabiego Zegza, tego, co wygrał tytuł obstawiając tryplę w turnieju końskim. — Wiedziałem, że będzie goblin! Moja trafna! Trzy do jednego!

Na kredowej gwieździe stała na przygiętych kolanach brunatna kreatura, obwieszona fałdami tłuszczu i skóry. Mrużyła kaprawe oczy przed światłem. Rzadkie kudły na czaszce zdawały się przeplancowane z wieloletniego nieboszczyka, krzywe zębiska otaczały fioletową, bezwargą jamę ust. Głowa stwora trzęsła się starczo, łapy o szpiczastych paznokciach tarły o uda, aż skóra chrzęściła.

— Gdzie ty widzisz goblina, kolego Zegza? — zapytał flegmatycznie stary Monsun, najwytrawniejszy hazardzista z zebranych. Czym się trudnił, nikt niewiedział, ale miał z tego sporo grosza. — Toż to zwykły kolega troll.

— Troll? Jak to troll? — zaperzył się Zegza. — Taki brązowy troll?

— Bo niedomyty.

Zegza rozejrzał się po pozostałych graczach, czy któryś nie przyjdzie mu z odsieczą.

— Goblin! — warknął w końcu osamotniony. — Marvin by pod siebie narobił z wysiłku, nim by trolla wyczarował! Nie widzicie, że goblin? Najbardziej goblinowaty goblin, jakiego w życiu widziałem! Te uszy sterczące, to dupsko wypięte!

— Może kolega czarodziej rozpozna? — zapytał z mrocznego kąta nowicjusz, elegant z koronkową chusteczką przy nosie. Dla nieprzywykłych stwór stojący na kredowej gwieździe zdrowo cuchnął.

— Bogać tam! Bo to raz pytalim? Nie ma sensu! Marvin od dawien dawna nie wie, co robi. Jeszcze pijany w pień jak teraz, to siebie samego nie rozpozna, gdyby mu zwierciadło pod pysk podstawić — obruszył się medyk Bryka. — *Spiritus tremens!* Jeśli to kolega troll, w najlepszym razie udał mu się niechcący, bo chcący by nie dał rady.

— Wij, gryf, mantikora, te mu wychodzą, ale nie troll — poparł Zegzę królewski minister Mantija. — Tunel by mu nakazać do wykopania! Gobliny są do tuneli sposobne. Po tym byśmy się zorientowali.

— Śmierdzi jak wij — orzekł Bryka.

— Moment, koledzy! — Przewodnik Gry uniósł palec, wertując tomiszcze z drzeworytami. — Ewidentnie mamy do czynienia z koleżanką bakszichą, odmianą wampira dziennego!

— Goblin! — wrzasnął Zegza i podniósł swoją kartę, na której namalowano stwora pełnego

zmarszczek, brodawek i zębów. — Co obstawiałem? Goblina! To goblin! Trzy do jednego! Nie wyjdę stąd bez sztonów!

— Może jego zapytać? — podsunął Dubinek. — Przecież gobliny są mowne.

— Protest! — wyskoczył ze swojego boksu Zegza, łomocząc pulpitem. — Nie ma zgody! Gobliny są kłamliwe! Poświadczy na moją niekorzyść! Protest!

— Więc powtórzmy partię — zaproponował Przewodnik Gry.

— Dlaczego mamy ją powtarzać, kiedy to goblin? — spurpurowiał ze złości Zegza.

— Troll — powtórzył Monsun z kamienną twarzą pokerzysty. — Tylko niewydarzony. Czegoście spodziewali się po Marvinie? Jaki czarodziej, takie czary.

— Niemniej, szanowny kolego — obraził się Przewodnik Gry — jedynie taki czarodziej pozwala utrzymać hazardowy charakter rozgrywki, czyż nie? Ponieważ przy obecnym rozpulchnieniu mózgu kolega Marvin sam nie jest w stanie przewidzieć, co mu wyjdzie, nie ma uczciwszej gry w tym mieście.

— Ja powiadam: powtórzyć! — zgodził się książę Euryper, dotychczas milczący z magnacką wyniosłością i czyszczący paznokcie kozikiem.

— A co jaśnie kolega obstawiał? — zainteresował się z jadem w głosie Zegza.

— Ach, nie pamiętam już. Bodajże któreś z błotnych.

— Niech kolega pan raczy zerknąć.

Książę rozszerzył obrażone nozdrza i odwrócił kartę leżącą przed nim koszulką do góry. Od niechcenia zaprezentował ją zebrany, wzięwszy pomiędzy palec wskazujący i środkowy.

— Mówiłem — rzekł z nonszalancją. — Kolega wilkołak.

— Czyżby błotny wilkołak? A gdzie one istnieją, biedactwa? Też bym chciał powtarzać rozgrywkę, gdybym takie niedorzeczne dziwo obstawił!

Książę wysunął wargę, czym w jego rodzie zwykło się okazywać lekceważenie.

— Jeśli nie macie ochoty na repetycję, koledzy, wasze prawo. W każdym razie nie będę asystował przy tej śmiesznie nierozstrzygniętej sytuacji. Mam *rendez-vous* na *garden party*.

Od strony fotela czarodzieja rozległo się podobne do gwizdu chrapanie.

Przewodnik Gry odwrócił się z przerażeniem, upuszczając na podłogę księgę drzeworytów. Gracze zamarli na miejscach, wtulając głowy w ramiona.

— Psiamać, Marvin zasnął! — szepnął ze strachem Jam ary.

Stwór na kredowej gwieździe dygotał od stop do głów, jakby przyklejono mu podeszwy do rozpalonej blachy. Kłęby dymu uniosły się ku sufitowi, rozległ się tęgi huk, płomyki lampek położyły się jak dmuchnięte. Z zieleniejącego oparu wyrzuciło na środek izby Hufnala, który tego wieczoru trzymał bank.

W myśl reguł jako bankier podlegał za zasłonką metamorfozom, aż gracze skusili dwukrotnie. Wtedy mógł oddać bank losowo wybranemu zmiennikowi.

Wytaczając się z dymów, był nagi jak noworodek. Z nosa broczył śluzowatą, krwistą substancją, jego stawy pokrywały ciemniejące w oczach krwiaki.

Nagłe wyjście z metamorfozy bywało śmiertelnie groźne.

— Czy nic się nie stało, och, czy nic się nie stało? — trajkotał wystraszony Przewodnik Gry, podbiegając do leżącego na deskach Hufnala. — Nigdy sobie nie wybaczę, jeżeli coś się stało! Ale nic się nie stało, nieprawdaż? Monsieur kolego Hufnal, nic? Proszę mnie uspokoić! Tysiąc gier, tysiąc gier i ani jednego wypadku, proszę mi wierzyć. Co za okropny wieczór! Czy nie boli?

Podtrzymywany pod łokcie Hufnal podniósł się na nogi i wytrząsnął uszy, jakby wyszedł z wody. W czasie słyszał brzęczący ul, ba, całą pasiekę.

— Czyście na łby się pomieniali? — spytał basem, choć wcześniej mówił tenorem. —

Co za buda chędo—żona! Myślałem, że mnie na kozie bobki poroztrzasa!

— Małe nieporozumienie, złośliwiec Marvin cichcem zasnął! Ale już dobrze! —

zatrzepotał dłońmi Przewodnik, obtańcowując Hufnala z bladym uśmiechem. — Już dobrze!

— Niekoniecznie — zaprotestował Zegża. — Chcę wiedzieć, co z goblinem?

— Z trollem, czemu nie da się już zaprzeczyć — zawyrokował Monsun. — Proponuję ugodę, Zegża. Przyznam, że to goblin, a ty nie skasujesz ode mnie wygranej.

Stary Monsun jest naprawdę najlepszym hazardzistą w mieście, pomyślał z uznaniem Dubinek. Kiwnął dyskretnie na Hufnala, którego owinięto ścierką, a medyk Bryka nacierał mu siniaki białkiem z kurzych jaj. Innego medykamentu nie było pod ręką.

Hufnal podszedł, utykając. Trzymał się z tyłu za krzyże, ale na słowa Dubinka wyciągnął się niby struna, a w oczach błysnął mu ogień nienawiści.

— Co?! Powtórz!

— Smokobójca zaakceptował warunki.

Hufnal wziął Dubinka pod ramię żelaznym chwytem, rozejrzał się czujnie po izbie, gdzie obecni skupili się wokół Zegży i Monsuna. Pociągnął rozmówcę w najciemniejszy kąt.

— Nie pierdzielisz aby? Skąd o tym wiesz?

— Mam oczy i zdrowy pomysłunek — wyjaśnił z godnością Dubinek. — Bogacze mogą sobie pozwolić na pierdzielenie do woli. My, żebracy, nie.

## Rozdział dwudziesty drugi

*w którym poznajemy dalsze przygody Deyerpotha na obczyźnie* Po przebyciu niektórych portali równoległych czas płynie według krzywej Gusjewa, toteż Deyerpoth siedział już drugi tydzień w klatce moskiewskiego zoo, choć w okolicach miasta Foksterier trwała ta sama noc.

Rozmyślał nad podkopem, jadł liście, usiłował zaobserwować, na jakiej zasadzie działa kłódka przy kracie. Poznawał miejscowe obyczaje. Popularne było salutowanie, masowe pieśni, bezgraniczna radość oraz czarna rozpacz. Psychologiczne stany pośrednie właściwie nie występowały. Panowała nuda, zwierzęta karmiono kaszką manną, nawet mięsożernym próbowano ją wmuszać przy pomocy elektrycznych karmideł. Najwyżej dwa popołudnia dało się uznać za ciekawsze. Nad Moskwą przefruwały w te dni odkarmione mięsem smoki z gwiazdami, szturmówka—mi, transparentami w pyskach. Wykonywały karkołomne ewolucje pod chmurami typu cumulus, a ludzie na ziemi bili brawo, stojąc w kolejkach do sklepów monopolowych i warzywniaków.

Deyerpoth cierpiał, lecz nie tracił ducha. Był pewien, że gdy szybko nie powróci na

„Nomada”, wierny Huehue użyje bambusowego ludzika. Postraszony mag prędzej czy później otworzy portal powrotny O, słodka zemsto! Nigdy jeszcze mężczyzna nie zrobił z mężczyzną tego, co robi Deyerpoth z Teleportasem Śnieżnobiałym, gdy tylko pozbędzie się przekłętą listka spomiędzy nóg.

Niestety, nie przewidział perfidii solarystów. Pewnego niedzielnego popołudnia, gdy głośniki w alejkach grały pieśń „Suliko”, w narożniku klatki istotnie otworzyła się jasna czeluść portalu — ale wypadł z niej tylko Huehue. Bez bambusowej kukielki. Tę porwały inne wektory czasu i przestrzeni.

Deyerpoth ostatecznie utracił panowanie nad magiem. Wszystko przepadło.

Wyładował wściekłość na słudze. Tłukł pięściami jego czarny kark, aż huczało.

Huehue uciekał po klatce na czworakach, plując krwią z odbitych płuc.

Kilkanaście zaciekawionych osób zatrzymało się w alejce obsadzonej krzakami bzu.

Jedli lody na patyku albo cukrową watę. Tęga kobieta w białym czepku z gumką, obsługująca saturator, sprzedawała wodę z malinowym sokiem. Urzędnik w tużurku stał bez ruchu i pocił

się intensywnie. Mężczyzna w wąskich spodniach i żółtej marynarce w kratę pstrykał zdjęcia jak szalony.

Zbliżył się do niego umundurowany strażnik, służbiście poprawiając zwisającego z ramienia mosina. Wskazał tabliczkę z przekreślonym aparatem fotograficznym.

— Pozwolenie macie, towarzyszu? Nie widzicie zakazu Komsowdatu? Komu zamierzacie pokazywać nasze ludowe zwierzęta?

— Maj God! — odparł zapytany. — Ja mam wasza akredytacja u mnie dla „Nju Jork Dragon”. To bycie wielki sensejszyn! U was bijom Murzinów!

Strażnik ustawił się tak, by przesłonić swą osobą klatkę z Deyerpothem okładającym kułakami czarnoskórego Huehuego. Odgrodzić ją od imperialistycznego obiektywu.

— Kłamstwo! — zaprotestował godnie. — To w waszej Ameryce biją Murzynów!

Uśmiechnięty amerykański korespondent wskazał palcem.

— A to co bić takiego?

— To bić... to jest... prowokacja! W tej klatce otumaniony kapitalistyczną propagandą czarnoskóry Murzyn bije naszego zasłużonego towarzysza! —Strażnik odwrócił

się i wrzasnął do Deyerpotha: —Nie dajcie się, towarzyszu! Kibicuje wam cała postępową ludzkość. Zostaniecie zrehabilitowani i wypuszczeni na wolność!

Deyerpoth nie zrozumiał z przemowy ani słowa, ale wojownicze gesty strażnika sprawiły, że na wszelki wypadek pociągnął za sobą Huehuego w głąb otwartego portalu.

Gdy w mgnieniu oka obaj znikli w przepastnej jaskrawości, oszołomiony strażnik odwrócił się do korespondenta.

— Nie mówiłem? — zapewnił bez przekonania. —Oddajcie kliszę z filmem po dobroci! To były tylko wasze wymysły wyssane z brudnego amerykańskiego palucha! Proszę rozejść się, towarzysze! Wstyd, doprawdy! Cóż to za atrakcja przyglądać się pustej klatce, w której nikt nie bije Murzyna?

Portal pozbawiony magicznego dozoru wypluł Deyerpotha i Huehuego wysoko ponad falami oceanu. Była zimna noc, w stopy ziębiła ich blacha bocianiego gniazda, daleko pod nimi płonęły światła wielkiego transatlantyku odbijające się w czarnej wodzie. W balowej sali orkiestra grała walce wiedeńskie.

Huehue spadł ongiś z masztu „Nomada” i nabawił się urazu. Może dlatego na podniebnych wysokościach, w dojmującym chłdzie, pośród nieprawdopodobnych obrazów i dźwięków, oszalał. A może nie chciał uznać w gołej zziębniętej kobiecie swojego bezlitosnego pana? W każdym razie stracił panowanie nad sobą. Brutalnie zgwałcił

Deyerpotha na oczach osłupiałego marynarzyka, który przyciśnięty do barierki stał z wypiekami na policzkach w swoim płaszczu na watolinie i w czapce ze wstążeczką. Na jej otoku tlił się w mdłym świetle gwiazd napis: „Titanic”.

Kiedy oczadziały od nienawiści Deyerpoth rzucił się w otchłań portalu śladem uciekającego Huehuego, marynarz długo nie mógł przyjść do siebie. Jego członki dygotały jak w gorączce, oczy zachodziły mgłą, usmarkał się, stracił czucie w górnej wardze. O wiele za późno zdał sobie sprawę z nadchodzącego niebezpieczeństwa.

— Lodowy smok na kursie! — wrzasnął w tubę komunikacyjną.

Trzykrotny gong dzwonu alarmowego dotarł także do smoka.

Ogromny stwór szybował ponad powierzchnią oceanu w głuchej ciszy. Czarny cień rozłożonych skrzydeł przesłaniał odbite w wodzie gwiazdy. Skórę pokrywał lód pływających gór, w których gad wytapiał sobie gniazda ziejąc ogniem. Nie zdążył wyminąć kadłuba, gdy ten wyrósł tuż przed nim w ciemności.

Skulił skrzydło, chowając je pod wodę, ale to nie wystarczyło. Przerażliwy zgrzyt rozdarł nocną ciszę. Obludzona krawędź skrzydła pruła grodz za grodzią poniżej linii zanurzenia.

Statek trząsł się w posadach, pękały kolorowe żarówki na wantach, wyła syrena alarmowa.

Kiedy smok zamaszystym ruchem skrzydeł odbił się od wody, żeby wzlecieć w czarne niebo, transatlantyk z wolna pogrążał się dziobem w toń. Wiatr niósł ponad falami paniczne krzyki pasażerów, liny rwały się pod ciężarem szalup ratunkowych, mężna orkiestra nieprzerwanie grała wiedeńskie walce.

Wściekły Deyerpoth gonił w tym czasie Huehuego przez tropikalny ogród zarosły cudowną roślinnością. Ptaki nie uciekały na jego widok, dzikie zwierzęta łąsiły się do nóg.

Ludzi nie spotykał. Dopiero nad kryształowym źródłem ujrzał atletycznie zbudowanego mężczyznę, który tak jak pirat za jedyny strój miał liść pomiędzy nogami.

Akurat szukał żony.

Dalsza historia tego związku została szczegółowo opisana gdzie indziej, dość powiedzieć, że wykorzystując jedną z poobiednich drzemek męża, któremu urodził dzieci o imionach Kain i Abel — a z nich pierwszy bardziej wdał się w matkę, drugi w ojca —

Deyerpoth skoczył głową naprzód do cudem odnalezionego portalu i zgodnie z krzywą Gusjewa wypatrzył Huehuego na piaszczystych równinach planety z podwójnym układem gwiazdowym, podczas gdy w Foksterierze trwała wciąż ta sama noc.

Po traumatycznych przejściach, jakich doświadczył w trakcie tułaczki, bezlitosny pirat był już innym człowiekiem. Przede wszystkim miał włosy blond i lekko utykał na lewą nogę, a co do charakteru — stał się naturą kontemplacyjną, rozumiejącą świat, choć nie opuściły go bez reszty dawne prymitywne porywy. Na przykład myślał sobie nieraz, że jeżeli w końcu dopadnie gdzieś Huehuego, Teleportasa Śnieżnobiałego lub Tabrysa, to najpierw ich zarżnie jak dzikie świnię, owszem, ale potem im jednak przebaczy.

Nosił obecnie na grzbiecie kimono i katanę, ukradzione przy tranzycie przez jedną ze wschodnich krain alternatywnego świata. Podobno któreś z tych rzeczy nie nosiło się na plecach, ale nie wiedział, której?

Na planecie z podwójnym układem gwiazdowym jedno słońce akurat zachodziło, a drugie wschodziło i sprzeczny ruch cieni powodował, że człowiek czuł się jak pijany. Toteż Deyerpoth nie był zaskoczony, gdy na horyzoncie pojawił się nieskończony szereg uzbrojonych postaci podobnych do przerośniętych kukiełek. Zrozumiałe deliryczna wizja.

Byli to szurmowcy. W swoich białych strojach wyroili się w takiej ilości, jakby przez pustynię gnała śnieżna zawieja. To rodziło szanse na szybkie odnalezienie Huehuego, który kontrastowałby kolorem z tą masą. Dotychczas Deyerpoth wypatrył tylko odcisk jego siedmiopalczastej stopy na piasku.

Od strony maszerujących oddziałów dochodziła kanonada. Szurmowały pod ostrzałem w stronę gigantycznej budowli na przeciwległym krańcu równiny. Bazaltowy gmach przypominał przewróconego do góry nogami smoka. Na wewnętrznych stronach skrzydeł pobudowano tarasowe ogrody, brama mieściła się w pysku, dwie wielkie wieże przypominały wyprężone ku niebu łapy. Leciąły z nich świetliste pociski, mierzone w oddziały szurmowców. Długie kolorowe smugi krzyżowały się pomiędzy ziemią a niebem.

Im bliżej, tym atak stawał się zacieklejszy. Pośród szurmowców wyrastały maszyny kroczące, ponad ich maszerującymi szeregami unosiły się pojazdy obłąknicze zaopatrzone w laserowe drabiny.

Opodal Deyerpotha zza wydmy wysunął się cień.

Zgrzytając i grzechocząc, wyszedł śladem cienia chudziutki blaszany smok z lampką na czole, nie wyższy od człowieka. Obok niego sunął na kółkach jakby pojemnik na śmieci z przykrywką. Też migotał światełkami.

— Witam cię, istoto. To mój tłumacz — odezwał się pojemnik. — Nie stój tu, bo cię zanihilują! Za horyzontem siedzi wielki bóg Luca Sfina Lcut i nie lubi wścibskich żółtków w niemodnych kimonach. Zapraszam w gościnę.

— Mieszkasz na pustyni? — Deyerpoth zwrócił się do pojemnika na śmieci z wahaniem, ponieważ nie był nawet pewien, czy stoją przodem do siebie.

— Nie on. Ja tu mieszkam. On u mnie służy — odpowiedział pojemnik.

Deyerpoth zrozumiał, że pojemnik tłumaczy na jego język słowa, które tak naprawdę wypowiada chudy blaszany smok. Przyjął jego zaproszenie.

Kilkanaście wydym dalej, w świecie przywiedlnym, rozłożyła się wśród piasków oaza zielonego ogródka, pełna kwitnących krzewów i drzew, porośnięta soczystą trawą jak dywanem w kwiatki, ogrodzona niziutkim białym płotkiem z gęsto ustawionych sztachet.

Pośród zarośli brzęczały pszczoły, mieniły się tęczowe skrzydła motyli. W centrum ogródka stał śliczny domek ze spadzistym dachem krytym jasno—czerwoną dachówką, z mnóstwem



mansardowych okien i wieżyczek. Wchodziło się do niego przez niskie drzwi z kolorowymi szybami. We wnętrzu stały jasne mebelki, biała pianola, na oknach wisiały zasłony w różowe słoniki, na ścianach zaś obrazki przedstawiające szarlotkę albo placek ze śliwkami.

Nad domkiem świeciło już pojedyncze słońce, żółciutkie i słodziutkie jak cukierek. Wesóło ślizgało się po czysto zamiecionej podłodze z desek wypastowanych pachnącą orzechową pastą.

— Jesteśmy szczęśliwymi zabawkami — rzekł uśmiechnięty smok, stawiając przed Deyerpothem kubek z parującym mlekiem i spodeczek z miodem. — Stworzył nas wielki bóg Luca Sfina Lcut, panujący za górami, za lasami na swym składanym tronie. Wszystko tu jest szczęśliwe, a my pilnujemy granicy świata. Tam jest już smutny świat.

Pokazał palcem przez okno. W dali Deyerpoth widział czarne pasma szos, linie trakcji elektrycznej, nieczytelne z tej odległości billboardy na poboczach.

— Ktokolwiek tutaj zawędruje — dokończył smok — zostanie zamieniony przez boga Luce Sfinę Lcuta w szczęśliwą zabawkę. Wystarczy, że przekroczy linię błogostanu. O, popatrz tylko!

Znów wskazał palcem za okno, poza biały płótek ogródka.

Od strony szosy nadchodziła staruszka, zgięta w pół pod brzemieniem wiązki chrustu.

Przekroczyła ledwie widoczną kreskę, wyżłobioną patykiem w piasku, wokół niej poderwał się kłęb żółtego pyłu — i po drugiej stronie wynurzyła się jako bojowiec w hełmie i w pelerynie. Chrust przybrał kształt świetlistego miecza o ostrzu z błękitnego promienia. W

przejrzystym słonecznym powietrzu wibrował perlisty śmiech staruszki.

— Już jest szczęśliwą zabawką. Ciebie też tamtędy poprowadzę — obiecał

uśmiechnięty smok za pomocą gadającego pojemnika na śmieci. — Każdy chciałby być zabawką, co? Zabawki rodzą się do zabawy i żyją bez trosk. Właściwie nie ma o czym opowiadać. O nieszczęściu można mówić i mówić, a o szczęściu najlepiej się milczy.

Doświadcza się go. Nie warto rozkręcać śrubek. Mieszkamy tu sobie bezgranicznie szczęśliwi. Ja, blaszany świerszcz za kominem, strażacki samochód, włochata przytulanka, ołowiany żołnierz. Smutne przeżycia także nam się zdarzają, owszem, nie jesteśmy wszak bezduszni. Na przykład śmierć. Tę taką strasznie złą chwilą, kiedy nie można się bawić. Nie lubimy śmierci. Ale potem znowu jesteśmy szczęśliwi i bawimy się jak szaleni. Prawda, że życie to zabawna rzecz?

Za oknem ponad krzewami słodkich jeżyn powoli sunął portal. Pulsował łagodną poświatą, co świadczyło, że niedawno Huehue z niego skorzystał!

Deyerpoth zerwał się od stołu, wylewając mleko.

— Nie uciekaj — powstrzymał go smok. — Zaraz będziesz szczęśliwy.

— Nigdy! Póki nie zarżnę Huehuego!

— Zobaczysz, że będziesz! — zapewnił pojemnik na śmieci swoim blaszanym głosem.

Z zakamarków mieszkania wyskoczyły stworki ołowiane, pluszowe, gumowe, brzęczące sprężynami lub zgrzytające kluczykami wetkniętymi w plecy. Wspólnymi siłami błyskawicznie przykrępowwały Deyerpotha do białego krzeselka wyściełanego miękką gąbką, a krzeselko przybiły do podłogi. Pirat nie wył wniebogłosy tylko dlatego, że mały pluszowy kangurek w pluszowym cylinderku wlaźł mu w usta jako knebel.

Przed Deyerpothem ustawiono skrzynkę na nóżkach, w której zmieniały się obrazy i dźwięki, a on się jej na razie bał. Na stoliku obok ustawiono chrupki i puszkę napoju energetyzującego, ale ani z jednego, ani z drugiego nie mógł skorzystać z powodu pluszaka w gębie.

— Teraz proszę! — zachęcił blaszany smok.

— Uhbmhbmhb?! — zabełkotał Deyerpoth.

— Co proszę, w pupę—blachę mać?! — przetłumaczył bezbłędnie pojemnik na śmieci.

— Teraz proszę, bądź szczęśliwy! — uściślił smok, wesoło mrugając lampką na czole.

## **Rozdział dwudziesty trzeci**

*który jest rycerski —nic dodać, nic ująć*

Już macając łóżko dwoma palcami, Walek nie mógł nadziwić się jego miękkości. Gdy położył się na nim w koszuli do pięt i w szlafmocy, zapadł się po czubek nosa w ciepłe puchy.

Lokajczyk zawczasu wygrzał pierzynę gorącą cegłą. Wcześniej uprzątnął stół, przygotował

dzbanek z wodą na wypadek pragnienia, nocnik wsunął pod łóżko na wypadek, gdyby woda zadziałała, pomógł rozebrać się do snu, pogasił światła i wyszedł na palcach.

Walek został sam w ciemnościach pełnych odgłosów i zapachów, jakich nie uświadczysz w Psiej Wólce. Trzeszczały meble, woniała macierzanka i pasta do posadzek, deszcz znów bębnił w okno. Burza wróciła i błyskawice wypełniały Komnatę Uciętych Łbów jaskrawym światłem. W jego blasku pyski na ścianach zdawały się rozdziawiać.

Wałkowi przyśniło się, że frunie nad rodzinną wsią. Na dole królewska córa, stojąc przed chałupą z widłami do rozrzucania gnoju, macha mu rączką jak rycerzowi. Rycerz ma hełm z piórami i postać czarną jak ze szerniałego srebra. Rysuje się za Wałkiem na błękitnym niebie ogromniejszy od góry. Czyli że są teraz we śnie we dwóch! Jakby się rozdziwiła Tamten drugi dobywa miecza i dźga nim szyję swojego bliźniaka.

To zimne ukłucie pod grdyką obudziło Walka.

Błysk rozświetlił okno i na ścianie zarysował się czarnym cieniem rycerz ze snu.

— Wyłaż spod pierzyn, chamie! — ryknął na jawie. Jego głos dudnił w środku blaszanego hełmu jak w studni.

Walek posłusznie odrzucił pierzynę, choć było mu wstyd, że umrze jak cudak. W

babskiej koszuli i w czapce do spania. A najgorzej, że nie wiedział, dlaczego umrze?

Ale kto to kiedy wie, pocieszył się melancholijnie.

Rycerz rozdmuchał żar w kominku i szczapką rozniecił światło na ścianach. Walek ujrzał go w całej okazałości. Spod hełmu wyjrzała okrutna twarz ozdobiona wąsem zwisającym na usta. Miecza nie schował. Rozluźnił tylko zapinki przy nabiodrnikowych taszkach, jakby go urażały. Siadając na krześle, stęknął.

— Wiesz, ktom ja?

— A jakże. Rycerz — odpowiedział Walek. Tamten odpiął blaszaną rękawicę, rzucił ją niedbale na podłogę. Obok drugą.

— Rycerz! — powtórzył szyderczo. — Może tyle wystarcza w twoim grajdole chędożonym, ale nie w zamku! Tu każdy rycerz jest osobny. Ma swoje miano, herb, zawołanie, przydomek, klejnot, barwę. Jam jest Hufhal z Rżnąszyc zwany Bez Pardonu, herbu Lajkonik z bakaliami na złotym polu, zawołaniem: „Aija—ja!”, co po naszymu się wyklada: „O żesz!” Tyle ci wystarczy wiedzieć, chamie! Ciebie wołają jakimś imieniem czy aby: „Chodź no”?

— Walek mi dali — pochwalił się Walek.

— Walek? Jak sralek! Będę na ciebie wołał: „Chamie”, żeby ci się we łbie nie przewróciło od zaszczytu. Albowiem chamem parcianym jesteś i będziesz, zapamiętaj. Wino masz?

— Zostawili mi tylko wodę.

— I tyle to zbytek łaski dla ciebie. Daj no jej! Nie do picia, za pancerz muszę wlać, bo mnie gorączka rozbiera. Bolesne turbacje miałem u Małdrzyka. Podupada jego buda, oj, podupada! W łóżku z okładami z tłuczonej surowizny powinienem się wylegiwać, a nie do ciebie po nocy się fatygować, chamie! Oj, zapłacisz mi za to!

Wziął od Walka dzban z wodą i strumyczkiem wlał sobie za blaszany kołnierz dobre pół kwarty. Blacha syknęła, puściła od środka parę, która uszła szczelinami. Pod rycerzem utworzyła się na podłodze kałuża, w której odbijał się jego blaszany zadek szerszy od krzesła.

— Smokobójcą, powiadasz, jesteś? — obrzucił Walka krytycznym spojrzeniem. —

Smoka chcesz ubić? A w pełnej zbroi na konia wsiedziesz czy trzeba cię będzie na linach wciągać,

jak tych longbardzkich mydlków, co im od razu na plecowej blasze kowale kołowrotki przyspawują? Nogi się *pod* tobą ugną od ciężaru, mordą w dziedziniec wyrzujesz i skończy się smokobicie! Ale mnie to ani ziębi, ani parzy! Wiesz, po com przyszedł?

— Ani trochę — przyznał się Walek.

— Widzisz go! Taki mądrała ze wsi najmądrzejszy, z samym królem konferuje po nocy, a nie wie, po com przyszedł. Tak to bywa z chamstwem! Kiedyś się z wami wszystkimi porządek zrobi, ale na razie z tobą jednym! Jaką to nagrodą cię podkusili do smokobicia?

— Połową królestwa i ręką... — zaczął Walek, lecz nie dokończył.

Rycerz poderwał się z krzesła, brzęcząc i chlupiąc na całą komnatę. Dopadł Walka, pochylił się nad nim, parszkając przez nos z wściekłości.

— Ni słowa, chamie chędożony! Ni słowa! — wrzasnął z furją. — Zdradziłeś się! Po tom właśnie przybył tutaj! Mam cię! Wiedz, że miłujemy się z córą królewską, chamie, jako dwa gołąbki, a ty w paradę ważysz się nam wchodzić?! Po coś na czwartego tam, gdzie aby my we dwoje i królewski posag?! Pasy z ciebie każę drzeć! Końmi rwać! Kołem łamać!

Szaleju się objadłeś, chamie, żeby projektować gałgań—stwo, jakiego świat nie widział?

— To król, nie ja! — wyszeptał przerażony Walek. — On tak uradził!

Rycerz otarł pot z czoła i stęknął. Ciepło biło od niego jak od pieca chlebowego.

— Król jegomość nie jest świadom naszego afektu, co prawda, to prawda — zgodził się wspaniałomyślnie.

Ochłodził dłoń w dzbanku, zanim znów ucapił Walka pod gardło. Parsknął przez nos.

— Aleś ty, chamie, wykorzystał jego niewiedzę! Psom bym cię rzucił jeszcze dzisiejszej nocy, gdybym miał pewność, że mi się nie strują!

— Ja też nic nie wiedziałem o waszym afekcie! Tak jak i król!

— Zaraza cię tam wie! Ucięcie łba nas pogodzi! —zadecydował rycerz.

Uniół nad Walkiem miecz, ale przy zamachu stęknął i krzyżowa rękojeść wypadła mu z dłoni. Brzęknęła o posadzkę, jakby w kuchni rondle pospadały z haczyków.

— Ścierwa stawy moje chędożone! Przeguby zafajdane moje! — zaciętrzewił się Hufnal. — Godzina już, jakem wyszedł od oszusta Małdrzyka, i bolą, oj, bolą ścierwa! Toć Szindel Sięciobrzeski szybciej powrócił do zdrowia po urzezaniu mu członków na rynku!

Tyle że do niego medyka nie dopuścili, fakt, a ja pozwoliłem sobie pijawki przystawić! A możeś ty

mi czar zadał, chamie? Do ciebie wszystko podobne!

— Ja nie! — zaprzeczył pospiesznie Walek. — Umiejętności nie mam do tego.

— Będę cię musiał inną metodą zarznąć! Mieczem nie wydołę.

— Poczekam do wydobrzenia! — zapewnił żarliwie Walek.

— Ale ja nie poczekam! Daj jeszcze wody, schłodzę się.

Walek wysilił cały chłopski spryt, gdy rycerz wylewał wodę za kołnierz, ale nie znajdował wyjścia z sytuacji. Czyżby oglądał na oczy ostatnią nockę w życiu?

— Król nie będzie rad! — napomknął dyplomatycznie. — Chce, żebym wyprawił się na smoka. Za to, że mnie ubijesz, może ci odmówić córki, rycerzu.

— Co mi za różnica! — prychnął melancholijnie Hufnal. — Czy ty ją weźmiesz, czy on jej nie da, jedna mi dola parszywa i turkaweczce mojej chędożo—nej... tfu!...

umiłowanej, chciałem rzec!

— A jak się zrzeknę? — zaproponował Walek. — Zrzeknę się królowny!

Hufnal zmierzył go niedowierzającym spojrzeniem.

— Dobrowolnie?

— Zrzeknę się dobrowolnie! Czemu nie?

Hufnal po przyjacielsku rozkrzyżował ramiona, ale stęknął z bólu i złożył je z powrotem. Resztką wody skapywała ze szpar zbroi, bębniąc o posadzkę.

— Zrzekniesz się? — powtórzył z rozczuleniem. — Toś ty mi druhem, chamie, nie wrogiem! Na piśmie się zrzekniesz, pamiętaj! Żeby mi nie było machlojek! Ale czekaj ino!

Co sobie od króla zażyczysz zamiast córki? Może nie przystanie na jaką wygórowaną zamianę?

— Nic nie chcę! W Psiej Wólce są dziewczuchy, za którymi mleczna krowa idzie w wianie, a byle jakie królestwo nie ciągnie się za nią jak ofajdany postronek. Kiedy się rozniesie, żem w zamku spał i króla widział, zostanę się najlepszą partią we wsi! Gdyby tak heroldy urzędowo ogłosiły, żem spał... Oj, byłoby moje na wierzchu!

Wzruszony rycerz — puszczając to gadanie mimo uszu — schował miecz, podkręcił

wąsa i rzekł prosto:

— Daj pyska, chamie, na honor!

## O SENSIE RYCERSKIEGO ŻYWOTA

*Rycerski żywot to nie przelewki, pamiętaj. Że ci płazem miecza o ramię stukną, ostrogi przypną, pasem przepaszą? Że dziewczkę upatrzyś sobie za panią, jej szarfę przyszpilisz do puklerza, obiecasz jej zamorskiego zwierza w klatce? Że w kopie paru niedorajdów pogonisz na turnieju? Na ubitej ziemi jednemu, drugiemu fiksatowi dotrzymasz pola? Toporem tego czy owego rozplatasz w bitwie po zę—by?*

*Gównno to warte! Nie rycerstwo to żadne, tylko rzeźnictwo na wolnym powietrzu.*

*Jedna jest materia rycerza godna, jedno zadanie los mu nazaczył.*

*A jakie? A takie: odbić świętą relikwię z chędo—żonych łap pogańskich, ocalić od zbezczeszczenia wiecznego!*

*Jaka to relikwia? Nie wiadomo! Na pewno nie gówniany smoczy ząb, jak pospółstwo mniema. Do jego wyrwania starczy wieśniacza krzepa w mięśniach, a rycerz posiada jeszcze wysokie urodzenie, które wymaga od niego nadzwyczajności.*

*Jaką relikwię zaiste przeznaczono rycerzowi pod niebiosami?*

*Jedni powiadają, że to garnuszek, w którym bogobojny Smulla parzył sobie zioła, gdy w nawracanych krainach cierpiał na egzemy po moskitach. Drudzy powiadają, że kość goleniowa bogobojnego Apyrry, którą piekielna bestia wyrwała mu przemocą, ogryzła niby kurze udko w jego obecności, on zaś śmiał się tylko i dowcipkował, że słonymi łzami przekąski nie przyprawi! Trzeci powiadają, że to zasuszony w malachitowej ampulce pot bogobojnego Emeryka. Wylał go lamentując na starość, gdy mu jawnogrzesznice prezentowały narzędzia swego grzechu, które spodziewał się ujrzeć całkiem innymi — zębatymi i sławiącymi występki ochryplym głosem.*

*Tak to każdy inaczej gada, nic pewnego nie wiadomo, a rycerzowi mus—przymus cudowną relikwię odnaleźć! Święta służba! Życie temu poświęca, zaledwie wrywając chwilę na hazard czy gładkie dzierlatki!*

*Wierny rycerz jest pielgrzymem na tej ziemi, wędrującym dniami i nocami za swą gwiazdą. Pewnie, że z gołymi rękami daleko by nie zawędrował, toteż taszczy ze sobą dla spokoju miecz zwykły i paradny, mizerykordię, która skraca cudze męki, kuszę z nośnymi bełtami, gdyby kto z dała na jego życie nastawał, kopię z cemderowego drewna, ciężkiego, lecz odpornego na korniki, nadziar albo dwa, arkan, metalowe gwiazdki do rzucania, gdyż w niektórych krainach biorą cię bez nich za niedołęgę, dwa kije połączone łańcuszkiem, na których widok w arańskiej stronie wróg ucieka w popłochu, choć nie wiadomo, do czego one służą, nożyk do otwierania orzechów kokosowych i łuk do polowań, byś nie pomarł z głodu, i szczoteczkę do czyszczenia zębów, bo od przypadku trafi się i kulturalna okazja, kiedy trzeba gębę do kogoś roztworzyć. Nie wspomnę kolczugi, czapraka, sakwojaży, bo te ciężary bardziej zajmują konia pod tobą niż ciebie.*

*Tak objuczony ruszasz w deszcz czy w skwar, jednakowo mokry od potu.*

*Dalej już tylko zgroza cię czeka!*

*Krainy rozsiane po świecie niepodobne są do niczego znanego naturze. Drzewa, bywa, rosną koronami w dół, wydają ludzkie odgłosy i żywią się futerkowym zwierzem. Nieboszczki zachodzą w ciążę z żywymi, a z wszetecznych związków rodzą się czarno—białe niedźwiadki, mające pociąg do alkoholu. Konie miewają tak długie szyje, że musisz je karmić z drabiny, a kobietom wyrasta na zimę sierść, którą zaplatają w warkoczyki jakby w kraju obytym z modą.*

*Zaś bałwochwalczych bożków tyle się u ludów świata namnożyło, że pomodlić się w kościele a popęlić bluźnierstwo — na jedno wychodzi.*

*Spytasz poganina o garnuszek Smulli — przyniesie tykwę z wodą, bo myśli, żeś spragniony.*

*Spytasz o goleń Apyrry — przytaszczy bawoli udziec, bo myśli, żeś głodny.*

*Spytasz o pot Emeryka — powiedzie cię na łożę z trzciny, bo myśli, żeś utrudzony.*

*Zabobon, ciemnota, żadnego zrozumienia dla gościa. A ty musisz wędrować w tę ćmę, nie licząc na wytchnienie za życia.*

*Poradzisz: zaciśnij oczy, rycerzu, daj koniowi ostrogę i pędź, nie zważając na bezceństwa wokół. Aż pod kopytem brzdęknie święty garnuszek albo na bezdroże wytoczy się święty goleń. W godziwej sprawie pędzisz, to opatrność wspomóże.*

*Zła twoja rada! Nie taki prosty jest świat, jak się nierycerzowi zdaje.*

*Przebyć lasy krzyczące ludzkim głosem, przeskoczyć przepaście nabiegłe krwią, ominąć wzgórza usypane z trupich rzęs, ujść cało mięsożernym wydmom, przeżeglować morza na statku z mgieł i łez — to betka dla rycerza. Ale czy myślisz, że daleki świat nie wystawia na gorsze pokusy?*

*Wystawia, powiadam ci, wystawia!*

*Jeszcze jak wystawia!*

*Tęsknota jest z nich najpierwszą.*

*Golonki w dalekich ziemiach zatrącają warzywnym smakiem, piwo zaś słabiutkie, że mogłoby skapywać z matczynej piersi w gębusie noworodkom. Kiedy zaproszą cię na biesiadę*

*— o własnych siłach wracasz na kwaterę, nie zwalisz się pod stół, bo ci powodu nie dadzą.*

*Gdy chłaśniesz kogoś w pysk na chandrę, nie wynika z tego rozrywka, tylko straże miejskie, trybunały, grzywny, jakby ludzki honor przeliczali na odszkodowanie. Po karczmach też się nie zabawisz jak trzeba, gdyż z powodu odmiennej mody biorą cię za nieczystą duszę i w twoje rodowody nie wierzą.*

*Dziewki tylko podobne. Gdy im zdjąć cudzoziemskie stroje, zanurzasz się na dwa pacierze w*

*swojskości, ale to tak, jakbyś wiarę swą chędożył. Bo ona twą jedyną kochanką, nie dziewczki czarnej, żółte czy czerwone. Nie złapiesz od niej szpetnej choroby, która niejedną rycerską drogę zakończyła krzyżem w dalekiej pustyni.*

*Tak to grzech tylko i sromota od tęsknoty cię zbawia, wtrącając w piekło żądz.*

*Zaiste, tęsknota jest najpierwszą z pokus.*

*Drugą pokusą jest zaprzędanie się.*

*Trafiasz kiedy—niekiedy na szamanów ogolonych do gołej skóry, którzy w górskich monastyrach służą ciemnej stronie. Trafiasz na wodzów malowanych na ciele w obrazki, którzy wznoszą wieże medytacyjne z trupich piszczeli. Trafiasz na czarnoksiężników, którzy posiadli ukryte skarby albo z ko—bylego mleka wyprażają kamień filozoficzny.*

*Jedni kuszą cię swą wiarą, którą mają za jedyną pod niebem, drudzy kuszą władzę, trzeci bogactwem. Śmieją się z garnuszka Smulli, z golenia Apyrry — aż po nogach sikają!*

*Łby ucinasz, żeby w mig spowaźnieli, ale zwątpienie posiane. Wolniej jedziesz, częściej popasasz, zaczynają ci się podobać palmy na owłosionych pniach i chałupy z dachami wygiętymi jak diable rogi. Przeciw temu rycerz wozi w jukach poręczny biczyk i wło—*

*sienniczkę. Gdy krew spłynie ci do trzewików — wiesz, żeś dochował wierności.*

*Trzecią pokusą jest wygodzenie sobie.*

*Ponoś blachę w upale, w jakim rzeki uciekają z popękanego dna. Nie zsiadaj z konia przez kwartał, aż ci się w żywym mięsie na zadku zalęgną robacze larwy. Stań strwożony przed pagórkami machającym ramionami, nie wiedząc, czy to potwór z otchłani, czy tutejsza machina do omłotów. Brnij pół roku przez lotne piaski, gdzie w dzień nie spotkasz żywej duszy dla towarzystwa, nocami zaś stępisz miecz na upiorach, które księżyc wywabia spod ziemi.*

*Przecierp na własnej skórze zdradzieckie pułapki i podstępne napaści ~ a pojdziesz, że cienisty kawałek trawy pod gruszą bywa pokuszeniem!*

*Czwartą pokusą jest niepamięć.*

*Gdyż napatrzywszy się przed snem na gwiazdy poukładane w inne konstelacje niż nad dalekim domem rodzinnym, na kobiety przebrane przeciw naturze w szarawary, rycerzy w sukienki, na skrzydlate demony biesiadujące przy jednym stole z ludźmi i drzewa kwitnące w środku zimy, zapominasz, że prawdziwy świat wygląda odmiennie, a razem z tym zapominasz o garnuszku bogobojnego Smulli, o goleni Apyrry, o pocie Emeryka.*

*Piątą pokusą jest obojętność.*

*Gdyż sterawszy lata ani wachając poszukiwanej relikwii, mówisz sobie, że jutro też jej pewnie nie znajdziesz i pojutrze, i popojutrze, i nie płaczesz nad tym gorzkimi łzami.*



*Szóstą pokusą jest powrót — i ta nareszcie bywa nieodparta dla błędnego rycerza.*

*Wyjeżdżałeś dawno temu pod rozwianym proporcem, ale zdarł się. Siedziałeś na wiernym rumaku, ale zdechł. Miałeś u boku srebrzysty miecz, ale zardzewiał. Zegnali cię umiłowani bliscy, ale pomarli.*

*Wracasz w strugach deszczu, z siodłem na grzbiecie, nie mając ucha, ręki albo pięty, z zarośniętą twarzą porzezaną w blizny, okryty pod odzieniem liszajami, wewnątrz których lęgną się larwy pustynnych motyli. Od wilgoci strzyka cię w kolanach, od zmęczenia czujesz żółć w gębie, na błotnistej drodze obszczekują cię psy, których nie było na świecie, gdyś wyruszał.*

*Może nie posmakujesz zgorzknienia, zastawszy dom w długach i pajęczynach, może zahulasz po okolicznych zabawach w pierwszej parze, może wypniesz się na zafajdany świat, odsysając przez rurkę wino z gąsiora. Ale prędzej—później skończysz pokazywany po odpustach i jarmarkach. Ubiorą cię w zbroję/ przyozdobią piórami i każą opowiadać, gdzieś był i coś widział, a brzemienne białki będą dotykały na szczęście twoich odczyszczonych ostróg.*

*Koniec końców pojmiesz, że sam jesteś jedyną relikwią, jakąś przywiózł z chędożonych bezdroży, pełnych jaszczurów i kurzu, mając ją w swej uludzie za cenną świętość.*

*I to wszystko? — myślisz, patrząc na siwowłosego starca w zwierciadle, który mrze na twoich oczach.*

*Strasznieś daleko się najeździł po swoją starość, rycerzu.*

Hufnal stęknął, wstał przygięty i zerknął ku oknu, za którym niebo rozblęzło się w poświata.

— Gadu, gadu — powiedział, pijąc duszkiem resztę wody z dzbana — a ty mi papieru daj, druhu mój, chamie! Nie masz? Obrywek chociaż.

— Ani tyle — pokręcił głową Walek.

— Ot, cham zgrzebny z grajdoła zafajdanego! — uzalił się nad nim Hufnal. — Czekał, gdzieś ja widział papier... W jadalni u Maguszów, gdzie brewiarz trzymają, dwa razy w wychodku... Pies to srał! Poradzimy sobie sposobem!

Chwycił w garść dół Wałkowej koszuli, dobył miecza i gdy Walek już—już sądził, że powraca stary pomysł z obcięciem łba, odciął szmat płótna.

— Na koszuli spisemy! Masz czym, chamie? Nie? Poradzimy sobie.

Złapał rękę Walka i mieczem dziabnął w palec. Rozpostarł płótno na stole.

— Krwią chamską pisz umowę! — zadysponował. — Że królewskiej córki się zrzekasz. Nie pisz, na czyją rzecz, żeby króla nie trafił szlag przed spisaniem intercyzy przedślubnej.

— Nie znam się na stawianiu literek — stropił się Walek. — Nawet piórkiem, gdzie zaś dopiero

palcem.

— Nie marudź, chamie! — podniósł głos Hufnal. — Krzyżyk postaw i już!

## **Rozdział dwudziesty czwarty**

*w którym dużo się plotkuje i jeszcze więcej śmieje*

Królewska dworka, którą Walek nazywał w myślach Jagłą, naprawdę miała na imię Jagła. Nieprawdopodobny zbieg okoliczności! Omen! Zajmowała izdebkę na zamkowym strychu, ale ta różniła się już od wyobrażeń Walka. Nie było geranium na parapecie, firanek w oknach, pastelowych kolorów. Gołe cegły, deski, chodniczek pod wąskim łóżkiem, żeby chłód nie ciągnął.

Na sąsiednim łóżku sypiała Marfa, dziewczyna z kredensu, która znikła niedawno bez śladu. Jagła szukała jej po garsonierach i studniach — kamień w wodę. Tylko na stropowej belce wypatrzyła zaczepioną o drzazgę kokardę z warkocza Marfy. Charakterystyczną, czerwoną w żółte kropki. Dlaczego na belce? I gdzie druga kokarda, drugi warkocz oraz reszta Marfy?

W końcu Jagła przestała zachodzić w głowę, bo życie zamku pełne jest tajemnic.

Rzadko kiedy się wyjaśniają.

Tego poranka jak zwykle wstała do pracy przed świtem. Gdy na podzamczu piałły koguty, była umyta i odziana. Już od września woda w cebrzyku zamarzała przez noc, więc przed wyplechtaniem się w niej trzeba było rozbić lodowy skrzep. Od zimna aż sutki stawały, toteż Jagłę nachodziły z rana miłosne tęsknoty.

Kiedy była podlotkiem z pączkującymi piersiami, marzyła o księciu na białym rumaku. Zawistnicy z jej wsi wyśmiewali te ciągoty, rysowano na drzwiach chałupy obraźliwe części księcia albo rumaka, najczęściej te same. Gdy Jagła dostała się na królewską służbę, chichoty ustały. Przyjeżdżając w odwiedziny do matki i sióstr, wyglądała jak wielka dama. A jakie rzeczy wiedziała! Co się we dworze je, co się nosi, kto kogo rucha. Nikt w okolicy tyle nie wiedział, nawet wróżka z parowu. Panowało przekonanie, że lepiej z dziewczuchą nie zadzierać, bo jeszcze na człowieka napuści króla — i co wtedy?

Na razie Jagła nie widywała króla, choć nie zdradzała się z tym we wsi. Za to spotkała zatrzesienie książąt z jej panięńskich snów. Pierwszy napatoczył się już w dzień przybycia do zamku. Był stary, pewnie dobiegał trzydziestki, i wymazano go tłustym pudrem, ale zachował

dziarskość. Aż na strych wjechał za Jagłą na swoim białym koniu ze złotym rzędem. Tam przyparł ją do drzwi suszarni i na stojąco odebrał dziewiczy wianek. Odszedł piechotą, a Jagle nakazał sprowadzić na dół rumaka. Żeby sobie nóg nie połamał, bo baty!

Już sprowadzając białe bydlę po śliskich granitach Jagła wiedziała, że miało być inaczej. Niby szczegóły zgadzały się ze snem, ale prastare przekleństwo spełnionych marzeń wyciskało jej łyzy z oczu. Przeczuwała, że więcej nie spotka upudrowanego księcia na tyle intymnie, żeby poczuć jego

wielkopański aromat sosnowych perfum i miętego likworu.

Co nie znaczy, że nie pojawił się już książę na białym koniu.

Tych teraz Jagle nie brakowało. Drugi znalazł ją w pralni, gdy namaczała męskie koszule, pochylona nad kamienną balią. Nie zauważyła, czy był stary, czy młody, gdyż odjechał stukając kopytami na dziedzińcu i pogwizdując, zanim opuściła kieckę zadartą na głowę. Trzeci próbował naraić ją własnemu koniowi, a sam chciał popatrzeć, ale uciekła mu i noc przesiedziała w zamkowym kurniku. Czwarty dopadł ją w kredensie, piąty w stajni, szósty, siódmy i ósmy byli razem, a o dziewiątym aż wstyd rzec, takie rzeczy wyprawiał z Jagłą.

Straszni to ludzie — książęta na białych rumakach! Jagła opłakała stracone złudzenia, nauczyła się unikać niebezpieczeństw, a widząc z okienka strychu, że do zamku zbliża się następny pijanica na szkapie uwalanej błotem sprzed knajp i zamtuzów, modliła się, żeby nie jej był przeznaczony, tylko której koleżance.

Serce wyło po nocach z tęsknoty, a Jagła nie знаła, co to miłość. Wkładała wydekoltowany serdak — ale dla kogo? Malowała policzki burakiem — dla kogo? Nawet trzymała pod poduszką barani flak, co strzeże od ciąży — i nic!

Dopiero gdy ujrzała w drzwiach zamkowych smokobójcę, gładysza nad gładysze, pojęła, że na niego czekała, za nim tęskniła, na jego cześć pręzą się jej sutki od zimnej wody w miednicy.

Siedząc w czeladnej i czyszcząc piaskiem platery, nastawiała uszu. O niczym innym służba nie plotkowała od wczoraj, tylko o jej wybranku.

— Pamiętacie ostatniego? — zapytał kredensowy Marcepan. — Skąd on był? Garść flaków z niego została, a zwozili ją przez trzy dni! Rodzina do dziś czeka, kiedy gagatek wróci. Przesiej piach przez sito, Jagła, bo porysujesz talerz!

— To nie flaki tego bidaka! — zaprotestowała pomywaczka Juchta. — Kto by po nie laźł do smocznej doliny? Wzięli flaki od krowy, przywieźli aby dla pozorów. Żeby wielki pogrzeb zrobić i ludziom na wieńce potrącić. Pół grosza mi odliczyli, zdziercę! Już drugi raz w tym roku!

— To co, w pięknym marmurzanym mauzoleum krowa leży?! — oburzył się Marcepan. — Strauberg krowie glancuje kolumienki grobowcowe od święta?

Strauberg był starszym glancowaczy, a ponadto kochankiem Marcepana.

— A jak tobie glancuje kolumienkę, to dobrze? — zapytała złośliwie Juchta.

Zdrowy śmiech huknął po czeladnej.

Jagła przestraszyła się trochę tych rozmów. Już nie pierwszy raz słyszała, jaka to straszliwa makabra dzieje się z tymi, co idą na smoka! Jeżeli gładysz zginie — miłość jej życia skończy się, zanim się zacznie. Smokobójca nie zdąży pokochać dworki, nie zdąży zauważyć jej urody w dworskim tłumie.

Albo wybierze tę wypacykowaną królową i żegnaj, świecie!

W piasek do czyszczenia platerów pociekły dziewczęce łzy.

— A widzieliście go? — zawołała z sąsiedniego pomieszczenia łaźiebna Marta. — Ja żem go wczoraj kąpała z Rytką i Babulą.

— No i jak ci się udał?

— Dorodny! Walek go wołają. Ja mu aby nogi wy. pucowałam, ale Rytka gadała, że gdyby smoku przy—grzmocił jajcami, już po poczwarze! Ledwie je w rękach utrzymała, choć w wodzie zawsze przecie lżejsze!

Zdrowy śmiech huknął po czeladnej.

Tylko Jagła się nie śmiała. Przypomniła sobie, że gdy smokobójca na nią spozierał, to jakby łakomie spozierał. Może by co z tego było? Niepotrzebnie udawała przed nim wielką panią! To z nieśmiałości! Z chęci za dużej! Mogła się wdzięcznie odezwać, zamiast robić mu na nosie niemądre „pik—pik!” Zrobiło jej się żal i tego biedaka, i siebie, gdyby miał zginąć.

Walek, Waluś, Waleczek — powtarzała w myślach, jakby śpiewała najcudniejszą piosnkę.

— Oni jak jeden głupi, ale dorodni — westchnęła filozoficznie podkuchenna Breda, kiedy się uciszyło. — Rycerze herbu Dwie Dziurki.

— Dlaczego Dwie Dziurki? — zapytała Jagła.

Już rok służyła w zamku, poznała państwowe tajemnice, o jakich niejeden do grobu się nie dowie, ale o takim herbie nie słyszała.

— Jaka to niewinna, wdowa po dziesięciu książętach! — zachichotała Juchta. —

Dlaczego Dwie Dziurki! Bo za dziurkę, co ją zrobią w smoku, dostaną dziurkę królowy Kundzi!

Zdrowy śmiech huknął po czeladnej.

Jagła oblała się rumieńcem.

Rozmowy w czeladnej wydały jej się tego poranka płytkie wobec dramatycznej komplikacji świata. Chciała czegoś więcej. Pojęła, że to miłość ją uwzniośla. Nie ma co zwlekać! Jeśli pragnie poznać prawdziwy smak swojego życia, musi odnaleźć słodkiego smokobójcę w wielkim ponurym gmaszysku. Mimo że dworscy nie dopuszczają do niego.

## **Rozdział dwudziesty piąty**

*w którym widzimy*

Mglisty świt zaglądał przez okno, gdy w Komnacie Uciętych Łbów pojawił się lokajczyk z zaproszeniem do króla.

Walisław leżał w łożu ustawionym na podwyższeniu, jadł rogalika moczonego w kawie, podczas gdy jeden dworzanin robił mu pedicure, a drugi grał na fleciku. Na widok Walka odprawił obu ruchem ręki i usiadł oparty o poduszki.

— Wejdz śmiało, smokobójco! Cóż to za łamigłówki nam zadajesz? — Spod poduszki wyciągnął szmatkę z krzyżykiem kreślonym krwią. — Tyś to napisał własną ręką?

Zrzeczenie?

— Czemu nie — potwierdził z żalem Walek.

Król odłożył rogalika na podstawkę i klasnął w dłoń.

— Jeszcześmy nie gościli smokobójcy tak wielbiącego monarchę! — zachwycił się.

— Sam z nieprzymuszonej woli, no, no!

Na królewskie kłaśnięcie rzeźbione drzwi w rogu sypialnej komnaty uchyliły się.

Wszedł nimi odziany na czarno mężczyzna — o bladej twarzy, w obcisłych pantalonach, w czapce o dużej kwadratowej główce. Idąc, pochylał się w kornym ukłonie, jakby księgi niesione pod pachą przyginały go ku podłodze.

— Dukakisie uczony — powitał go Walisław — wezwaliśmy cię, by określić nowe warunki smokobicia. Spisz je wiernie. Rezygnujemy oto z ręki naszej córki, czy pojmujesz?

Prawnik skłonił się jeszcze niżej. Zasiadł za wskazanym stolikiem, rozłożył księgi i dokumenty. Wyciągnął flaszkę inkaustu, odkorkował, spod pelerynki wyjął gęsie pióro, obejrzał je pod światło, spróbował na paznokciu. Walek ziewnął szeroko, siedząc na stopniu królewskiego łoża. Walisław, widocznie przyzwyczajony do żmudnych procedur, jadł z wolna rogalika.

— Na tak postawione pytanie nie da się odpowiedzieć jednoznacznie, wasza wysokość — odezwał się Dukakis od stolika. — Składa się ono z dwóch członów równorzędnych, za czym każdy z osobna wymaga swoistej logiki wyvodu. Ówże człon pytający, czy pojmuję, pozwala na niezwłoczną odpowiedź twierdzącą, gdyż jako prawnik królewski obligatoryjnie pojmuję wszystko. Natomiast poprzedzający człon, dookreślający meritum rzeczy samej, wymaga stanowczo uściślenia co do apriorycznej modyfikacji zakładanego faktu.

— Ręczona ręka nie jest już nagrodą — uściślił król.

— Prywatnie to dla mnie oczywiste — zgodził się Dukakis. — Mam na względzie prawną stronę zagadnienia. Możemy ująć rzeczony paragraf jak następuje: „Ręka królewskiej córki, pod czym

rozumie się zawarcie związku małżeńskiego, traci jednorazowo status wynagrodzenia zwyczajowego w konkursie smokobicia za obopólną zgodą wysokich umawiających się stron”. Tu data, adekwatne podpisy i włączylibyśmy dokument jako aneks do umowy.

— Wybornie! Włączmy go, Dukakisie.

Prawnik skłonił głowę, wypróbował ostrze pióra na paznokciu i odłożył je.

— Pozostają zagadnienia rygorystyczne, wasza wysokość. Inaczej wytrawny adwokat podważy umowę najzwyczajszą repliką adnotowaną.

— Jakie to zagadnienia masz na myśli?

— Jak należy rozumieć, cytuję: „Jednorazowo”? Koniec cytatu.

Król zastanowił się, gryząc rogalika.

— Naszym zdaniem znaczy to „mniej niż dwa razy, ale więcej niż ani razu” — objaśnił.

— Matematycznie zgoda, lecz w sensie prawnym? Nie możemy pozwolić, żeby przy następnym konkursie pozostały zaszłości. Ten tutaj... — prawnik Dukakis pokazał z pogardą w kierunku Walka — ...może smoka ubić lub nie. Osobiście wątpię, choć to nie jest moje oficjalne stanowisko. Problem prawny, który otworzymy, pozostanie jako aposteryczna konsekwencja. Tego należy uniknąć.

— Co proponujesz, Dukakisie?

— Na tak postawione pytanie nie da się odpowiedzieć jednoznacznie, wasza wysokość.

— Postaw je zatem tak, żebyś znał odpowiedź.

Walek zapatrzył się w okno, za którym dało się widzieć szeroki świat. Drogą w oddali jechały do miasta kopiaste fury, po murach chodzili strażnicy z halabardami, niebo było zachmurzone i niższe niż zwykle, a może zamek był strasznie wysoki. Te widoki pachniały kawą, która parowała z królewskiej filiżanki. A niedaleko coś dzwoniło, ale tym razem jakby młoty w kuźni, a nie hrabia Alfred idący na randkę. Wszystko razem zdawało się ponure.

Smokowi się wystawić, nagrody nie wziąć... Przeklęty chłopski los!

Może choć dobrej gliny pozwolą koło zamku nakopać i do chałupy zabrać na garnki, rozmarzył się Walek w desperacji.

— Zadam pytanie uściślające — oświadczył Dukakis, składając opuszki palców obu dłoni. — Co z posagiem? Czy zrzekłszy się ręki, osobnik zrzeka się tym samym posagu?

— Myślmy, że tak — odparł z rozwagą Walisław.

— Za pozwoleniem, wasza wysokość, prawo nie polega na myśleniu. Prawo opiera się na kodeksach, które leżą przede mną.

— Dlaczego miałyby brać pół królestwa, skoro się nie żeni?

— W tym punkcie wracamy do wątpliwego przypadku cytacji „Jednorazowo”! Czy jednorazowo znaczy z posagiem, czy bez? W sensie prawnym, rozumie się, a nie na probabilistyczny zdrowy pomysłunek. Wedle mej wykładni Jednorazowo” znaczy „bez”.

Niemniej muszę poszperać w precedensach. Potrzebuję dwóch, maksimum trzech tygodni, wasza wysokość.

— Zdaje nam się, że to, o czym mówimy, to właśnie precedens — zasumował się król.

— W takim razie szukanie może się przeciągnąć — stwierdził bez namysłu Dukakis.

— A moje honorarium wzrośnie.

— Bez posagu! — wtrącił się Walek, pomny złości Hufnała.

Prawnik Dukakis zerknął na niego lekceważąco, nim zwrócił się do króla.

— Czy mam brać pod uwagę tę osobliwą deklarację?

— Jeśli pozwala ci na to prawny punkt widzenia...

— Na tak postawione pytanie nie da się odpowiedzieć jednoznacznie, wasza wysokość.

— A zatem bierz ją pod uwagę. Czy wypowiedzieliśmy się kodeksowo?

— Zależy od punktu widzenia. Na tak postawione pytanie, wasza wysokość, nie da się...

— Weź pod uwagę, że pragniemy, aby ręka naszej córki zeszła z tapetu!

— Wasza wysokość, z prawnego punktu widzeń...

— I życzymy sobie, ażebyś po prostu wykreślił tę rękę ze starej umowy przy pomocy inkaustu! W tym tygodniu! A nawet w tej chwili! Czy to możliwe, Dukakisie?

Prawnik zastanowił się i przysunął inkaust bliżej.

— To jest możliwe, wasza wysokość — zapewnił, wyprowadzając na dokumencie staranną długą kreskę przy linijce. — Powiedziałbym, że to wypróbowana metoda prawna.

Nie wiem, czy nie byłoby korzystniej, gdybyśmy od niej zaczęli, zamiast do niej docierać ze stratą czasu waszej wysokości?

— Na tak postawione pytanie nie da się odpowiedzieć jednoznacznie, Dukakisie —

rzekł łaskawie Walisław. — Wolimy formalnie. Ale rozważymy zagadnienie w wolnej chwili.

Kiedy Dukakis oddalił się zgięty w ukłonie, służba przyniosła królowi srebrną fajkę na złotej tacy. Pykając wonny tytoń helemicki, dla bezpieczeństwa przesiany wcześniej przez gęste sito, monarcha zdradził Wałkowi, że na przedpołudnie zaplanował dlań wycieczkę w szambelańskiej asyście. Aby smokobójca rzucił okiem na okolice, przez które pojutrze z propagandową pompą wyruszy na smoka. Żeby potem czego nie pokręcił w uroczystym dniu.

Upřednio medyk królewski dokona oględzin, czy organizm Walka nie ucierpiał przed bojem po wczorajszych sensacjach żołądkowych.

Medyk przyjmował w sali obok na sofie wybitej złotogłowiem, w otoczeniu narzędzi o niewyobrażalnych kształtach, rozłożonych na śnieżnobiałym obrusie z królewskim monogramem. Gestem kazał Wałkowi zwlec szatę, bez słowa przyłożył mu zimną blaszaną tutkę do pleców i zasłuchał się w nią.

— Płuca w strzępach! — orzekł, zachodząc od przodu. — Szczebrzeszuchą cię nie truli, podawaną sukcesywnie w małych dawkach? Objawy znajdują charakterystyczne.

— Niczym mnie nie truli — zapewnił Walek.

— Czymś cię truć musieli. Zamachy jakie przeszedłeś i kiedy?

— U nas spokojna wieś. Halemba się awanturuje po pijaku, ale to siekierką. Nie zdarzyło się, żeby szcebrzeszuchą.

— A to co? — medyk wskazał bliznę na Wałkowym boku.

— Ryś. W borze mnie zajechał pazurem, kiedyśmy chrust zbierali.

— A jednak! — ucieszył się medyk. — Poszukaj, a znajdziesz! Wątroba na nic —

dodał, stukając Walka w bok. — Gorzałka. Ale i arszenik w jednorazowej dawce. Nie wykluczam domieszki cyjanku. Sprawcę upatrywałbym w Dolnorabanczyku, na tamtejszym południu to popularne trutki. Górnorabanckie zatechłyby przez drogę.

Chwycił ze stołu sztylecik, zniennaćka dziabnął Walka w półdupek, aż ten podskoczył.

— Przyrodzone odruchy wykazujesz. Co się tyczy ropnego czyraka na karku, czas pokaże. Gdybyś nie pomarł w tym roku, do przyszłego dociągniesz. Krwiste substancje odnajduję w ciele krążące naturalnym sposobem. Aliści gdy rzecz ze smokiem, rozpatrzyć musimy ewentualność raptownego zejścia.

Otworzył Wałkowi gębę, wciskając paluchy w policzki, i zajrzał do wnętrza, wodząc za sobą rozdziawionego smokobójcę, aż znalazł dobre światło.



— Górna czwórka próchnieje — zdiagnozował. — W razie smoczego ataku od góry nie ma to większego znaczenia, bo głowę ci odgryza w tym miejscu...

Przejechał po Wałkowej szyi paznokciem.

— ...i po kwestii. Natomiast przy ataku bocznym, gdy ci pokrywę czaszki zrywa, ząb ani chybi da o sobie znać z powodu obnażonych nerwów. Z tym, że zwyczajnie większy ból zagłusza mniejszy, zaś otwarta czaszka powoduje ogromną bolesność w całym organizmie.

Mogę zaordynować skuteczną pigułkę od migren, sama królowa chwali ją sobie, ale wątpię, czy w zamieszaniu zdążysz co łyknąć, nim pomrzesz w męczarniach... Brzydka deformacja stosu pacierzowego na tej wysokości!

Huknął Walka dłonią w plecy, aż zadudniło.

— Powinieneś lepiej odżywiać się we wsi. Dieta bogata w tłuszcze i wapń, zakonotuj.

Jeżeli smok puści dech z lewego pyska, masz szansę uskoczyć, ale jeśli z prawego, nie zrobisz tego zgrabnie ze zwichrowanym stosem pacierzowym. Dojdzie do lewostronnego poparzenia znacznej rozległości. Jak najrzadziej oddychaj, aby nie doszło do zwęglenia tkanki płucnej. Natomiast we wsi trzeba ci było częściej oddychać, obserwuję chroniczne niedotlenienie. Najdalej w trzeciej minucie walki zeprze cię zadyszka, która spowolni ruchy circa... Przy danej płytkości oddechu i wadze ciała... do piętnastu procent. Z tego typu dolegliwością najprędzej doznasz obrażeń od przodu. Rozdarta klatka piersiowa z obnażeniem narządów wewnętrznych. W przypadku wypadnięcia wnętrzości nie uciekaj, nim nie przyciśniesz ich dobrze do brzucha, bo Się rwą! Zwozi się potem na furach takich pospiesznych z istnymi frędzelkami! Jeżeli smoczy ogon przetnie cię na tej wysokości...

Przejechał po skórze Walka kantem dłoni.

— ...to daj spokój i módl się, o ile w szoku przypomnisz sobie modlitwę.

Przejechał dłonią po skórze nieco niżej.

— Tu masz szansę. Nogi się wyrzuci, tędy wypuści się z brzucha rurkę, żeby ci nieczystości w środku nie gniły, dół zatkamy brzożowym kołpaczkiem. Od brzozy najmniej się paprze. Staraj się, żeby ci nie dyszał żarem w otwarte rany, bo zioła na zakażenie krwi mi się skończyły. Nazbieram, kiedy łąka obeschnie, inaczej mocy nie mają. Za to maści do balsamowania zwłok zostało sporo, o nią się nie kłopotcz.

Obmył dłonie w misce, usiadł na sofie, gestem pokazał Wałkowi, żeby się ubrał.

Zasepił się, przebierając palcami po własnym kolanie.

— Co możemy przedsięwziąć w danej sytuacji? Niewiele. Na mutację brak czasu, wysłaby połowiczna. Z połowiczną choćbyś i smoka ubił, zżarłyby cię potem rozterki. Czy aby nie był z gatunku wymierającego, czy nie grzech trzymać stronę ludzi przeciw smokom, kiedy ludzie wredni są ogólnie biorąc. Czyś jeszcze chłop jak się patrzy, zamartwiałyś się, czy też strukturą do legwana ci

bliżej. Żrenice pozostają na zawsze pionowe, ludziom od tego nie możesz spojrzeć prosto w oczy, dziki się robisz, odludek, włos ci ze zgryzoty bieleje. Przy dzisiejszym stanie wiedzy nie jest to polecana metoda. Co się tyczy czaru ochronnego, czarodziej królewski zwyczajowo rzuca go na smokobójców przed wyjściem w pole. Ale, mówiąc między nami, taka z niego ochrona jak z baraniego pęcherza, co przy męskich ruchach pęka albo zsuwa się i nie dość, że grzech, to jeszcze nerwy. Ja ci, smokobójco, poradzę, co najpewniejsze! Uchylaj się w boju! Kiedy tylko masz okazję, uchylaj się! Gdyby zaś smok cię ukatrupił, nie ma zmartwienia. To i lepiej! Małe ścierwo, mały kłopot, a ze smoczego ścierwa, wielkiego jak góra, zaraza może wyleźć na miasta i wsie, jakiej najstarsze elfy nie pamiętają! Na jeden raz się tego nie wywiezie do dołu. Zanim poćwiartują, załadują na podwody, gangrena się wyroi w mięsie! Drewnem padlinę obłożyć i spalić, to z powietrzem mór się rozejdzie! Padnie smok, dobrze, padniesz ty, smokobójco, jeszcze lepiej!

Swoją drogą biedny nasz kraj, kiedy każde wyjście dla niego dobre! No, zmykaj! Chcesz jeszcze czego ode mnie?

Walek zrobił krok do drzwi, ale w oczach mu się zaćmiło. Ubzdurało mu się, że nie ma nogi ani ręki, a wnętrzości ciągną się za nim po posadzce niczym tren królewskiego płaszcza.

— Niechże pan medyk da pastylkę do łyknięcia. Dobrze mi robi, czuję!

— Na co pastylkę?

— Na cokolwiek — wystękał Walek.

# Antrakt

*w którym następuje druga scena z wiedźmami*

OFELIA: Kto jest zabójcą, kto ofiarą, przyjaciółki moje?

DESDEMONA: Znowu o tym? Fatalnie się czuję, Ofelio. Ten dekolt z kocim sadłem!... Ileż pustych kalorii!

OFELIA: Mam pomysł! Zadzierzgnijmy genowe uniwersum więźb i siądźmy na miotły mentalne. Ulećmy ponad płataninę tropów, przyjaciółki moje.

DESDEMONA: Skoro trzeba... Nie przepadam za tym.

JULIA: Brrr, strasznie tu wieje w górze. Nie zabrałam mentalnego szala. Co to za wieś?

OFELIA: Rodzinna wieś smokobójcy Psia Górka. Nie Górka... Coś tam Psie, zapomniałam. Zapłakana staruszka u progu matki to chatka smokobójcy. To znaczy, *sorry*, u progu chatki to matka... Martwi się 0 syna, biedna. Niewdzięczny los cierpią nędzarze. Obok, merdający ogonem, ubogi pies smokobójcy. Dalej ubogi płot smokobójcy z powyłamowanymi sztachetami, uboga wygodka smokobójcy z ku...

DESDEMONA: Dajże spokój, Ofelio. Może chłopinie nie powiedzie się ze smokiem.

Sondowałaś futurystyczne spektrum smokingu?

OFELIA: Jeśli nawet mu się nie powiedzie, to co?

DESDEMONA: A już oprowadzasz nas jak po muzeum. Dlaczego tu jesteśmy?

OFELIA: Miotły przyniosły nas po śladzie mentalnym. Sama się zastanawiam!

Czyżby tajemnicze morderstwo miało związek ze smokobójcą? Ze smokiem?

JULIA: Wybacz, ale nie widzę związku... Zaraz, widzę smoka, a jakże!... Nie, to tylko łeb na dziobie statku! Drewniany aflaston porosły liśćmi. Czyżby zakotwiczyli na lądzie? Ha! Na burcie nazwa „Nomat”! Co za ortografia! Chyba „nomad” pisze się przez de?

OFELIA: A ja tej wizji nie rozumiem. Czemu statek ma liście?

DESDEMONA: Nie liście, to korony drzew zasłaniają... O, teraz widać. Opuszczony statek piratów nieobytych z ortografią. Patrzenie! Ucieka zeń starzec w szarej szacie goniony przez stado rozwścieczonych żab! Co widzę? To wszak sławny mag...

JULIA: Też mi sławny! To ten pierdoła Teleportas, nie cierpię go! A żaby?

Poznajecie? To załoga statku, zwróćcie uwagę na drewniane nóżki i miniaturowe pirackie haczyki w

zadkach! Rzucił na nich czar, wredny żabi mag! Ale gdzie kapitan „Nomada”?

OFELIA: Widzę!

JULIA: Ja też, ja też! Och, a to co? Dorosłe zabawki? Jaki milusi domek z ogródkiem, jak cukiereczek!... *A propos*, co z twoimi zasłonami, Desdemono?

DESDEMONA: Zastanawiam się. Może kupię p0 prostu czarne, takie jak miałam.

JULIA: Chyba zwariowałaś!

OFELIA: Nie do wiary! Ten skrępowany człowiek wiele przeszedł, przyjaciółki moje.

Koszmary, koszmary... Widzicie to, co ja?

DESDEMONA: Widzę je, widzę! Czarne zaciągnięte...

OFELIA: Nie mówmy teraz o zasłonkach. DESDEMONA: A kto mówi? Jesteś przewrażliwiona, Ofelio! Chciałam powiedzieć o czarnym niebie zaciągniętym dymami.

Widzę je! Cóż za ponury obraz! Czarne niebo pełne smoków ziejących ogniem. Płoną domy, wałą się mosty, giną ludzie. Ten człowiek uciekł z ziemskiego piekła! Nie sam. Kim jest drugi, czarnoskóry? Jego sługą? Tylko że on... Niesamowite! On... Upewnij mnie, Ofelio, że dobrze widzę! OFELIA: Tak, ten biedny Negr oszalał. Przeżycia pomieszały mu rozum.

JULIA: Ma po siedem palców u stóp, zabawne! Dlaczego siedzi na sośnie i wali głową w pień? To rozpacz?

OFELIA: Bynajmniej. Zdaje mu się, że jest dzięciołem.

DESDEMONA: Czarnym dzięciołem. *Dryocopus martius*. Czarny dzięcioł tak wali, że najlepszy perkusista za nim nie nadaży. Mówił mi znajomy muzyk, kiedy mnie... No, mniejsza o okoliczności. To osobiste.

JULIA: Oho, perkusja! Leży pod drzewem. Nie perkusja, tylko lira, przejęzyczyłam się, *sorry*... Bo też nie musisz się nam bez przerwy zwierzać ze swoich seksualnych awantur, Desdemono!

DESDEMONA: Niewiniątko! A kto podczepia mi się mentalnie w mózgowym płacie hippokampu, kiedy tylko idę z facetem do łóżka?

JULIA: No wiesz! Ta twoja terminologia medyczna! I żebyś faktycznie robiła to w łóżku, a nie gdzie popadnie... Poza tym lira nie leży pod drzewem, które kuje dzięcioł! Przez ciebie źle oceniłam współrzędne. Najlepiej nie przeszkadzaj i już! Dlaczego miotły zawiozły nas do liry, Ofelio? Co ona ma wspólnego z morderstwem? To tylko bezduszny artefakt.

OFELIA: Chodzi o lirnika, przyjaciółki moje. Gdzie on się podziewa?

DESDEMONA: Lirnik — co? Zabił czy zostanie zabity?

OFELIA: Nie rób sensacji! Po prostu te osoby są zamieszane w wydarzenia. Być może jedna będzie ofiarą, druga zabójcą... O co tu chodzi, przyjaciółki moje?... Zaraz głowa zacznie mi iskrzyć jak sierść Belzebuba, kiedy go głaszczę. Tylko że on pomrukuje z zachwytu, a mnie smuci nasz daremny wysiłek. To najtrudniejsza sprawa, z jaką się zetknęłam.

JULIA: Nie mów! Ta z psem Baskerville'ów była trudniejsza.

DESDEMONA: Dla ciebie, Julio. Ja od razu wiedziałam, kto zabił biednego kota. Co ja mówię! Psa, oczywiście!

JULIA: Wiedziałaś, akurat. Mówisz tak, bo obraziłaś się na mnie za zasłonki!

OFELIA: Nie kłóćcie się, przyjaciółki moje. To nie pies był wówczas ofiarą morderstwa.

JULIA: Jak to nie pies? Serio? Ale ona tego nie wie, założę się!

DESDEMONA: Kto nie wie? Ja?! Chyba dostanę zajadów!... Zazdrość przez ciebie przemawia! Nie wściekaj się tak, bo spadniesz z miotły!

JULIA: Lepiej nie kracz!

OFELIA: Julio! Uważaj!

JULIA: Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

## **Rozdział dwudziesty szósty**

*w którym poznajemy życie owadów na zamku, a także odnajdują się nie te pary, co trzeba*

Pan Hikorek zasiedział się na kartach u dwóch karaczanów z oficyny. Grali w tysiąca z dziadkiem, wypili po połówce na głowę. Ib pan Hikorek przytaskał tutaj trunki kropelka po kropelce. Okazało się, że wcześniej karaczany nie znały tego nałogu. Pod wpływem alkoholu zwierzył im się ze swojej miłosnej tragedii. Przewidywał, że wyśmieją go i zlekceważą — ale co tam! Musiał ukarać samego siebie. Wyrzuty sumienia zatruwały mu dnie i noce, a robak z wyrzutami sumienia to coś nieznanego naturze. Odpychającego.

Tymczasem oba karaczany zachowały się jak prawdziwi przyjaciele. Powiedzieli mu, żeby miał to w dupie, i dolali mu więcej wódki.

Ich reakcja podniosła go na duchu.

Pędził teraz ciasną szczeliną w ścianie, ile sił w sześciu nóżkach. Inaczej nie umiał, choć od dawna donikąd się nie spieszył. Długie wąsy złożył wzdłuż odwłoka, żeby nie zaczepiały o nierówności cegieł. Bo trochę się zataczał. Nie tyle, co w ludzkim dwunożnym wcieleniu, ale dość, żeby zmylić drogę. Wypadł na światło dzienne w nieznanym korytarzu.

Pokonując wzgórze stiuków, przemierzał pustynię sufitu. Właściwie z tej perspektywy każdy korytarz wydawał się nieznany, bo w swoim ludzkim życiu widywał je wyłącznie z poziomu podłogi. Teraz bał się tam schodzić. Z zamkowych zakamarków wypadały zniecka wyperfumowane pokojowe pieski i różowymi jęczorami zlizywały z podłóg wszystko, co się rusza. Wypasione landrynkami i ciastkami z kremem — tęskniły za odrobiną prawdziwego mięska. Straszna śmierć. Pan Hikorek nawet jako starszy kredensowy nie ryzykował i kłaniał

się w pas, komu trzeba, tym bardziej jako robak nie miał chęci do nadstawiania głowy.

Nagle w dole dostrzegł znajomą osobę. Czy to możliwe? Wytrzeźwiał w trymiga!

Może nie do końca, ale jednak w karaczanym organizmie szybciej rozkładał alkohol niż jako człowiek. Natomiast nie posiadał użytecznej giętkiej szyi, niestety. Zezując niezdarnie ku dołowi, nie dowierzał oczom. W tych trudnych dniach nieraz zwodziły go, ukazując świat w straszliwej postaci. Koty wielkie jak smoki, ludzkie ubrania niczym zdradliwe ruchome wydmy, zamarznęte stawy porcelanowych talerzy, nieprzebyte oceany kałuż. Wbiegł na garb gipsowej winorośli. Wyprężone wąsy celowały teraz w szachownicę posadzki parę metrów niżej.

Jagła!

Pognał po ścianie na złamanie karku. Zapomniał o pieskach z brylantowymi obrózkami, o przerażających mokrych ścierach sprzątaczek. Jego sześć nóg wydawało jednostajny szum, szorując po monstrualnych cielskach nimf na powierzchni fresku.

— Jagła! — darł się, choć dla ludzi karaczani wrzask brzmi jak nieartykułowane chrupkanie i cykanie, o ile w ogóle go słyszą.

Ale i on był przecież kiedyś człowiekiem, więc nie tracił nadziei, że wydobędzie z siebie resztkę ludzkiego głosu. Choć na moment. Na momencik. Na jedno mgnienie zasranego robaczego życia!

W karaczanej postaci biegał szybko. Dopadł Jagłę na zakręcie korytarza, gdzie przycupnęła, żeby ująć oczom strażnika z halabardą. Ten stukał drzewcem o posadzkę, aż pod łapkami Hikorka odbywało się miniaturowe trzęsienie ziemi. Mimo to mężnie parł do przodu, póki nie zatrzymała go niebotyczna góra tkanin. Suknia przykucniętej Jagły. Pośród zboczy i przełęczy bieleły śnieżne pasma halek, podgarniętych dłońmi pod siebie. A gdzieś wysoko —

niewidoczne, ale niewątpliwe — tkwiło podniebne ucho Jagły.

— Jagła, poznajesz mnie?! — wydarł się ku tym boskim wysokościami karaczani głosik. — To ja! Starszy kredensowy Hikorek! Dzieliałś służbówkę z moją ukochaną Marfą!

Tą, co znikła bez śladu! Tak samo jak ja! Kojarzysz, Jagła?!

Góra sukien uniosła się w przestworza, pomknęła ku drzwiom Komnaty Uciętych Łbów. Podniebna ręka otworzyła je i zamknęła za sobą. Pan Hikorek został sam, otoczony zapachem perfum z brukwi. Nerwowo wbiegł w szczelinę pod drzwiami, pokonał wydeptany próg. Góra sukien poruszała się po komnacie, wzdychała, porywała poduszki z łoża, tuliła je do łona, wachała namiętne, co brzmiało,

jakby halny hulał wśród wierchów.

Pan Hikorek przyglądał się temu z obrzydzeniem.

Nie ulegało wątpliwości, że Jagła zakochała się na zabój w nieobecnym mieszkańcu komnaty. Miłość pomiędzy ludźmi, zwłaszcza fizyczna, zdawała się wstrętna Hikorkowi w jego obecnej postaci. Co innego seks robaka z robakiem, zgodny z naturą. Pożyteczny, estetyczny. Od momentu metamorfozy odbył 2136 stosunków z karaczanicami, jeden bardziej satysfakcjonujący od drugiego.

Niemniej wciąż pragnął Marfy. Nawet jurny robak ma swoją robaczą miniduszę, w której jest miejsce na ciupeczkę wzniosłości. Kapkę uczucia. Nie za dużo, ale zawsze!

— Jagła, opanuj się! — wrzasnął ku górze. — Z takiego wachania i wzdychania wynika tylko ludzkie ślinienie się, poty, wydzielanie płynów organicznych wstydliwymi otworami! Dajże spokój! Wróćmy do rzeczy! Słyszysz? Pamiętasz, jak Marfa narzekała, że mogę tylko raz na dobę? Nie potrafiłem tego znieść, daję ci słowo! Zdobyłem czarodziejski eliksir miłosny i wypiliśmy go razem. To było tego wieczora, kiedy znikła, pamiętasz? Ale bo też ta cholerna wiedźma nacięła mnie! Nie Marfa! Ta, od której kupiłem eliksir! Za dwa czerwonce, psiakrew, bez targowania! Po pierwszym łyku zamieniliśmy się w karaczany, Marfa i ja! To znaczy, właściwie nie wiem, czy mnie nacięła, bo mogę teraz na dobę, ile razy chcę! Ale nie o to mi chodziło, wciurności, nie o to! Słyszysz mnie, Jagła?! Daj jakiś znak!

Daleko w górze Jagła wzdychała miłośnie i cmokała. Chyba całowała poduszki, na których sypiał ten ktoś. Tuliła do nich policzki. Całkiem pogięło dziewuchę od miłości! Brrr!

Panu Hikorkowi ze wstrętu odbiło się przetrawionym trójniakiem.

— Jagła, nachyl się, zobacz tu, o, pod moim brzuchem! — Przewrócił się na plecy, choć było to ryzykowne. — Widzisz białe znamię? To ślad po moim fontaziu starszego kredensowego! Łatwo rozpoznać, żaden obcy karaczan cię nie nabierze. Pomóż mi, Jagła! Nie mogę odnaleźć Marfy w tym cholernym zamczysku! Kocham ją jak żadnego robaka na świecie, daję słowo! Nie mogę bez niej żyć! Marfę też rozpoznasz, ma na boku czerwono—

żółtą plamkę po kokardzie! Posłuchaj, Jagła, gdyby jakiś karaczan zaczepiał cię na korytarzu, przyjrzyj mu się, proszę! To może być moja nieszczęsna Marfa! Pomóż nam spotkać się znowu na tym kurewskim świecie! Uratuj naszą miłość choć w robaczej postaci, skoro innej nam nie dano! Słyszysz? Pomożesz nam? W podzięcie wstawię się za tobą u robactwa. To moi kumple teraz! Żadne pluskwy w łóżku, korniki w meblach, mrówki w gaciach, nic ci już nie uprzykrzy życia. Obiecuję! Bądź człowiekiem! Nie mogę sobie wybaczyć, że naraziłem Marfę na tyle niebezpieczeństw! Wyobraź sobie! Koty, przeciągi, spadające szpilki, chlapiące mydliny i te wredne napalone karaczany, które mogą przez całą dobę bez przerwy...

— Czego tu szukasz? To moja komnata! — rozległo się za plecami Hikorka.

Odwrócił się błyskawicznie, przerywając błagalną przemowę.

Naprzeciw niego stał wielki pajak z czarnym krzyżem na płaszczu. Wylazł z za stołowej nogi i na rozstawionych szeroko odnóżach kolebał się z boku na bok jak rewolwerowiec. Pan Hikorek nie czekał na powtórkę pytania. Tyle zdążył się nauczyć w swoim nowym świecie — kopuluj i walcz, wszystko inne to podstępne złudzenie. Rzucił się na pajaka z uniesionymi na postrach wąsami.

POSOKA SMOKA 203

Zanurkował pomiędzy cienkie nogi, uderzył w brzuch od spodu. Krzyżak był wielki, lecz trzeźwy. To osłabiało jego męstwo w stosunku do podchmielonego przeciwnika. Szybko zdał sobie z tego sprawę. Postawił na pojedynczy morderczy cios. Stał dęba i dziabnął

odnóżami w dół. Nie trafił wroga, zataczającego się w szale odwagi.

Wtedy dał się ponieść panice.

Kiedy Hikorek brawurowym chwytem żuwaczek odgryzł mu jedną z lewych kończyn, pajak zrejterował. Złapał nic pajęczyny i wznosił się na niej.

Pan Hikorek nie popuścił. Rzutem ciała uwiesił się na pajęczym grzbiecie. Objął

odwłok dzielnymi odnóżami i zatopił żuwaczki w spojenie krzyża.

Po kosmatym korpusie spłynęła strużka brunatnej posoki.

Krzyżak kaleko machał pięcioma nogami, pnąc się po nici z mężnym Hikorkiem na plecach. Kręcili się jak dziecinny bąk, posadzka komnaty zostawała coraz niżej pod nimi.

Szczepieni ponad otchłanią, zadawali sobie nawzajem mordercze ciosy.

Hikorek odniósł tylko jedną kontuzję, gdy pajęcza noga ugodziła w szczelinę jego pancerza. Groźne szczęki nie sięgały go, uczeponego bezpiecznie z tyłu wrażego odwłoka.

Zamachnął się dziko trzema kończynami naraz — i pękła trafiona ciosem nic.

Runęli spod sufitu w przerażającą przepaść, piszcząc wniebogłosy.

Kamienne kafle posadzki wirowały jak w kalejdoskopie. Coraz bliżej.

Pajak spadł na brzuch, amortyzując upadek odnóżami. Hikorek wykorzystał jego grzbiet jako ratunkową płachtę. Odbił się i opadając, przebił na wylot 204 Zbigniew Wojnarowski

pajęczy odwłok swoim wrzecionowatym ciałem. Brunatna krew spłynęła mu po wąsach, kosmate ścierwo wroga zadrgało śmiertelnie. Wyrzuciło każdą nogę w inną stronę i znieruchomiło.

— Widziałaś, Jagła?! — chrumknął triumfalnie pan Hikorek, otrzepując się z pajęczych wąpi. — *Amor omnia uincit!*



Ale Jagły nie było już w komnacie. Wyszła nieświadoma morderczych zmagañ, zaprzątnięta swoją wstrętną człowieczą miłością.

Pan Hikorek obiegnął w panice posadzkę, nie wierząc w ten koszmar. Wypadł pod drzwiami na pusty korytarz, gdzie zalał się łzami. Dlaczego los sprzysiągnął się przeciw niemu akurat wtedy, gdy udowodnił, że jako robak jest mężniejszy niż jako człowiek?

Nie czuł, że krwawi po walce. Łkając wlaźł z powrotem na sufit i udał się do swoich karcianych przyjaciół, u których została zbawcza kropelka alkoholu.

Tymczasem Walek, dzięki łapówce ze słodkich rogalików oraz łakomemu halabardnikowi, odnalazł drzwi Jaglanej służbówki.

Pasiasty chodniczek, świeczka, nabity słomą siennik — tworzyły taki ujutny nastrój, że smokobójcy nie brakowało geranium, które rozpanoszyło się w jego marzeniach.

Aczkolwiek zaskoczyło go, że stoją tu dwa dziewczęce łóżka po obu stronach kwadratowego okienka.

Które z nich należy do Jagły?

Kulturalnie zdjął haftowane boty, jakie dostał, żeby posadzki nie ziębiły go przez łapcie z łyka. Najpierw spróbował jednego posłania, potem drugiego. Na pierwszym przywidziała mu się goła Jagła na wznak, na drugim — na brzuchu.

Bądź tu mądry, człowieku!

pOSOKA SMOKA 205

Poniuchał krążące w powietrzu kobiece zapachy, popatrzył przez okienko na zamkowe śmietniki i wyszedł zawiedziony, że nikogo nie zastał. Nie usłyszał pstryknięcia pod stopą, gdy wciągał boty. Nie zobaczył truchelka nadepniętej karaczanicy z czerwono—

zółtym znamieniem. Ludzkim uchem nie usłyszał śmiertelnego chrumknięcia, które każdemu przyzwoitemu karaczanowi wydusiłoby łyzy współczucia.

Biedna Marfa od paru dni mieszkała w szczelinie pod łóżkiem, próbując zwrócić na siebie uwagę Jagły. Opowiedzieć jej o swojej tragedii, o miłości do pana Hikorka, która zmieniła życie obojga w koszmar. O tym, że teraz obce karaluchy łomocą ją w szparach paręnaście razy na dobę, ale to nie to samo, co seks ze starszym kredensowym.

Gdzieżeś się podział, ukochany, w ceglanych czeluściach zamczyska?

Czego też Marfa nie robiła, żeby ściągnąć na siebie wzrok Jagły! Tańczyła przed nią na odwłoku, śpiewała przygrywając na pancrzyku, układała znaki z pyłków kurzu. Wszystko na marne!

Kto wie, może kiedyś Jagła zwróciłaby uwagę na zastanawiające zachowanie jednego z miliardów

karaczanów, gdyby nie słabość do butów, która prześladowała Marfę. Od dziecka wałęsała się po straganach, oglądała szewskie cudeńka ze skóry lub aksamitu, kupowała sapogi, ciżmy, drewniaki. Gdy zatem obok swego ludzkiego legowiska spostrzegła but wielki jak zamkowa baszta — uległa ciekawości. Opuściła bezpieczną kryjówkę.

Nim ocknęła się z zachwytu nad wykrojem cholewki i haftami, ujrzała opadającą spod nieba gołą podeszwę. Zdażyła pomyśleć, że to karaczani człekokształtny bóg, któremu przekazał opiekę nad nią jej poprzedni ludzki bóg, bogokształtny! Tak, bez wą—

206 Zbigniew Wojnarowski

pienia to wszechmocna i sprawiedliwa boża podeszwa! Niczyja inna!

Tylko w takim przypadku robacze życie miałyoby sens!

Choć mimo wszystko trudny do pojęcia — musiała przyznać na ostatek biedna Marfa.

## **Rozdział dwudziesty siódmy**

*w którym zawarto dokończenie*

*losów wojaka Festa,*

*jego klaczy Dereni*

*oraz elfickiego plemienia Gduleen*

Póki nie wjechali na łąki, Derenia, najlepsza klacz Ósmego Regimentu, szła pokornie pośród kupieckich koni pędzonych przez bandę Ramireza. Na łęgach poranna mgła zatapiała wysokie trawy i oczełaki jak przybierająca woda. Pod osłoną mlecznych oparów Derenia dyskretnie rozwiązała zębami arkan, wiążący ją z resztą tabunu. Zwolniła kroku. Siwe umaszczenie chroniło ją teraz jak maskująca pałatka. Z obu stron mijały ją płynące we mgle cienie koni i jeźdźców. Przystanęła. Wkrótce cienie były już tylko przed nią, oddalały się w mętną biel ze stłumionym mlaskaniem kopyt o podmokły grunt.

Derenia przegryzła sznury troczące do jej grzbietu

208 Zbigniew Wojnarowski

zrabowane kupcom toboły. Zrzuciła je z siebie zgrabnym wierzgnięciem zadu.

Była klaczą inteligentną i przebiegłą.

Z rozwianą grzywą popędziła z powrotem. Kierowała się to wpół zatartymi tropami, to dalekim, nikłym zapachem smoczey estry. Wierzchowce Ósmego Regimentu szkolono, by nie zostawiały swych panów w potrzebie. Żadna tępa tresura, o nie, raczej umiejętne budzenie wyższych uczuć. W skrajnych przypadkach — cukier, lecz Derenia nie była z takich koni.

Po rasowych przodkach miała we krwi dumną bezinteresowność.

Jeszcze wczoraj chowała w sercu zadrę do pana, który przez parę staj kazał jej iść dnem zamulonego potoku, choć się brzydziła. Pijawki i te rzeczy. Teraz pierś klaczy rozrywał

tylko niepokój. Wiedziała, że w nocy coś się stało, nie wiedziała jednak, co? Byle nic złego, bo kto zastąpi jej pana? Takiego pana! Cóż za człowiek! Mężny, piękny, dojrzały, rozumny.

A jak kocha! Żaden ogier mu nie dorówna! Te potrafią tylko jedno, jak jakieś prymitywy!

Prędko, prędko, galopem, co sił w nogach!

Zaryła czterema kopytami na skraju przydrożnej łąki i zarżała żałośnie.

Blady świt sączył się spod chmur na tragiczny plener. Z wywróconych kupieckich wozów pozostały deski naszpikowane strzałami, połamane dyszle, strzepy osmalonego płótna. Wzgardzone przez rabusiów resztki zasłały trawę na kształt wysypiska śmieci. Pośród nich leżały martwe, okaleczone ciała, ledwie rozpoznawalne spod zaschłej krwi. Skaczące po nich kruki wywlekały to oko, to język, to sterczącą żyłkę, dobierając się do świeżego mięsa.

Gdzieniedzie łazili na czworakach okoliczni chłopci, szukający wszystkiego, czego szkoda zostawić na zmar—

POSOKA SMOKA 209

kowanie. Złotego zęba, butów, niedojedzonych sucharów.

Odartego z odzienia Festa znalazła Derenia przygniecionego potężnym kołem, z którego sterczał ułomek ośki. Opodal błyszczała się od deszczu rozłupana lira o pozrywanych strunach. W blasku przedświtu dziura w mocarnej piersi wojaka wyglądała, jakby na jej dnie stała świeża krew. Nieśmiertelniki Ósmego Regimentu lśniły na zamkniętych powiekach jak łzy.

Równie wielkie jak te, które pociekły Dereni po siwym pysku.

Mocnymi zębami wyciągnęła pana spod koła. Mocnymi nogami wygrzebała jamę, w którą zepchnęła zwłoki. Usypała wzgórek, udeptując go mocnymi kopytami. Pozostała jej do postawienia nagrobna tabula z nazwiskiem i cyfrą regimentu.

Dumała, jak zabrać się do zadania ponad końskie siły, gdy usłyszała nienawistny świst. Na jej szyi zacisnęło się elfie lasso. Kątem oka zauważyła, że chłopci uciekają z pobojuwiska. Spłoszone żarłoczne pta—szydła podrywały się do lotu z ochrypłym krakaniem.

Wspięła się na tylne nogi, rżąc rozdierająco.

Koniec lassa dzierżył długouchy elf w zielonym stroju. Jasne włosy rozwiewały mu się wokół głowy, gdy zapierał się nogami. Od przeciwnej strony nadbiegł jego towarzysz, identycznie ubrany, tylko z dłuższymi uszami i jaśniejszymi włosami. Trzymali Derenie na naprężonych lassach. Zbliźali się,

skrząc ramię. W dłoniach tego po lewej widziała elfie gałki. Rozkręcał je wolną ręką. Tego bały się wszystkie konie Ósmego Regimentu.

Stała dęba, bijąc powietrze przednimi kopytami.

— Bazaalyk! — rozległ się przeciągły okrzyk.

210

Zbigniew Wojnarowski

Elfy z plemienia Gduleen posługiwały się tym zawołaniem w chwilach emocji, same nie wiedząc, Co znaczy. Używał go gadający ptak, odnaleziony w stanie hibernacji w prehistorycznym gduleńskim grobowcu. Żył po dziś dzień, lecz naturalnie nie był w stanie wyjaśnić, co miał na myśli ten, kto przed wiekami nauczył go tajemniczego okrzyku.

Zakładano, że znaczy on coś podniosłego. Ginące plemiona są podniosłe bez szczególnego wysiłku ze swojej strony. Taki los.

Gałki, ciśnięte z nadludzką siłą, zapętlily się wokół tylnych pęcin. Gdy klacz rozpaczliwie łapała równowagę, drugi elf rzucił swoje. Derenia runęła na ziemię, wzbijając kurzawę wody z traw mokrych po nocnym deszczu.

— Bazaalyk! Ma pechową maść — odezwał się jaśniejszy elf.

— Bazaalyk! Jest piękna — dodał ciemniejszy. Przykucnąwszy obok powalonej Dereni, milczeli.

Widzieli jej smutny wzrok, gdy unosząc głowę, patrzyła na świeżą mogiłę. Może wiedzieli, co myśli, bo niektóre elfy umieją czytać w myślach wszystkich istot.

A myślała, że nie chce przeżyć pana, żeby nosić na sobie obcych.

— Plemię wymiera — mruknął jaśniejszy elf — ale i tak zostało nas pięciu. Jak podzielimy się jednym koniem, choćby najpiękniejszym?

— To prawda, jest przepiękny — potwierdził ciemniejszy elf, gładząc Derenie po szyi. — Warto było zrodzić się i wyginąć, żeby złowić takiego rumaka.

— Dekadencki estetyzm nie rozwiąże naszego problemu. Jak się podzielimy, pytam?

— Wedle starszeństwa koń przypada mnie.

— A jeśli zginiesz?

pOSOKA SMOKA 211

\_ Będzie twój, pomogłeś mi go złapać.

— A jeśli ja zginę? Empiria uczy, że elfickie szczepy szybko przemijają.

\_ Weźmie go twój brat. Zdradź mi, bazaalyk, dlaczego mielibyśmy zginąć?

— To pechowa maść. Dla jeźdźca.

Umilkli, patrząc mądrymi oczami na prastare bory flankujące drogę. Wynurzały się ze świtu coraz dalej ku horyzontowi.

Derenia zarżała żałośnie, zamykając oczy.

— Cudna klacz! Jaka mądra — szepnął jaśniejszy, ulegając temu samemu przekleństwu estetyzmu. — Wierna po grób, widziałeś jej zachowanie? Zawsze byłem wrażliwy na piękno i mądrość. Coraz mniej go na świecie, odkąd zmarła moja Dinagwe.

Powąchaj powietrze. Czujesz? Nawet smocza estra nie pachnie już jak więdnące róże. Przez wieki to się zmieniło. Skutkiem coraz paskudniejszego wyżywienia, nie uważasz? A nikt z ludzi niczego nie zauważył, zdumiewające. Nadal sądzą, że to zapach więdnących róż.

Pamiętasz, jak pachniały elfy z plemienia Gduleen? Piżmem, letycją, jaśminem, safią... Dziś pachną jednakowo, nagrobnymi kadzidłami. Odejdę na zawsze, i ty odejdiesz, i obaj nasi bracia, a koń dostanie się Orwihemu.

— Jeśli tak ma być, będzie.

— Zajeździ go! Wyruszy do kraju Metar, wjedzie na Trakt Sitka i połamie klaczy nogi. Trzeba ją będzie dobić. Upokarzająca śmierć! Nie chcę być tego świadkiem.

— Bez obaw. Jeśli masz rację, nie doczekasz tego. Jaśniejszy elf wstał z kucek, odgarnął włosy na ramiona. Kiedy leżąca w trawie klacz otworzyła oko, widziała go na tle mglistego nieba — smukłego, dorodnego, z uszami chwiejącymi się na wietrze.

212 Zbigniew Wojnarowski

Ponad jego jajowatą blond głową krążyły kraczące kruki.

— Po co męczyć szlachetne zwierzę? Nie uniknie swego losu. Dobijmy ją od razu.

— Jeszcze żyjemy. A Orwihem jeszcze jej nie ma.

— Mylisz się! To nie jest życie! — orzekł jaśniejszy i wyciągnął wskazujący palec ku niebu. — Patrz! Będzie je łatwo do tego przekonać. Powietrze coraz mocniej cuchnie ludzkimi umrzykami. Bazaalyk! Nie znajdziemy już na świecie niczego piękniejszego niż ten wierzchowiec, uwierz mi.

— Bazaalyk! Wierzę z całego serca! Ucałowali się w policzki.

Elfickim nożem z jeleniego rogu otworzyli Dereni żyłę na szyi. Była im za to wdzięczna. Zarzała ci— I chutko, choć nie sądziła, że rozumieją, co próbuje im w ten sposób przekazać. Czują, jak ciepła ciecz spływa po niej na ziemię. Robi się chłodno. Gdy przez jej drętwiejące mięśnie przebiegł dreszcz i wolno zamknęła cudne szkliste oczy o kształcie migdałów, obaj elfowie ułożyli się obok na trawie.

Z wyciągniętymi wzdłuż ciała rękami leżeli, patrząc w niebo, a kiedy kruki z powrotem sfrunęły na pobojuwisko — i oni opuścili powieki.

Słysząc było trzepot skrzydeł, chrzęst rwanego z trupów mięsa, uderzenia dziobów.

Niedługo najodważniejszy ptak sfrunął na pierś jasnowłosego i przebił mu dziobem powiekę, żeby wydłubać oko. Dołączyły następne, ponieważ elfie mięso jest delikatniejsze niż łykowane ciała ludzkich kupców. Obaj znosili to mężnie, bez jęku, jak przystało na ostatnich przedstawicieli plemienia, przed którym nie ma przyszłości. Tylko temu o ciemniejszych włosach wyrwał się szept: „Bazaalyk”, gdy stary siwy kruk roz—

pOSOKA SMOKA

213

łupał mu czaszkę, żeby dobrać się do delikatnego mózgu. Ale zacisnął wargi, zanim głos spłoszył ptaki. Żyli jeszcze, kiedy kruki zjadły im oczy, uszy, policzki, wydziobały wątroby i jelita. Każdy z nich pędził na pięknym siwym koniu po szmaragdowej łące, nie mającej początku ani końca. A gadający ptak, którego mowy nikt nie rozumiał, wołał

śpiewnie z daleka: „Bazaalyk, bazaalyk!”

## **R ozdial dwudziesty ósmy**

*w którym odbywa się wycieczka z szambelanem, ochroną, jamszczykiem, hajdukiem, tresowanym dereszem i sokołami*

Brodaty szambelan, siedzący obok Walka w odkrytym powozie, nie odzywał się.

Czasem pokazywał dłonią w łosiowej rękawicy w prawo lub w lewo. Gdy koła wjeżdżały na wybój, łańcuchy na szambelań—skiej szyi dzwoniły, jakby wołały do jamszczyka na ‘koźle:

„Uważaj, niezdaro! Nie byle kogo wieziesz!” Wokół powozu kłusowali dla ochrony konni, rozbryzgując lśniące od nieba kałuże. Byli w lisich kołpakach, uzbrojeni po zęby, z sokołami przyuczonymi do rozszarpywania twarzy. Trzymali je zakapturzone na łąkach siodeł.

Szambelańska dłoń wyciągnęła się majestatycznie do przodu, gdzie nie było niczego prócz porzniętego

pOSOKA SMOKA

koleinami gościńca na Kutrzebno, druidzkie sioło. Walek domyślił się, że pokazano mu drogę, którą pojutrze ruszy paradny orszak. Poza ścierniskami rysował się łańcuch gór. U

ich podnóża smok miał pieczarę ukrytą w Dolinie Śluzów. Brała nazwę i od wylanych tam niewinnych łez, i od kaskad, spływających ze zboczy ku błękitnemu jezioru.

Szambelańska ręka wykrzesła w powietrzu kształt galowej trybuny na wzgórku.

Potem zafalowała nad rzyskami na znak, że tutaj paradnym szpalerem rozciągnie się dwór.

Gdy na horyzoncie pokazał się samotny dąb druidów, szambelan stuknął w plecy jamszczyka. Powóz zatrzymał się. Na gwizdnięcie podjechał wystrojony hajduk na dereszku z grzywą pozaplataną w warkoczyki.

Szambelańska ręka wskazała dalekie drzewo.

— Niczeto! — odparł hajduk, zerknąwszy spod daszka smagłej dłoni.

Zapadła cisza.

Orszak czekał cierpliwie, aż szambelańska dłoń wskaże dąb powtórnie.

— Niczeto! — powtórzył hajduk.

Dopiero za czwartym razem jego głowa w czapie obszytej barankiem skłoniła się twierdząco.

— Muszyna, łoj!

Łosiowa rękawica machnęła zdecydowanie w kierunku dębu.

Hajduk odpiął kuszę z końskiego łęku, napiął ją i puścił bełt, który przenikliwie świsnął znikając w dali. Kusza zawisała przy siodle, jamszczyk zaciął konie, powóz szarpnął i ruszył. Przerwa w podróży, która Wałkowi zdała się niedorzeczna, wszystkich przestała obchodzić.

Ośki skrzypiały, kopyta mlaskały w nawilgłej zie—

Zbigniew Wojnarowski

mi, chrzęściły popręgi. Dąb był coraz bliższy. Z jego rozłożystych gałęzi zwieszały się święte mchy, brody glonów, porosty, którym druidzi poświęcili tomy zielników i modlitw.

Wielbili w nich mądrość przyrody zdolnej stworzyć mchy, porosty i druidów.

Za dębem jawił się teren pełen białych porowatych głazów. Pięły się trawiaste stoki, nad którymi

jaśniały w mglistym powietrzu surowe szczyty.

Przy dębie szambelan wysiadł. Wyszarpnął tkwiącą w korze strzałę i podetknął

Wałkowi pod nos. U końca wisała czarna grudka.

— Mucha — rozpoznał Walek. — Bebechy od muchy. Szambelan spojrział na hajduka, ten na szambela—

na i obaj skinęli głowami. Jakby Walek celująco zdał niewiadomy egzamin. Powóz ruszył dalej.

Jamszczyk zjechał z wyboistego gościńca i przez łąki pokierował konie ku wzniesieniu górującemu nad okolicą. Obrastały je akacje, jeżyny, wśród krzaków odzywały się ptaki. Ścieżka wiodła zakosami na wierzchołek płaski jak stół. Szambelan poprowadził nią Walka, zostawiając asystę u podnóża góry.

W dole usiany skałkami wylot Doliny Śluzów zalegały cienie. Szambelan zdjął

rękawicę, skierował nagi palec w trawę u podnóża. Kosztowne łańcuchy zadzwoniły na nim od nagłego ruchu. <

— Tu będę stał! — odezwał się do Walka po raz pierwszy.

Wyciągnął palec ku skale, sterczącej opodal na kształt maczugi olbrzyma.

— Tam stanie mój krasnolud totumfacki, żeby widzieć walkę jak na dłoni. Smoczy koniec oznajmi mojej dostojnej osobie poprzez machnięcie chustą.

Z kolei palec wskazał skalną półkę za potokiem skrzącym się od piany.

— Tam stanie znajomy ci hajduk, mając baczenie

p0SOKA SMOKA

217

a wylot doliny. Widziałeś, co potrafi! Napiętą kuszę będzie miał pod ręką. Kupiłem mu stalowe bełty z zadziornymi. Nie do wyciągnięcia.

Szambelan pogładził gęstą brodę, założył na powrót rękawicę, poprawił łańcuchy, które przekrzywiły się na piersi podczas wspinaczki. Wpatrzył się w oczy Walka wzrokiem bazyliuszka.

— Są tacy, co miłościwym królem gardzą niby sobacza kupą! — rozległ się jego ostry głos. — A ja go miłuję z duszy, z serca! Jakby częścią był mojej osoby. Moją głową, bez której żyć nie sposób! Piętą albo nerką, małym palcem, kiszka stolcową, okiem, drugim okiem. Pozbawiony tych organów nie postąpisz kroku, nie popatrzysz na świat, nie strawisz jadła, nie wypróżnisz się, bez czego życie zamienia się w potworność!



Ogień w szambelańskich źrenicach spowodował, że Walek opuścił głowę.

— Nie wszyscy w króla otoczeniu patrzą w oczy! Nie wszyscy! — kontynuował

złowrogo szambelan. —Zdrajcy, sprzedawczycy, którzy kupczą królem jak własną śledzioną i własnym okiem. Nie wierzą, że w kalectwo od tego popadną! Ja ich uleczę strasznym lekiem!

Tupnął butem z cholewą, aż spod głazu smyrgnęła w trawę jaszczurka.

— Pewnie już tacy odwiedzili cię potajemnie? — spytał domyślnie. — Może dałeś się omotać szaloną myślą albo pełną sakiewką. Nie sądź, że się nie dowiem! Ile ja intryg zdusiłem w zarodku! Król dawno by wisiał na wieży głową w dół jak zając w druidzkie święto, gdyby nie ja! Zmowa Czarnego Naramiennika, musiało być o nich głośno nawet na twoim zadupiu. Żółte kokardki przyczepiali do ramienia, pewni, że nikt nie skojarzy żółtego z czarnym.

218 Zbigniew Wojnaro

Wyłapałem co do jednego, stryczki kazałem wiązać—w kokardki! Albo Bractwo Czarnej Lilii! Od razu p0. znałem, że tajne sprzysiężenie, bo nie ma czarnych lilii. Uparli się na czarny kolor, obłąkańcy! Zdaje im się, że spiskowanie ma tę samą barwę, co piwniczne izby, w których się ze spiskowaniem kryją. Za pędzle złapać, odmalować swoje nory, zaraz świat zda się miłszy! Jaki kolor ci się podoba?

— Zielony! — wypalił bez namysłu Walek. — Jasnozielony.

— Zielony... — mruknął w głębinach brody szambe—lan. — Sprytnyś! Czarna Sekta, ci też byli sprytni! Pełna konspira. Co począć, gdy brak dowodów? Wieszasz bez dowodów, sprawiedliwość musi być! Był szaleniec, który spalił się w proteście na oczach króla.

Wytłumaczyłem, że zajął się od płonących lodów na deser. Był inny, zarażony dżumą, który zamierzał wyściskać się z królem. Z mojej poręki umarł w bez—objawowym stadium choroby. Zapowiadam ci, knuj, nie knuj, rób, co chcesz, pies cię trącał. Ale twoje oddanie dla króla okaże się pojutrze. Zanim krasnolud nie machnie chustą, nie odwołam hajduka. W razie ucieczki powita cię strzałą z kuszy. Zgryzota i przekleństwo, oto czym jest smok dla umiłowanego króla! Zabij lub zgiń!

Walek otworzył ze zdumienia usta. Jak to? Każdy w zamku chce czego innego? Czy to bezrozumna nadgorliwość? Czy też tak wyglądają zakulisowe intrygi, o których się po wsiach opowiada?

— Ale... Ale... — wydukał niepewnie. — A jeśli król chce smoka oszczędzić?

Szambelan podsunął mu pod nos pięść w rękawiczce.

— Król? Oszczędzić smoka? Nie łudź się, kanalio, że spisek sięgnął tak szeroko! Król nie przyłączy się do niego, żeby na własną głowę nastawać!

Wąską ścieżką zeszli jeden za drugim.

Byli już na dole, gdy furknęła cicho strzała, wrażając się po belt między złote łańcuchy na piersi szambelana. Stęknął, kolana się pod nim ugięły. Wyrzucona ustami krew zboczyła jego brodę i padł trupem u stóp Walka.

# R

## ozdział dwudziesty dziewiąty

*w którym są przerażające sceny*

*batalistyczne*

*oraz bogowie na billboardach*

Po dwóch dniach związany Deyerpoth stał się ulu—bieńcem zabawek. Nikt ich tak nie rozweselał! Kiedy pił mleko — ucieszenie prychnął, oblewał się, chlapał. Karmiony na krześle miodem lub powidłami — pluł, parskał, mruszył się, wybuchał śmiechem z pełnymi ustami.

Po posiłkach było sprzątanina co niemiara, ale nie miano tego za złe nowemu koledze z zabawnym pyszczkiem zębry. Jak zabawa, to zabawa! W samotności Deyerpothowi wracał

ponury wyraz twarzy. Siedział przed skrzynką, którą tamci nazywali telewizorem, i gapił się w nią bezmyślnie. Na obrazkach ludzie skakali jak pajace, a może pajace jak ludzie, wybuchały domy i samoloty, śmigły pojazdy o wymyślnych kształtach. W swoich peregry—

pOSOKA SMOKA 221

nacjach Deyerpoth pogłębił się duchowo, toteż brzydził się światem z ruchomych obrazków. Tak samo jak swoim poniżającym zachowaniem w trakcie karmienia. Ale tylko ono pozwalało udawać, że je. Faktycznie prawie nie przyjmował posiłków. Trzy tygodnie później zaczęły zanikać mu piersi, po kwartale — gdy nad miastem Foksterier noc dobiegała końca — przestał miesiączkować. Jednocześnie tracił na wadze.

Aż nadeszła upragniona noc, gdy więzy zsunęły się z niego jak za duże ubranie.

Na to czekał. To sobie wyobrażał, cierpiąc męki głodu, bóle kiszek, zawroty głowy, majaki. Każdy ruch wykonał tak, jak w swoich mściwych imagina—cjach.

Roztarł przeguby, przywracając normalne krążenie. Zrobił kilka ćwiczeń izometrycznych, żeby zdrętwiałe mięśnie obudziły się do życia. W ciemnościach pachnących miodem i mlekiem zabawki spały bezgłośnie, jakby nie było ich w łódeczkach. Nie chrapały, nie oddychały, nie przewracały się z boku na bok. Ale Deyerpoth wiedział, że są tu w komplecie.

Bezszelstnie podniósł się z krzesła, po omacku dotarł do szafy. Otworzył ją delikatnie, żeby nie skrzypnęła — i jak najciszej wyciągnął z pochwy kataną.

To była ostatnia rzecz, którą zrobił cicho.

W cukierkowym domku rozpętało się piekło. Ciach! Rach! Ciach! Obcięte części zabawek fruwały pod niskim sufitem w zwolnionym tempie, ponieważ piorunujące cięcia katany — zdało się —

spowolniły czas. Ponadto krzywa Gusjewa haczy się podczas gwałtownych przespieszzeń ruchu rzeczywistego.

— Koniec z wami, w kupę—pulpę mać! — wrzeszczał Deyerpoth strasznym głosem.

222 Zbigniew Wojnarowski

Cięcia ostrza rozświetlały pomieszczenie jak upiorne neonówki.

Rach! Ciach! Rach! Pluszowa łapka misia koziółkowała w powietrzu, makabrycznie ociekając gęstym miodem. Obcięte uszy gumowego zajęczka kicały jak żywe. Długi drewniany nos marionetki, odrąbany wprawnym ciosem, turlał się po deskach podłogi kichając tragicznie. Na czyste ściany, tapety, pastelowe obrazki chlapał długimi strugami malinowy kisiel. Gwałtowne ruchy ostrza wzbijały pod sufit zadymkę puchowych kłaczek wyprutych z przytula—nek.

Nagle katana zazgrzytała, spod ostrza trysnął snop iskier.

Na drodze Deyerpotha stanął blaszany smok.

— O, jak fajnie! Bawimy się! — zaintonował, mrugając radosną lampką na czole.

Translacyjny pojemnik tłumaczył go ze ściany, gdzie wisiał niczym „kołchoźnik”, przygwożdżony starożytnym cięciem ciah—ming. — Teraz ja, teraz ja! Utnę ci głowę i będziemy nią grali w siatkówkę, dobrze? Zgódź się, proszę cię! Jutro ty możesz mi uciąć!

— Wyklepię z ciebie śmietniczkę, szrocie porąbany! — warknął Deyerpoth przez zaciśnięte zęby. — Długo na to czekałem!

— Nie, tak nie! — zaprotestował smok. — To nie jest fajna zabawa! Utniemy ci głowę i nie możesz nie chcieć! To nasza głowa! Baw się z nami!

Deyerpoth uczył, że ruchy krępują mu rozkawałkowane zabawki. Posiekane cmentarzysko z pluszu, plastiku i drewna czołgało się ku niemu po zalanej księżycem podłodze. Czepiało się brzegu kimona, ciągnęło do dołu, podrygiwało jak w chorobie świętego Wita. Przez chwilę strącał z siebie nóżki, rączki, korpusiki, otrząsał się z nich, robił

kroki z wysił—

pOSOKA SMOKA 223

kiem jak w głębokiej wodzie, aż utknął w miejscu. Nie miał siły unieść rąk, wziąć zamachu.

Nieśmiertelne resztki mrowiły się na nim jak czerwie na zwłokach.

Blaszany smok wyciągnął zza pleców kij — podobny z kształtu do węża zastygłego w skoku. Czarny Ogon ciągnął się zawijasami przez deski podłogi i niknął w ścianie. Z pyska tryskał syczący niebieski płomień.

— Obetniemy ci głowę, obetniemy ci głowę! — radował się smok za pośrednictwem tłumaczącej pokrywki. — Ale jazda! Nie będziesz miał głowy! Ciuś, ciuś, bezwstydniku!

— Co tam trzymasz, cholerna konserwo bez sardynek?!

Obezwładniony Deyerpoth wskazał oczami na plującego ogniem węża.

— Nie wiesz? Siurpryz! To palnik acetylenowy! Bez niego nie obetnie się głowy solidnie skonstruowanej zabawce. Odsłoń szyję, no dalej, proszę! Nie umiesz się bawić czy co?

Deyerpoth wrzasnął z bólu, gdy płomień palnika przejechał po jego zagłodzonych piersiach. Na kimonie wykwitła tłąca się smuga i kilkanaście zabaw—czanych resztek odpadło płonąć. To pozwoliło odzyskać swobodę rąkom. Dwoma ruchami tułowia pirat pozbył się kimona i stopą wymierzył cios w blaszany korpus.

Smok przekoziółkował przez biały stoliczek. Wazonik z bukiecikiem słodkich fiołków roztrzaskał się z pluskiem na jego głowie.

Upuszczony palnik wił się i skakał po podłodze, Plując syczącym ogniem. Płonące wysepki zakwitały na ścianach i sprzętach niby wiosenne kwiaty na łące.

Deyerpoth chwycił za ergonomicznie wyprofilowa—

224 Zbigniew Wojnaro—

ną rękojeść, przydepnął nogą brzuch leżącego srn0. ka, aż rozległ się paniczny brzęk blachy. Przejechał płomieniem w poprzek smoczej szyi. Głowa odtoczyła się na bok, plując fiołkami. Pirat nie ustawał w dzikim szale zniszczenia. Jedna blaszana łapa druga, obie nogi, ogon, korpus na pół... Szast! Prast! Cięte palnikiem blachy syczały wniebogłosy, iskry rozjaśniały ciemności. Uwijając się w ich opadają, cym deszczu, goły Deyerpoth przypominał

boga zemsty. Pasy na jego twarzy migotały niczym czarne płomienie piekła.

— Co ty narobiłeś? — wymamrotała wstrząśnięta smocza głowa za pomocą pokrywki na ścianie. Traciła siły i mówiła coraz wolniej. — Całkiem mnie zepsułeś! Zobaczysz... jak cię dorwie wielki bóg Luka Sfina Lcut... to ci zrobi z dupy... jesień średniowiecza!

— Co? — wrzasnął spocony, usmolony Deyerpoth.

— Wyrźnie ci... w druppie... Wieieie...lką Schiz—męęę!...

— Co?

— Gówwwn...! — wyszeptała bezradnie blaszana głowa i zamilkła z fiołkiem w zębach.

Deyerpoth bezlitośnie dokończył dzieła destrukcji. Gdy odchodził w stronę asfaltowej szosy — utykający na nogę, w popalonym kimonie, z samotnym skrzydłem katany za plecami

— landrynkowy domek, płótek i ogródek płonęły w zorzach przedświt.

Zostawił za sobą zabawkową krainę i wylizując słoik miodu, zmierzał środkiem dwupasmowej asfal—tówki ku miastu, które kryło się za widnokręgiem. Szedł przez cały dzień, nie spotkawszy nikogo z wyjątkiem bogów nieznannej metropolii. Trwali wzdłuż poboczy na gigantycznych billboardach, czasem fry—wolnie uśmiechnięci, czasem sentymentalnie zamy—

POSOKA SMOKA

225

śleni, czasem zeszywniali pod brzemieniem własnej mądrości w dziwnym mimicznym grymasie. Wielu znał z telewizji. Ich podobizny górowały nad pomarańczową płaszczyzną wypalonych przez słońce łąk po obu stronach szosy. Nad tym krajobrazem śpiewały druty trakcji elektrycznych rozpięte na kolosalnych metalowych konstrukcjach.

Ptaków nie było.

O zmierzchu Deyerpoth zobaczył przed sobą monumentalne miasto.

Las budowli piął się w wieczorne niebo, świecąc punkcikami okien. Łuna neonów unosiła się ponad ziemią jak opar. Zbliżywszy się, Deyerpoth usłyszał brzęczenie ludzkich rojów, jakby pod kopułą neonowej tęczy działały się rzeczy niewyobrażalne. Kątem oka dostrzegł smoczy cień, który z rozłożonymi skrzydłami zawisł na tle srebrzystego księżyca.

#

## **R o z d z i a ł t r z y d z i e s t y**

*w którym Walek trafia*

*w ręce zbójców i poznaje tajemnicę*

*pewnej dziupli*

Jeden przy drugim leżały w trawie trupy ochroniarzy z trupami sokołów na piersiach, trup jamszczy—ka z trupami obu koni po bokach i trup hajduka z trupem tresowanego deresza.

Człowiek nie krzyknął, koń nie zarżał, ptak nie zakwilił. Wokół uwijała się garstka ludzi Ramireza. Dwóch z nich podskoczyło do martwego szambelana, by rozdziać go z łańcuchów, trzeci, w trójkątnej czapie herszta, zbliżył się do Walka.

— Ktoś ty taki, świński ryju? Nie znam cię!

— Może i lepiej — zapewnił Walek — skoro tych, co znacie, rżnicie bez pytania. Ja z nimi nie mam nic wspólnego. Przywlekli mnie tu prośbą i groźbą.

\_ Groźbą? Może coś wiesz o starożytnym skarbie i chcieli to z ciebie wydusić?

\_ O niczym nie wiem! — zapewnił szczerze Walek.

Herszt zajrzał mu za koszulę, czy nie chowa złotego łańcuszka, i splunął.

— Widać nie lubisz siebie, że nie wiesz. Gdybyś wiedział, pożyczysz, póki do skarbu nie zaprowadzisz. A tak, świński ryju, po co ci żyć? Nie znam cię, mo—żeś ty dobry człowiek? Pozwalam ci wybrać. Wolisz gardło, żeby ci poderznąć, czy flaki wypruć, czy co?

Walek wzruszył ramionami z rezygnacją.

Łatwo powiedzieć — wybierz! Prawda, że jedna śmierć lepsza od drugiej, ale która?

To jak z głodem! Kartoflami z maślanką się najesz, i grzybkami na rowie, ale grzybki gorzkie, ślinę zgęszczają, mocz pędzą. Która śmierć jak grzybki, a która jak kartofle z maślanką?

— No! Wybieraj, chyżo!

— A niech tam! — zdecydował niechętnie. — Dajcie kartofle z maślanką!

Herszt zbliżył obrośniętą twarz do Wałkowej twarzy. Jechało od niego ropnym zębem.

— Zgłupiałeś? Po nogach robisz? Jeden nam onegdaj ze strachu w powietrze się uniósł, ale i tam popuścił w gacie, pamiętacie, chłopcy? Ja cię nie pytam o ostatnie życzenie co do śniadanka i fajeczki, świński ryju, tylko na tamten świat chcę cię wyprawić z życzliwością!

— Niech pomyślę! — poprosił Walek. — Życie pędzi, że nie sposób za nim nadążyć, a wy jeszcze popędzacie! Dopiero co miałem ubić smoka, teraz sam jestem ubijany.

— Smoka? To o tobie w okolicy tak głośno? Słyszycie, chłopcy? Z nieba nam spadasz, świński ryju!  
—Herszt z zadowoleniem poklepał Walka po ramieniu.

228 Zbigniew Wojnarów^;

— Kto by pomyślał, że ty na godzinę się wybierasz.. Ano, jakie czasy, taki smokobójca! Powiadam ci w dolinie cudne miejsce na zasadzkę, a ruch ekonomiczny nie idzie tamtędy z powodu smoczej bestii! Tabory korzenne przez Wręgi, kupcy bławatni Nie—

msą, poszukiwacze złota przez most nad Czarcim Żlebem, choć ledwo wisi... Nijakiego ładu!

Rzniemy od przypadku do przypadku! Konie zmydlisz, a nie nadążysz za kasą! Dla nas to ubijesz smoka, świński ryju, nie dla zamkowych!

Już Walek miał nadzieję, że ze śmiercią szambe—lana umarły głupie żądania, żeby wystąpił przeciw życzeniom króla i gospodarce państwowej. A tu proszę!

— Sami ubijecie smoka najlepiej — podkadził. —Więcej was ode mnie, siłę macie!

Herszt chwycił go za rękę i wciągnął na siodło za sobą.

— To nie wiesz, świński ryju, że smoka ubije tylko wybraniec? — zapytał. — Inny choćby się nadał i roz—puknął, nic po sobie nie zostawi przed jaskinią oprócz smrodu.

Pędzili przez nadrzeczne łągi ku lasom na horyzoncie.

— Taki ze mnie wybraniec jak ze smoka lichtarz! Konie szły ławą, bandyci wydawali bez przyczyny dzikie krzyki, od których ptactwo zrywało się z trzepotem. W podmokłej trawie kopyta wzbijały bryzgi wody, spadające za pędzącymi jak deszcz.

— Jak kto taki głupi, że na smoka idzie, to wybraniec! — odkrzyknął herszt.

— A jakże wy mi za to dacie pół królestwa i rękę królowny?

— Nie damy! U nas inne nagrody niż we dworze!

POSOKA SMOKA

229

Wyły cię za to nie zostawimy w mrowisku nasmarowanego miodem!

Konie zwolniły, dojechawszy do boru. Szły teraz gęsiego.

— Może dla kraju smocza śmierć jest niepożytecz—na? — zapytał Walek z resztką nadziei.

— Za to dla ciebie pożyteczna! Tego się trzymaj! —zapewnił herszt. — Uda się, to przygarniemy. Kto ma zbója w rodzie, tego bieda nie ubodzie! Znasz najświętsze przykazania?

Sięgnął ręką za siebie, podciągnął koszulę na kark.

Na kudłatych plecach miał gadające zamię, które pyszniło się przed Wałkiem jak pawi ogon. Z takim rodzili się członkowie arystokratycznej rodziny Ko—alitów. Widać matka Ramireziaków zadała się z kimś znamienitym.

Zamię miało kształt szczerbatych ust, choć przed wiekami, u antenatów rodu, szczyliło się garniturem zdrowych zębów. Obecnie sepleniło. Migocząc czerwienią jęzora, ryknęło zawołanie rodowe: „Hamihez, Hamihez, Hamihez!”, grasejując po wielkopańsku.

Parskało Wałkowi śliną w twarz.



*Wiedz, że każdego da się zarznąć. Ludzka skóra ustąpi pod nożem zarówno u bogacą, jak u żebraka. Ale dla twojej kabzy jest to zasadnica różnica.*

*Wiedz, że osustwem jest zarówno osustwo małe, jak osustwo wielkie — ale tylko wobec sprawiedliwego obyczaj, nie zaś względem twoich zysków.*

*Wiedz, że łgając w ocy, jak też poświadcając prawdę, tak samo gładkie mas coło, głos dźwięcny,*

230 Zbigniew Wojnarowski

*postawę slachetną — ale nie taką samą kozyść od—niesies.*

*Wiedz, że występki gorszy od cnoty bywa tylko przed ołtazami i trybunałami — nie zaś gdzie indziej, gdzie częściej bywas.*

*Wiedz, że zdaza się zgzybiała starość po hula—scej młodości, ale nie zdaza się zamożna starość po młodości ucciwej.*

*Wiedz, że mądry psysięga, a głupi psysiąg do—tsymuje.*

*Wiedz, że cyś jest pocciwy, cy nie — otaca cię taka sama ludzka nienawiść. Jednakże pocciwemu łatwo powiedzieć ją w nos.*

*Wiedz, że zdaza się kradzież i zdaza się zwrot ukradzionego — ale ty nie musis brać udziału w jednym i drugim.*

*Wiedz, że mieć gzech na sumieniu, a nie mieć — taką samą różnicę psedstawia, jak mieć w skarb—cyku złotą zastawę, a nie mieć jej tam.*

*Wiedz, że ucciwych ludzi nie wybiją do nogi, a tobie może się to psydazyć. Toteż nie o tamtych należy dbać w pierwszym zędzie.*

*Wiedz, że wsetecni złą śmiercią końca, ale śmierć godziwych też w robacywą mogiłę wiedzie. Więc nie zyj po to, zęby dobrze umzeć, tylko umieraj źle, zęby dobrze żyć.*

*Tyle wiedz — a co więcej jest, zostaw bogom, bogobojnym i bogatym!*

Zakończywszy katechizację, znamień zawodziło fry—wolną piosenkę o raku, który zdybał Kaśkę w tataraku, póki herszt nie opuścił na nie koszuli. Wtedy zadławiło się i umilkło.

Wjechali na polanę.

Pod drzewami stały szałas. W ziemnym kręgu dymiło ognisko, przy którym dwóch brodaczy warzy

o strawę. Na drągach wędziło się mięso, suszyły się skóry Konie i Walka powiązane do połączonych palików. To było bogate obozowisko. Oprócz klejnotów walało się po nim wiele cudzych rzeczy niewiadomego pochodzenia. Fisharmonia, szapoklak, szaty liturgiczne, liczydło, męska głowa, karetta paradna, wrzeczono, damskie buty do konnej jazdy, królewski ukaz z łąkowymi pieczęciami. Nie licząc dzieci w brokatowych becikach i psów w kamizelach wyszywanych złotą nicią.

Walek przypatrywał się zbójcom, gdy jedli, pili, grali w morę.

Jeden był łysy, gruby, podobny do mnicha. Lubił żuć leszczynowe listki. Drugi był

niski, zwinny, gwizdał na palcach wesołe melodie. Trzeciego zły traf pozbawił oka, czwarty, kucharczy przy ogniu, nie miał nogi, zamiast której przywiązał sobie pod zadkiem stołeczek.

Piąty w przeciwieństwie do reszty był gładko ogolony. Szóstemu wyrwano język, więc mówił

na migi. Siódmy nosił w czole hufnał, którym znakowano skazańców z kopalni złota w Ra—

mis, choć to utrudnia myślenie abstrakcyjne. Ósmy nie wypuszczał z rąk topora, dziewiąty smarkał w palce, dziesiąty puszczał bąki, jedenasty bił go za to po głowie. Kręciło się ich po polanie bez liku.

Dziwna armia, inna od tych umundurowanych na jedno kopyto. Wyglądali, jakby ich życiowym powołaniem było różnienie się pomiędzy sobą. A ci, którzy na pozór wszystko mieli — ręce, oczy, nogi — po dokładniejszych oględzinach także okazywali się zdekompletowani. Herszt nie miał ucha, co Walek dostrzegł, gdy tamten zdjął trójkątną czapę. Mnich nie miał obu kciuków. Młokos gwizdzący na palcach nie miał słuchu. Gładko ogolony nie miał brody. Temu 2 hufnałem w czole brakowało rozumu, a znów ten 232 Zbigniew Wojnarowski

z toporem nie miał do nikogo zaufania i z tego powodu nosił topór.

Najgorzej wyglądał potworny karzeł, którego trzymali w klatce z drewnianych prętów.

Nie mógł tam wstać, kolebał się tylko z boku na bok. Na lewym ramieniu dźwigał garb, z obojczyka wyrastała mu trzecia karłowata ręka, którą dłużył w nosie. Łysy jak kolano, pomarszczony, jedno oko przelewało mu się po policzku, jakby spłynęło pociągając za sobą wyleniąta brew.

Walek był pewien, że stwór pojmuje nie więcej niż ciełe — toteż zdziwił się, przyzwany przez garbusa trzecią ręką. Zbliżył się do klatki, na ile pozwalał postronek u palika.

— Ktoś ty? — zacharczał karzeł ludzkim głosem.

— Smokobójca. A ty?

— Też nie uwierzysz, jak powiem! Kobiety jadły mi z ręki! Byłem największym uwodzicielem po tej stronie Gór Morońskich.

— Nie łzesz? — zdumiał się Walek. — Jakżeś je uwodził? Czarami?

— Co to za *ars amandi* uwieść babę czarami? Już lepiej schlać i też gotowa! —

oburzył się karzeł. — Urodą je uwodziłem! Rankiem służki wytrzepywały z mojego prześcieradła tyle spinek do włosów, ile przez miesiąc nie uzbierasz w żeńskim internacie!

Wiersze miłosne pisałem, o, takie króciutkie! — Pokazał rozstawiając palce trzeciej ręki. —

To ja wynalazłem fraszkę, smokobójco. Nie potrzebowałem długich, bo nie było baby, która po drugim wersie nie weszła mi do łóżka. Sztuka to potęga! Aż złapali mnie źli ludzie i koniec pieśni.

Walek pokiwał głową na znak zrozumienia.

— Zakazali ci wiersze składać?

— Furda wiersze! Pozbawili mnie męskiej urody,

pOSOKA SMOKA

233

okrutnicy! To, co przed sobą widzisz, to nie ja! Tylko dusza we mnie moja została. Na ciele okaleczyli mnie bez litości, potwory!

\_ Jak to okaleczyli? — zwątpił Walek. — Nie oślepiłi, nie oniemiłi, nawet ręki ci nie ucięli, choć masz jedną w zapasie. Breszysz, karle!

\_ Jam nie karzeł! — zachnął się karzeł. — Naprawdę zwę się Tabrys! Sławny śpiewak! Wiedz, że dla zbójców ucięcie komu członków to żadne okaleczenie, smokobójco!

Sami mają poucinane i dobrze żyją! Wsadzili mnie do dziupli deformującej w głębi boru, ot co! Kto mi dziś uwierzy, że najponętniejsze panny zwały mnie boską mizerykordią? Nie mam rodziny, znajomych, moja twórczość przepadła, bo kto da wiarę, że autor czegokolwiek?

Walek pokręcił z ubolewaniem głową. Oj, garbate bywają ludzkie losy.

— Nie martw się — pocieszył. — Napiszesz nowy wiersz w swojej nowej postaci.

Choć nie sądził, żeby jego samego pocieszyło, gdyby miał wiersze składać. Karła też nie pocieszyło.

— Na co mi pisać, kiedym garbus? — szepnął i łza spłynęła mu z niższego oka. —

Garbus nic nie wie, smokobójco. O miłości, bohaterstwie, cudnych marzeniach, o wszystkim, z czego

kleci się wierszydła i opowiadki, żeby rozrzewniały słuchaczy. Niczego nie wie o ludzkim i bożym świecie. Garbus ma swój garbaty świat, który prostych nie obchodzi.

To mówiąc, nieszczęśliwy znużony Tabrys usnął. A przez sen ciągle płakał bezgłośnie i łzy leciały mu z obu oczu, wyższego i niższego.

Aż Walek zadumał się nad tym politowania godnym zjawiskiem.

„R

## **JL wozdział trzydziesty pierwszy**

*który spędzimy*

*w oberży „Pod Lodowym Gilem”*

Po błotnistym gościńcu pełgało jesienne słońce, a w oberży „Pod Lodowym Gilem” trwała zimowa noc. Błony zwierzęce w oknach nie przepuszczały światła, od lodowych piwnic ciągnął zamróz, aż w szparach desek bielily się nitki szronu. Tu i ówdzie u powały zwisał sopel. W oberży można było dostać jedyne w okolicy piwo z lodu, toteż oberżysta nie narzekał na klientelę. Tłoczyła się przy wielkim kominku, z którego ulatywało na izbę miłe ciepłko. Zajadano się najlepszym pieczywym w powiecie, splukiwano gardła najlepiej schłodzonym piwem i plotkowano o polityce. Często prano się po pyskach, bo w powiecie było aż siedem partii, a wszystkie nieugięte parły ku> lepszemu. To zawsze źle wróży.

Zdarzały się też bijatki sprowokowane przez włóczykiów z ich pOSOKA SMOKA

235

nachalnymi opowieściami o dalekim świecie, w którym widywali zwierzęta o długąnych szyjach, z trąbami zamiast nosa, z dwoma garbami na grzbiecie. Kto to by wytrzymał z rękami przy sobie, gdyby mu wciskano takie zoologiczne nonsensy niczym zaściankowej ciemności?

Tego popołudnia poszło o mownego ptaka zwanego papugą. Każdy wierzył, że papuga istnieje, gdyż siedziała na ramieniu wąsatego Globtrotera, który opowiadał o dalekiej krainie — hen, za królestwami elfów i krasnoludów — gdzie mężczyźni mają jedno oko i dwa penisy. Od razu było widać, że z dalekich stron przywędrował. Skórę miał żółtą, oczy skośne, uszy obwisłe i porośnięte futrem, penisa zaś miał podobno zwiniętego w trąbkę. W

każdym razie takie plotki rozpuszczała po oberży Ewitka, córka oberżystów.

Ale nie to stało się powodem bijatki, lecz żebrak Dubinek.

Wykorzystując ogólne zaśłuchanie, zwabił w kąt papugę, żeby wyciągnąć z niej informacje, za które Hufnal nie poskąpi grosza. Nie utrzymał rozmowy w dyskrecji, gdyż po piwie papuga wydierała się i potykała o własne skrzydła, łażąc po stole. Ten i ów zerkał na nią przez ramię. Globtrotera drażnił brak zainteresowania nim samym. Podkreślił napięcie w opowieści. Zrobił z dalekich tubylców

zupelnych slepcow i dodal im jeszcze po penisie, tym trzecim mownym jak papuga.

Gdy mimo to Dubinek rozpraszał uwagę zebranych, Globtroter wstał.

Głowę sięgał powały.

Dubinek mógłby mu zębami trzymać spodnie zamiast paska i nie potrzebowałby się do tego schylać. Więc gdy dostał cios pięścią, pofrunął przez izbę, ob—

236 Zbigniew Wojnarowski

trącając sople u sufitowych belek. Nie zdążył złapać żebraczego szczudła, które służyło mu jako pałka.

Przekoziółkował przez szynkwas i spadł zemdlony po drugiej stronie.

Zachował tyle przytomności, że lecąc, zahaczył o misę z piwną polewką, która stała przed koniokrądem Walijem. Rozprysła się z zawartością na trzech siedzących najbliżej.

Dzięki temu sprytnemu posunięciu Dubinek uniknął izolacji w konflikcie.

Walij z drewnianą łychą w garści został się nad pustym blatem jak ta dupa, toteż zerwał się na nogi i chwyconą oburącz ławą zdzielił w kark Globtrotera. Dla sprawiedliwości.

Przy okazji z ławy spadli dziad Eremij i pastuch Rapca, co ich wkurzyło. Nie spadł tylko szwec Bułyga, a to dlatego, że wcześniej zerwał się wściekły — jako opryskany piwną polewką. Złapał pogrzebacz z kominka i dziabnął nim Walij a, aż iskry poszły.

Śnieżna zadymka uniosła się z podłogi od padających ciał.

Po ścianach kotłowały się w świetle kominka ponure cienie.

Wkrótce wszyscy tłukli się ze wszystkimi, czym popadło. Konie w stajni za przepierzeniem waliły kopytami, fruująca w ciżbie papuga gubiła kolorowe pióra i klęła jak szwec.

Oberżysta Ogr pojawił się z pustą beczką, wałąc nią po gorących łbach, aż dudniło.

Ewitka poprawiała mokrą ścierą. Ogrowa darła się piskliwie, że nie daruje, jeśli potłuką jej najlepsze fajansowe kufle. Mimo że osobiście kładła tymi kufłami po pyskach, jeśli pyski nawinęły się pod rękę. Ale to z wrodzonej zawziętości, którą miała w sobie bodaj większą niż wrodzoną gospodarność.

pOSOKA SMOKA

237

Kiedy Dubinek wygrzebał się zza szynkwasu, poczuł odór potu, kapiącego z zielonej twarzy

oberżysty. Ujrzał ją przed sobą, gdy przestał widzieć fruujące sadze.

„Pod Lodowym Gilem” panowała już cisza.

— Jak się skończyło? — stęknął ciekawie Dubinek, masując obrzękły nos.

— Wychodzi na to, żeś wygrał! — powiadomił go Ogr.

Istotnie, pozostali leżeli bez przytomności pod połamanymi stołami i ławami, w kałużach piwa. Na ścianach przymarzła krew, twarze nieprzytomnych straciły wyrazistość, rosły na nich gule, bąble, skrzepy, spod skóry sterczały połamane kości.

— Gdzie ten sukinkot z mowną papugą?

Ogr, Ogrowa i Ogrówna spojrzeli po sobie spod oka.

— Już poszedł! — zapewnili zgodnie.

— Dogonię! Utłukę! — porwał się mężnie Dubinek, zanim uściślił: — Kamieniem z daleka!

Ogrostwo znów spojrzeli na siebie znacząco.

— Ledwie zipiesz, łajzo! — odezwał się troskliwie oberżysta. — On ciebie utłucze bez kamienia z bliska. Nie szukaj go! Chodź ze mną! Legniesz, odpoczniesz, grosza nie policzę. Rano pójdziesz.

Nie czekając na zgodę, złapał go pod pachę, wniósł na pięterko, rzucił do łóżka i zamknął drzwi na klucz. Co ciekawe, dotychczas tak nie robił.

Oprócz prymitywnych bijatyk „Pod Lodowym Gilem” odbywały się wyrafinowane sekretne spotkania, często wagi państwowej. Leżąc, Dubinek rozmyślał o nich. Nigdy wcześniej nie wpuszczono go na pięterko, gdzie spotkania miały miejsce. Ileż to interesujących rzeczy mogło się teraz dziać dookoła! Nie zdzierzył ciekawości, podniósł się z łóżka i przytknął

*fJZ*..... Zbigniew Wojnarowski

ucho do ściany. Do podłogi. Nawet do powały — wia, złszy na taboret.

Niewiele było słyhać. Szepty, mamrotania, mlaskania.

Niezrozumiale. Intrygująco.

Wyciągnął z za pazuchy szpiegowski świderk.

W pokoiku po lewej zobaczył rudego krasnoluda Haupcyndera, siedzącego przy stoliku z królewskim cukiernikiem. Haupcynder wyliczał tamtemu czerwonce na podstawioną dłoń. Cudnie brzęczały, choć w świetle kaganka połyskiwały jak krew.

— Drogo bierzecie, psiekrwie! — mamrotał krasnolud. — Łupicie jak ten wasz ofajdany monarcha, dynastyczna jego mać! Piękny przykład idzie z góry! Sam polizę, zapamiętaj! Nie chciałbym siedzieć w twojej skórze, Tomku Lukierniku, jeśli mnie w nosie zakręci!

— Wszystko będzie jak prawdziwe! Prawdziwiutki! — zapewnił tamten.

— A jakie ma być za takie pieniądze? — warknął Haupcynder. — I piana dobrze ubita, żeby nie ściekła do dupy w dwa pacierze! Na oczy weź najcieńszy marcepan, a wąsom nie żałuj wiórków kokosowych! Smokobójca niech się utopi we własnej ślinie ze smaku!

Inaczej ja ciebie utopię w mojej własnej czekoladzie, huncwocie!

Dubinek nie pojmował, dlaczego taka wielka łapówka jest wręczana za uбиcie piany, ale ponieważ nie przepadał za łakociami, przeniósł się ze świderkiem ku drugiej ścianie. *t* Tam wypatrzył przez dziurkę Walaskesa de' Moro—dana, żołnierza z chorągwi sławnego Morodana seniora, ojca. Na kolanach *uni*—a siedziała panna Helwecja — z zasobnego kupieckiego domu, niemniej .aktualnie kompletnie goła. Jak zresztą i Walaske<sup>^</sup>

poSOKA SMOKA 239

fen miał na sobie jedynie ostrogi, których ślubował nie zdejmować do śmierci.

Tak się wiercili, że wkrótce Dubinkowi widok zasłoniły włochate plecy żołnierzyka.

Tylko zadyszane z emocji głosy słyszał jak należy.

— Dokumentnie waćpannie objaśnię! — mówił mę—ski. — To smocza pieczara...

— Ojejku! — pisnęła żeńska.

— Tak to sobie imaginuj! Całkiem na podobieństwo prawdziwej, tylko mniejsza.

Sekretna pieczara w gęstych kuszczach. A to smokobójca! O, jak to się pręży dzielnie!

Możesz waćpanna wziąć go w rękę, śmiało, nie ugryzie! — zaśmiał się męski głos.

— Ojejku! Wielki, że aż utrzymać trudno!

— Jak to smokobójca! Teraz my jego zagonimy do pieczary! Niech tłucze smoka!

— Nie zmieści się!

— Zmieści! Nie strachaj się, waćpanna! Tylko że krwi trochę może pociec!

Mięśnie na plecach napięły się, włosy nastroszyły.

— Jeszcze tak daleko się nie zapuścił, zuch, ojejku! Zawsze przed pieczarą dreptał!

Ojejku! Oczęta białą rączką zakryję! To nie dla niewiast! Ojejku!

— Dla niewiast, dla niewiast! Gdyby nie one, smokobójca martwym bykiem by leżał dzień i noc! Ani by mu się chciało dźwignąć łeb! Do ataku! Patataj! Patataj! Patataj!

Ostrogi dzwoniły jak szalone, damski głos pojękiwał.

— Och! Och! Och! Jejuńciuuuu! Ła!!

— Co się stało?

— Złamał się chyba smokobójca? Zerknij no sam waszmość!

~ Jakże mógł się złamać? O, psia jucha! Złamał Się!—.. Co ja pocznę bez niego?

240 Zbigniew Wojnarowski

Włochate plecy odsunęły się od wywierconej dziurki i Dubinek ujrzał dwie głowy pochylone z troską nad glinianą buławą. Takie od dziecka nosili w tornistrach synowie wyższych oficerów. Teraz z Wala—skesowej pozostał obłamany trzonek bez główki.

— A tak udatnie smokobójcę przedstawiała, prawda li, waszmość? — westchnęła smętnie panna Hel —wecja. — Co teraz z resztą śmiałka?

— Nie martw się, waćpanna! — pocieszył żołnierzyk. — Wymknie się sam albo go wygrzebiemy! A jakby utknął, dobry medyk raz dwa wyciągnie pannie smokobójcę z pieczary za łeb! Nie ma o to strachu!

— A nasze słodkie figle?

— Z tym gorzej bez smokobójcy — zasromał się Walaskes. — Póki mi buławy od nowa nie wyrychtu —ją, będę musiał jebać waćpannę naturalnym sposobem, bez nijakiej fantazji!

— Na co nam przyszło, niebożętom! — zalała się łzami panna i padła głową w pościel. \*

Zanosiło się na dłuższe żale, więc Dubinek wywiercił dziurkę w podłodze. Przyłożył

do niej oko i zmartwiał. Pod nim na wielkim stole leżał krwawy trup Globtrotera. Wielki i siny jak obdarte bycze ścierwo. Oberżysta Ogr wielkim nożem rzeźnickim wycinał mu płat lewego pośladka. Ogrowa stała obok z patelnią, na której skwierczał rozgrzany tłuszcz.

— Czekaj no, wpierw przyprawą natrę! — mruczał oberżysta.

— Borowy się niecierpliwi przy stole!

— Lepiej niech się niecierpliwi niż ma wysmakować, co zre! Ludzie są przesądne!



Dzisiejsze pieczone leżało w szafranowej zaprawie dwa dni i łykali, aż jeim uszy klapały!

pOSOKA SMOKA 241

Dubinek odskoczył od dziury w podłodze jak oparzony. Poczł, że zjedzone przed godziną pieczone siedzi mu na żołądku. Ale długo nie usiedzi. Co też to leżało w szafranowej zaprawie? Mówili, że cielecy kotlecik! Smaczny, z ogóreczkiem kiszonym!

— Teraz dawaj go do lodu! Jutro mu się wypatroszy kałdun i nagotujemy sagan flaczków! — odezwał się Ogrowy głos spod podłogi. — Spadł nam jak z nieba! Kupa zamiejskich gości zjedzie się na smokobi—cie!

Dubinek przemógł się i jeszcze raz zajrzał przez dziurkę w podłodze.

Zwłoki Globtrotera zjechały do lodowej piwniczki po uniesionym z jednego końca stole, zostawiając za sobą ścieżkę krwi.

Ewitka pucowała blat ścierą.

— Mamuś, a kręconego peniska mogę choć pocyc—kać? — poprosiła.

— Cichaj, głupia! Siuśmajtka jesteś, sama nie wiesz, jakie świństwa wygadujesz! Z

ojcem gadam! — ofuknęła ją Ogrowa. — Mówię ci, stary! Żeby wielkolud miał w sobie trzy kotły bebecłów, zeżrą klienci, ani się obejrzymy, zobaczysz! Nic nie zostanie na święto Darcio Pietrza za tydzień! A i wtedy zjawi się po procesji kupa głodnych! Przyjdzie nam majątek wydać na jelenie i dziki! Grosza w pończosze nie przybędzie od byle jakiej wstrętnej dziczyzny, co po lasach się wyciera jak wycieruchy!

— Już o to żem zadbał! — zapewnił karczmarz. — Obstałował żem świeżą dostawę u Ramireziaków. Za

, dwa, trzy dni obiecali nam specjały, jakich nie smakowało ludzkie podniebienie.

Byleśmy teraz wytrzymali ze starymi zapasami, bo na razie owo mięso je—Un żywe potrzebne. Potem sprzedadzą nam skruszałe ścierwo smokobójcy i dorzucą trzyrękiego garbusa

242 Zbigniew Wojnarowski

w promocji. A jak się smokobójcy powiedzie,, to i parę pudów smoczyny doślą razem z nim! Ile to lat można z niej skwarki wytapiać! Ze smokobójcy wyjdą pyszne bitki na niedzielny obiad, już może za darmo przesmażone przez gadziukę, a znowu garbus niezastąpiony na farsz do —pieroga.

Dubinek gryzł palce nad dziurką w podłodze i pluł sobie w brodę za to, że para się szpiegostwem. Widać na koniec kara boska go sięgnęła z powodu tego procederu! Kara boska, jak nic!

Gdyby skupił się na żebractwie, szukałby żarcia po śmietnikach jak reszta jego pobratymców. A tak?

Kotlecika mu się zachciało za brudne szpiegowskie pieniądze! I co się pokazało? Jakie pieniądze, taki kotlecik!

Przypomniał sobie, że dwa dni temu utopiła się żona gelefaktora. Ciała do dziś nie wyłowiono. A cielęcy kotlecik zalatywał błotkiem, jakby z lina czy innej dennej ryby.

Czknął raz za razem, w męczarniach zwrócił kotlecik do łóżka, nakrył pierzyną dla niepoznaki. Po czym oknem wyskoczył z pięterka oberży na złamanie karku.

# f

M. wozdział trzydziesty drugi

w którym uczestniczymy w Dniu Smoka

Po ukończeniu stu dwunastu lat Czesterfild nie mógł już uganiać się po mieście jak dawniej. Doroczny Dzień Smoka przesiadywał na ławce w parku. Inaczej od razu dostawał

zadzyski, kolki, a zwłaszcza mechanizaburzeń, z powodu których spędzał tydzień w kolejkach do medwarsztatów. Cyfrowe ucho, które dostał od żony na setne urodziny, cykało w rytmie czaczy, biokręgosłup longował we śnie o dobre pół metra i rano spodnie sięgały do kolan, sztuczne zęby bolały jak prawdziwe. Szczytem uciążliwości była podrasowana nerka, która wysyłała telemesy do popularnych Reality TV Shows.

Z tych powodów uroczysty moment, gdy posąg smoka odrywał się od cokołu i frunął

w niebo do wtóru wiwatów, tuszu orkiestr i połączonych chórów 244 Zbigniew Wojnarowski

miejskich, Czesterfild oglądał na telebimie ustawionym w parku. W ten sposób pozostawał medstabil—ny, a także nie groziło mu zatratowanie przez uganiające się tłumy.

Czasem nawet widział ponad sobą na żywo policyjne lotne ślizgacze ochraniające uroczystość.

Zerkając na telebim, przeglądał informatki o poprzednich laureatach, rozdawane od rana w publicznych miejscach. Były ruchome, dźwiękowe, pełne wszelkich atrakcji.

Zeszłoroczny laur Stiomys, który został królem Szaranii, puszczał perskie oko. Laur sprzed pięciu lat, który kupił archipelag i założył tam hodowlę ostryg niehodowlanych, śpiewał

pięknym tenorem arię z *Poławiaczy perel*. Laura Mede—na, która po pięćdziesiątce zafundowała sobie nowoczesny wystrój macicy i urodziła siedmioraczki, częstowała czytających próbkami szampana na bazie laktozy. Wszystkie informatki podpisano najślawniejszym reporterskim nazwiskiem Reda Superbu—dera.

— Brawoooo! Smok defekował po raz pierwszy—yyy! — wrzasnął spiker.

Na telebimie widać było tłum wokół fontann Centro Multiplex. Ludzie podskakiwali na pneumatycznych nośnikach, łapiąc szczęśliwki, które wyfrunęły spod smoczego ogona. Ponad Czesterfildem przefrunęła taksówka pełna pijanej młodzieży, ale natychmiast policyjne ślizgacze sprowadziły ją do pozycji parkingowej.

Na ławkę przysiadł się kuśtykający starowina z żywokotną laską. Żuł prasowany tytoń. Na telebimach kamery prowadziły po podbarwionym niebie majestatycznie frunący posąg.

— Podobno już raz sypnął, skurkowy? Czesterfild potwierdził.

Nieznajomy z odrazą splunął tytoniem na asfalt alejki.

— Kiedy byłem młody, robił to rano i wieczorem! Z kulturą, panie szanowny! Teraz sra szczęśliwkami przez cały boży Dzień Smoka. Z sześć razy, skurko—wany! To komercyjna chała! Burdel, nie świat! Nie wierzę w te bajki! — Wskazał głową na trzymane przez Czesterfilda informatki. — Nawet ja, szanowny panie, nie dorobiłem się takiej biegunki, chociaż nie mam granitowych kiszek jak on!

— Moja żona twierdzi to samo — zgodził się Cze—sterfild. — O smoku, naturalnie.

Na telebimie pokazała się lśniąca od makijażu twarz, zdobiona pasami wzorowanymi na ubarwieniu zebry.

— Popatrz pan! Burdel, nie świat! — powtórzył starowina, wskazując na nią z obrzydzeniem. — Do czego dochodzi! Dawniej nie do pomyslenia, żeby człowiek tak wyglądał! Ludzie głupieją na potęgę!

— Może to nie człowiek? — pocieszył go Czester—fild. — W radiu „Święta Prawda” podawali, że była inwazja z Marsa. Na razie nie można ich zidentyfikować. Kamuflują się!

Chcą nas ukradkiem przekabacić na własne kopyto!

— Jeszcze gorzej! Żeby nieczłowiek wyglądał jak człowiek i to człowiek, co wygląda jak dupa zebry, a nie jak człowiek! Świat się kończy!

Z nieba sfrunęła samotna szczęśliwka przywiana przez wiatr. Prosto na kolana Czesterfilda. Złapał ją. W tejże chwili jego stymulator serca wydał przeciągły pisk i podał

wyniki wczorajszego losowania krajowej mutacji Bongo.

Czesterfild zemdłał.

Kiedy wrócił do przytomności, posąg smoka na telebimie defekował po raz trzeci.

Tym razem nad mo—

246 Zbigniew Wojnarowski

stem Urhija. Ludzie skakali do rzeki w pogoni za szczęśliwkami. Starowiny z żywokotną laską nie było już na ławce. Razem z nim zniknął portfel Cze—sterfilda, bancard, łącznik do abonamentowego me—dwarsztatu, czapka z dekle, motofoto żony i talon na puszkowane powietrze z gór Hertum.

Zerknął na swoją zaciśniętą dłoń.

Szczęśliwka wciąż w niej tkwiła, niezauważona przez tamtego. Na twarz Czesterfilda biły poty. Spojrzał jeszcze raz.

Potem jeszcze raz.

Wciąż nie wierzył. Coś takiego zdarza się tylko innym! Nam samym nie, absolutnie!

Drżącymi dłońmi zdrapał folię z diody.

„Brawooooo! Jesteś tegorocznym Wybrańcem! Wduś Przyzywacz na około dwie sekundy i czekaj na czarterowy transporter DS!” — odsłuchiwał instrukcję obsługi.

Jak w malignie zrobił, co trzeba, i zemdlął ponownie. Tym razem jego stymulator mruczał jak zadowolony kocur. Świeżo flancowane ekowłosa na łysinie skręciły się w kędziory. Nity w kości udowej łąpały lokalną stację porno i usztywniały panewkę biodrową.

Kiedy przyszedł do siebie, nosił na grzbiecie fioletowy smoking blikujący w światłach telewizyjnego studia. Nadal pozostawał lekko kędzierzawy i miał uwodzicielski wąsik, którego poprzednio nie miał. Na wielkich monitorach napisy: GODZINA PRÓBY

rozpryskiwały się w fajerwerki. Grała kapela Sexy Dragon. Dziewczęcy balet tańczył na tle świetlnej kotary. Usadzona amfiteatralnie widownia wiwatowała. Przed Czesterfildem giął się jak przegubowiec Mistrz Ceremonii z mikrofonem w dłoni.

pOSOKA SMOKA 247

\_ Słowo od sponsoraaaaaa! — wrzasnął, a widownia zawyła.

Na środek studia wyskoczył przystojny brunet z wyjętym ze spodni penisem pomalowanym na zielono. W tym czasie do Czesterfilda podbiegła homo—na z pudełkiem do makijażu. Podkreśliła mu rzęsy, namalowała rumieńce, posypała czoło brokatem. Brunet z dyndającym penisem zachwalał najmodniejsze w tym sezonie genetycznie modyfikowane dzieci o zielonej skórze, komponujące się z domową roślinnością i tarasowymi ogródkami.

— Brawooooo! — ryknął Mistrz Ceremonii. — A teraz ostatnia próba Wybrańca!

Telete umiej wiedzy i sensacji! Czy jest pan gotów, gotów, gotów, panie Marlboro?

— Czesterfild — poprawił stremowany Czesterfild i uniół obie ręce w górę.

Tak mu pokazali z oszklonej reżyserki pod sufitem. Fioletowe mankiety drżały jak dwie fioletowe osiki.

Widownia wyła z zapału, falowała, klaskała, odpalała pokojowe petardy.

— Czesterfild, jasne, jasne, jasne! Pytanie pierwsze. Którą rocznicę prehistorycznego zwycięstwa nad smokiem obchodzimy w tym roku?

Głosem drżącym z emocji Czesterfild wymienił liczbę.

— Brawooooo! W samo pudło! Żartuję, żartuję, żartuję! W samo sedno! Pytanie numer dwa! Kim byli niezapomniani zwycięscy bohaterowie?

Widownia wydała pomruk życzliwego oczekiwania. W każdym razie taki komunikat wyświetlił się na tablicy sterującej reakcjami. „Pomruk życzliwego oczekiwania!” 248 Zbigniew Wojnarowski

— To Drużyna Smoka. Tazir Dwugłowy, Dazir Dwupłciowy... Oraz Wazir Dwunożny... Oraz...

Czesterfild oblał się zimnym potem. Brokat spłynął mu na trzepoczące rzęsy. W tejże chwili odnalazł w pamięci czwarte nazwisko.

— ...Wiem, oraz Jazir Dwukrotnie Zabita! „Pomruk życzliwego oczekiwania” zgasł, zapaliły się „Frenetyczne owacje!”

— Brawoooooo! Ostatnie pytanie! Pytanie życia i śmierci! Żartuję, żartuję, żartuję!

Pytanie życia i jeszcze bardziej zajebistego życia! Jak dokonali swego wiekopomnego dzieła?

Publiczność oddychała z napięciem. Wyznaczeni w sektorach widzowie padali na atak serca z nadmiaru wrażeń.

— Odcięli smocze łby i... i... oraz... i nasikali na nie, żeby nie odrosły!

Na widowni zapadła głucha cisza. Pomagier z elektroniczną tablicą na kiju wyświetlił napis „Ani mru—mru!” Reflektory przygasły żalobnie.

— Źle! Oczywiście, że nie! — wyszeptał Mistrz Ceremonii, klękając patetycznie na szklanej podłodze, pod którą pływały tropikalne ryby. — Prawidłowa odpowiedź brzmi:

„Zrosili obcięte łby swym złotym deszczem”... Baaaardzo źle! Co na to jury? Nie? Tak? A jednak! Jury uznaje, uznaje, uznaje! Wygrał pan, Marlboro! Brawooooo! Habemus Wybrańcami

Pijany ze szczęścia Czestefild widział euforię na widowni.

Strzelające szampany.

Konfetti i serpentyny.

Po wiszących pod sklepieniem wielkich monitorach przewalały się armatnie saluty i samolotowe akrobacje ponad miastem, iluminowane reflektorami. Na tle księżycy prężyło się granitowe cielsko

pOSOKA SMOKA 249

Smoka. Zawisło na moment w locie z dumnie rozłożonymi skrzydłami.

Z neonowych stopni niebotycznych schodów zbiegł wybrylantowany mężczyzna z różą w butonierce.

Ciekłokrystaliczne szkliwo jego zębów wyświetlało ku widowni promienne życzenia od sponsora.

To był Red Superbuder, smoczy reporter. We własnej osobie.

Zatrzymał się uśmiechnięty na podwyższeniu za Czesterfildem, za plecami rozpostarł

pluszowe anielskie skrzydła. Sypał z nich śnieżnobiały migotliwy puch. Widownia szalała z entuzjazmu.

— Biorę cię pod opiekuńcze skrzydła, Wybrańcze! Odtąd każdy twój krok będzie opisany i wyedytowany. Nie pozostanie pod niebem nikt obojętny na twój tryumf!

Powiedzisz nas w twoje godne, szczęśliwe światy! W nasze życie!

Pierwszy rząd widzów dokonał samospalenia na znak ekstremalnego zachwytu.

Wachlujące anielskie skrzydła odganiały od Cze—sterfilda tłuste sadze krążące w powietrzu. A on zemdlał po raz kolejny tego dnia. Jego lewe płuco grało ognistego kankana.

Obudził się o północy, kiedy do telewizyjnej sypialni pełnej pluszów i złocień wemknęło się trzech ubranych na czarno mężczyzn. Podali mu na srebrnej tacy kapsułkę oznaczoną logiem sponsora i kolejnym numerem porządkowym laurą, który przypadał na tegorocznego Wybrańca. Oficjalnie nazywano ją przeciwgrypową. Faktycznie zawierała cyjanek.

Kamery wyłączono. To była tajna część ceremonii.

Niczego nieświadomy Czesterfild umierał wśród upajających narkotycznych wizji.

Miał przed oczami uśmiechniętego ciekłokrystalicznie Reda Superbude—ra z rozłożonymi skrzydłami. I mgłę, która zmienia—

250 Zbigniew Wojnarowak;

ła się, jakby przerzucał kanały w nieistniejącym telewizorze. Szalała uszczęśliwiona widownia. Migotały reflektory. Za plecami reportera machały nogami gołe girlsy. Te ze studia. Uśmiechnięte, tęczowo skrzydlate, z buźkami wymalowanymi tego roku w pasy zebry.

Takie,— jakie nosił na twarzy ich nowy choreograf Deyerpoth.

On sam także miał u ramion białe skrzydła —identyczne jak jego serdeczny przyjaciel Superbuder.

„R

**JLwozdział trzydziesty trzeci**

*w którym poznajemy*

Za oknem siąpił deszcz. Jak zwykle, gdy chmur nie rozgoniły samoloty meteo.

Raz na tydzień pani Czesterfildowa czytywała przy porannej kawie informatkę.

Aktualną zdołała zobaczyć motofoto, na którym jej mąż słał ludzkości całusy z wnętrza kocza pędzącego wśród rozświetlonych łąk. Rżały zaprzęgowe konie, pachniały polne kwiaty.

Przez osiemdziesiąt lat wspólnego życia nie poznała jego najskrytszych pragnień.

Zdumienie z tego powodu powracało do niej co tydzień. Nad każdą nową informatką. Nie żal, nie zazdrość, nie pretensje. Nieprzemijające zdumienie. Jeszcze w tamten świt, gdy wychodził

z domu po raz ostatni, założyłaby się, że komplet jego marzeń to dobrze się wyspać, zdrowo podjeść, nie mieć kłopotów z wypróżnieniem. A od

252 Zbigniew Wojnarowski

czasu do czasu obejrzeć sympatyczny program rozrywkowy. Najlepiej ten, w którym małpy obrzucają tortami prominentów kultury i nauki. Zawsze jest przy tym ubaw po pachy.

Ale życie w Belle Époque? No nie!

Jak to nie zna się swoich najbliższych! — westchnęła, opierając informatkę o porcelanową cukiernicę i wydając okularom polecenie przetarcia szkieł z łez nostalgii.



# LAUR CZESTERFILD UWODZI

## MADAME DE POMPADOUR!

### Odcinek 26

*Te somnambuliczne miłośnicy z La Belle Epoque! Utopione w sadach owocowych, owiewane rześkim ziołowym zapachem nadrzecznych łąk.*

*Któż o nich nie śni!*

*Kobiety noszą krynoliny i gorsety, w salonach blask naftowych lamp złoci umbrelki z barwionego szkła, tańczy się w rytm nowoorleańskiego jazzu, zabytkowe telewizory transmitują w czerni i bieli pierwsze lądowanie na Księżycu. Minęło tyle wieków, że myśląc o utraconej na zawsze Belle Epoque łatwo pomylić to czy tamto. Popęłnić niewinny anachronizm. Ot, drobiazg, niemodny powóz, nie takie imię, uczesanie z innej epoki, wynalazek, który pojawi się dopiero w przyszłych stuleciach. Errare humanum est! Ale czarodziejski klimat tamtych lat jest nie do pomylenia. Trudno się dziwić, że laur Czesterfild osiadł nie gdzie indziej, lecz tutaj.*

*Zrealizował marzenie życia.*

*W odcinku 25. opuściliśmy go, gdy za pośrednictwem kawalera d'Artagnana otrzymał sekretny liścik od madame de Pompadour, faworyty mera miasta.*

### POSOKA SMOKA 253

*W tej sytuacji nie próżnuje!*

*Natychmiast wkłada na głowę eleganckie borsalino, owija szyję zwiewnym szalem, wsiada w nowy model bugatti i pędzi na spotkanie. Dwa odcinki wcześniej, jak pamiętacie, przeszedł bionicznym lifting, toteż jego 112-letnia skóra łagodnie poddaje się wiatrowi wpadającemu przez owiewki. Nie łopocze. Wydziela najmodniejszy podówczas zapach rdestu skalnego dla mężczyzn, zwanego Chanel Nr 5.*

*Na wyasfaltowanej szosie bugatti pruje jak szatan. Czesterfild prowadzi jedną ręką.*

*Drugą wyjmuje ze skrytki urządzenie zwane telefonem komórkowym. Niegdyś używano go do rozmów na odległość.*

*A to pech! Madame de Pompadour nie odbiera! Korzysta właśnie z solarium. Jej służąca Tamara obiecuje, że pani rychło oddzwoni.*

*Sytuacja ulega dramatycznej komplikacji! Czujecie adrenalinę?*

*Czy randka dojdzie do skutku? Czy Czesterfildowi znów nie przeszkodzi przedwczesny wytrysk, którego poprzednio doznał w trakcie parkowania bugatti przed pałacem Mayerling?*

*Jak pamiętacie, seksoterapia przywróciła mu młodzieńczy wigor.*

*Ach! Cóż to?*

*Nie wierzę własnym oczom! Nagle to wszystko przestaje mieć znaczenie! Bijcie na trwogę!*

*Oto z za zakrętu wypada grupa Apaczy na motocyklach! To ówczesne dwukołowe pojazdy, wymagające nie lada akrobacji podczas jazdy. A więc krwiożerczy Indianie! Nie zapominajmy, że nawet czar Belle Epoque ma swoją ciemną podszewkę. Ma swoje zagrożenia i strachy, czające się pośród upojnych zapachów lawendy, pośród stonowanego 254 Zbigniew Wojnarowski*

*chrzęstu gorsetowych fiszbinów, pośród melodii ulatujących z mechanicznych pianoli.*

*Apacze ozdobieni na głowach irokezami atakują z wojenną pieśnią na ustach. To przebój sławnego przed wiekami piosenkarza Sinatry: „Deszcze niespokojne potargały sad”.*

*W istocie niespokojne! Ścigany przez dzikusów Czesterfild wchodzi w ostry wiraż. Niezrażona tym szosa przecina liryczne pole słoneczników, jakby żywcem wziętych z obrazu Leonarda da Vinci.*

*Bugatti pędzi, ciągnąc za sobą złowieszczy ogon pyłu.*

*Markiza de Pompadour opuszcza solarium w modnym kostiumie bikini, ale nie otrzymuje wieści o niebezpieczeństwach, piętrzących się na drodze jej miłości. Służąca nie przekazuje ich, ponieważ bierze udział w tajnej niasiadówce proletariackiej partii. Jak codziennie w porze zwanej fiue o'clock.*

*Może źle życzy upojnemu romansowi? A może przekupił ją utrzymanek markizy, agent Stirlitz?*

*Wrócimy za tydzień. Trzymajcie kciuki za powodzenie naszego laurą.*

*To nie rzeczywistość wirtualna, gdzie wszystko da się poprawić jednym ruchem palca.*

*To autentyczna La Belle Epoque, dostępna Wybrańcowi poprzez niewyobrażalnie kosztowną maszynę Plancka, naszego sponsora. Tu każdy fałszywy krok może być ostatni. Śmiertelny.*

*Wybaczcie, Drodzy, jeśli jeden czy drugi zaobserwowany szczegół nazwałem nietrafnie. Te stroje, pojazdy, obyczaje — dla mnie, Waszego Wyśląńca, są egzotyczne jak i dla was. Ale czy to ważne? Przede wszystkim chciałem oddać niepowtarzalną atmosferę La Belle Epoque, czarodziejskich czasów, o których śnimy do dziś.*

**pOSOKA SMOKA 255**

*Chłońmy ją, chłońmy dla wspólnej satysfakcji!*

*Obyśmy byli zdrowi i zadowoleni! Oby nic nam nie doskwierało! Obyśmy jak najdłużej mogli jeść genetycznie modyfikowane pomidory z Plantacji Plancka — po 2,99 za kilogram!*

Pod spodem jak zwykle podpisał się Red Superbu—der, smoczy reporter. To była jego dziewięćset dziewięćdziesiąta dziewiąta informatka, w której budził do życia osiemnastego z kolei Wybrańca. Już parę lat temu doszedł do wniosku, że należy mu się rekompensata za uszczęśliwianie prenumeratorów. Za boskie umiejętności kreacyjne. Za lojalne skrywanie tajemnej wiedzy o życiu i śmierci laurów, którą powierzył mu pod rygorem ahonorowania Telewizyjno—Państwowy Koncern Plancka. Gdyby tak za każdą setkę artykułów wskrzeszających, pisanych za reporterskie honorarium — uśmiercił sobie kogoś gratis?

Pociągające, niebywale pociągające. Komu wolno, jeśli nie jemu? Kto inny zasłużył?

Na kanwie tych przemyśleń przy informatce numer 102 zadebiutował jako seryjny zabójca. Uśmiercał dotychczas siedmiokrotnie, sprytnie wymykając się z policyjnych sieci.

Stosował *modus operandi* niebywale wykwiniony. Zapraszał ofiarę do siebie, raczył ją wytwornym posiłkiem, erudycyjną rozmową, muzyką symfoniczną. Na koniec proponował

grę w skaczące czapeczki. W apogeum hedonistycznych doznań, gdy punktacja była trzycyfrowa, a czapeczki wpadały do dziurek piętrowo — zarzynał swego gościa brzytwą marki Ex—calibur. Ciągnął nią po gardle, gdy z głośników dobywało się smyczkowe solo Pacha Paniego, najwybitniejszego skrzypka współczesnej doby. Tą samą brzytwą rozpruwał

brzuch denata i wsadzał pod wąż—

256 Zbigniew Wojnaro—

trobę dziecięcy smoczek. Zazwyczaj frywolny, z pozy. tywką lub śmiejącym się ortolekiem.

Był jego znakiem firmowym. Od tego zyskał w me. diach miano Smoczkowego Mordercy. Spreparowane tak zwłoki usadzał naprzeciw siebie, w fotelu obitym nieprzemakalną vilą. Kończył posiłek rękami czerwonymi od krwi, z rozkoszą łykając kęsy pod smyczki.

Odurzające doprawdy!

Czuł błogie ściskanie w dołku. Jego stopy w domowych kapciach same podrygiwały w powietrzu jak u zadowolonego przedszkolaka.

Doczyszczenie z krwi plastikowych czapek i podłogowej wykładziny wymagało płynu Blik, za to usunięcie nieboszczyka było szybkie i nieskomplikowane. Red wyrzucał go po prostu ze swojego ekskluzywnego balkonu na 212. piętrze apartamentowca.

Mieszkał przy Arterii Słońca, będącej gigantycznym betonowym tunelem. Jej dna, pełnego tanich jadłodajni i podejrzanych antykwariatów, nie sięgały słoneczne promienie.

Powyżej zaś trwała ustawiczna godzina komunikacyjnego szczytu. Na wszystkich wysokościach fruwały pojazdy. Wyrzucone martwe ciało spadało na dach któregoś z nich.

Osuwało się przy manewrach na niższe i niższe poziomy komunikacyjne. Jak żywe pędziło w tę lub z

powrotem na wielobarwnych karoseriach. Tu, tam. Loteria. Kiedy zmasakrowane spadało na bruk ulicy lub na dachu wjeżdżało do czyjegoś garażu, nie sposób było ustalić, skąd się wzięło. Zbyt wiele przypadkowych trajektorii niosło je po drodze.

Red był perfekcyjnym likwidatorem zwłok.

Do tysięcznej, jubileuszowej informatki ofiarę dobrał szczególnie perwersyjnie.

Zawsze idealny pod tym względem wydawał mu się jego przyjaciel De—yerpoth. Znamca win i obrazów, wielbiciel filhar—

poSOKA SMOKA

257

onicznej muzyki. Esteta. Człowiek—zagadka o dzikiej twarzy zebry i smukłych dłoniach kobiety. Szpakowaty, opalony w solarium, bywał już w życiu eks—plorerem jądra planetarnego, konserwatorem przystanków wysokich poziomów, miał doktorat z replikacji metonomów, zaliczył z wyróżnieniem artystyczny kurs rolkarstwa płaskiego. Wciąż chciał

czegoś nowego — niespokojny duch. Telewizyjna kariera ba—letmistrza też nie wydawała się kresem jego marzeń. Raczej kolejnym przystankiem na drodze nie wiadomo dokąd.

Zaproszony, przyszedł o siedemnastej. Na to popołudnie Red pozbył się z apartamentu trzech swoich miłośnic, a erorobota wibracyjnego zamknął w schowku na łóżko.

Deyerpoth miał na sobie długi trenz z postawionym wysokim kołnierzem. Nie zdejmując go, zasiadł w fotelu i założył nogę na nogę. Palił czarnego nobi—la w szklanej lufce. Z głośników dyskretnie sączyła się Symfonia Oregialna Santiniego.

— Poczucie harmonii jest tożsame z poczuciem to—nalności, stylu—dylu smyk, nie sądzisz? — zapytał ze znawstwem gość.

Jak zwykle ubarwiał wypowiedź tak lubianymi przez siebie abstrakcyjnymi powiedzonkami, dowodzącymi intelektualnej błyskotliwości.

— Styl oregialny w tym celuje — zgodził się gospodarz. — Zwłaszcza tutaj melodia jest ideą w ekspresji. Uwielbiam to!

On ze swej strony nosił tego popołudnia aksamitny szlafrok w kwiaty, a pod szyją zawiązał fular. Do stołu podawał sam. Na początek *ragout* na grzankach, sery medyjskie, *ciosuuk*. Potem *prede auernie* z szalotkami i stare mozelskie wino.

Po deserach Deyerpoth zapalił dla odmiany nie—

258 Zbigniew Wojnarowski

bieskiego nobila, zaś Superbuder zaproponował par. tyjkę w skaczące czapeczki.

Gdy na koncie urosło dziewięćdziesiąt siedem punktów, przeprosił na chwilę i opuścił salon.

Tego momentu nie lubił. Pod jego nieobecność większość gości oszukiwała. Rekord nieuczciwości pobił numer sześć, przedsiębiorca budowlany z Juty który dopisał sobie dwadzieścia trzy punkty, przestawił żółtą czapeczkę z otworu o wartości dziesięciu w otwór o wartości czterdziestu pięciu i wyszedł na prowadzenie.

Zamknawszy się w toalecie na złoty haczyk, Red otworzył sejf za lustrem. Leżały w nim dwa przedmioty. Czerwony kajet elektroniczny, w którym z dziennikarską swadą opisywał swoje zbrodnie, oraz lśniąca brzytwa Excalibur. Od trzech sezonów najmodniejsza w kręgach seryjnych zabójców.

Ściskając ją w kieszeni szlafroka, wrócił do salonu.

## **JL wozdział trzydziesty czwarty**

*w którym Tabrys Śpiewak i Walek smokobójca jadą na jednym wozie* Na deser były jaja bekasa na surowo. Z dokładką według uznania. Potem herszt przysiadł się łaskawie do garbusa.

— Za życia byłeś poetą? — zagadnął.

— Nie — zaprzeczył Tabrys zza prętów klatki. — To znaczy, nie jestem już poetą, bo utraciłem sens życia. Niemniej żyję nadal.

— Nie fanzol! — obruszył się herszt. — Popatrz w lusterko. Ludzi straszysz swoim wyglądem. Kto tak straszy ludzi? Duch! A kto to duch? Ten, co umarł. Lepiej się przyznaj!

Tabrys dostał czkawki z żalości i nie odpowiedział.

— Poetą możesz sobie być nadal — zadeklarował

260 Zbigniew Wojnarowski

wspaniałomyślnie herszt. — Ułożysz piękny poemat o mnie. Tak zaplanowałem. W

tym celu pozwalamy ci przebywać u nas po śmierci. Mimo że się tobą za—dzumiaście brzydzymy!

Tabrys popatrzył mu w oczy bez lęku.

— Jeżeli nie żyję, jak zmusisz mnie do napisania poematu o op—oprawcy? — czknął

bohatersko. — Nie masz już nad—ade mną mocy.

— Nie fanzol! — wzruszył ramionami herszt. — Nie żyjesz, ale mogę cię jeszcze pogrzebać. Życzysz sobie?

— Co to ma być za pop—opoemat? — czknął pospiesznie Tabrys.

Herszt stuknął w klatkę, żeby śpiewak przychylił ucha.

— Rzecz w tym, żeby ludzie poznali prawdę —zdradził. — Żeby nie trwali w ciemności!

— Jeśli o to chodzi, znam jedną nieznaną prawdę o słynnym Deyer...

— Mam na myśli prawdę o mnie. Tej potrzebuje świat. Żywi wszystko pokiełbaszą po śmierci! Tu w lesie jest mogiła mego dziada Ramireza, który nigdy nie odwiedził tych stron.

Psy go zjadły za morzem. I co? Jajco! Dzieweczki składają kwiaty, staruszkowie wspominają go jak własną młodość, dzieci—te matki płaczą po nim jak młódki, co nie zaznały chłopca.

Po co rznąć, gwałcić, torturować, przypalać pięty dniami i nocami? Na koniec wychodzisz na romantycznego durnia. Na idiotę, który zabiera bogatym, oddaje biednym i nie wykazuje żadnej zaradności względem własnych interesów! Taką sławę zostawić dzieciom? Kto z nimi zechce wchodzić w konszachty? Lud opiewa cię w idiotycznych pieśniach, robi się sentymentalna komedia. Chociaż psy cię zżarły nie wiadomo gdzie, tłumy pielgrzymują do miejscowego grobu. Modlą się za kogoś niepodobnego do cie—

p0SOKA SMOKA

261

kie. Za mydłką o wrodzonym poczuciu sprawiedliwości! Zaklinają się, że uczyniłeś co innego niż uczyniłeś. Że kierowały tobą cnotliwe odruchy! Przestajesz się różnić od szanowanych dzieciorobów, religiantów, hipokrytów, którzy wiodą świat do zguby tak, żeby nie było widać! Musisz mieć szczęście, by w drugim pokoleniu nie zostać błogosławionym, a w trzecim świętym. Twoje zasady są wypaczane przez zaślepionych idealistów. Twoje czyny fałszuje się w imię prymitywnej moralności. Twoje życie idzie na marne!

Tabrys zatchnął się ze zdumienia i czkawka przeszła mu jak ręką odjął.

— To nie żadna poezja! Pieśń musi mieć wymowę!

— Moje życie musi mieć wymowę! Rymuj! Tak kombinuj, żebym miał zęby czerwone od krwi niewinnych ofiar, cuchnął trupem, doznawał różnych nerwowych napadów... I ani śladu moralnego instynktu! Bo ubiję gołą pięścią jak psa! Rymuj!

— Nigdy! — oświadczył dumnie Tabrys. Rozejrzał się po polanie, jakby zawczasu żegnał się z nią i z samym sobą.

Pachniało dymem, słyszało się pogwizdywanie, rozmowy rozleniwionych zbójców, chrapanie koni. Wieczorne niebo poczerwieniało poza koronką jesiennych drzew. Ptaki śpiewały w gałęziach. Całkiem ładnie. Niby wkoło bagno moralne, aż przyzwoitemu człowiekowi spieszno do śmierci. Ale przyrodę żal porzucać!

— Przejęczyłem się, herszcie. Na kiedy ma być poemat?

— Na wieczór.

— Nigdy! — oznajmił Tabrys i pojął, że znajduje się w otwartym konflikcie z samym sobą. — To znaczy... Czyżbym znów się przejęczył?

262 Zbigniew Wojnarowski

Herszt wyciągnął nóż zza pasa. Przesunął poślinionym kciukiem po ostrzu.

— To kwestia języka. Jeśli ci go obetnę, nie będziesz się przejęczył.

Wyciągnął więźnia z klatki i nagle obaj padli na ziemię, oplatani siecią. Wzbiła się kurzawa liści, spośród drzew wyfrunęła chmara spłoszonych ptaków. Rozpętało się piekło!

Na polanę wyleciały jak z katapulty trupy dwóch strażników. Tuż za nimi wypadła z boru masa rycerstwa. Na pancerzach odbijali barwy jesieni, jakby to sam las atakował.

— Hurrrrra!!!

W ciasnych oplotach sieci jedno oko skulonego Ta—brysa zerkało pod pachę, ale drugim śledził rozwój wydarzeń. Broda rzucającego się w więzach herszta łaskotała go w piętę.

Polana wrzała jak gotująca się woda.

Ostrza mieczy lśniły piorunowo. Krew spryskała trawę wokół ogniska. Główny impet potyczki szedł górą. Ponad głowami. Łeb podobny do mniszego szybował na tle gałęzi z leszczynowym listkiem w ustach. Wysoko w pień sosny wbił się topór z zaciśniętą na trzonku prawicą wyrwaną z barku. Napierśnik rycerskiej zbroi mknął ponad polaną, sypiąc trzewiami jak z cynowego półmiska.

W centrum bitewnego rozgardiaszu koń stanął pod kimś dęba i fontanna krwi wystrzeliła z jego czaszki na kształt paradnego pióropusza. Prawdziwy pióropusz uniosła pod korony drzew. Wytracony miecz pofrunął w powietrze, ciągnąc za sobą przeciętego wpół

właściciela. Jego nogi błędziły po ziemi w bitewnym tańcu, nim padły z brzękiem ostróg.

Wkrótce strudzeni wojownicy obniżyli loty. Zeszli do parteru. Z wysokich traw wytaczały się odcięte

p0SOKA SMOKA

kończyny, dochodziło rżenie, dzwonienie blach, okrzyki „Bez pardonu!”. Krew chlustała niewysoko, Do mało komu zostało prawidłowe ciśnienie w aortach.

Tabrys otarł zapotniałe od strachu oczy karłowatą ręką, która zwisała przez oka sieci.

Ujrzał, jak ze stosu trupów wygrzebuje się rycerz pokryty krwawą rosą. Ruszył ku smokobójcy, szarpiącemu się na postronku. Lecz wbrew wszelkim spodziewaniom —nie dziabnął go ociekającym krwią mieczem.

Uniósł przyłbicę, odsłaniając wąsatą twarz.

— Przybywamy ci w sukurs, chamie! Jakem Huf—nal z Rżnąszyc! Nie zginiesz, zaczym ci chędożony smok łba nie urwie!

Gdy dobito rannych, Hufnal zbliżył się do zaplątanego w sieci herszta.

— Co za szpetną wesz na sobie nosisz, bandyto? —zagadnął. — Wstręt patrzeć!

— Nie żadną wesz! Jestem poetą! — zaprotestował Tabrys, powyciskany przez sieć jak baleron.

Hufnal przyjrzał mu się z bliska.

— Nie do wiary! Teraz wiem, czemu mnie odrzucało od poezji już w szkole prymarnej, paskudo! Ale skoro zaręczasz, żeś człowiek, weźmiemy cię w osobne pęta. Tego zaś psiego syna w osobne!

— Możecie mi nadmuchać, świńskie ryje! — obruszył się na te słowa herszt. — W

dyby zakuć? Pół łba ogolić? Nie tak szybko! Najpierw przed uczciwy trybunał! Nie jesteście zbójami, świńskie ryje, żeby wolno wam było krzywdzić *genus homo*! Chyba jest prawo na tym łajdackim świecie? Pokażecie mi świadków, sędziów, kodeksy, a ja wam pokażę środkowy Palec! Może jam nie herszt zbójców? Może samiście niewinne ofiary pomordowali, klejnoty pokradli i mnie Je podrzucili? Może świat rzeczy nie istnieje, a to, co 264 Zbigniew Wojnarowski

widzimy, jest cieniem bytu idealnego? Może poniekąd osoba nadczłowiekiem bywa i nie wolno jej osądzać podług pospolitej sztancy? Może podświadomość wikła nas w czynności pomyłkowe? Może relatywizm jest ostateczną miarą świata, świńskie ryje?

— Ot, filozof sobaczy! — obruszył się Hufhal. — Odbiło mu ze strachu! Wołać giermka, żeby zakneblował psiego syna, zanim innym w głowie pomiesza! Odknebluje się go wieczorem na szubienicy, w zadek wetknie mu się płonąca pochodnię i będzie widowisko

„światło i dźwięk”, jakiego nawet parszywi Longbardczycy nie mają!

Herszta, Walka i Tabrysa władowano na drabiniasty wóz, pozostali przy życiu rycerze ustawili się w pochód i orszak ruszył leśnym duktem ku zamkowi.

Nisko ponad ziemią świeciło zachodzące słońce.



— Dubinek mi doniósł, żeś w opresji, druhu mój, chamie! — ryknął Hufnal do Walka, rozcierającego sobie kostkę u nogi po postronku. — Ej, chędożony los!

— Już całkiem lepiej, wraca mi czucie — pocieszył go Walek.

— Dubinka chędożony los, mówię, nie twój! Sam zobacz!

Właśnie orszak dojeżdżał do oberży „Pod Lodowym Gilem”.

Jej stromy dach płonął wysokim płomieniem, oknami waliły słupy dymu. Na pobliskiej topoli wisiała rodzina oberżysty, kontrastując soczystą zielenią ciał z żółciami jesiennych liści. Wiatr kołysał sznury, skrzywienie dochodziło aż na trakt, którym podążał

orszak.

Na piersi Ogra dyndała tabliczka: „Ludojad”. Choć akurat on jeden w okolicy był zdeklarowanym jaroszem.

Tłumek zebrany wokół oberży przygięło wpół

pOSOKA SMOKA

265

i wszyscy womitowali w błoto. Odgłosy identycznej reakcji odzywały się w orszaku.

Bo też kto nie stołował się raz po raz w oberży! Kto nie zapijał schłodzonym piwem smażonego kotleta czy podrobów z cebulką!

Tylko jeden człowiek zachowywał się teraz odmiennie. Z ogoloną głową, w pokutnej szacie z worka, wędrował wokół oberży na klęczkach. Robił osiemdziesiąte drugie okrążenie, toteż posuwał się w rowie, jaki jego kolana wyżłobiły w błocie.

— Dubinek, swołocz! — mruknął Hufnal, wskazując go Wałkowi żelazną rękawicą.

— Tamci oczyszczają wnętrze paluchem, a ten modłami. Nie dość mu czystych kiszek, na przeczyszczoną duszę się uparł! Bardzo to chwalebne, ale skąd wezmę drugiego szpiega?

Dlaczego porządni ludzie nie upierają się zostać świętymi, tylko chędożone szumowiny, bez których doczesne życie zamieni się nam w piekło?! A przywoici i tak do niczego nikomu niepotrzebni! Niechby sobie nawet za życia wniebowstąpili w czorty, pies ich trącał!

„R

—L wozdział trzydziesty piąty

w którym inspektor Highway i Prąd Bit prowadzą śledztwo Inspektor Highway był największym pistoletem Wydziału Zabójstw.

Jeszcze dwanaście lat temu. Dopóki nie zderzył się z wagonem metra, które uprowadził Ed Ocipiak, matrymonialny morderca wdów. Mózg inspektora nadal dedukował

błyskotliwie, ale poza nim władał tylko małym palcem lewej ręki. Po szpitalnej rehabilitacji dodano mu partnera, młodego Prada Bitę z dochodzeniówki. Ten dla odmiany władał całym organizmem z wyjątkiem mózgu. W jego lewą półkulę wszczepiono egochip, bliźniaczy jak u kalekiego partnera. Teraz Highway małym palcem przyzywał Bitę i sprawny inspektorski mózg używał do policyjnych zadań tamtego wyćwiczonego w siłowniach ciała.

Na razie krytyczna odległość wynosiła trzynaście

pOSOKA SMOKA 267

pietrów, ale prowadzono testy mające zwiększyć zasięg komunikacji egopsychicznej.

— Włączę panel Wnyki i podedukuję! — zarządził głośno Bit po impulsie od partnera.

— Tylko dokończę pączka z dziurką i kawę! — odpowiedział po impulsie z własnej półkuli.

W swoim imieniu mówił barytonem, w imieniu Highwaya tenorem, mimowolnie poruszając małym palcem. Już przyzwyczał się do tej niedogodności.

Sam Highway leżał na łóżku medycznym, obstawiony monitorami komputerowymi.

Były wszędzie: na suficie, naokoło posłania, przed, za i z boków. Całkiem niepotrzebnie, ponieważ inspektor nie poruszał głową. Więcej życia od niego wykazywały ekrany, które kręciły się, zmieniały kąty nachylenia, pikały, dzwoniły, wyświetlały ruchliwe wygaszacze.

— Albo natychmiast włączam, psiakrew, albo piszę wniosek o degradację.

— Już, już! Niech przynajmniej wytrę palce z lukru, nie? To federalny sprzęt, a nie jakieś prywatne badziewie!

Na monitorach pojawiła się sygnatura sprawy i kryptonim „Smoczek”. Bit stuknęła w klawisz, przeciągnęła suwak myszką.

Pielęgniarka podkleiła świeżym plastrem powieki Highwaya, które opadły.

— Pieprzona treść żołądkowa! — odezwał się Bit tenorem.

— Zawsze mam taką! — odgryzł się barytonem. — Pieprzone pączki z dziurką i pieprzona kawa! Na co innego mogę sobie pozwolić przy takiej pieprzonej pensji?

— Dość! Mówię o zawartości żołądków denatów! Pierwszy i trzeci jedli *garmadzo de polino sote*,

szósty *egrebbo mitto*, pozostali *wermon ou mitterscipel*—

268 Zbigniew Wojnarowski

*valch* z łazankami. Do tych potraw potrzebne są niebieskie oliwki!

— Bardzo smaczne, nie?

— Nie nazywam pieprzonej treści żołądkowej smaczną, bo się zrzygam i zatkam sobie pieprzoną rurę od respiratora!—

— Mówię o niebieskich oliwkach, a nie o treści! Są smaczne, nie? Czemu nie kładą ich do pieprzonych pączków z dziurką albo do pieprzonej kawy?

— Milczę, kiedy mówię! Nie chodzi o pieprzony smak! Niebieskie oliwki rozprowadza tylko inter—market Soperdum. Otwieram listę klientów! Szybciej stukam paluchami! Teraz mapa dyferencyjna pośmiertnego przemieszczania się denatów wzdłuż ciągów komunikacyjnych. Szybciej, mam na końcu nosa pieprzony trop! Lista lokatorów, migiem! Przerzucam we wspólny plik! Analiza porównawcza!

Długie listy nazwisk sunące na monitorach streściły się do kilkudziesięciu rzędków.

— Wystarczy na pieprzone dziś, nie? Dokończę drugie śniadanie, stygnie mi pieprzona kawa i zsy—cha się pieprzony pączek z dziurką! Ile można dedu—kować? Padnę z głodu nad tą pieprzoną klawiaturą na tym pieprzonym obrotowym krzeselku!

— Nie tknę żarcia, póki nie dokończę procesu dedukcji!

— Jeżeli nie tknę, to umrę i proces dedukcji skończy się skurczem kiszek, rurek i zafajdaniem prze—ciwodleżynowego materaca pod inspektorskim tyłkiem!

— To jakiś pieprzony rasizm? Chyba gryząc, mogę klepać w klawisze? Złapałem akurat trop! Prędej! Smoczek, smok, smoczysko, smoczyna, smokofilomi—danek, liczba pojedyncza, mnoga, odmiana przez przypadki, asocjacje... *Enter!*

pOSOKA SMOKA 269

Monitory mrugnęły i wyświetliły dwa nazwiska.

\_ Odczytam głośno, bo stąd nie widzę! Niech ktoś jiu poprawi pieprzone plastry!

pielęgniarka podbiegła stukając obcasami po posadzce.

Bit ugryzł wielki kęs pączka na zapas.

— Zadławienie niebieską oliwką miesiąc temu... — odczytał z pełnymi ustami. —

Cudem odratowany. Mieszka przy Arterii Słońca, używa smoczka, lat dwa... Eliot Matarsch.

To on?

— Chyba mózg mi się scukrzył! — odezwał się tenorem, wciąż z pełnymi ustami. W

jego głosie drżała emocja. Czyżby zbliżał się kres wieloletnich żmudnych poszukiwań? — To mały niewinny gnojek! Odczytam drugie pieprzone nazwisko, prędeż!

— Amator niebieskich oliwek... Zamieszkały tak samo przy Arterii Słońca, lat czterdzieści dwa... Ożesz ja kopany! Zaskok na fulla! To Red Superbu—der, smoczy reporter!

Zapadła cisza.

Słyszać było tylko szum pracującego sprzętu medycznego.

— To on! — ryknął Bit tenorem. — Dopadliśmy wreszcie gnojka, chłopcy! Jazda!

Ruszać mi z miejsca to moje pieprzone dupsko!

— Wiedziałem od początku!... — stęknął smętnie barytonem, przywieszając policyjnego koguta na miejscu kroplówki. — ...że nie skończę w spokoju tego pieprzonego pączka z pieprzoną dziurką!

Na sygnale ruszyli przepastnym korytarzem Wydziału.

Łóżko Highwaya miało napęd na cztery kółeczka u nóg, toteż Bit zdrowo się pocił, żeby dotrzymać mu kroku. Maksymalny dystans trzynastu metrów musiał być zachowany.

Pracownicy niosący akta lub

270 Zbigniew Wojnarowski

styropianowe kubeczki z kawą odskakiwali pod ściany, żeby utorować drogę.

Przy tarasie manewrowym przycumował wezwany lotniarz z otwartym włazem. Bit wskoczył obu—nóż na poprzeczkę łóżka i wjechali do wnętrza, nie hamując.

Pilot ruszył skosem ku wieczornemu niebu. Wyła policyjna syrena.

W tunel Alei Słońca wpadli pełnym ciągiem. Poniżej trzechsetnego piętra trwała tam już noc, upstrzona światełkami fruujących pojazdów. Uaktywnili laserowy czujnik lokalizacji. Wysłał impuls. Odpowiedź przyszła krótka i wymowna.

Automatyczny doker zasyczał, cumując przy wylocie 212. piętra.

Portier nie działał, wysiadło coś z elektroniki. Ale szklane drzwi rozsunęły się na policyjne hasło. Korytarz ozdabiały sztuczne palmy z liśćmi utrzymanymi w modnych kolorystycznych zestawach czerni i bieli. Do apartamentów prowadziły pochylnie wyłożone munstriksem. Łóżko Highwaya nabrało przyspieszenia i zanim Bit zdążył je pochwycić, staranowało podwójne odrzwia opatrzone

stepującym moto—fotem Reda Superbudera.

— Policja! — wrzasnął wystraszonym tenorem nadbiegający Bit. — Stawić opór!

Nikt nie zareagował. Medłóżko gnało na złamanie karku ku otwartym drzwiom balkonowym. Było wyższe niż marmurowa poręcz, obstawiona doniczkami z egzotyczną roślinnością.

Tragedia wisiała na włosku.

Na szczęście otomana u wejścia do salonu wyhamowała Highwaya w porę. Pięknym ślizgiem z wystawioną ku górze nogą mokry od potu Bit uratował łóżko od upadku.

pOSOKA SMOKA 271

\_ Pieprzon!... — wykrztusił tenorem przechodzącym w baryton i przerwał raptownie.

Na dywanie po przeciwnej stronie otomany leżał w kałuży krwi Red Superbuder z gardłem poderżniętym brzytwą Excalibur.

Rozsypane skaczące czapeczki otaczały go jak kolonie grzybków. Szafa grająca wysunęła płytę z Symfonią Oregialną, jakby dopiero skończyła ją odtwarzać. W rozpruty brzuch smoczego reportera bezlitosny zabójca wetknął dziecięcy smoczek. Kiedy wezwana ekipa pakowała ciało do foliowego worka, pozytywka grała w smoczku fragment *Scherza dla milusińskich* Pagma Paniego.

Pobrano próbki DNA z mebli, z opróżnionego sejfu w łazience i ze zwłok. Ustalono, że z apartamentu zniknął tylko czerwony kajet elektroniczny Superbu—dera, którego treści nikt nie znał, choć krążyły o niej legendy.

— Nie rozumiem, jak pieprzony komputer mógł się tak pomylić! — szepnął

przygnębionym tenorem Bit, gdy wrócili z Highwayem do Wydziału.

— Debilny szrot! — zachichotał złośliwym barytonem. — Mówiłem, żeby spokojnie jeść! Pieprzone pączki z dziurką przynajmniej się nie mylą! Nigdy nie wystawiły mnie do wiatru jak te federalne kompy! Nie ufam popieprzeńcom jak własnej matce!

Tydzień po wielkim pogrzebie Reda Superbudera, transmitowanym na wszystkich miejskich telebimach, nieuchwytny Smoczkowy Morderca zaatakował ponownie.

Zwłoki bankiera Trapsa odkryto na drugim piętrze Forum Admirów. Jednakże tym razem zmienił się *modus operandi* sprawcy. Traps został okradziony z kart kredytowych, przy pomocy których piętnaście minut po zabójstwie opróżniono mobilne akty—

272 Zbigniew Wojnarowski

wity jego konta. Było tam około dwudziestu tysięcy relli.

Sprawy ruszyły z kopyta. Świeży denat ze smoczkiem pod wątrobą pojawiał się mniej więcej co miesiąc. Tyle że Smoczkowy Morderca używał teraz najtańszych smoczków z automatu, a konta ofiar skrupulatnie opróżniał. Nie zadowalał się pozbawioną motywacji pasją mordu, trawiącą jego zboczoną naturę. Inaczej niż dotychczas.

Rok później Deyerpoth położył się na dwa dni w Klinice Uzdatniania Płci, skąd wyszedł jako pełnoprawny mężczyzna. Horrendalnie drogi zabieg opłacił gotówką.

Gładząc się z rozkoszą po zapuszczanej hiszpańskiej bródce, przechodził tunelem pod jedną z ulic, gdy wpadło na niego obwieszone kroplówkami łóżko medyczne. W pełnym pędzie zjechało po chodach i podcięło mu nogi.

— Mam cię, pieprzony seryjniaku! — wrzeszczał barytonem ktoś, kogo Deyerpoth nie rozróżniał pośród zabieganych przechodniów.

Ledwie mógł oddychać. W głowie mu szumiało. Z łóżka przy raptownym zderzeniu wypadł facet w pasiastej pidżamie i furkocząc cewnikiem, przygniótł Deyerpotha do ziemi.

Leżeli bezwładnie jeden na drugim. Wokół wiły się przejrzyste rurki, na tro-tuar ściekały cuchnące szpitalem płyny, mrugały małe ekrany monitorujące pracę narządów wewnętrznych.

Na wszystkich z nich zygzakowate linie prostowały się z żalobnym piskiem.

— Policja! Nie ruszaj się! — nadal wrzeszczał niewidoczny baryton.

Na przegubach oszołomionego Deyerpotha zatrzasnęły się kajdanki. Czyjeś ręce dźwignęły go

pOSOKA SMOKA

273

z trotuaru. Przed sobą ujrzał zapłakaną twarz młodego policjanta, który trząśł nim mściwie, trzymając za klapy trencza.

— Nie nadążyłem za nim w tłoku! — wyszłochał peyerpothowi w twarz z rozpaczą.

— To był największy pistolet wydziału! Zabiłeś go, pieprzony seryj—niaku! Widzisz to? Nie rusza małym palcem! Widzisz? Tak wygląda śmierć wielkiego policjanta! Koniec z tobą!

Usmażą cię na krześle! A ja będę na to patrzył i jadł pączka z dziurką, i pił kawę, i śmiał się, i nasikam na twój grób, i utnę twój pieprzony mały palec od lewej ręki, i będę go nosił w butonierce, a twoją czaszką będę grał w tenisa, a twoje pieprzone jaja powieszę sobie nad wstecznym lusterkiem w ślizgaczu, a proporczyki z twoim imieniem będę wtykał w każde psie gówno leżące na ulicy, a twoje buty wezmę na pamiątkę i będę w nich hodował

nietoperze, ty obrzydliwy, nienormalny, pieprzony zwyrodnialcu z chorą wyobraźnią!

## JL wozdział trzydziesty szósty

*w którym Tabrys*

*próbuję odnaleźć swoje miejsce*

Tabrys był na foksterierskim zamku parę lat temu, gdy odbywał się tu konkurs minstrelów. Słuchało go z uwagą dostojne jury, a pomiędzy występami panny pchały się tłumnie i popiskiwały. Teraz zaś, kiedy zeskokczył z fury, na której jechał z Wałkiem, ktoś sprzedał mu kopniaka, ktoś go odepchnął, inny puścił wiązankę. Jakaś dworka pisnęła wprawdzie na jego widok, ale tak trwożnie, jakby zobaczyła mysz w pustym korytarzu.

Nikt go nie pilnował, toteż rozplatał więzy trzecią ręką i ukradkiem skręcił z dziedzińca w najbliższe drzwi.

Zaraz za nimi zaczepił go skryba w tubitiejce i w pantalonach.

— Czego tu, dziadu? Za robotą?

p0SOKA SMOKA

275

Tabrys przytaknął. To była myśl, skoro burczało ^ w brzuchu z głodu.

\_ Wszyscy mówią, że chcą roboty, a wiesz, czego chcą? Pensji, wypłaty, forsy! Tylko by inkasowali! Spieprzaj, dziadu, ale już! Zaczekaj no! — Skryba złapał odchodzącego za ramię i podprowadził do pochodni w ścianie.

— Umiesz coś?

— Składać wiersze, śpiewać, grać na lirze. Generalnie uprawiam sztukę!

— Czyli nic nie umiesz? — ucieszył się skryba. — Takiego nam trzeba! Zostaniesz błaznem królewskim. Ostatniego ogłupiła własna mądrość! Wpie—przał się Walisławowi a to z krytyką moralną, a to z przypowieścią filozoficzną, a to z wyszukany dowcipem, co to nie wiadomo, kiedy się śmiać. Był pokraczny do rozpuku, nogi krzywe, łeb jak dynia, w nosie polipy, ale ile da się natrzasać z ludzkiego nieszczęścia? Czarodziej Verhun rzucił nudziarza myszom na pożarcie. Trzymaj tu polecający liścik ode mnie i zasuway do komnaty, co ma drzwi w he—liotopy.

Bogiem a prawdą Tabrys nie miał pojęcia, co to —heliotop? Domyślał się, że nie jednorożec, zatem pierwsze drzwi minął, bo były w jednorożce. Przed następnymi zatrzymał

się zdetonowany. A to co? Rogalik? Scena batalistyczna? Orgazm jeżozwierza? Na wszelki wypadek zajrzał.

W komnacie dworka kradła jedwabną bieliznę, więc wycofał się.

Za następnymi drzwiami lokaj odsysał pańskie wina z beczek do prywatnego baraniego flaka. Dalej minister armii bałamucił dziewczkę porwaną dlań z gościńca przez podległych wojaków. Dalej młody szalawiła fałszował testament. Inny torturował żonę 276 Zbigniew Wojnarowski

szczypcami do kominka. Baronowa oddawała się So\_ domii przy współudziale pokojowego pieska. Grupa rycerzy z pawimi czubami w pośladkach praktykowała coś, czego Tabrys nie rozpoznał mimo sporego erotycznego doświadczenia.

Po uchyleniu kolejnych drzwi nie ujrzał nikogo. Schody prowadziły w dół. Trzymając pochodnię, zstąpił po nich ze dwa piętra, zanim wlaź w ciemny korytarz. Wiało z niego zatęchłym chłodem, wyjący przeciąg zdmuchnął płomień i pogrążył śpiewaka w gęstej czerni podziemi. Mimo rozległych cielesnych zniekształceń — oczy ćwiczone w sypialniach mężatek zachowały kocią zdolność widzenia po ciemku. Tyle że Tabrys nie rozglądał się już za drzwiami z heliotopem. Szukał powrotnej drogi w plątaninie korytarzy.

Pozbawiony światła, widział podziemny świat w sinej mgle. Z niskiego sufitu zwisały pajęczyny, pod ścianami tkwiły omszałe szkielety. Na ceglach starodawne napisy: ZGNIŁEM

TU! albo: KOCHAM KRÓLA — STARSZY URZĘDNIK KANCELARYJNY MICHANEK

JANUARY! Szeleściły nogi biegających owadów. Cuchnęło rozkładem. Na domiar złego w labiryntach korytarzy ścigał wystraszonego Tabrysa tajemniczy dźwięk. Nie potrafił przed nim umknąć, nie umiał go rozpoznać i nazwać.

Jakby potępieńczy jęk!

— A ty co? — odezwał się w uchu głosik opiekuńczego duszka.

— Jesteś! — odetchnął Tabrys. — Jak to co? Bezsensowne pytanie! Spierdalam!

Stosuję się do twoich rad, tylko że to nie takie proste!

— Daj spokój! — powstrzymał go duszek. — To były banalne rady! Niehonorowe, eskapistyczne! Kiedyś trzeba dojrzeć, spojrzeć dumnie światu w twarz!

p0SOKA SMOKA

277

— Więc powiedz mi coś dojrzałego, byle szybko!

— Proszę bardzo! Biada ci, synu twojej matki, 0 biada ci! — zawył duszek.

Nie wiadomo skąd dobiegały tony menueta, granego przez fałszujący zespół kameralistów. Ledwie słyszalne, dostojne, gubiące się w dalekich korytarzach.



Nagle struchlały Tabrys zastygł w pół kroku. Ścigający go potępieńczy jęk rozległ się tuż przed nim. To był ludzki głos zdeformowany przez piwniczne echa.

Śpiewak tak wybałuszył oczy, że nieomal widziały się nawzajem.

Chudy jak szkielet mężczyzna zwisał ze ściany w okowach. Pajęczyny oplotły jego uniesione pod powałę ręce, mrowiące się na nim robactwo wlażyło do splekanych, pojękujących ust, a on przeżuwał odwłó—czki, nóżki, czułki, pancerzyki, oblizując się łakomie.

Garb śpiewaka zahaczył o cegły, z szelestem posypała się zaprawa.

— Co to za przeraźliwe hałasy? Jest tu kto?

— Nikt! — Tabrys ugryzł się w język. — To znaczy nikt ważny.

— Nie wierzę własnym uszom! Człowiek? Odezwij się! Nic nie widzę w tych przeklętych ciemnych lochach! Czego tu szukasz?

— Drzwi.

— Ejże? Szczerozłotych drzwi?

— Nie, drewnianych, w heliotopy. Za którymi podobno dają pracę i pensję.

— Bogowie! Co za upadek tam na górze! — zarechotał więzień do wtóru brzęczących kajdan. — Dno! Im wyżej, tym głębsze! Wywrócili świat do góry nogami! Cieszę się, że strącono mnie w otchłań lochu, gdyż w ten sposób wywyższony jestem! Dawniej 278 Zbigniew Wojnarowski

schodzili tu bohaterowie szukać skarbu Rurykowicza albo Świętego Granatu Ręcznego, a nie byle jakiej etatowej pracy! Co za świat, co za bohaterowie! Za moich czasów tak głupio nie bywało, wierz mi, nieznajomy!

— A długo tu wiesz? — zainteresował się Tabrys.

— Pięćset dwadzieścia trzy lata, człowieku!

— A to jakim cudem? Na wolności trudno dożyć setki.

— Ha! Sam widzisz, co za zdegenerowany świat! A ja tu dyndam pięćset dwadzieścia trzy lata! Siła moralna jest we mnie i trzyma mnie przy życiu! Pokazałbym ci dowód tu, o, gdzie paznokciami sięgam. Szkoda, że ciemno. Wydrapuję kreskę, kiedy mija rok. Już są pięćset dwadzieścia trzy jak obszył! Pojutrze wydrapię pięćset dwudziestą czwartą. Oto zwycięstwo ducha nad materią!

Rzeczywiście, nad głową więźnia Tabrys dostrzegł gęstwinę kreseczek wydrapanych w niskim stropie.

— Skąd wiesz, kiedy mija rok?

— Domyślam się, a co! Wiszę sobie, wiszę, myślę: Oho! Ile to już razy robiłem pod siebie? Pewnie z rok minął? I wydrapuję kreskę! Nie masz koziego sera przy sobie?

Stęskniłem się za nim jak za zbawieniem! On był istotą mojej wolności! A jeszcze z miodem!

Pyszota! Masz go?

— A skąd! Sam dałbym wiele za kęs jadła — westchnął Tabrys.

— No, no! Tylko nie tykaj moich robaków!

— Wyznajesz się w tutejszych labiryntach? Za co tu trafiłeś?

— Widać, żeś nowy na zamku. Naiwny jak szczypiorek do wkrojenia w kozi ser, mniam, mniam! Wiesz ty, co tu się dzieje, człowieku? Kradzieże, rozpusta, kazirodztwo, przekupstwo, nie uwierzyłybyś!

p0SOKA SMOKA 279

— Uwierzyłbym — westchnął Tabrys. — Niejedno widziałem po drodze tutaj.

— Więc co się głupio pytasz? Ja mam to samo na sumieniu!

— I kradzież, i kazirodztwo i przekupstwo?

— Nie bądźże naiwny, mój smaczny szczypiorku! Mam na sumieniu to, że niejedno widziałem. Jako i ty.

— Mówiąc dokładnie, stałem tyłem, gdy to widziałem! — uściślił Tabrys nieszczerze.

Bycie naocznym świadkiem na królewskim dworze to straszny los. —Pomożesz mi stąd wyjść?

— Czemu nie. Za kozi ser wskazałbym ci drogę.

— Przypadkiem mam go przy sobie.

— To coś nowego, kłamliwy szczypiorze! Przed chwilą mówiłeś inaczej

— Posłuchaj. — Tabrys przysunął twarz do jego ucha. — Wtedy nie miałem sera, nie kłamałem. Na szczęście przyszedł właśnie mój stary znajomy i przyniósł wielki kawał sera, jak się okazało.

— Nie słyszałem, jak przyszedł! Niech się odezwie!

— Nie może. To niemowa.

Więzień jęknął ze zniechęceniem. Łańcuchy zabrzęczały.

— Nie nabierzesz mnie, wredna zwiędła zielenino. Nie wierzę w twój ser! Zgnijesz tu ze mną

sprawiedliwie! A raczej ty sprawiedliwie, a ja za niewinność!

— Skup się! Na dowód dotknijemy twego ciała — rzekł uroczyście Tabrys. — Raz, dwa, trzy... Czy dotyka cię jedna osoba twoim zdaniem? Ile rąk czujesz?

— Trzy — podliczył niepewnie chudzielec. — No dobra! A czwarta?

— W czwartej trzymamy kozi ser. Więzień zastanowił się w milczeniu.

— Niech was szlag, powiem wam, szubrawcy. Pój—

280 Zbigniew Wojnarowski

dziecię tam, skąd słyhać menueta. To wyście do sali balowej. Jasne? A teraz dawajcie ten ser!

Tabrys bez namysłu puścił się pędem w ciemny korytarz.

— Wybacz mi, nieszczęśniku! — rzucił za siebie li—tościwie. — Ser nie istnieje!

Wymyśliła go moja biedna głowa, żeby ratować mój biedny tyłek! Od lat żyją ze sobą w przyjaźni! Nie trać nadziei! Prędzej czy później przejdzie tędy ktoś, kto będzie miał przy sobie furi koziego sera!

Echo jego głosu ścichło w labiryntach korytarzy. Słyhać było biegające w popłochu robaki, po czym przerażający ryk wydarł się z chudej piersi wisielca.

— Oooo! Wy dwa kłamliwe pedały! Nie łudźcie się, że powiedziałem prawdę!

Będziecie mieli za swoje, przekonacie się! Mój ser! Mój niewinny ukochany ser!

Tabrys nie słyhał już mściwych pogroźek. Ceglane tunele wirowały mu przed oczami, dźwięki menueta potężniały w uszach. Blask balowych iluminacji drżał u końca korytarza jak świetlny opar. Na ścianach pojawiły się zmatowiałe portrety, spowite w gąszcze pajęczyn. Sufity wznosiły się, przestrzenie przestronniały. Szelesty owadzich nóg zmieniły się w rytmiczne stapania tancerzy.

— Stać! W imię Jego Hemoglobistości, stój!

W zaułku korytarza wyrosła przed Tabrysem straszna postać.

Właściwie całkiem przystojny mężczyzna. Czarnowłosa, z ufryzowanym wąsikiem, o szczerym spojrzeniu błękitnych oczu. Niestety spojrzenie słał spod pachy, gdzie trzymał

uciętą głowę, głaszcząc ją czule po trefionej peruce. Stamtąd też odzywał się świszczącym głosem, którego nieprzyjemny tembr brał się zapewne z przeciągu w otwartej tchawicy.

pOSOKA SMOKA 281

Tabrys zgrabnie Smyrznął pomiędzy rozstawionymi nogami służbisty. Nawet garbem nie zawadził.

Pozbył się strachu dopiero w wysoko sklepionej sali, jarzącej się od kandelabrow.

Wszyscy balowicze mieli tu głowy na swoim miejscu. Gibkie damy w sukniach wydekoltowanych po pępek i w atłasowych pantofelkach na cud—obcasikach, zgrabni panowie we frakach, przy orderach i w pudrowanych peruczkach. Na twarzach zabawne maseczki. A to różowy ryjek, a to rurkowaty jęzor, a to jeszcze coś. Perlił się śmiech i markowe szampany, muszki z mory podkreślały seksowną bladeść smukłych szyj. Ściany wybite szkarłatną tapetą pięły się w górę, gdzie z ażurowych balkonów jak śnieg sypało się konfetti.

Nagle ogłuszający syk przebił się przez dostojne tony menueta.

Bezgłowy służbista wystawił z balkonu swą głowę, trzymaną w garści za łysiejącą czuprynę, którą dotychczas chował pod peruką. Głowa złowrogo łypała oczami po sali i syczała jak wąż, tyle że ludzkim głosem:

— Wsssstretny oszusssst nie ma biletu! Łapać go! Wdarł ssie na bal podsssstępem!

— Gdzie? Kto? Jak? — rozległy się wokół zaniepokojone głosy.

Tabrys zanurkował pomiędzy dansujące nogi w butach ze srebrnymi klamerkami.

Podniósł z posadzki maskę błękitnego słonika na gumce i pospiesznie nasadził sobie na twarz.

Barwne maseczki dookoła niego unosiły się jak czujne zwierzęce pyski, węszyły w powietrzu. Ustały tańce, umilkła kapela.

— Czuję go!

— Gdzie?

— Tutaj, na sali! Ukrył się pośród nas!

282

Zbigniew Wojnarowski

— O to to to, margrabio! Ja też go, *excuses le mot*, czuję! Fúj! Jest tutaj!

— W którym mianowicie miejscu, sir? — zapiszczała zmumifikowana dama w brylantowej kolii. — Gdzie toto jest, że się tak wyrażę?

Zdjęła maseczkę—ze strusich piór, obnażając dwa długie kły. Purpurowy język poruszał się pomiędzy nimi pożądliwie.

— Gdzie ta szuja?! — przyłączył się do wrzasków Tabrys, dla kamuflażu.

— Gdzie on? Gdzie? — wtórowały mu damskie i męskie głosy.

Ponad głowy tancerzy wyfrunęły dystyngowane damy w sukniach ze srebrzystej lamy.

Unosiły się w blaskach kandelabrow, rozpościerając w dłoniach rąbki szat. Krąg, który utworzyły, wirował, nabierając połysku zwierciadła.

W odbiciu ponad sobą Tabrys ujrzał zaśmieconą podłogę. Pustą. Jediną osobą, która zadzierała ciekawie głowę pośród poplątanych serpentyn i podeptanych korków od szampitra, był on sam.

Zjednoczony syk wampirzych gardeł niemal go ogłuszył.

Czmychnął w korytarz co sił w krótkich nóżkach. Dźwięki menueta cichły w oddali.

Ale nie cichł zwielokrotniony tupot stóp w balowych trzewikach.

Drogę ucieczki zatarasował przerażający stos ludzkich czaszek. Setki ślepych oczodołów gapiło się z ciemności wprost w kocie oczy Tabrysa. Kości osypywały się w dół, gdy gramolił się po nich gorączkowo. Na szczycie wyrznął ciemieniem w niski strop. Nie było przejścia dalej. W łydki Tabrysa wczepiały się drapieżne wampirze paznokcie.

Unieruchomiony, szarpnął gwałtownie krzywymi barkami — i usłyszał głuchy łoskot.

pOSOKA SMOKA 283

O garb zadudniły osypujące się grudy ziemi.

Z góry trysnęłoienne światło, a razem z nim wzbił się ponad miażdżone butami czaszki wrzask bólu i swąd palonej skóry. Drapieżne ręce umknęły w bezpieczną ciemność.

Wytknąwszy głowę przez wybitą dziurę, Tabrys poczuł w nozdrzach kojący zapach jesieni.

Tuż przed oczami miał żdźbła traw, sielską kolonię grzybków, mrówkę idyllicznie taszczącą na grzbiecie suchy listek. Malutki arkadyjski krajobrazik!

— Zgińcie, przepadnijcie, mary nieczyste! — wrzasnął, gramoląc się spod ziemi.

Ale dawne szczęście nie chciało już do niego wrócić.

Wydłużony cień Tabrysa zgasł nagle w pożółklej trawie. Wieczorne słońce zapadło w góry jak strącone niewidzialną ręką. Pogodny jesienny zmierzch rozlał się po niebie. Gdy Tabrys się obejrzał, pierwsza wampirzyca wyłaziła z czeluści.

Wyglądała inaczej niż na balowej sali. W jej zmierzwione włosy wplątały się skrzepy krwi, zetlała suknia wisiała w strzępach na strupieszalym ciele, odarta z maseczki twarz łyssała upiorną bledością. Tylko wyszczerzone zęby nie utraciły śnieżnej bieli.

Fosforyzowały w mrokach nocy.

„R

## JL wozdział trzydziesty siódmy

*w którym Walek zapoznaje się z udręczoną kobiecą duszą* Medyk zaordynował ciepłą pierzynę, ale Walek nie zdołał odpocząć po zbójceckich atrakcjach. Ledwie lokaj rozścielił łoże, drzwi komnaty rozwarły się z hukiem.

Wpadła przez nie dziewczyna ze wzburzonymi blond włosami. Jej luźną szatę oblepiało dołem błoto, jakby przybiegła z podwórza. Przyciśnięte do piersi dłonie mięły bukiet polnych kwiatków, usta drżały od tłumionego płaczu.

— Oszaleję! — upредиła. — Już teraz mi się zdaje, że któryś ptak był krewnym piekarza!

— Który? — zapytał grzecznie Walek, żeby się uspokoiła.

— Któryś z nocnych. Puchacz czy też sowa. Pokrewieństwo pierwszego stopnia —

odparła niecierpliwie. — Czy musimy o tym mówić akurat teraz?

POSOKA SMOKA 285

Obeszła smokobójcę naokoło, nie odrywając wzroku od jego oczu, co zwłaszcza było trudne, gdy znalazła się za plecami. Wreszcie stanęła przed Wałkiem z drżącą wargą i oskarżycielsko wycelowała palec w jego pierś.

— Gburze! Prostaku! Zuchwalcze! — wybuchła. Walek rozpoznał w niej królewską córę. Tyle że rozczochną.

Od władczego ruchu polne kwiatki rozsypały się po szacie i posadzce.

— Śmiałeś odrzucić mą rękę jak ogryzioną kość? Afront uczynić tej, o którą najlepsi kruszą kopie? Wystawić mnie na pośmiewisko dworu, że oto prostak ze słomą w butach wzgardził moją osobą? Wiedz, że zabiję siebie, zabiję ciebie... Nie, nie, nie, odwrotnie, gburze! — Tupnęła wściekle nogą. — Zabiję ciebie, zabiję siebie, a potem pójdę w świat, skryć hańbę za górami, za lasami!

Walek patrzył na jej łzy rozpacz z niemądrze otwartą gębą.

— Przecie miłujecie się z Hufhalem jak dwa gołąbki? — wykrztusił.

— A cóż cię, gburze, obchodzi, z kim się miłuję? Spowiadać ci się mam? Nożem się pchnę, na matkę najmilej szą! Nie ścierpię tej potwarzy! Nie ścierpię!

Zatupała bucikami o posadzkę, aż osypało się przyschłe błoto.

— To nie moja wina — usprawiedliwił się Walek.

— A czyja? Może sama własną rękę odepchnęłam?

— Rycerz Hufnal przedstawił mi takie wasze wspólne życzenie!

— Chybaś zidiociał, gburze! Ja sama cię sprowokowałam do despektu? Czegoś takiego jeszcze nikt mi w oczy nie powiedział!

Chwyliła Walek pod ramię i podprowadziła ku ok—

2°6 Zbigniew Wojnarowski

nu. Kazała się przez nie wychylić. W zasięgu wzroku rysowała się na tle wieczornego nieba baszta czarodzieja. Najwyższa w zamku.

— Stamtąd rzucę się głową w dół! — powiadomiła oschle dziewczyna. — Tak giną królewskie córy!

Walek usiadł bezradnie na łożu, zmierzwił czuprynę dłońmi.

Jak widział, królewskie córy były inne od chłopskich. Żeby wiejska dziewczyna chciała skakać do studni — to już do ciąży musi dojść! Żeby wiejska robiła awantury o ślub — to już chyba w całej wsi nie byłoby gdzie legnąć we dwoje! Żeby wiejska chodziła po wsi rozczochrana, w ubłoconej sukni — to chyba nie miałyby pojęcia o elegancji!

Gdzie jesteś, umiłowana Jagło?

Ogarnęła go tęsknota za prostotą prostych dziewcząt, które są może ciut skomplikowane w trudne dni, ale poza tym — normalne. Nie to, co królewskie córy, gnębione przez dynastyczne kompleksy we wszystkie dni miesiąca.

— A gdyby tobie, królewno, rozkazali wybrać pomiędzy cudzą ręką a własnym łbem?

— To bardzo proste! Wybrałabym moją rękę! Czegóż ci w niej brak? Tłustsze są dziewczki w twojej wsi? Albo też bardziej rozbudowane górami? Może jakieś specjalne upodobania spełniają? Czy nie mam wszystkiego na miejscu, jakbym pod względem cielesnej budowy też pochodziła z byle chamskiego rodu? Tyle że moje wdzięki wymoczone na dodatek w mlecznych kąpielach, szlachetne w dotyku... Pomacaj, kiedy nie wierzysz!

Wciągnęła brzuch, wypięła pierś, obtulając koszulę, by obcisnęła kształty.

Walek posłusznie wyciągnął rękę, ale zaraz ją cof—

pOSOKA SMOKA 287

nał. Nie wypadało takim sposobem taksować królewny

Na widok jego niezdecydowania ta znów zalała się łzami. Spod trzepoczących, długorzęsych powiek płynęły istne strugi.

— Dwa razy głową w dół się rzucę! — zawzięła się. — Dwa albo i trzy!

— Co poradzę, gdy umowa już spisana przez prawnika Dukakisa?

Królewna swoim kapryśnym zwyczajem przestała nagle szlochać. Upierścienioną dłoń przesunęła kocim ruchem we włosach, obróciła się ku zwierciadłu na ceglanej ścianie. Przez krągłe ramię, wyzierające zalotnie spod szaty, zwróciła się do Walka.

— Ja ci przedstawię moją własną umowę, gburze! Gdy powrócisz ze smokobicia, będę stała u boku królewskich rodziców w szacie z białego atłasu, naszywanej bursztynami i perłami. Tak ona wzrok poraża pięknnością, że dojrzysz mnie w ciżbie, choćby ci oczy zalewał pot ze krwią pomieszany. A jeśli zagapisz się, bo rany będą ci doskwierały, usłyszysz, jak dźwięczą ozdóbki przy wygięciu biodra, przy ukłonie, przy uniesieniu piersi we wzdechu. Na kolana masz paść i przyjąć moją rękę z rąk rodzica. Bez żadnego ale! Jeżeli tego zaniechasz, zjem całą trutkę na szczury, która jest rozsypana w zamku. A zamiast niej zostawię list pożegnalny, żeby cię nie minęło weselisko. Lokaje podadzą na stoły i pieczone, i patroszone, i nadziewane, i obłuszczone ze skórki, a to wszystko będziesz ty! Tatus się o to postara!

— A prawo? — zaprotestował żałośnie Walek, choć właściwie miał na myśli Hufnała.

Tylko że prawo dostojniej brzmi. Jakby człowiek się nie bał.

— Ty mi prawem oczu nie mydlisz! — zdenerwowała się królewna. — Prawo zawsze się znajdzie, które pa—

288 Zbigniew Wojnarowski

suje do sytuacji! O! Nałęczką cię na przykład nakryję! Podobno był taki zwyczaj w pradawnych czasach, żeby mógł się pobierać, kto chciał z kim chciał, bez uwagi na obyczajność. Jeśli mam jaką nałęczkę, to cię nią nakryję. A gdyby nie, splunę trzy razy. To na pewno także coś oznacza w pradawnym zwyczaju. Nie dam się wziąć na zawistne języki!

Muszę być twoja albo na miecz się rzucę łonem białem! Pięć razy!

Mówiąc to, zakryła oczy dłońmi, zerknęła zalotnie spomiędzy palców.

Choć umilkła, Walek słyszał jej duszę, jak wcześniej słyszał dusze Jagły, króla, Hufnała. Wszystkie one odzywały się tym samym elegijnym tonem.

*BAJKA O GNOMIKU*

*Kimże jest księżniczka, smokobójco? O czym marzy? Za czym tęskni?*

*Pochodzi z możnego rodu, znoszącego z dumnym gdakaniem złote jaja po dworach świata, ale jaka*



*przyszłość przed nią? Jak przed fantem na loterii. Ma stać na balkonie i wabić oczy. Płeć bielsza niżli migdał, ząbki jak perełki, wargi koralowe, heban jaskółczych brwi, włos zwity we wdzięczną kosę! Jeszcze szyja łabędzia, jeszcze pierś falująca, a niżej balustrada od balkonu gięta w różyczki. To ma być kobieta? Wolno jej omdleć z wrodzonej delikatności, wdychać sole trzeźwiące, wachać lilije — i już!*

*Pod balkonem zaś wolno każdemu przebierać nogami ze zwierzęcej pożądlivosti!*

*Temu, co powraca z boju, gubiąc za sobą członki po gościńcu, aż mu z dawnego powabu pozostanie tylko pęczek miłosnych listów ze wstążeczką.*

*Temu, co nocami zawodzi serenady pod oknem, jakby miłości uczyły go koty w marcu.*

**pOSOKA SMOKA**

289

*Temu, co mu księżniczkę zapisał dziadunio w testamencie, myląc dziewiczy hymen z lakową pieczęcią pod dokumentem.*

*Temu, co staje w szranki z damską szarfą u puklerza, aby uzyskać dostęp do zapinek przy damskim gorsecie.*

*Temu, co po każdym turnieju myli balkony, a nadal nie unika ciężkich obrażeń w głowę.*

*Gdzie biednej szukać ratunku? Do kogo iść po miłosną radę?*

*Spyta niani w rurkowanym czepku — dowie się, że trzeba przecierpieć. Spyta kuzyneczek — rozdziawią różane usteczka i nie zrozumieją. Spyta królewskiej matki —*

*dostanie burę za pytania. Spyta medyka — nie pojmie odpowiedzi. Spyta kapłana — ten zada jej tuzin pacierzy do odklepania. Spyta królewskiego ojca — ten wyda ją za mąż, by nie zawracała mu więcej głowy.*

*Musi nieszczęsna iść do wróżki, aby nie ugotować się we własnej krwi.*

*Wróżka podaruje jej zamek dla lalek, do którego można zajrzeć przez fikuśne okieneczka. „Czym ja małe dziecko?”, dąsa się księżniczka w duchu. Niesie prezent do komnaty, stawia u wezglowia i nie zajmuje się nim wcale. Aż tu nocą, leżąc wśród falbanek, widzi światelko w miniokienkach.*

*Co się okazuje?*

*W zamku mieszka gnomik! Liczy sobie pięćset lat. Malutki jak naparstek, ma szpiczaste uszy i wysadzony brzuch nad cienkimi nóżkami. Nos w maciupcie brodaweczki, a żywi się muchami, których odtąd trzeba mu codziennie nałapać.*

*Co noc dziewczyna przytyka oko do okienka. Tamten siedzi za malutkim stolikiem przy lampie—*

*czce jak szpilka i księgi czyta, które by się pomieściły na paznokciu. Mędrzec istny!*

290 Zbigniew Wojnar

*Księżniczka uczy się od niego, że najcenniejsza na świecie jest miłość.*

*Miłość sama rozpozna, kogo się kocha. Nie trzeba kalkulować i wypatrywać z balkonu, trzeba otworzyć swe serce. Wyjść z nim na spotkanie losu.*

*Póki dziewczę nie pokocha, nie zazna spokoju Nocami będzie spać jak kamień, zamiast przewracać się z boku na bok tęskniąc za ukochanym. We dnie będzie wybuchać śmiechem przy byle okazji, zamiast doświadczać frasunków bez przyczyny. Każdy człowiek będzie jej się wydawał zajmujący, zamiast nudzić się ze wszystkimi prócz umiłowanej osoby. Będzie jadać ze smakiem, zamiast cierpieć na brak apetytu. Będzie sobie cenić każdą chwilkę, zamiast uważać za stracone te bez pary. Wyda się sobie powabna, zamiast co rusz sprawdzać w zwierciadle, czy aby się jeszcze spodoba?*

*Widzi księżniczka, że nie ma wyjścia.*

*Trzeba pokochać na śmierć i życie.*

*Najpierw upatruje sobie tego z pogubionymi członkami i paczką listów. Składa się on już więcej z znacznej renomy niż z ciała, toteż bardzo się nadaje do platonicznego adorowania.*

*Dalibóg, wybucha wielka miłość!*

*Księżniczka słucha po nocach minstrela, wierzy w poezję, podczas obiadu ulega zadumie z udkiem kurczęcia w ustach. Tylko by wachała kwiatki i obcałowywała przyjaciółki. Spotykając się sam na sam z umiłowanym, drży jak listek na wietrze. Bardziej z emocji niż od jego męskiego wigoru. Płacze do rana, kiedy po dwóch tygodniach odkochuje się bez nadziei.*

*Na drugi ogień idzie turniejowy rycerz z głową w guzach. Umysł ma prymitywny, więc jego obecność u boku księżniczki nie kala duchowych* OSOKA SMOKA

291

*wspomnień o poprzedniku. Ma za to mnogość cielesnych członków, którymi nie mógł się poszczycić tamten biedaczyna.*

*Dalibóg, wybucha wielka miłość!*

*Nocami księżniczkę oblewa nagły gorąc, dniami maniakalnie szyje na tamborku.*

*Zaniedbuje przyjaciółki, za to zawiera przyjaźń z ochmistrzynią, która włada kluczami od strychu. Tam to lepią z ukochanym sławnego zwierza o dwóch grzbietach, płosząc myszy, rwąc pajęczyny, wzbijając kurz turlającymi się ciałami. Aż po jakimś czasie księżniczka zauważa ze zdumieniem, że*

*oblubieniec wyciera nos mankietem i wtrąca „bynajmniej” w zgola nieodpowiednim miejscu. Tym razem od—kochuje się bez szlochów. Czuje się oszukana przez prostaka niegodnego jej uczucia.*

*Trzecim jest ten, co śpiewa serenady. Urodę ma lepszą niż głos i nieliczne przymioty charakteru, alicsi wiedza o jego wadach zabezpiecza przed rozczarowaniem. Tak widzi to księżniczka, która nabrała roztropności w sprawach uczuć.*

*Dalibóg, wybucha wielka miłość!*

*Klucze od strychu można oddać ochmistrzyni, gdyż księżniczka kazała sobie dorobić własne. Przy okazji także inne. Od piwnic, pełnych beczek z winem dodającym animuszu, od stajen, gdzie siano przymilnie łaskocze w ucho, od zakazanych komnat, w których ukryto ślady zamierzchłych zbrodni. A to siedem zarżniętych żon pradziada, a to kochanka prababki zamurowanego żywcem w alkwie. Z łóżnic wzbija się tam kurz, w lustrach objawiają się krwawe widma, ale też zaciekle jęki nikogo nie dziwią, kto przechodzi korytarzem. Aż księżniczka dochodzi do wniosku, że nudno. Zasłużyła na lepszy los ze swą urodą, bystrością, urodzeniem.*

292 Zbigniew Wojnarowak,

*Daje szansę temu, co chce dźwignąć w potęgę swą dynastię. Rozgląda się za sposobną małżonką. Księżniczka nie myśli o zamążpójściu, bo to śliska kwestia polityczna, ale docenia męskie ambicje.*

*Dalibóg, wybucha wielka miłość!*

*Adorator przynosi czekoladowe smakołyki i bukiety róż. Zdaje sobie sprawę, że samą swoją prezencją nie wystarczy za atrakcję. Księżniczka dopuszcza go do łask to na strychu, to w wonnym wirydarzu. Nie pozwala mu wszakże przejąć inicjatywy, żeby nie doszło do jakiegoś gorszącego czynu. Na przykład do oświadczyn na uboczu. Aż stwierdza, że to była uczuciowa pomyłka.*

*Postanawia spróbować szczęścia z tym z testamentu dziadunia. Nie zna jego talentów, upodobań, ale w mroku afekt płonie najjaśniej. Niewiadome nęci. Nieznane obiecuje.*

*Dalibóg, wybucha wielka miłość!*

*Gorzej jak ogień i gaśnie jak ogień po użyciu sikawki. Tak samo wybucha i przygasa niewieści żal księżniczki. Tym razem bardziej on dotyczy przemijania spraw niż dziaduniowego spadkobiercy jako takiego.*

*Następnym jest uroczy szalawila, co ma chrapkę na posag. Nikt nie zamierza oferować mu posagu, który jest rzeczą kosztowną. Ale samemu uczuciu żal się oprzeć, dając drobniejsze jego dowody.*

*Dalibóg, wybucha wielka miłość!*

*Ale i ta się kończy, ustępuje następnej i jeszcze następnej.*

*Kto raz zaznał gorącego afektu, temu strach tulić się do zimnej samotności i zasypiać w łóżu z kurami. Mimo że na jawie mężczyźni nie są tacy wspaniali jak w snach.*

*Aż pewnego dnia księżniczka zagląda do malut—*

FOSOKA SMOKA 293

*kiego okienka, przez które dawno nie wrzucała złapanych muszek. Nie miała do tego głowy.*

*Pięćsetletni gnomik leży nieżywy na tyciusień—kim dywaniku, pośród pustych kubeczków, talerzyków wyjedzonych do ostatniego okruszka i wydra—panych do dna garnuszków. Nawet już zalatuje, choć nie więcej niż zdechła w norce szara myszka.*

*Księżniczka zamyka go w pudełeczku po kandyzowanych owocach, obtula niby kirem koronkową chusteczką z monogramem i grzebie w doniczce pod pachnącym groszkiem.*

*Gdy ma chandrę, gdy wichura świszczę w kominie, lka po gnomiku ciemną nocą. Ale niezbyt często, albowiem noce stworzono na co innego niż na oplakiwanie gnomików.*

Królewna zbliżyła twarzyczkę do lustra, przed którym stała. Obejrzała z niepokojem wyprysk, jaki uformował jej się pod nosem. Naciśnięty wypielęgnowanym paznokietkiem —

trysnął białym płynem i sflaczał. Wszystko przez nerwy, przez upokorzenia.

Zerknęła spod oka na Walka.

Ciętej pod donicę fryzury nie nosili nawet tromscy kawalerowie, choć nigdy nie zdążali za modą. Uszy jak u nietoperza, aż dziw, że ich właściciel nie zwisa łbem na dół.

Paznokcie popękane, jakby wydrapywał nimi z ziemi kamienie. Grdyka wysadzona, że nos może jej pozazdrościć, choć i jemu nic nie brakuje. Ramiona prostackie, wzrok ośli...

— Pomyśleć, że moi królewscy rodzice mieli pod ręką tylu kawalerów, a niefortunnie przeznaczili mi ciebie — westchnęła i zaszklilo jej się oko. — Pchnę się nożem po ceremonii zaślubin, żeby nie doszło do czegoś nieobyczajnego. Albo wstrzymam dech przed ołtarzem!

**JL wozdział** trzydziesty ósmy

*ze specjalnym udziałem miejskiego kata*

W rodzinnym domu Ruperta Jra panowała atmosfera praworządności. Zawsze.

Podczas posiłków, snu, czynności dyskretnych. Jadalnię zdobiły wideotape—ty, na których składy sędziowskie w wielkich rurkowanych perukach odprawiały milczące ceremoniały sprawiedliwości. Wonne trociczki wydzielają zapach starych akt. W wygodce na haczyku w kształcie paragrafu wisiały miękkie kartki kodeksów. Część domowego wystroju — żaluzje w formie krat albo czarne opaski na oczach domowych portretów — miała jeszcze copyright świętej pamięci Ruperta Seniora. Zawód miejskiego kata był bowiem w rodzinie dziedziczny.

To na Rupertach kończyła się święta droga prawa, którą inicjował zziębnięty stójkowy, ściągający

ekipę dochodzeniową w zapaskudzony świeżą krwią zaulek.

## POSOKA SMOKA

295

Rupert Jr. dołożył nowe hobby do ojcowskiej spuścizny Zbierał mianowicie ostatnie słowa skazanych i zapisywał je na dysku czarnego laptopa ze srebrnymi okuciami. Nie oficjalne ostatnie słowa, wygłaszane przed trybunałem po konsultacji z adwokatem, tylko te spontaniczne, wyrzaskiwane z elektrycznego krzesła na sekundę przed nicością.

Wklepał ich do tej pory mnóstwo. Dla przykładu, Erbukrat, gwałciciel i oprawca domowych zwierząt, tuż przed włączeniem prądu zawołał do zgromadzonych na egzekucji:

„Tego wam, skurwysyny, nie daruję do śmierci!” Bezprawny dzieciórób Reynold, którego ostatnim życzeniem była zabawa kolejką elektryczną, spytał w szoku: „Czy ktoś mi pożyczy na drogę *Dzieci kapitana Granta* Terrorysta Bryk smażyć się, wył: „Wszyscy jesteście już trupami, ja wam to mówię!”

Żaden skazaniec nie wyrzekł jednak dotąd maksymy, jakiej oczekiwałby Rupert.

Porywającej i wzniosłej . „Śmierć to uczciwa cena za życie” lub coś w tym guście. Co innego procesowe zapewnienia sędziów, prokuratorów, adwokatów, a co innego życzliwa wypowiedź skazańca. Tylko taka potrafi ukoić wątpliwości katowskiego sumienia. Bo te doskwierają nocami.

Ostatnio Rupert wiele sobie obiecywał po Deyer—pothcie, którego egzekucję zapowiedziano na piątek. Po raz enty odsłuchiwał przy podwieczorku nagrania jego sądowej mowy i nabierał przekonania, że ten facet da radę powiedzieć coś doniosłego, gdy podłączy się go do prądu o wysokim napięciu.

— Panowie przysięgli! — wołał skazaniec z emfazą, podczas gdy Rupert popijał

herbatę z rumem Justice i oblizywał palce z ptysiowego kremu.

Na widysku Deyerpoth nosił pasiasty garnitur

296 Zbigniew Wojnarowski

podśadnego, ale twarz miał gładką, jasną, ozdobioną tylko skromną bródką. Urzędowo wywabiono mu tatuaż zebry, aby wykonać motofoto do akt sprawy \_ dwa z profilu, jedno en face. Ostrzyżone na języka włosy rozjaśniono mu perhydrolem już na jego własne życzenie.

Od dawna nie utykał, nie mówił z jolij. skim akcentem, nie miał cofniętego podbródka. Był

teraz starzejącym się statecznie blondynem w modnych okularach kikimora. Kilka zmarszczek na twarzy mówiło za siebie. To ktoś, kogo nie zdziwi ani własny koniec, ani koniec świata. Na obie ewentualności jest gotów.

— Panowie przysięgli! — wołał. — Urodziłem się jako człowiek dziki i nieokrzesany.

Wyrzutek społeczeństwa. Od tamtego czasu przebyłem długą drogę. Widziałem rzeczy, o jakich wam się nie śniło. Robiłem rzeczy, o jakich boicie się pomyśleć. Wy, dzicy i nieokrzesani ludzie, zagubieni w buszu fryzyder, kominków, kont bankowych, fruwaczy z automatyczną skrzynią biegów, cenzurek dzieci, wczasów na tropikalnej planetoidzie, spinek do krawata, mydlanych wideoper. Kiedy wy leżeliście z popołudniową informatką brzuchem do góry albo brzuchem do dołu dymaliście wasze koszarne małżonki, ja pokonywałem zawity szlak ludzkiej ewolucji na własną rękę. Widziałem rajskie polany, katastrofy transatlantyków, obozy człowieczej śmierci, monastyny i ryszotki. Ucywilizowałem się.

Wziąłem na barki garb kultury. Zaszczepiłem pod skórę wirusa cywilizacji. Już nie jestem wyrzutkiem społeczeństwa, panowie przysięgli! Teraz społeczeństwo jest moim wyrzutkiem!

Dlatego nie macie innego wyjścia, niż usmażyć mnie na waszym głupim elektrycznym urządzeniu! Wasze mózgi nie są w stanie wykrzesać z siebie cywilizowanego impulsu, są tylko w stanie wysłać

p0SOKA SMOKA 297

prymitywny dziki prąd. Czyńcie swą powinność, barbarzyńcy!

Mowa była pełna mocy i pewności siebie, ale do kresu przeznaczenia Deyerpoth dotarł dopiero w noc przed śmiercią. Przynajmniej tak uznał.

Przyśniła mu się wiewiórka. Miłe w dotyku, bezbronne stworzonko, któremu — będąc małą dziewczynką — odciął łapki i rozpruł brzuszek tylko po to, żeby zobaczyć, jak to jest, kiedy obcina się łapki i rozpruwa brzuszek. „Teraz już wiesz!” — powiedziała wiewiórka w swoim wiewiórczym języku, który we śnie Deyerpoth nieoczekiwanie zrozumiał.

Strażnik, który o świcie przyniósł mu ostatnie śniadanie, zastał go piszącego kredą po celi. Każdy centymetr powierzchni był pokryty napisami niczym wewnątrz egipskiego grobowca. Ścianę zmyto godzinę po egzekucji, nie interesując się jej treścią. Kiedy jednak wcześniej strażnik stawiał plastikową tacę na taborecie, wpadł mu w oko bon mot nabazgrany na siedzeniu. Starł go dłonią, nie czytając, ale zapamiętał, że było to coś o kwestii smoka. A może o kwestii smaku? Nie mógł sobie tego przypomnieć podczas późniejszych przesłuchań.

— Zło jest złe! — rzekł z zadumą skazaniec, siadając do śniadania. — Dobro jest dobre. Mylimy się przez całe życie. Nie ma wybranych, którzy otrzymują drugą szansę. To oszustwo bogów!

Strażnik nie zastanawiał się nad tymi słowami, ponieważ wszyscy więźniowie z cel śmierci mówili coś podobnego przed egzekucją. To znaczy coś, czego sens znali wyłącznie oni sami. W najlepszym razie.

Podał serwetkę, którą skazaniec zwykle wiązał do posiłków pod brodą.

— Nie szkodzi — zapewnił, poprawiając służbową czapkę. — Kucharka też się pomyliła. Wczoraj rzucił

ją mąż. Z tego wszystkiego posoliła ci jajecznicę trzy razy, skubana. Ale już nie zdążysz zepsuć sobie żołądka. Wcinaj na zdrowie!

Zamyślony Deyerpoth zjadł jajecznicę, nie czując jej smaku.

Dręczyła go daremność zaspokojonych pragnień. Bo jak to? Zoperował się. Posiadł

pleć, o jakiej zawsze marzył. Cokolwiek uczyni — bez problemu pozostanie facetem. Podczas sekcji zwłok zawsze wyjdzie na swoje. Skona śmiercią statystycznego bezlitosnego samca.

Wygrał.

Tylko po co? Dla jaj?

Z tych rozterek wzięło się jego niebywałe ostatnie życzenie. Zostać straconym w ślubnej sukni. Umrzeć jako kiczowata ikona z dziewiczych marzeń. Jako ostatni protest przeciwko światu, który poprzednie protesty starł na proch bez celu, bez emocji, mimochodem!

Kiedy godzinę później kat Rupert troczył Deyer—potha do elektrycznego krzesła, śnieżnobiałe falbanki plątały mu się pomiędzy palcami. Czuł się z tym idiotycznie, zwłaszcza że oczy skazańca patrzyły szyderczo. Ponadto w swoim błazeńskim stroju Deyerpoth nie wyglądał na kogoś, kto jest w stanie wygłosić sensowną maksymę u progu śmierci.

Klamry unieruchomiły ręce w koronkowych rękawiczkach do łokci, czubek głowy nakrywała blaszana czapeczka, spod której spływał welon, wydekoltowaną muskularną pierś krępował skórzany pas, rozstawione nogi w białych bucikach na obcasie przykuwały do krzesła zatrzaskowe obejmny.

Widzowie zza szklanej ściany obserwowali egzekucję z niesmakiem.

Nie czekając na oficjalny rozkaz, rozczarowany Rupert Jr. szarpnął czerwoną wajchę na ścianie. Od

pOSOKA SMOKA 299

dwóch lat za humanitarny i bezbolesny uważano prąd o napięciu 10 000 V. Skazaniec zadrgał pod jego uderzeniem, wyprężył się, z ciała uniósł się gęsty biały dym, jakby ślubna suknia rozpadała się na atomy

Wieczorem Rupert Jr. zapisał w czarnym laptopie ze srebrnymi okuciami własne ostatnie słowa przed rozpoczęciem nowego życia:

„Nie patrz na kodeksy, patrz na wymowę zdarzeń! Ten, którego niegodnie lekceważysz, daje znak! Widziałem, wierzyłem, skonałem! Wszyscy otrzymujemy drugą szansę, nie wolno jej przeoczyć! Oto ostatnie słowa Ruperta Jra, kata. Umieram, aby odrodzić się jako Wtajemniczony! Podejmę sztafetę Milczącego w Bieli, który odkrył mi przeznaczenie pośród kłębow elektrycznego dymu! Zaprawdę,

dobro jest czyste, czystka jest dobra!”

Wieszczę znaki robią na ludziach wrażenie trudne do opanowania.

Tydzień później nieuchwytny Smoczkowy Morderca rozpoczął kolejną turę zbrodni.

Pierwszej ofierze wydlubał oczy, odciął uszy, zaszył usta, a szyję owinał sędziowskim łańcuchem. Ze smoczka w ogóle zrezygnował. Zapalił tylko na zmasakrowanych zwłokach trociczkę wydzielającą zapach starych akt.

## **R ozdial trzydziesty dziewiąty**

*w którym pojawiają się tajemnicze łakocie, ale ich sekret szybko się odkrywa* Po kolacji lokaj zapowiedział deser. Na drewnianym nosidle czterech służących wtaszczyło tort. W Psiej Wólce nie bywało takich tortów, tym bardziej, że deserów tam nie jadano. Wystarczały zakąski. Ustawiony na posadzce, sięgał Wałkowi po pachy. Beżowe kolumnienki, rzeźbione kremowe dekoracje, ne—nufary z marcepana pływające po budyniowych stawach, cukrowe koniki na biegunach z waniliowych lasek, topór 2 czekolady nie mniejszy od prawdziwego, posypane cukrem—pudrem chrustowe zarośla u podstawy.

Tort stał w nich niczym deserowa świątynka.

Mistrzostwem wykonania przechodziła wszystko krasnoludzka głowa na czubku.

Naturalnej wielko—

pOSOKA SMOKA 301

gcj? z wisienką w zębach. Pyzate policzki lśniły od różowego lukru, hełm był z orzechowej masy, rogi na njin z karmelu. Walek wysmakował to, gdy odgryzł czubeczek.

Nabrał na pośliniony paluch lukru z policzka. Słodki, aż gębę wykrzywił! Ale smaczny! Walek sięgnął drugi raz. Wtedy z krasnoludzką głową zdarzyło się coś niesamowitego. Oczy wywróciły się białkami do góry, wisienka wystrzeliła w kąt jak z procy.

Rozległo się parsknięcie, na którego dźwięk smo—kobójca zdrętwiał z ulukrowanym palcem w gębie.

Tortowa budowla rozprysnęła się po ścianach. Ze środka wyskoczył krasnolud z owłosionym torsem, w portkach z owczej wełny, uwalany od stóp do głów waniliowym kremem.

Staął przed Wałkiem z rozłożonymi rękami i zawołał:

— Ta—damm!!!

Zamaszyście wyciągnął owłosioną prawicę. Walek uściśnął ją bez przekonania. Nie miał pewności, czy jednak nie wita się z tortem.



Krasnolud oblizał się, wykręcił rudą brodę z miodu, którym ufryzowano ją w pukle.

— Jestem Ferdynand von Haupcynder, zbroj—mistrz! — przedstawił się. —

Wytrzymałbym pod lukrem, gdybyś nie myźgał palcem! Łaskotki są dla mnie zabójcze!

— Mhm — potwierdził oględnie Walek.

— Tort jest prezentem dla ciebie od mojej manufaktury, smokobójco! — oznajmił

zbrojmistrz Haupcynder, zataczając ręką krąg. — Ściślej powiedziawszy, byłby prezentem, gdybym wytrzymał łaskotki!

W istocie z tortu pozostały kremowe bryzgi na posadzce i ceglanych ścianach. Jakby przeszła po nim Powietrzna trąba.

— Nie szkodzi — pocieszył Haupcynder. — Ze służ—

302 Zbigniew Wojnarowski

by, którą tu zatrudniają, połowa się aby objai A wziąć się za ucziwą robotę!

Posprzątać!

Podniósł z podłogi czekoladowy topór i zabrał się do lizania.

— Gdybyś mnie wspomógł od strony toporzyska smokobójco, wylizalibyśmy raz—

dwa! — zapewnił, wykonując zachęcające gesty językiem.

Głównie one obudziły w Wałku rezerwę. Jakieś nieprzystojne. Udając, że ich nie widzi, zgarniał z ubrania kremowe packi i oblizywał palec.

— Król cię przysłał, panie Haupcynder?

— Prywatnym. Nie uwierzysz, smokobójco, ile w łapę dałem, żeby mnie tu przemycili! Majątek! Nikt w grodzie tyle nie bierze, co rozpaskudzeni zamkowi! Zdaje im się, że wpuszczają do nieba, smer—dy ludzkie! Ale mam nadzieję odbić to sobie z twoim wsparciem! Wrzucę w koszty!

— Mhm, można — zgodził się Walek dla podtrzymania rozmowy.

Niezbyt pojmował. Gadał z krasnoludem po raz pierwszy w życiu.

Słyszał o nich, owszem, ale w Psiej Wólce nie bywali. Z miejscowych jeden stary Kuztel miał z nimi kontakty, bo zawędrował za młodu do pradawnej krasnoludzkiej stolicy.

Podobno z hobbicką wyprawą. Gadał, że okropny tam bałagan. Sama stolica mieściła się w kopalni, a to dziwne, bo nawet kopalnie w stolicach trudno spotkać, co dopiero odwrotnie.

Tamtejsze krasnoludy gnieździły się w grobach, nie licząc jednego, który żywy szedł z wyprawą. Znowu tamtejsze orki kompletnie nie były nauczone gościnności. Wprost chamskie. Hobbici mali, że mogli pić z krowiego cycka bez schylania. Istny cyrk!

Kusztel służył za młodu w królewskiej armii. Do ataku generalicja słała wojsko po paru kwaterkach siwuchy, żeby nie dezercerowało, więc Kusztel przy—

pOSOKA SMOKA 303

wykł— Mówiło się, że z hobbicką wyprawą też szedł nietrzeźwy. Czego to nie opowiadał po powrocie! ^Tiódł ich w ciemnościach czarodziej z różdżką świecąca jakoby na robaczki świętojańskie. Słyszeli straszliwe odgłosy — ni to siorbanie, ni kichanie. Fetor taki szedł korytarzami, że gdyby mieli ze sobą skowronki, zdechłyby. Kiedy tylko pochodnia zgasła, atakowały ich człekokształtne armie. Wielki stwór z płonącym biczem walczył

przeciwko czarodziejowi na podziemnym moście i zleciał w przepaść na pysk. Cuda niewidy!

Gdyby kto Kusztelowi uwierzył na słowo, już on by dawno został w Psiej Wólce sołtysem!

Hauptcynder, z zarostem uwalanym czekoladą, przerwał Wałkowi wspomnienia.

Zademonstrował wylizane częściowo spod polewy żeleźce w stylu dar—danian.

— Zaraz zobaczysz całe dzieło, smokobójco! — zapewnił, wywalając pracowicie język na brodę. — Nie ma drugiego takiego topora w krainie. Dam ci go darmo pod jednym warunkiem! Ubiwszy smoka, pojeździsz ze mną przez dwa lata, opowiadając po jarmarkach, żeś dokonał dzieła toporem Hauptcynde—ra. Ja poprowadzę na boku straganik, a po pracowitym dniu podliczymy zyski. Dziesięć procent twoje! Krasnoludy mają łeb do interesu, co?

— Smoka można ubić albo też nie — wykręcił się dyplomatycznie Walek.

— I o tym pomyślałem! Zbiorę popiół po tobie, topór położę pod szkłem na czerwonym suknie i w tym kształcie będę was woził! Z tabliczką: „Topór Haup—cyndera —

topór na wieki! Ty zginiesz, on przetrwa!” Za to ufunduję ci nagrobek! Nie z jakiegoś tam brązu, ale z prawdziwego szlifowanego granitu! Z posągiem. Większy niż ty! W zbroi płytowej, z toporem Hauptcyndera w prawicy!

304 Zbigniew Wojnarowski

— Dla mnie kują miecz — wyjaśnił Walek. Von Hauptcynder skrzywił się z niesmakiem.

— Widziałeś go?

— Jeszcze nie.

— Nie daj się zwieść! — Żartobliwie pogroził pal. cem. — Znam ich miecze! Też mi konkurencja!

Wetkną ci w garść byle tępego drąga, a powiedzą, że włos przetnie wzdłuż!

— Powiadają, że tępy — zapewnił go Walek.

Krasnolud popatrzył na niego spod oka. Topniejący orzechowy hełm zsuwał mu się na uszy, ale nie zauważał tego. Rogi z karmelu oklapły.

— Tak powiadają? Co chcą przez to powiedzieć?

— Że tępy — powtórzył Walek.

— Nie daj się zwieść, smokobójco! Kto o własnym mieczu rozpowiada niepytany, że tępy? O coś musi im chodzić, tylko o co?

— Chodzi o to... — rozpoczął Walek, lecz przerwał. Nie mógł zdradzić obcemu, że w interesie państwa leży, żeby smokobójca nie skrzywdził smoka.

— Nie główkuj! Własnym rozumem tego nie dojdiesz — powstrzymał go Haupcynder. — Sam jestem w tym interesie starym wygą, a zaskoczyłeś mnie! Tępy miecz...

Krasnoludzka rasa powszechnie para się kowalstwem, a jeszcze żaden nie powiedział, że wykuł tępy miecz. Niech się zastanowię... To mi klina zabili, smierdy ludzkie!

Usiadł przy stole i oparł głowę na dłoniach. Wpakował paluchy w orzechową masę, ale w desperacji tego nie zauważył. Orzechowo—kakaowy pot płynął mu po czole.

— Zapewniając reflektanta, że oferowany w podaży miecz jest ostrzejszy od brzytwy, maskuje się dla dobra transakcji, że w rzeczywistości jest tępszy niż kartoflana obierka. Proste jak drut, ani słowa!

## pOSOKA SMOKA 305

Weźmy teraz logiczną odwrotność! Jeżeli ktoś twierdzi, że jego miecz jest tępy, ukrywa, że w istocie jest On ostry. Jaki ma jednak zysk z ukrywania, że miecz jest ostry, kiedy w samej rzeczy powinien być ostry? Byłoby najlepiej dla interesów, gdybyśmy mogli oferować klientom same ostre miecze. Niewątpliwie w przyszłości to nastąpi. Ale w dzisiejszych trudnych dla interesów czasach, gdy już trafi się jeden ostry miecz bez ukrytych braków, dlaczego nie rzec wprost klientowi, że to dobry towar?... Czeka, czeka, smokobójco, mam to na końcu języka! Powiadają, powiadasz, że miecz jest tępy? Powiadając tak sądzą, że ty, przebiegle nie wierząc w ich zapewnienia, pomyślisz sobie, że jest na odwrót.

Czyli że naprawdę miecz jest ostry. Tymczasem on naprawdę jest tępy i to właśnie usiłują ukryć przed tobą! Oto rozwiązanie! Chcą ci wetknąć w ręce tępy miecz, smokobójco!

— Mówiłem, tępy — skinął głową Walek.

— Nie daj się zwieść! Nie taki tępy, jak powiadasz! Taki tępy, jak to odkryłem wbrew ich

machinacjom! Nie spotkałem się z podobną perfidią, a jestem w tym interesie starym wygą! Oto cała prawda! Oszuści! Ani się zastanawiaj! Bierz mój ostry topór!

— Kiedy cały się lepi — skrzywił się Walek, nie znajdując argumentu.

Hauptcynder spojrział krytycznym okiem na topór, wciąż mało widoczny spod czekoladowej powłoki.

— Na to zgoda — potwierdził. — Ale ja ci jego odpicuję do połysku!

Zerwał poszewkę z poduszki, popluł na żeleźce i przejechał po nim delikatną materią.

W tym momencie Walek zaprotestował. Jeszcze wstrętniejsze od lepkiego topora wydawało mu się spanie w lepkiem.

306 Zbigniew Wojnarowski

— Poczekam, aż mi wykują miecz!

Krasnolud zatrzymał się w pół ruchu z wściekłością w oku.

— Nie weźmiesz mojego topora na śmiertelny bój?! A dlaczego to?

— Dla niczego.

— Nie daj się zwieść! Zginiesz haniebnie z byle pogrzebaczem w garści! Wstydu się najesz! Wiesz, ile dałem w łapę, żeby ci pomóc? Dobra, niech będzie rok, nie dwa lata! Tyle trwa żałoba. Przejeździsz ze mną tylko żałobę po sobie, w czasie której i tak na rozrywki nie ma co liczyć. No jak? I to nie? Może nie szanujesz dzieła krasnoludzkich rąk?

Mniejszościami gardzisz? Żelazo ci nie po ludzku śmierdzi? Co?

— Jak to żelazo. Żelazem zalatuje. Hauptcynder z irytacją cisnął poszewkę na podłogę.

— O, po tym, coś powiedział, nawet nie proś! Nie dam topora w takie ręce! Tępa nietolerancja w końcu wylezie na jęzor! Olewam smokobójców! Lepsi od was gnębili moją rasę i nie wyszło! Wąchają kwiatki od korzonków! Kiedy zdechniesz pod smoczą łapą, ostry topór przyda się lepszemu od ciebie! Raz—dwa trzeba mi go wylizać, by zaznać smaku sprawiedliwości. Wyznam ci szczerze, że wolę wytropić ciemnogród i wylać, niż użerać się z toporami! Wypinam się na ciebie, smokobójco! I za tę możliwość z serca ci składam dzięki!

Wetknął topór za oblepiony lukrem pas. Strzepnął waniliowy krem z owłosionej piersi.

— Nie sierdź się, mości Hauptcynder — uspokoił go Walek. — Ja lubię krasnoludy!

Aby nie lubię lepiących się krasnoludów!

— Smerda ludzka! — skontrował zimno Hauptcynder, trzaskając drzwiami.

Z powały jak ptasie gówienka odpadły pecyny kremu.

## **JL m/ozdział czterdziesty**

*w którym występują wampiry i krowy*

W garb Tabrysa wbiły się paznokcie podobne do szponów. Zimne kobiece członki oplotły jego ciało jak powój. W obwisły podbródek kłuły go łapczywe kły wampirzycy, usiłującej wgryźć się w skórę. Słyszał podniecone sapanie, owiewała go cmentarna woń pomieszana z zamorską perfumą.

— Nie mogę znaleźć szyi, milordzie! — usłyszał tuż przy uchu upiorny szept.

— Skrzesać ognia!

W rękach wampirów posłusznie zapłonęły pochodnie.

Wokół Tabrysa, na wiotkim ciele z talią osy i szyją łabędzia, tańczyła damska twarz pokryta trupiobladym makijażem.

— Na Borysa Godunowa, milordzie! On nie ma szyi!

308 Zbigniew Wojnarowski

— Och! Och! *Fi donc!* — rozległy się wokół zdegustowane okrzyki.

Istotnie, Tabrys miał obecnie tylko garb, kilka podbródków, krzywy obojczyk dotykający ucha. Na szyję nie było już miejsca.

— Brzydę się, milordzie! — Odsunęła się od niego wampirzyca, odymając sine wargi.

— Czego?

— Nie wiem! To coś jakby wbrew naturze!

— Ssij! — wezwał stanowczo ten sam głos. W świetle pochodni Tabrys wyraźnie widział mówiącego. Mężczyzna w koronkowym żabocie, z przepaską na oku, na której złotym kordonkiem wyhaftowano: EVERYBODY LOVES SOMEBODY SOMETIMES. —

Nie grymaś! Z ramienia ssij! Tam też ma krew, a nie siki Borysa Godunowa! Wystawiasz nas na pośmiewisko, milady! Nie zniosę nie żyć w pohańbieniu!... Cicho!

Ostatnie słowo wyrzekł, unosząc w górę palec z grubym sygnetem.

Niedaleko odezwało się muczenie jałówki. Dziwne, od dawna powinna być zamknięta w obórcie. Przekrwione wampirze oczy zwróciły się z ciekawością w tamtą stronę. Krowa stała w ciemnościach przy skałce, smętnie potrząsając dzwonkiem u podgardla Tabrys usłyszał paniczne wrzaski i tupoty. Kiedy odwrócił głowę, wampiry jakby wymiotło. W

trawie zostały pogubione w popłochu peruki.

Krowa siejąca grozę wśród wampirów to tak niecodzienne zjawisko, że śpiewakowi zapało dech. Nawet cudowne ocalenie za jej sprawą zdawało mu się nie tak fantastyczne.

Wbił w ciemność swe kocie oczy i stwierdził, że jałówka jak jałówka. Całkiem zwyczajna Mućka czy inna Krasula.

— Phi, phi, phi! — zaświstał w zadumie.

p0SOKA SMOKA 309

Ale jak na komendę Mućka przestała być zwyczajna—

Zapłonęła żywym ogniem. Uniosła się ku górze, rycząc przeraźliwie. Ponad głową Tabrysa przefrunęła na kształt czworonogiej komety z ogonem ognia. Wiódł za nią przerażonym wzrokiem. Odlatywała, jakby zasysała ją potworna próżnia.

Wysoko w górze kłęb ognia oświetlił makabryczny róg, pod którym gorzały wielkie ślepia na wpół zasunięte ciężkimi powiekami. Płomienie wydobyły z ciemności apokaliptyczną paszczę. Zaśnił rząd monstualnych zębów, blask rozjaśnił wilgotne wnętrza nozdrzy, wiszących w górze jak dwa księżycy. Upieczona jałówka zniknęła do wtóru ogłuszającego kłapnięcia smoczych szczęk. Jakby pochłonęła ją otchłań czarnego nieba.

Jakby unicestwiło ją dotknięcie czarodziejskiej różdżki.

Zanim Tabrys ochłonął, nad innym splachciem łąki plunął ogniem drugi smoczy pysk.

Potężny wdech wyssał spośród wapiennych skałek drugą płonąca krowę.

Pozbawione dozoru, oszalałe ze strachu stado ruszyło na Tabrysa. W świetle gwiazd kłębiło się morze rogów, łbów, grzbietów, rozpaczliwie dzwoniły dzwonki na szyjach, tętniły kopyta, tłukły się wymiona. W hałasie nie sposób byłoby usłyszeć opiekuńczego duszka. Ale Tabrys nie miał wątpliwości, co wrzeszczy. Biada! Piekło na ziemi! Tak to w istocie wyglądało, gdy z galopującej krowiej gromady co rusz wyfruwał rogaty zewłok ciągnący za sobą płomienie. To potęgowało chaos. Ziemia trzęsła się pod nogami. Powietrze ryczało.

Uciekający na skałki Tabrys spadł nagle na krowi grzbiet. Uczepił się kurczowo rogów i dał się ponieść nie wiadomo dokąd.

310 Zbigniew Wojnarowski

Owładnięte paniką stado gnało przez noc na oślep

Wytrząsany na grzbiecie, Tabrys zerkał ku górze — czy nocnego nieba nie zaćmią łopoczące skrzydła czy spod chmur nie tryśnie snop ognia? Ale nic się nie działo — z wyjątkiem oszalałego pędu, kurzu dzikich porykiwań, tętentu.

Rogi stały się śliskie od potu w jego dłoniach. Poobijany tyłek czuł w głowie. Gdyby dostał się pod kopyta — po nim!

Jak burza minęli uśpioną wioskę, odprowadzani wściekłym jazgotem psów.

Przebyli rzeczny bród, wzbijając fontanny wody.

Na zamkowych pastwiskach stado rozproszyło się. Krowa, na której siedział Tabrys, popędziła w stronę zamczyska. Ku zwieńczonej ostrokołem fosie.

— Prrr! Odsie! Nazad! Wista!

Szarpiąc za rogi, Tabrys wywrzeszczał w przerażeniu wszystkie komendy, którymi wieśniacy porozumiewali się ze swoimi końmi. Ale nie dało się zaprzeczyć, że krowa nie jest koniem.

Chlapiąc błotem przelecieli przez mroczny tunel, który mógł być polnym jarem albo uliczką miasteczka. U jego wylotu gwiazdy nad głową Tabrysa znikły. Domyślił się, że przesłoniła je pnąca się w niebo bryła zamczyska. Rozedrgany, miotany w górę i w dół świat stał się nierozpoznawalny dla jego kocich oczu.

Zanim zaryzykował upadek z galopującej krowy, dostrzegł czerwone skaczące punkciki. Ogniska strażników rozpalone na murach. Z mroku wychynał wzdłuż fosy rząd zaostzonych pali.

W ostatnim momencie rozpędzona krowa wykonała brawurowy skok.

Bez wątpienia nie była koniem.

Posoka zbryzgała twarz Tabrysa, jakby chluśnięto na niego z miski. Przekoziołkował przez krowi i wła—

pOSOKA SMOKA 311

sny grzbiet. Potoczył się po stromym zboczu. Nabita pa pale Mućka tryskała w czarne niebo krwią.

Garbate ciało toczyło się całkiem gładko. Kiedy zatrzymało się na dnie fosy, Tabrys odczuwał tylko zawroty głowy. Nie licząc bólu tyłka poobijanego krowim galopem.

Uniósł się na tyle, żeby wystawić uszy ponad trawę. Zza zakrętu fosy dobiegał go rzewny śpiew. Jakże znajomy!

Na czworakach Tabrys powędrował w tamtą stronę.

### ***PIOSENKA O TĘSKNOCIE***

*Mój birkucie, sokoliku, miły chłopcze,*

*Czemu zwodzisz moje serce na manowce!*

*Zanim wzbijesz się pod chmury,*

*Uroń lotne piórko z góry,*

*Żebym miała czym przepędzać mory nocne.*

*Mój birkucie, sokoliku, chłopcze miły, Nim porzucisz, daj pokochać z całej siły. Gdy w błękicie ślad twój stracę, Niech ukoją mnie w rozpacz Białe sny, co w czarne noce się ziściły.*

*Sokoliku, miły chłopcze, mój birkucie,*

*Czemu pragniesz przed miłością moją uciec?*

*Czemu za podniebne drogi,*

*Za szum piór, za lot wysoki —*

*Brylant łez mych i fałszywy grosz współczucia?*

*Miły chłopcze, mój birkucie, sokoliku,*

*Sławę twą rozkradną ptaki ludzkich krzyków.*

*Dla niej złamiesz słowo dane*

*I nie poznasz mnie, kochany,*

*Gdy uniosą mnie ze sobą gęsi dzikie.*

Tabrys nie rozpoznał głosu, ale tę piosnkę ułożył Przed laty dla księżnej Titanii, zmiękczej nia serce kochanka.

312 Zbigniew Wojnarowski

Na dnie fosy stała smukła dziewczyna z kagankiem w dłoni, w haftowanym serdaku odsłaniającym ujmujący dekolt. Śpiewała ku zamkowym blankom. Tabrys wychylił się zza przypory rzucającej głęboki cień. Wysoko nad głową śpiewaczki okno komnaty rozjaśniała mdła poświata dogasającego kominka.

Dziewczyna przestała śpiewać, westchnęła i zauważyła Tabrysa.

— Oj, matulu! Czyś jest zębatym trollem, co nocami zagryza zakochanych?

— Nie obawiaj się, o, piękna, jestem człowiekiem — zapewnił dwornie Tabrys. —

Moje zęby tylko wyglądają groźnie. Ledwie nimi chleb gryzę.



— A skąd na tobie tyle krwi?

— To krowia krew, nie płoń się. Dziewczyna nie pozbyła się bezzasadnych podejrzeń od razu.

— Oj, matulu! Jesteś więc krową? — zaniepokoiła się.

— Jestem sławnym autorem pieśni, którą śpiewałaś. Udała mi się, co? Zwłaszcza melodia! Może tylko ostatni wers trzeciej strofy jest trudny do wyciągnięcia, nie uważasz?

Często ją śpiewasz? — Poczekał chwilę i wobec braku odpowiedzi dorzucił: — A kim—żeś, o, piękna?

Przy pozaliterackim pytaniu dziewczyna odblokowała się psychicznie.

— Dworką Jagłą. — Dygnęła. — W tamtym oknie mieszka mój umiłowany. To straszny smokobójca. Nie pozwoli mnie skrzywdzić, pamiętaj, kimkolwiek jesteś!

— Znam go — zapewnił z radością Tabrys. — Razem popadliśmy w jasyr! Nie opowiadał ci o tym? Nic tak nie łączy ludzi jak wspólna niedola! Poza pOSOKA SMOKA 313

tym twój smokobójca to wybitna osobowość, jeśli mam być szczery! — skłamał.

Tyle wystarczyło Jagłę dla zawiązania nici porozumienia. Tajemnymi drzwiczkami na dnie fosy wprowadziła Tabrysa do zamku. Pozwoliła przenocować w swojej służbówce na opuszczonym łóżku Mar—fy Gwoli obyczajności rozstawiła tylko parawan pomiędzy poślaniami.

W nocy nie spała dobrze. Jak zwykle tęskniła za Wałkiem. Przewracała się z boku na bok, zahaczając o szorstką pościel sterczącymi sutkami.

Tabrys także nie spał. Bezgłośnie łkał w poduszkę.

Krasa Jagły poraziła go. A gdy ujrzał jej cień na parawanie, zwlekający z siebie cienie halek... Spotykał w życiu większe ślicznotki, to prawda, ale każdą mógł wtedy zaciągnąć do łóżka. Jak zaś udowodnić tej, że ma się gorące dwadzieścia lat i gdzieś jest się nadal dorodnym facetem?

Nad ranem dręcząca go chuć zamieniła się w obsesyjną myśl. Są przecież różne sposoby na kobiety, mimo że dotychczas poprzestawał na najprostszym. A gdyby podbił ją niezwykłym bohaterstwem? Gdyby tak on ukatrupił smoka, dajmy na to? W czym jest gorszy od byle wiejskiego smokobójcy? Zabije i rozgłosi swój czyn na cały świat w epickim poemacie! Dla przyzwoitości — pod pseudonimem.

A jeśli zginie? No to co?! To jeszcze lepiej! — uznał w desperacji. Śmierć jest najczulszą kochanką garbusów!

„R

**JLwozdział** czterdziesty pierwszy

*czyli pojedynek,*

*bo już na niego najwyższa pora*

Ledwie Walek przyłożył głowę do poduszki, szarpnięto go za ramię. Za oknem białe dzień. Nad łóżkiem giął się w ukłonie lokaj, gdyż król zapraszał smokobójcę na egzekucję.

Trochę dworskiej rozrywki w smętny jesienny poranek.

Na zamkowym dziedzińcu ustawiono szafot. Herszt zbójców klęczał na nim ze związanymi rękami. Obok stał pokancerowany pieńek z obręczą, a kat w czerwonym kapturze opierał się na toporzysku. Tworzyli pospołu obiecującą kompozycję.

Walka powitały oklaski tłumu i szydercze okrzyki: „Całuj smoka w rzyć!” Roilo się od widzów w aksamitach, togach, sukniach z plisowanymi kołnierzykami, diademach, kamizelach z aplikacjami, pielgrzymich burkach, pelerynach, czaplich piórach, urzędowych łańcuchach.

POSOKA SMOKA 315

pacholik w liberii szepnął Wałkowi, że król życzy sobie go widzieć.

Przepchali się przez ciżbę zalegającą kruzganki. Śa miejscu oczekiwał nie król, lecz królewski czarodziej Verhun. Ubrany w powłóczystą szatę, z siwą brodą po pas — dzierżył w dłoni wysoką laskę z rękojeścią w formie węża gryzącego brylant. Szare oczy otaksowały Walka zimno, cienkie usta wygięły się w nieszczerym uśmiechu.

— Tyś to, smokobójco? — spytał mag z nonszalancją. — Posłuchaj nowin!

Na szafot wspiął się prawnik Dukakis ze zwojem pergaminu w dłoniach.

— Zebrani! — odczytał. — Jesteśmy tu pospołu, gdyż szanujemy egzekucje za ich moralny wydzźwięk. Lubimy egzekucje, rozrywając się przy nich w aurze prawomyślności.

Podsumowano winy klęczącego przed wami obwiesia. Pokalał każdy paragraf! Nie starczy sędziów na osądzenie jego zbrodni, wokandy pękają od spraw! Zgłoszono edykt, by wyrok dziada mógł odsiadywać wnuk, inaczej nie nadażymy! Ale czy z tej przyczyny odmówimy sprawiedliwości nędznikowi? Zróbmy mu uczciwy proces i utnijmy mu wszawy łeb! Od razu!

Zawleczmy go przed sąd boży! Kto stanie w imię boże przeciw zbójcy?

Zanim Walek się spostrzegł, jego ręka wystrzeliła ponad głowę. Nie potrafił jej opuścić. Spojrzał na stojącego obok czarodzieja i domyślił się, że to jego sprawka.

Dziedziniec huczał od braw i okrzyków: „Całuj zbója w rzyć!”

— Lud przekona się, coś wart, smokobójco! — orzekł król ze swego miejsca.

— Miecz jeszcze nie wykuty — przypomniał Walek.

— Wielki miecz pasuje na wielkiego smoka. Zbójca

316

Zbigniew Wojnarowski

mniejszy! To w proporcji tak, jakbyś na zbójcę p0\_ szedł z nożykiem. Ot, takim, dajmy na to!

Stojący za królem dworzanin podał mu na czerwonej poduszce z frędzlami nożyk do obierania jabłek. Walek poznał, że sprawę ukartowano.

Nie pojmował tylko, z jakiej przyczyny zastawili na niego pułapkę. Pewnie król uległ podszeptom czarodzieja. Ale co ma do smokobójcy czarodziej?

— Z nożykiem na pięści jak bochny? — jęknął.

— Słusznie! — zgodził się Verhun. — Mężny z ciebie i uczciwy człowiek!

Wychylił się za balustradę krużganku, żeby krzyknąć do zebranych:

— Nieulękły smokobójca pyta, jak to? On z wielkim nożem, tamten z gołymi pięściami tylko? Kacie, rozetnij więzy skazańca i daj mu swój topór.

— Topór mu jeszcze!?! — wrzasnął ze zgrozą Walek.

— Topór mu jeszcze, topór! — podchwycił tłum, wietrzący dobrą zabawę. — Topór mu, zbroję i całuj go w rzyć!

Hufnal machał do Walka, unosząc kufel. Królowna wachlowała się koronkową chusteczką. W tłumie mignął medyk. Na migi pokazał Wałkowi poprzeczne cięcie na czaszce i zaraz zatkał usta dłonią, ostrzegając, że po takiej ranie występują krwawe torsje.

Walka, kierującego się z nożykiem do schodów, czarodziej przytrzymał za rękaw.

— Tędy! — Wskazał barierkę krużganku. — Skacz! To robi wrażenie!

Na szafocie herszt rozcierał dłonie po więzach, oparłszy topór o krzepkie udo. Od czasu do czasu pokrzykiwał do Walka raźnie, choć bez sensu.

Dzielnice wyłożony był śliskimi po deszczu kamieniami, które pachołkowie posypywali popiołem, żeby stopy miały oparcie.

pOSOKA SMOKA 317

— Sprawdzisz się! Skoro tu połamiesz nogi, nie pójdziesz na smoka!

— Odwrotnie! — zaprotestował król. — Jeśli nie pójdzie na smoka, połamię mu się nogi.

— Czy to ważne, *mon cheri*? — uspokoiła go królowa. — Niech już walczy! Zacznie ci burczeć w brzuchu na drugie śniadanie i uroczystość popsujesz fizjologią.

— Skacz mu w rzyć, skacz mu w rzyć! — entuzjazmował się tłum na dziedzińcu.

Walek przełożył nogę przez zdobioną w cyfrę balustradę, przeżegnał się w duchu.

Opuściwszy się ostrożnie na rękach, zeskoczył. Zapiekł go podeszwy.

Herszt hycnął zgrabnie z szafotu i czekał z toporem.

— Co się odwlecze, to nie uciecze! — przypomniał. — Słowa nie cofam! Wybierz sobie śmierć, tyle że wybór masz teraz mniejszy. Łeb ci uciąć razem z barkiem, flaki rozchlastać, rozplatać cię od czaszki do pitaszki? Decyduj! Polubiłem cię, smokobójco!

— To daj mi umrzeć ze starości — zachęcił go Walek. — Tak najlepiej lubię.

— Za zdrowo wyglądasz! — wyjaśnił herszt, popluwając w dłonie. — Zdaj się na mój gust!

Zamachnął się potężnie. Ostrze topora o włos minęło głowę Walka, odłupując róg szafotu. Kat ledwie uskoczył z czubkami ciżm.

Herszt wziął następny zamach, zgarnawszy z odzienia drzazgi. Tym razem toporzysko pociągnęło go za sobą w dół. Z dziabniętego bruku trysnął snop iskier.

— Uchylaj się, świński ryju! Toć biorę poprawkę na twój unik!

Walek zamierzał się uchylać, ale paraliżowała go

318 Zbigniew Wojnarowski

furia ciosu. Ściskając w spoczonej dłoni nożyk, odstępował, gdy herszt z pasją wyrывał ostrze z tego w czym utknęło.

— Łudzisz się, że mnie wykończysz swoją głupią taktyką, świński ryju?! — zawył z irytacją tamten.

Wygramolił się spod szafotu, gdzie wpadł przez własnoręcznie wyrąbaną dziurę.

— Zabiję cię, jak mi nie dasz spokoju! — wychrypiał bez przekonania Walek.

Choć się nie zanosilo na spełnienie groźby, dostał oklaski za optymizm.

Wędrował tyłem wokół dziedzińca, ogłuszony wyciem publiki na krużgankach.

O włos od jego ciała topór grzął w granitowych przyporach, w metalowych klamrach na pochodnie,

w zaskoczonych widzach, w rozgdakanych kurach, które umykały spod nóg.

Iskry spadały zewsząd jak deszcz. Zajadłość herszta nie wpływała dobrze na jego celność.

Jednym ciosem zwałił maszty królewskich chorągwi, które łopotały pod północną ścianą. Zaplątał się w ciężkie, nasiąkłe deszczem płótna.

— Już nie wybieraj! — zawył wściekle spod kłębiących się materii. — Łeb ci utnę, flaki wypruję, twoją wątrobę zeżrę z chianti, wszystko ci zrobię, świński ryju!

Zdesperowany Walek bez namysłu przyklęknął obok ruszających się w rytm tych wrzasków chorągwi. Wbił w nie nożyk po rękojeść. Gdy wyciągnął ostrze, skapywały z niego rubinowe kropelki krwi. Wściekły ryk zbójcy zamienił się w zdziwiony pomruk. Walek dźgnął dwa razy w odległych od siebie miejscach, ponieważ nie widział, gdzie wypada która część herszta.

POSOKA SMOKA 319

Spod fałd wysunęło się stylisko, stuknęło o bruk. Za nim wypełzła zygzakiem strużka krwi.

Walek podniósł upuszczony topór. Uderzył znad głowy, pomagając sobie gardłowym krzykiem. Żelazo wbiło się w kłębowisko sztandarów, toporzysko zastygło pochyło.

Wrzawa: „Wbij mu w rzyć, wbij mu w rzyć!” tak huczała, że uderzenie zdało się bezgłośnie.

Gdy Walek odwrócił się, dysząc, stał przed nim Verhun z wyższą od siebie wężową laską. Długo patrzył z zimną niechęcią, zanim podniósł do góry wskazujący palec.

— Obmyj się, doprowadź do porządku, smokobój—co! — rzekł surowo. — Kiedy oddzwonią południe, czekam na ciebie. Nie skorzystałeś z okazji na łatwą śmierć, szkoda!

Tam, gdzie celował jego palec, wznosiła się baszta czarnoksiężnika.

## **JL wozdział czterdziesty drugi**

*w którym poznajemy wreszcie*

*drogę naukową*

*sławnego profesora Gusjewa*

Naukowa droga profesora Atana Gusjewa zamknęła się pomiędzy Pierwszym Prawem Temporalnym, które ogłosił jako zdolny osiemnastoletni doktorant Katedry Mitu, a Drugim Prawem Temporalnym, opracowanym po siedemdziesięciosześcioletniej pracy badawczej.

Pierwsze głosiło, że: „Wszystko jest możliwe”, drugie zaś, że: „Nic nie jest wykluczone”. U

podłóża licznych polemik z genialnym naukowcem, starających się sprowadzić różnicę do nieistotnej

subtelności językowej, leżał fundamentalny brak zrozumienia. Całe życie zeszło Gusjewowi na teoretyczne rozpracowanie owego niuansu w 127 tomach rozpraw, w 22 467

artykułach rozsianych po periodykach, w niezliczonej ilości wykładów, wydań zbio—

pOSOKA SMOKA 321

r0wych, koleżeńskich pogawędek do białego rana nad optymistycznym kieliszeczkiem becherowki.

Trzy lata po jego tragicznym zejściu w powszechnie znanych okolicznościach rozpoczął się w dziejach świata dwustuletni okres, który historia nazwała później:

„Polowaniem na czarowników”. O nauce zapomniano zupełnie. Nic dziwnego, że praktyczne działanie krzywej Gusjewa po raz pierwszy ujrzano dopiero w pewien pochmurny piątek 264

lata po śmierci uczonego.

Na naocznych świadkach zrobiło to piorunujące wrażenie.

Kat Rupert Jr. przez siedem dni cierpiał na wstrzymanie moczu, od kiedy ujrzął

znikające z krzesła elektrycznego ciało Deyerpotha. Skutki psychiczne okazały się zresztą jeszcze dotkliwsze.

Sam Deyerpoth przez pewien czas był przekonany, że najzwyczajniej umarł na krześle elektrycznym zgodnie z wyrokiem XXIII Sądu Elementarnego po dwukrotnej apelacji.

Psychodeliczna przestrzeń, jaka otworzyła się przed nim po bolesnym uderzeniu prądu, nie miała nic wspólnego z czymkolwiek, czego doświadczył podczas burzliwego życia.

Miała natomiast wiele wspólnego z popularnym wyobrażeniem zaświatów.

Neonowe smugi napływały z nicości, na nieistniejącym horyzoncie obracały się koncentryczne koła o barwach tęczy, padały pastelowe deszcze. Pośród feerii barw nienaruszone ciało skazańca obracało się w rytmie muzyki, która wydawała się dalekim echem *Funeralnego walca* Pajego Paniego. Siła ciężenia przestała obowiązywać. Falbanki i koronki ślubnej sukni rozwiewały się, jakby w tej niewyobrażalnej próżni wiał równie niewyobrażalny wiatr. Działo się wszystko, co nie mogło się dziać. Smycz—

322 Zbigniew Wojnarowski

kowe pasażerki modulowały częstotliwości kolorów z dołu, spod wiszących w pustce stóp w białych bucikach na obcasie, napływały zwierciadlane refleksy. Dźwięki świeciły, barwy wydawały ton jak kamerton—ny. Majestatycznie przefrunęła zielona sowa, żywy symbol mądrości.

Koziółkujący w przestrzeni czarny monolit wydawał się bramą do zaświatów.

W gęstej od symboliki pustce Deyerpoth wyciągnął niemrawo dłoń. Jak na zwolnionych zdjęciach filmowych. Dotknął szklistej powierzchni o bazaltowym połysku.

Prąd, który tym razem przeszył jego trzewia, na moment odebrał mu świadomość.

Odniosł wrażenie, że jest carycą Katarzyną i gra z postawnym gwardzistą w rozbieranego pokera. Było to chwilowe, nie zapamiętał nawet, czy miał na rękę dwa asy i trzy ósemki, czy odwrotnie. Natychmiast ocknął się w wodospadzie barw. Spadał razem z nimi w przestrzeń, która wydawała się kamienistą pustynią. Głazy w dole rzucały purpurowe cienie.

Niebo zasnuło kamienne sklepienie wielkiej jaskini.

Kurz opadał wolno i migotliwie.

Deyerpoth sięgnął dłonią za plecy, gdzie twardy przedmiot uwierał go w okolicach lewej nerki. To cielesne doznanie dawało nadzieję, że wciąż żyje. Nie wiadomo, gdzie — ale żyje. Umarli nie cierpią na nerki.

W rękę trzymał gliniany puchar sadzony rubinami.

Była cisza i w tej ciszy rozległy się uroczyste kroki. Z rumowiska wynurzył się siwobrody barczysty mężczyzna w sfałdowanym płaszczu, z kolczugą pod białym habitem.

Czerwony krzyż kreślił jego pierś, garnczkowy hełm tkwił pod pachą. W dłoni brodacz pOSOKA SMOKA 323

trzymał na podstawce filigranową filiżankę z porcelany malowanej w kwiaty wiśni. \_

Żyjemy? — zapytał go Deyerpoth.

— Ty na pewno, kochaneczku! — wymamrotał starzec, popijając, a Deyerpotha zaleciał charakterystyczny aromat herbaty madras. — Gratuluję! W końcu musiało się komuś udać, skoro tłumy rycerzy i archeologów nurkowały w każdą dziurę aż po zelówki! No co tak się gapisz? Znalazłeś Świętego Graala, kochaneczku! Gratuluję!

Stali naprzeciw siebie w długich białych szatach, a czarny monolit sunął skosem ponad spękany dnem jaskini. Sprawiał wrażenie, jakby ukradkiem się oddalał, ale może wzrok ulegał złudzeniu perspektywy. Deyerpoth zerknął przelotnie na puchar i skinął

starcowi głową w podzięce. Zdobycz była nader zaszczytna, pomimo że przypadkowa.

Z relikwią w garści ruszył z kopyta w stronę prostopadłościanu.

Krzyżowiec odstawił filiżankę na skalny blok, w jego dłoni pojawiło się coś, co wyglądało na świetlisty bicz. Trzasnął nim nad głową. Wytracony Deyerpo—thowi Graal pofrunął prosto w ręce tamtego.

— Nie tak prędko, kochaneczku! Najpierw odpowiesz na jedno pytanko. Rozwiążesz jedną malutką zagadeczkę byciku! Wtedy bierz go sobie w czorty!

Monolit zawirował wokół osi, bucząc ostrzegawczo.

— Przy innej okazji w takim razie! — zrezygnował bez namysłu Deyerpoth.

Za szybko przyłożył rękę do płyty, zbity z tropu zszokowaną miną starego strażnika.

Monolit wydał jęk podobny do śpiewu kryształu. Oczy Deyerpotha przesłoniła gęsta mgła, zalegające w uszach ciśnienie ogłuszyło go i dziwaczny portal wyrzucił go z taką siłą, że padł na kolana.

324 Zbigniew Wojnarowski

Przez moment sądził, że nadal tkwi we mgle. Biel ćmiła oczy.

Ale był na lodowej pustyni. Dygotał z zimna w lekkiej sukni.

Miejsce różniło się zasadniczo od poprzednich w które cisnęła go klątwa Teleportasa

— albowiem wydawało się znajome. Nie umiał stwierdzić, co budzi w nim wrażenie *deja vul* Ulotny zapach? Rysunek wzgórz na horyzoncie? Bieg dwóch bliźniaczych rzek, które ujrzał, gdy dotarł do skraju płaskowyżu? Czy też może jego atawistyczna kobieca intuicja widzi coś, czego nie widzą oczy?

Napotykał wytopione w lodzie bajorka, w których stała na dnie warstewka parującej wody. Ogrzewał się w jej ciepłe, pnąc się po śnieżnej pochyłości. Zamierzał z góry wypatrzeć zbawczy monolit, który zniknął jak fatamorgana. Ale dostrzegł stamtąd jedynie, że jeziorka są śladami stóp. Wytopiły się od ciepła podeszew, które niosły niewiadomego wielkoluda.

A potem ujrzał na zboczu wejście do pieczary —i spadły klapki z oczu jego pamięci.

Tb był rajski ogród. Umarły ogród.

Tutaj dawno temu, uciekając z tonącego transatlantyku, spotkał mężczyznę z liściem na przyrodzeniu i poślubił go. Dał mu dzieci, rozkosz oraz setki małżeńskich awantur.

Najwidoczniej idylliczną okolicę nawiedziły od tamtego czasu kataklizmy. Skuły ją wiecznym lodem, zasypały śniegiem, zmieniły w pustynię, po której nie błąkał się już szczęśliwy tubylec.

Jaskrawe światło dnia zaglądało do pieczary, malując głębokie cienie.

Męski szkielet siedział w skalnej niszy z głową złamaną na ramię. Jakby czekał ufnie na ten nie—



prawdopodobny powrót, który się dokonał. Zetlała na głowie kępka włosów ocaliła w sobie odcień znajomego koloru. W skamieniały przegub wrosła kamienna bransoleta z prymitywnym rysunkiem zebry. Mieli takie dwie, pamiątkowe. Swoją Deyerpoth zastawił w azjatyckim lombardzie na którymś etapie tułaczki.

O kolanową rzepkę siedzącego opierał się z czułością rogaty łeb kozy. Sfilcowane kłaczki futrzanej obróżki były identyczne z tymi na stelażu bambusowego parasola. Na ramieniu mężczyzny, wczepiony pazurami w obojczyk, wiernie trwał szkielet papugi. Temu przed wiekami odpadł łebek z haczykowatym dziobem.

Deyerpoth podniósł go z ziemi i wsunął za dekolt, jakby miał nadzieję, że ciepło jego serca ogrzeje ptasią czaszkę, a razem z nią ożywi tragiczną grupę.

Ale nic takiego się nie stało, bo dzieje dobiegły kresu. Losy wróciły do źródła. Słońce gasło. Nie istniało przedtem i potem. Nie istniał czarny monolit. Nic nie istniało.

Z jednym wyjątkiem.

W oparach unoszących się ze śniegu majaczyła postać wielka jak góra. Ciepło jej ciała czuło się na skórze, mimo to zdawała się być z dymu i wiatru. Nieuchwytna, a przytłaczająca.

Zadudniła kulakami w mocarnie sklepioną pierś i z góry stoczył się grzmot.

Deyerpoth osunął się na kolana. Płakał po raz pierwszy w życiu. Jego myśli Wzleciały jak ptaki, a byty przedwiecznymi myślami wszystkich ludzi.

Że gdyby... Gdyby dano mu zacząć jeszcze raz...

Z góry spłynął odurzający oddech. Miał zapach fiołków i lekkość powietrza po burzy.

326 Zbigniew Wojnarowski

— Diabelniem łatwowierny, kurczę blade, aliści niech się tak stanie!

Coś boleśnie uderzyło Deyerpotha w plecy.

Leżał na kamiennych schodach zamkowej sutereny w stołecznym mieście Foksterier.

Pachniało tu gotowaną kapustą i mydlinami.

Zza zakrętu wyskoczył giermek zwabiony hałasem. Dobył krótki mieczyk.

Wystraszony, dopadł śnieżnobiałej sylwetki, toczącej się po stopniach z furkotem falbanek.

Przydusił Deyerpotha kolanem, przyłożył mu ostrze do piersi.

Trzasnął rozgnieciony papuzi szkielecik.

— Bywaj, do mnie! — ryknął giermek. — Nie wiem, co za bladź! Biała dama czy kto taki?

Deyerpoth rzutem ciała strącił go z siebie, wyszarpnął kusy mieczyk z wykręconej na plecy ręki. Siedząc na giermku, zakneblował mu dłonią usta. Przyłożył ostrze do grdyki i dał mu oczami znak, żeby nie wzywał pomocy.

— W imię czego stajesz mi na drodze? — szepnął z wyrzutem. — Zwariowałeś?

Przybyłem, by czynić dobro!

Na wszelki wypadek nakrył twarz giermka i swoją dłoń skrajem wierzchniej szaty tamtego. Pchnął mieczyk pod jej osłoną, żeby nie pochłapać krwią śnieżnobiałej sukni.

# trakt

*a w nim*

*ostatnie spotkanie z wiedźmami*

DESDEMONA: Poznałam na złocie niesamowitego faceta, dziewczyny. Ciarki mnie przechodzą na samą myśl.

JULIA: A co to ma do rzeczy? Nie powiesz, że masz schadzkę o tej porze!

DESDEMONA: Kto wie... W najgorszym razie zrobię sobie kawy czarnej jak noc, wezmę magiczną różdżkę, położę się na kanapie z jego fotką mentalną i będę lewitowała do utraty tchu.

JULIA: Jesteś obsceniczna jak zawsze, Desdemono!

OFELIA: Przyjaciółki moje!

DESDEMONA: Wiem, Ofelio, wiem! Tajemnicze morderstwo, złowróźbna wizja...

To już się robi nudne.

OFELIA: Dzisiaj dorzuciłam do wywaru listki konopi.

**A.**

## **328 Zbigniew Wojnarowski**

DESDEMONA: Ach! Stąd te dreszcze! Byłam przekonana, że to od...

JULIA: Przestań już!

DESDEMONA: A zaczynałam?

JULIA: Wykorzystujesz swoją przewagę, to wstrętne. Nie masz pojęcia, jak trudno transjuje się w gipsie!

DESDEMONA: Trzeba było nie spadać z miotły!

JULIA: Uspokój się! Mam mordercę. O, jakże wyraźna wizja!

OFELIA: Ja też go mam! Byle nie stracić łączności. Przyciskaj skronie palcami, Julio, mocno przyciskaj... Porównajmy rysopisy!

DESDEMONA: Hej! Też go widzę! Wreszcie się nam odkorkowało! Ostrzyżony pod donicę, gminny typ urody. Ma poważny problem ze smokiem...

JULIA: Chyba mówisz o swoim kochasiu! Zbrodniarz jest trzyrękim karłem...

Poetyczna dusza! Jak mógł zrodzić się w niej kryminalny czyn? Karzeł marzy o wielkości, śni o sławie...

DESDEMONA: Słyszysz ją, Ofelio? Sentymentalna jak pensjonarka!

OFELIA: Zaraz! Coś jest nie tak. Ja go widzę w ślubnej sukni, z bródką hiszpanką...

Przeżył fundamentalny przełom moralny. Tęskni za krystalicznym dobrem...

DESDEMONA: Nie rozumiem. Dlaczego rysopisy się nie zgadzają? Zabili ofiarę we trójkę?

JULIA: Skąd, popatrz na świtę astralną. Morderca działał samotnie.

DESDEMONA: Wiedziałam, że się mylicie! Mówiłam od początku! To ten mój jest prawdziwym mordercą! Ostrzyżony pod donicę, gminny typ...

JULIA: Idealnie rozstrzygasz wątpliwości! Jesteś

POSOKA SMOKA 329

cholernie infantylna, Desdemono, jak na swoje trzy—gta sześćdziesiąt pięć lat!

DESDEMONA: Trzysta sześćdziesiąt cztery!

OFELIA: Na głowę matki, spójrzcie tutaj, przyjaciółki moje!

DESDEMONA: Gdzie? O, psiakostka! Widzisz to, co ja?

JULIA: Daj spokój, Ofelio! To jakieś bzdury... Nie wierzę w tę wizję! A niby dlaczego widziałyśmy wcześniej facetów?

DESDEMONA: Kto wie? Może któryś z nich jest ofiarą?

JULIA: Po prostu nie wierzę! Służka? Kobieta?!

OFELIA: Przecież widzisz, Julio, że trzyma nóż! Uderza nim! Ma na imię Jagła... Ale ich też widzę! Wciąż ich widzę, tę trójkę facetów!

JULIA: Niech mnie piąty raz spalą! Kim w końcu jest ten cholerny nieznany oprych?

BELZEBUB, KOT OFELII: To gnida!

JULIA: Nie dołożyłaś za dużo konopi, Ofelio? Czy słyszysz kota? Kot wystawiający oceny moralne... to lepsze niż życie miłosne Desdemony!

DESDEMONA: Zazdrościsz? Hej, dziewczyny! Wiecie, która godzina?

OFELIA: Oho, rzeczywiście! Dziś oglądamy u mnie, przyjaciółki moje.

Zaimportowałam dwudziestowieczny telewizor z zapasem impulsów.

BELZEBUB, KOT OFELII: Zobaczycie, babeczki, że miałem rację! To normalnie gnida jest!

OFELIA: A kysz, Belzebubie! Nie przeszkadzaj! A kysz!

JULIA: Jestem niemiłosiernie ciekawa, czy Maria wróci do Manuela? Może to się wyjaśni w tym odcinku?

DEDEMONA: Po tym, jak ją zdradził z Conchitą?

330 Zbigniew Wojnarowski

Moim zdaniem poprosi o rękę Isabelę! Chociaż jej oj. ciec Eusebio stanie im na drodze! Założę się! To zupełny burak, od kiedy odziedziczył plantację bananów! Tę biedną służącą Angelę uwiódł prawie na oczach rodziny!

JULIA: Na małżeńskim łożu! Czy sądzicie, że Maria odkryje jego podłość?

OFELIA: Strasznie chciałabym to wiedzieć, przyjaciółki moje! Och!

**M— wozdział czterdziesty trzeci**

*szczegółowo rejestrujący obrady senatu*

Senacka sala ozdobiona była freskami przedstawiającymi sceny mityczne. Fotelom dano czerwone wybicia. Światło dnia filtrowały podniosłe witraże w oknach.

Środkowa kolumna rozkwitała w rozłożystą palmę stropowych żeber.

— Chłopstwo nasze jest ciemne! — perorował z miejsca senator Natenczas. Z

lubością przebierał palcami po wydrowym kołnierzu szaty do posiedzeń, mającej wzmocniony tył. — Najbystrzejszy z nich ciemny jak tabaka w rogu. Powszechnie wiadomo, że gdy dopuścić chłopca do kałamarza, wypije atrament, który nie jest przecież do picia, tylko do...

Zastanowił się, po czym zręcznie wybrnął:

— Do czegoś pożytecznego jest atrament, ale nie o tym mowa.

332 Zbigniew Wojnarowski

— Nic to! — zabrał głos senator Sagalas. — Magna—teria! Ta jest ciemna! Choć przy kartach niby to potrafi poświecić płonącym banknotem, gdy nie ma czym. Magnat zdradzi króla i każe sobie za to zapłacić innemu królowi! Ich fortuny wołają gromu z jasnego nieba!

— A waść nie magnat?! — zawołał senator Gryka. — Kto świnie skarmia szampanem?

— Skarmiam, bo mi po kolacji zostaje multum resztek! Mięso zyskuje od tego na soczystości, a do głowy nie uderza, bo tłuste! Każdemu chętnemu dowiodę swojej uczciwości!

— Ciekawe, jak?

— Słowem honoru!

— Ja słowem honoru dowiodę, że łziesz!

— Ty? Tyś bydło sąsiada cechował własnym żelazem! — przypomniał senator Dziecielina Pała. — Fałszywe obligacje skupowałeś za fałszywe pieniądze!

— Ale tym razem poświadczę uczciwie! W drodze wyjątku!

— Mieszczaństwo! Mieszczaństwo zakała monarchii! — przedarł się do głosu senator Mospan. Ceniono go, bo od razu mówił gotowymi hasłami na afisze. — Mieszczaństwo dla krokodyli! A krokodyle nie lepsze! Krokodyle na damskie boty! Z damami też dramatyczna historia...

— Do rzeczy! — upomniał senator Jako. — Cło na winne jabłka ustanowić! Sypie się bez tego hodowla strączkowego grochu, co ujawnia tajny związek między płodami uprawnymi!

— Senatorowie! — odezwał się Walisław z tronu na podwyższeniu. — Radźmy o smokobójcy! Po tośmy się zebrali! Senator mowny Świerzop ma głos!

— A cło na jabłka winne?! Już twój dziad, Walisła—wie, nie chciał go ustanowić!

pOSOKA SMOKA 333

— Z tego powodu, że ustanowił je mój pradziad!

— Ale dawno i dokumenty wyblakły do szczętu!

— Smokobójca jest ciemnym chłopem z ciemnej wsi! — powrócił do swego Natenczas. — Powszechnie wiadomo, że gdy chłopą dopuścić do kałamarza...!

— To powszechnie wiadomo — przerwał mu zgodnie król. — Ale co z dopuszczeniem chłopą do smoka? Niech przemówi senator Świerzop!

— Nie pozwolę! — wrzasnął zniecka zza kolumny senator Litwo.

— Co wam, senatorze, do senatora, żeby mu nie pozwalać, gdy my, monarcha, pozwalamy?

— Chłopa nie pozwolę poniżać! Senator niech gada, co chce, byle chłopą nie poniżał!

Chłop jest strażnikiem naszej starodawnej potęgi! Gdyby nie chłopi, po wsiach same krowy by mieszkały, kury i wieprzki.

— Magnateria, ta tradycji strzeże! — zapewnił Sa—galas. — Bez magnaterii ostrygi by się wyrzucało na zmarnowanie po wyjęciu perły, bo kto by to jadł?

— Mieszczństwo! — wrzasnął Mospan. — Mieszczństwo jedynym mieszczństwem!

Senatorowie umilkli. Tak zwięzłego hasła nikomu nie udało się wygłosić. Z foteli stronników Mospana odezwały się oklaski. Senator mowny Świerzop wykorzystał czas, żeby umiejscowić się za mównicą.

Przez witrażowe okno sączyło się smugami błękit—no—bursztynowe światło. W jego promieniach zebrani zdawali się roztropni i dostojni.

— Senatorowie monarchii! — rozpoczął rozważnie Świerzop. — Jutrzejszego dnia królestwo nasze, założone przez dostojnego Piastuna, wsławione bitwami pod Ruum, Cognak, Champań, staje w szranki ze smokiem, osiadłym zwierzęciem drapieżnym z gatunku *canalia ohydda*! Nie wątpimy w zwycięstwo, jak nie wątpiliśmy w nie poprzednio, gdy inni boha—

terowie ruszali na potwora! Pojawiły się wszakże wątpliwości, czy reprezentantem monarchii może być prosty chłop, który, za przeproszeniem, w gum—nie się rodzi i w gumnie umiera. Zarówno jego niewątpliwe zwycięstwo, jak i jego wykluczona porażka nie dadzą się godnie— ująć w państwowych annałach. Pojawiła się propozycja uszlachcenia chama, aby w bój ruszył nobilitowany! Radźmy o tym, senatorowie!

— O prostaku? — zapytał cierpko senator Oburącz. — Trzeba posłać innego!

— Ja udzielam głosu! — zaprotestował król. — Więc nie udzielam! Kto do rzeczy?

Zgłosił się senator Karabeli.

— Można chama uszlachcić! — poddał mało odkrywczco. — Co my na to, senatorowie?

— Z jakiej racji? — oburzył się Gryka. — Może jeszcze senatorem mianować?

Dziadowie nasi w grobach by się poprzewracali, gdyby żyli! Oni tytuły zdobywali krwią, nie zaś w braku lepszego wyjścia! Już lepiej uszlachcić smoka! Jest ze starożytnego gatunku, od wieków związany z królestwem! Wystarczy, że jeden w boju będzie szlachetnej krwi.

Napisze się w annałach, że smok reprezentował monarchię!

— A jeśli padnie ubity? — zapytał podchwytliwie Dziecielina Pała. — Dyshonor!

— Wystawi się grobowiec na koszt monarchii i ustanowi się święto w dniu jego zgonu! Za parę lat i tak nikt nie będzie pamiętał, o co chodziło!

— Hipokryzja! — wołano z jednego końca sali. — Nie wolno nam wchodzić w układy z gadziną, bo to wraży pies!

— Hipokryzja! — odpowiadano im z drugiego końca. — Wolno nam nawet we wzorki pomalować gadzinę, bo to wraży pies!

POSOKA SMOKA 335

— Gdyby uszlachcić nie smoka, a chłopca? — rzucił nową nieoryginalną myśl Karabeli.

— Ani chłopca, ani smoka! — orzekł chytrze Saga—las. — Ukryć przed pospólstwem, że oba nieszlachci—ce. Ukrycie rzeczy zamazuje samą rzecz. Albo puścić fałsz, że oba są podstępnyimi Longbardczykami! Lud własnoręcznie ich zlinčuje. Przynajmniej chłopca!

— Królestwo nasze było wzorem tolerancji i tradycji — przypomniał Natenczas. —

Gdy inni palili od—szczepieńców na stosach, nasze nie chciały się zająć. Gdy inni nurzali się w nienawiści do okolicznych ludów, myśmy sami byli okoliczni. Gdy inni gubili poddanych podatkami, nasze państwo gubiło się w podatkach. Jak w naszej odwiecznej tradycji pomieścimy uszlachcenie chłopca? Jak w naszej odwiecznej tolerancji pomieścimy ubicie smoka?



— Nie pozwolę! — wrzasnął zza kolumny senator Litwo.

— Na co?

— W ogóle!

— Jeśli idzie o to konkretne weto, chętnie dokończę myśl senatora Litwo! — Godnie uniósł się z drażkowego krzesła senator Bukom—Buki. — Na co nie pozwolę? Nie pozwolę na powierzchowne politykier—stwo przy ignorowaniu głębszego psychologizmu. Postawmy się na moment w pozycji chama. Jakie problemy drażą jego jestestwo? Żadne. Co straci, a co zyska zmieniając stan na inny? Straci odwieczną więźbę z naturą. Zyska naturalną więźbę z odwiecz—nością. Jakie korzyści z tego odniesie, pozostając głupim, choć lepszej krwi?

Żadne. Wczujmy się zaś w sytuację smoka. Co zyska na podniesieniu chama do zaszczytu?

Nic. A na podniesieniu siebie samego?

— Nic! — odpowiedział Sagalas.

336 Zbigniew Wojnarowski

— Ja nikomu nie przerywałem! — obruszył się Bu—kom—Buki. — Nie pozwalam!

— To ja nie pozwalam! — wychylił się zza kolumny Litwo.

W sali posiedzeń zapanował rozgwar, ponieważ różni inni też nie pozwalali, a każdy na co innego. Tylko błękitno—bursztynowe światło dostojnie sączyło się przez państwowe witraże.

— O czym mówiłem? — stropił się senator Bukom Buki.

— O podniesieniu siebie samego — przypomniał senator mowny Świerzop.

— Zaiste! — ucieszył się Bukom—Buki. — Jak więc mówiłem, podniosłem siebie samego za perukę i w ten to sprytny sposób wydobyłem się z bagna. Tereny bagniste zajmowały wielkie obszary, zamieszkałe przez kaczki krzyżówki, ropuchy, błotne rusałki.

Gdyśmy zaczęli sondować grunt, linka z ciężarkiem nie tykała dna. Tereny są torforodne, aliści fundusze potrzebne na rozpoczęcie wierceń...

— Co mają do rzeczy wiercenia? — zainteresował się Oburącz.

— Ja nikomu nie przerywałem już po raz drugi! — obruszył się Bukom—Buki. —

Jakże dostaniemy się do torfowych złóż bez wierceń?

— Można zdjąć górny nakład gleby — odpowiedział Mospan. — Szpadlami.

— Nie pozwalam! — zwiertzył okazję senator Litwo. Dyskusja mocno zboczyła z drogi.

Czarodziej Verhun, siedzący na miękkim krześle za plecami króla, dotknął

monarszego ramienia. Lubił słuchać obrad, bo utwierdzały go w czarnoksiężskiej misji. W

niezbędności nadprzyrodzonej dziedziny, którą władał. Królestwo rzucone na pastwę realistycznego rozwoju wydarzeń popadłoby w dekadencję.

pOSOKA SMOKA 337

— Muszę odejść — szepnął. — Wzywają mnie obowiązki.

— Teraz? Nie ciekawys konkluzji? Verhun schylił się bliżej królewskiego ucha.

— Podpowiedz im, panie, żeby uszlachcili chłopca niezgodnie z prawem.

Walisław zerknął na niego ze zdumieniem.

— Jesteś pewien? Nie wiedziałem, że prawo na to pozwala.

— Prawo o tym milczy. Szlachectwo nieprawnie przyznane łatwo zakwestionować —

wyjaśnił prŁebie—gle Yerhun. — Jest i nie ma go! Czary—mary!

## **Rozdział czterdziesty czwarty**

*w którym zakochani spotykają się dzięki boskiej sile przypadku* Tyle poszukiwań, zwątpień, tęsknot. A rozstrzygnięcie?

Walek z Jagłą ujrzeni się znienacka na przeciwległych krańcach opustoszałego krużganku. Oboje pogrążeni w smętnych myślach, zatrzymali się na swój widok jak rażeni piorunem. Tylko uradowane oczy rozmawiały ze sobą z daleka.

Zaraz potem ocknęły się spragnione ciała.

Ruszyły sobie naprzeciw. Jesienne słońce migotało szaleńczo zza mijanych arkad.

Dudniły deski pod nogami i dudniły serca. Włosy i szaty rozwiewały się od biegu, ręce wyciągały się łakomie na swoje spotkanie.

Porwana do góry Jagła zakręciła się z rozkloszowaną spódnicą w objęciach Walka.

pOSOKA SMOKA

339

— Szukałam cię! Szukałem cię! — odpowiedziały sobie echem dwa szepty.

Wobec smoczej śmierci zagładającej w roznamięt—nione oczy — puściły konwenanse.

— Kocham nad życie! — pojękiwała Jagła, okrywając całusami powieki smokobójcy.

— Jako i ja! — dyszał Walek, odwzajemniając pocałunki.

Równie szybko jak wyznali sobie miłość, przestali ją wyznawać, bo trudno robić ustami dwie rzeczy naraz. Kryjąc się przed ludźmi, przemknęli objęci przez zamkowe korytarze i zaszyli się w służbówce Jagły Tutejsze chodniczki, podłogi, odrapane mury nabrały dla Warka nowego uroku. Zwłaszcza wąskie łóżko, na którym przysiedli przytuleni.

Na moment — bo zaraz położyli się łączywie. Rozcałowani, omdlewający z rozkoszy.

Odrywali się od siebie tylko na tyle, żeby rozpiąć, poluzować lub zsunąć część garderoby, która przeszkadzała w zadzierzgniętej intymności.

Zaspokoiwszy pierwszy apetyt, leżeli spleceni i lśniący od potu.

Ich nagła intensywne miłość miała w sobie coś z cudu.

Jagła nawijała na palec kosmyk włosów porastających Warkową pierś, ten zaś bawił

się od niechcenia jej sterczącym sutkiem. Opowiadali sobie chaotycznie całe dotychczasowe życie. Snuli wspólne plany na przyszłość. Wybrali nawet kolor kołyski dla niemowlęcia, gdyż Jagła zapewniła, że ma dziś dzień boskiego siewu. Młódki z jej wsi rozpoznawały to od razu.

Za dziewięć miesięcy urodzi dorodnego synka.

We trójkę będą żyli długo i szczęśliwie.

— A smok, łaaau? — wyrwało się Warkowi, pociągniętemu namiętnie za owłosienie.

340 Zbigniew Wojnarów^;

— Tak, tak, aaach, mój kochany. Jeszcze smok aaach — jęknęła Jagła. Przez jej ciało, od sutka do dużego palca u nogi, przemknął dreszcz. — Jutro, aaach, zostaniesz bohaterem.

Erotyczne okoliczności nie sprzyjały skupieniu, niemniej słuchając Jagły, Walek pojął, że odbył najdłuższą drogę w życiu. Choć zdawało mu się, że od paru dni nie rusza się z miejsca. Bynajmniej! W tym czasie posiadał wiedzę o mechanizmach dworu, o jakich jego ukochana nie miała pojęcia, mimo że niedawno witała go u zamkowych drzwi dumna ze swej kularowej mądrości.

— Nie zabiję smoka, łaaau, prędzej on mnie — oświadczył zatem z tragiczną prawdomównością.

Gdy zaskoczona Jagła wyplątała się z jego owłosienia, opowiedział jej, co wiedział. O

dworskich sza—chrajstwach, zakulisowych machinacjach, o grze sprzecznych interesów. Był

rad, że wreszcie ma przed kim otworzyć znużoną chłopską duszę. Aż z tego wszystkiego przestał miętosić dziewczęcy sutek, który oklapł w desperacji.

Bezradna, przytulona Jagła słuchała ponurej opowieści z oczami wielkimi jak talerze.

Smutnymi jak u psa. Szklistymi jak jeziora późną jesienią.

— Ucieknijmy z tego straszego miejsca, mój ukochany, ucieknijmy! — poprosiła zapłakana, gdy skończył. — Nie będzie smoka, nie będzie kłopotu! Zabiorę cię daleko stąd!

Uwijemy sobie gniazdko miłości tam, gdzie ludzkie oczy nie sięgną, ludzkie myśli nie doleczą, ludzkie czyny nie dościgną!

— Nie dadzą nam uciec, psiekrwie! Pilnują! — wyjawiał Walek resztę swej posępnej wiedzy.

— Jak to? Więc co z nami będzie?

Z chłopskim fatalizmem Walek położył zylastą

POSOKA SMOKA

341

dłoń na gładkim udzie Jagły. Wzdrygnęli się oboje, choć erotyzmu było w tym tyle, co kot napłakał.

— Nie będzie nic dobrego, jak zawsze! Urodzisz sierotę, ukochana. Taki nasz przeklęty los. Mego ojca zatłukli po pijaku, ledwiem się urodził, mego dziada zadźgali w karczmie, zanim ojciec posmakował pierwszej siwuchy. Ech, rodzimy się na obsmar—kanych bękartów, nie na bohaterów.

Dobry nastrój prysnął, jakby na świecie nie było sutków, kędzierzawych klatek piersiowych i tym podobnych atrakcji.

Kiedy Walek wyszedł na umówione spotkanie z Verhunem, Jagła nie mogła sobie znaleźć miejsca. Krążyła jej po głowie wciąż ta sama uparta myśl: Nie będzie smoka — nie będzie kłopotu! Nie będzie smoka — nie będzie kłopotu! Nie będzie smoka... Wystarczy, że nie będzie smoka. Wszak wszystko jedno, kto usiecze bestię. Wałkowi nie pozwolą, ale gdyby dokonał tego kto inny?

Łzy ciekły jej z oczu i gorączkowo szukała wyjścia z sytuacji. Czegóż nie zrobi kobieta dla swej miłości, dla ogniska domowego, dla niewinnego embrionka, który przycupnął cichutko w sanktuarium życia poczętego! Jej przecież wolno unicestwić smoka!

Bezlitośnie rozdeptać gadzi chwast wyrosły na drodze do rodzinnego szczęścia! Jej nikt nie śmie tego zabronić!

Niedługo później z furkotem sukien pomykała korytarzami do izdebki na zapleczu zamkowej pralni. Żyła tam znachorka Babucha, która umiała znaleźć radę na każdy kłopot.

Najskuteczniejsza była wprawdzie w spędzaniu płodów, ale niczego nie odmawiała. Tyle że liczyła odpowiednio drożej.

## **Rozdział czterdziesty piąty**

*w którym wybucha ogień rewolucji i gaśnie*

Lecąc w powietrzu, Deyerpoth uprzytomnił sobie, że niedawno ukończył pięćdziesiąt lat. Ściśle biorąc —uprzytomniło mu to bolesne łupnięcie w kręgosłupie. Akurat przeskakiwał

z antresoli teatrum na gigantyczny żyrandol nad widownią, obwieszony festonami modnej stearyny. Ścięła go szóstka królewskich kuszników, szyjących strzałami w biegu, więc niecelnie. Może ze dwa groty świsnęły mu koło ucha.

Hakiem halabardy, którą wyrwał na murach jakiegoś niedołądże, Deyerpoth zaczepił

w locie o obręcz żyrandola. Wykorzystując falbaniastą suknię jako spadochron, zeskoczył

między ławki.

Bez namysłu ujął drzewce podchwytem, cisnął w stronę nadbiegających górą przeciwników. Z półobrotu. Zafurkotało. Cios był celny, ale pięciu z tam—

POSOKA SMOKA 343

tych przeżyło go bez szwanku. Tylko szósty zawisł pod kątem, przybity długim drzewcem do niskiego sufitu antresoli. Krew pociekła ciurkiem na proscenium obstawione niedopalonymi łojówkami.

Na Deyerpotha posypały się kusze. Umknął im przewrotem przez bark. Kusznikom wyczerpał się zapas bełtów, toteż zrobili z broni najlepszy możliwy użytek. Dwóch z nich zeskoczyło przez balustradę, pozostali pobiegli ku schodom. Deyerpoth porwał długą ławę i zakręcił młynka nad głową. W krzyżu znów go łupnęło, toteż odruchowo wypuścił mebel.

Rotacyjne ruchy tułowia po pięćdziesiątce są zabójcze dla jąder miazdzystych kręgosłupa. Na szczęście ława rąbnęła dokładnie w obu nadbiegających kuszników.

Potoczyli się w dół widowni, demolując kolejne rzędy.

Do tej pory Deyerpoth zostawił za sobą w zamkowych salach osiem trupów.

Czynienie dobra okazywało się nieporównanie bardziej wyczerpujące niż trwanie w moralnej apatii. Zamkowi strażnicy górowali nad nim młodością, ale ustępowali profesjonalizmem.

Przez miniony rok wraz z Redem Superbude—rem regularnie odwiedzał siłownię, co czwartek bywał na kursach samoobrony, należał do elitarnego Klubu Nagiej Pięści. Tylko przy samej Arterii Słońca znalazł osiemnaście szkół oferujących najwymyślniejsze formy walki, a nie sądził, żeby na terenie zamku znalazł choć jedną. Tępe ćwiczenia pozbawione psychoterapeutycznego zaplecza

odbywały się na zamkowym maneżu, kiedy akurat nie szkolono tam koni.

Zza kurtyny haftowanej w amorki wypadło trzech łuczników. Kompozytowe łuki dalekiego zasięgu, nieporęczne w pomieszczeniu, dyndały im na plecach, a w rękach groźnie dzierżyli partyzany. Mało

344 Zbigniew Wojnarowski

wprawni w używaniu tej broni, zalali się krwią po kilku ciosach mahanu z obunożnym wykopem.

Główne drzwi sali rozwarły się z hukiem. Mrowił się za nimi tłum gwardzistów w płaskich hełmach. Nad głowami lśniły dobyte miecze z herbem Walisła—wa.

Deyerpoth skoczył w kulisy, pomiędzy malowane zastawki, przedstawiające sypialnie hurys pełne namiętych tiuli.

Zanim znalazł bezpieczną kryjówkę, jego stopa w atłasowym pantofelku ugrzęzła pod klapą zapadni. Znienacka wynurzyła się stamtąd męska dłoń oblepiona przez kurz i ceglany pył. Zaciśnęła się na kostce żelaznym chwytem. Deyerpoth oniemiał. Zniósłby każdy ból —

ale niedomyta łapa zadająca gwałt bielutkiemu arabesque naszywanemu rzeczynymi perełkami?

— But, *sacrebleu!* But! — wrzasnął ostrzegawczo.

Klapa zapadni odskoczyła jak na sprężynie, ukazując obwieszoną pajęczynami głowę Yesupha. Za nim gramolił się Murmurat z grawerowanym spiskowym mieczem pod pachą.

Jednocześnie od strony sceny wpadli na zaplecze zdyszani gwardziści. Zatrzymali się skonsternowani w obliczu nowego rozkładu sił.

— Bunt? — upewnił się Yesuph. Rozejrzał się nerwowo za Deyerpothem, który zniknął. — Hej, towarzyszu spiskowej walki, krzyknąłeś, że bunt?

Pomiędzy drzwiami a otwartą zapadnią hulał przeciąg. Gwardziści tłoczyli się w ciasnym, ciemnym korytarzu, zawiewanym przez tiule haremu. Na razie nie atakowali. Bali się zniszczyć w ferworze walki delikatne dekoracje, których używano w ulubionej operetce Walisława *Siedemset żon Sady ka Paszy*.

POSOKA SMOKA

345

— Gdzie ten dziwny facet? Co on krzyknął? — zapytał ze niecierpliwieniem Murmurat, zajmując bojową pozycję w półprzysiadzie.

— Chyba sam widzisz, co się dzieje! Rebelia! — Ye—suph splunął przez zęby pod nogi gwardzistów. — Właśnie to krzyknął! Wybiła godzina zemsty!

Obaj byli pod widocznym wpływem gorzałki i rewolucyjnego zaciętrzewienia.

— Nareszcie, psia ich mać! — Murmurat dumnym gestem odrzucił pochwę miecza.

— Na to czekałem przez całe moje zniewolone życie! Pies srał zaroba—czywiała monarchię!

Punkt pierwszy A! Wykonać! —rozkazał z emfazą samemu sobie.

— Pomyłka, wróć! Punkt pierwszy B! Czerwony alert! — wrzasnął ostrzegawczo Yesuph.

Ale było za późno.

Na klindze błysnął napis: „Śmierć tyranowi Wali—sławowi Wykrzyknik Vivat Antywalisław Pierwszy Wykrzyknik” — po czym pchnięte oburącz żelazo wrażliwość w brzuch Murmurata. Krew siknęła na muśliny i ogrody seraju z malowanego gipsu. Gwardziści wciąż stali bez ruchu z niemądrze pootwieranymi ustami. Tętnicza czerwień coraz obficie przesączała się przez powiewające białe zasłonki. Murmurat plątał się w nich, macając z niedowierzaniem własny brzuch.

— Jasna dupa! — zaklął z wysiłkiem. — Punkt pierwszy, podpunkt A:

„Demonstracyjne samobójstwo protestacyjne na oczach zagranicznych delegacji”. To nie to, co? Popieprzyłem punkty?

— Głowa do góry, brachu! Nie punkty, tylko podpunkty! — pocieszył go bez przekonania Yesuph.

Z Murmuratem było źle. Zataczał się, jak to bywa po wódce, chrypiał — i konał na całego. Padł na de—

346

Zbigniew Wojnarowski

ski, wzbijając kurz kopiającymi w agonii nogami. Stęknął gardłowo. Wyrzucił ustami fontannę krwi.

— Siepacze! Psy zamordyzmu! Królewskie osły! —zawył Yesuph z ogniem w oczach ku zdezorietowanym gwardzistom. — Tego wam nie daruję! Krwawo pomścimy naszego współbrata! Na czele ludu zrobimy wam tutaj taki bajzel, że wreszcie będzie porządek! Nie wyobrażajcie sobie, zakały powszechnej moralności, że potrafimy tylko agitować, a tracimy się, gdy przyjdzie do czynu! Nasze wiekopomne dokonania staną wam kością w gardle.

Wybiła godzina, gdy zginie gadzina! Tak oto wieszczyl bard! Zapanuje prawo i sprawiedliwość, o jakich nikomu na świecie się nie śniło! Zadyndacie na latarniach, aż zdziwią się wasze świńskie rodziny!...

Mówił coraz kwieściej. Bez wątpienia groziłby dłużej i okrutniej, gdyby nie jeden z gwardzistów, który podszedł zniecierpliwiony i wbił mu w kark sardyjski miecz. Yesuph zachłysnął się własną krwią, toteż przerwał zaskoczony. Gdy zabójca wycierał zakrwawione ostrze w jego szatę, zdążył

jeszcze wykrztusić zamierającym głosem:

— No, gratuluję! Co za chamstwo! Spieprzyć taką obiecującą rewoltę! To jest dopiero ale kurewski despotyzm! Wiedz jednak, nędzny siepaczu, że historia nie zapomni mojej pięknej śmierci!

Mówiąc to skulił się, przekręcił na bok i zwymiotował, jak to bywa po wódce.

## **JL wozdział czterdziesty szósty**

*w którym spotykamy troje naszych znajomych*

Dwa trupy uznano za przyzwoity efekt pogoni, toteż gwardziści nie szukali Deyerpotha. Ten, korzystając z rewolucyjnego zamieszania, czmychnął wyjściem dla artystów. Trzymając się za biodro, usztywniane przez pierwsze symptomy zwyrodnienia, wybiegł na dziedziniec.

Za progiem wpadł na Jagłę, pomykającą akurat chyłkiem do znachorki Babuchy.

Przytrzymał służkę za rękę.

— Poczekaj, ślicznotko!

Był pewien, że za późno zabrał się za czynienie dobra. W parę dni wysiadzie mu kręgosłup, stawy biodrowe odmówią posłuszeństwa, obolałe mięśnie zeszywnieją od nadmiaru kwasu mlekowego. To co innego niż Klub Nagiej Pięści, gdzie w każdej chwili 348 Zbigniew Wojnarowski

można odpocząć przy drinku z parasolką. Zło nie da złapać tchu. Dla własnego dobra trzeba uderzyć je raz a skutecznie. W najczulszy punkt! Złapać byka za rogi!

— Podpowiedz mi, dziewczeczko, bo nie wszystko pamiętam... Jakie tu macie najgorsze zło?

— Smoka! — odparła z przekonaniem Jagła. — Najgorszy jest smok!

Od rozstania z Wałkiem tylko to miała w głowie. Nie perfumy z brukwi, nie staniczki z modną metką królestwa Longbardii, nie odchudzające balsamy wymiotne. Tylko to jedno

— zetrzeć z powierzchni ziemi smoczy pomiot! Gdyby nieznajomy zapytał, gdzie kupić marchewkę albo czym doczyścić cynowy talerz, musiałyby się zastanowić. Prozaiczne zagadnienia wywietrzały jej chwilowo z głowy. Ale nie bestia kalająca szczęście przyszłej rodziny!

— Nie inaczej! — Deyerpoth zatarł ręce. — To akurat powinienem pamiętać! Smok, *exactly*! Dziękuję ci, słodka dziewczeczko. Jesteś aniołem z nieba!

Dwoma palcami uniósł podbródek Jagły. Istotnie wydała mu się uduchowiona.

Natchniona. Fizycznie również była ponętna, toteż po raz pierwszy od zmiany płci w Deyerpothcie obudził się macho. Poczul go wyraźnie pod ślubną suknią. Może dlatego zatęsknił za stabilizacją, o której po pięćdziesiątce równie przyjemnie pomarzyć, jak o skakaniu z płotka na płatek przed



dwudziestką.

— Umiesz parzyć ziółka, złotko—ochotko?

Jagła skinęła głową z nawyku zdyscyplinowanej służki.

— Poczekaj więc na mnie! Kiedy wyplenię wszete—czne zło, wrócę i ożenię się z tobą — zapowiedział Deyerpoth. — Tylko mi przypomnij. Urodziłaś się na nagrodę wojownika, ślicznotko!

pOSOKA SMOKA

Jagła nie usłyszała tych supermęskich oświadczeń. Jej uwagę odwróciła pokraczna sylwetka, przemykająca ukradkiem pomiędzy budkami rzemieślników, którymi zastawiono dziedziniec. Trzyręki garbus! Wyglądało, że wyszedł z izdebki Babuchy, do której i ona zmierzała.

Tknięta złym przeczuciem, pobiegła tam nie zwlekając.

— Heja, maleńka!... — krzyknął za nią Deyerpoth.

Ale nie pobiegł śladem narzeczonej. Na plecy skoczył mu z rozpędu pierwszy z doborowego oddziału harcowników Walisława. Wybiegli rzędem z podcieni zamkowego arsenału. Z murów na łeb na szyję pędzili strażnicy, po zwodzonym moście galopował z dudnieniem kopyt oddział ciężkozbrojnego rycerstwa pod wodzą Hufhala. Mieli nawet ze sobą bojową chorągiew.

Na dziedzińcu rozgorzała potyczka królewskich z Deyerpothem. Tak zazarta, że nie przeszkodziło jej zniknięcie głównego bohatera. Ten tradycyjnie zaraz na początku umknął

pod końskimi brzuchami, zostawiając w czyjejś opancerzonej dłoni oberwaną falbankę.

Grzmiały okrzyki, świstały ciosy, wznagał się zapach bojowy. Po walce znaleziono na bruku aż cztery zmasakrowane, trudne do rozpoznania trupy. Który z nich jest ściganym intruzem, ustalono drogą losowania.

Tymczasem Deyerpoth przemknął do pozbawionego dozoru arsenału i tam natknął się na Tabrysa. Każdemu z nich przyświecała nadzieja, że w królewskich magazynach znajdzie dla siebie kawałek odpowiedniego żelastwa.

Tak oto stanęli oko w oko dwaj ludzie połączeni nieśmiertelną ludzką potrzebą zemsty i ucieczki. Przed zemstą. Nie rozpoznali się nawzajem. Jeden 349

350 Zbigniew Wojnarowski

stał się podstarzałym facetem o urodzie zmęczonego mafiosa, drugi pokracznym trójrękim karłem w ogóle bez urody.

Co nie znaczy, że rozstali się w pokoju.

Deyerpoth porwał pierwszy z brzegu huncwocki mertel do obu rąk. Bez namysłu przyłożył go Tabry. sowi pod lewą pierś.

— Czego tu szukasz milczkiem, podstępny szpiclu? Siedzisz mnie? Ktoś ci za to płaci? Co o mnie wiesz? Gadaj!

— Nic o tobie nie wiem! — zapewnił wystraszony Tabrys. — Przypadkiem tu zaszedłem, wracając od wiedźmy. Byłem u niej po proszki od bólu głowy, takie z kogutkiem!

— skłamał. — W ogóle nic nie wiem o niczym.

Deyerpoth wtłoczył czubek miecza w jego drżące ciało.

— Łziesz jak pies! Każdy coś tam wie!

— Ale nie ja! Daję ci słowo! Jestem literatem i wszystko, co wiem, to całkowicie sam z siebie wymyśliłem! Przez całe moje życie poznałem tylko jedną jedyną prawdziwą tajemnicę!

Deyerpoth z sadystycznym uśmiezkiem przekręcił miecz w prawo i w lewo. Po krzywej piersi Tabry —sa spłynęła kropla krwi.

— Gadaj, nie każ się popędzać!

— Pirat Deyerpoth... — Tabrys stęknął z rozżaleniem. — Właściwie to nic interesującego. Nie weź mi za złe, że o tym powiem, ale naprawdę o niczym więcej...

Uprzedzam, że to trochę nie do wiary, z góry przepraszam. Po prostu sławny pirat Deyerpoth jest zwyczajną babą z cyckami, wyobraź sobie!

Sławny pirat Deyerpoth odskoczył jak dźgnięty rozżarzoną szpikulcem. Zanim Tabrys skończył, zatkał mu usta dłonią o wymalowanych henną pa—

pOSOKA SMOKA 35!

znokciach. Drugą ręką podwinął nerwowo ślubną suknię, żeby wydostać na wierzch to, o co mu chodziło.

Tabrys zmartwiał. Oczy tak wylazły mu z orbit, że niższe znalazło się poniżej ucha.

Zrozumiał, że pasmo jego upokorzeń nie ma końca. Teraz oto zostanie jeszcze zgwałcony przez przebierańca.

— Jaką babą, kłamliwy karle?! Przypatrz mi się! Czy to wygląda na babę?!

— Nie zrozumiałeś mnie! — Tabrys odetchnął z ulgą. Na co to wyglądało, na to wyglądało, ale w każdym razie nie wyglądało na gwałt. — To nieporozumienie! Mówiłem o sławnym piracie, a nie o tobie!

Deyerpoth oprzytomniał. Puścił Tabrysa i z zakłopotaniem strzepnął z jego garbu okruchy tynku.

— Wybacz, nieszczęśliwczu. W samej rzeczy nieporozumienie. Tak się złożyło, że pewien wszawy po—eta—wierszokleta rozpuszczał swego czasu plotki, jakoby pozostał

w bliskim pokrewieństwie z owym Deyerpothem. Stąd poczułem się początkowo nieswój, *sorry*.

— Poeta? — upewnił się z niepokojem Tabrys.

— Twój kolega po fachu, ale do ciebie nie mam o to pretensji. Dopadnę gnojka. Po kolei, powoli. Najpierw planuję zarznąć smoka.

— Smoka?

— Zdaje się, że prześladowuje cię mania krótkich pytań?! Też znam jedno takie, skup się najlepiej na nim. Czy umiesz wskazać drogę do smoka?

— Drogę?

Deyerpoth westchnął i przyłożył miecz w to samo miejsce, z którego przed chwilą go zabrał. Do krwawej dziurki w piersi Tabrysa.

— Wyznam ci bez ogródek, że mówiąc: „Droga” mam na myśli dokładnie drogę!

Wyobrażasz sobie?

352 Zbigniew Wojnarowski

Nie racucha, nie sznur pereł, nie piec kaflowy, tylko drogę! Szlak, którym zmierza się do celu. Nie spotkałeś się nigdy z takim postawieniem sprawy?

W głowie Tabrysa kłębiły się mroczne myśli. Nieznajomy najwyraźniej zabierał się do zmarnowania reszty jego życia. A już tak niewiele zostało. Kupka nieszczęścia. Wystarczy złamać paznokiec — i organizm tego nie przetrzyma. Wredny przebieraniec nie dość, że zamierza kontynuować piracką zemstę, która nie powinna go obchodzić, to jeszcze chce dorwać się do smoka. Dopaść jak swego i zarznąć! Zniweczyć jedyną nadzieję, jaką Tabrysowi udało się wyhodować w obecnym opłakanym stanie.

I co teraz?

Odstąpić byle komu własną chwałę? Facet jest podstarzały, ale krzepki i żyłasty. A nuż da radę? Wtedy już tylko śmierć w przytułku dla trzyrękich garbusów. Bez rozgłosu i zaszczytów, z kaszką manną na śniadanie.

To wydało się Tabrysowi straszniejsze niż rozjarzone oczy smoka, które nocą otworzyły się przed nim na czarnym niebie.

Trzecią ręką, kryjąc ten ruch przed oczami rozmówcy, zmacał pod kaftanem proszek od znachorki Babuchy. Wiele sobie po nim obiecywał.

Tylko głupi cofałby się w takiej chwili!

— Znam drogę do smoka, a jakże! — zapewnił podstępnie. Poślinionym palcem wyrysował na murze zbrojowni parę zakrętów i parę stopni, żeby Deyer—poth nie pogubił się przypadkiem. — Musisz zejść do zamkowych piwnic. Gdyby zgasła ci pochodnia, nie przejmuj się, idź po prostu na słuch. Z dala usłyszysz menueta. Zapamiętasz? Menueta! Ti—

tititi—ti— ti... — zanucił usłużnie. — Ładuj się do sali balowej bez zastanowienia! To będzie dokładnie tam!

„R

## **JL wozdział czterdziesty siódmy**

*w którym Walek nie może dotrzeć na umówione spotkanie* Walek zmierzał do Verhuna ciasnym gankiem, gdy drzwi, których wcześniej nie zauważył, uchyliły się. Silna koścista dłoń wciągnęła go do wnętrza pachnącego rozgrzanym olejem. W drewnianej klitce bez okien, doczepionej w kamiennych murach niczym ptasie gniazdo pod gzymsem, garbiło się zżółkłoskó—re indywiduum, które pierwszy raz widział na oczy. Chudziutki staruszek nosił na nosie okrągłe szkiełka złączone drucikiem, pociągał

nogami trzeszczącymi w stawach, marszczył pogniecioną twarz, pokazując szczerbate dziąsła.

Jego siwe włosy spływały z czaszki na ramiona w trzech rzadkich pasmach.

— Tyś smokobójca? — spytał, a gdy Walek skinął głową, dokończył: — Czekam tu na ciebie, gdyż od lat nie opuszczam izby. Od razu dowiodę, że nie odjęło 354 Zbigniew Wojnarowski

mi władz umysłowych. Żebyś nie myślał! Woda wrze w temperaturze stu stopni, świat ma cztery żywioły Ziemia jest płaska i niosą ją na grzbietach boskie zółwie... Zgadza się?

— Nie wiem — odparł Walek. — Ja tu dopiero od przedwczoraj.

— Nieważne. Ze smokiem cię zapoznali, tak?

— Nie.

Staruszek przyczłapał do Walka, zbliżył twarz do jego twarzy stając na palcach. Jak od wszystkiego w izbie, zalatywało od niego rozgrzanym olejem. Jakby piekł placki.

— Mów mi: „Mistrzu” — zaproponował. — Jakże to, nie zapoznali cię ze smokiem?

Możesz tego po prostu nie zauważyć? Jak go ubijesz bez zapoznania?

— Miecz mi kują — wyjaśnił Walek.

— Bardzo sprytnie, że miecz. Ale w co wbijesz smokowi ten miecz, kiedy cię nie zapoznali z jego anatomiczną budową? Siadaj że!

Podsunał Wałkowi taboret. Ze stosu rulonów w kącie klitki wyciągnął jeden, żółty jak on sam. Przyczepił go gwoździkami do drewnianej ścianki, starannie wygładzając dłonią. Na papierze narysowany był smok, ale nie w swoim zewnętrznym kształcie, tylko konturem, przezroczyście, z jasno uwidocznionymi podrobami, które krył w brzuchu.

Staruszek wycelował ostry patyk w papier na ścianie.

— Smok — wyłożył. — Oto łeb lewy, łeb środkowy, łeb prawy. Skrzydła składają się *in vivo* w tych miejscach. Oto łapy ze szponami, brzuch, ogon. Te najeżone to wypustki kostne, dość ostre. Rozumiesz na razie?

— Tak... — przytaknął Walek, a prześwidrowany surowym wzrokiem, uzupełnił: —  
...mistrzu.

pOSOKA SMOKA 355

— Narządy wewnętrzne smoka... A, zaraz! Jeszcze nie powiedziałem najpierw, że te długie kiszki pod łbami to są szyje. Rozumiesz na razie? Przechodzimy do narządów wewnętrznych. Oto serce. Tu przy ogonie drugie serce, z takiego powodu, że jedno by masy krwi nie przepompowało pod górę. Tu trzy pary płuc, do każdego łba po jednej. Tu, tu i tu. Tu wątroba, pojedyncza, ale starczyłaby na obiad dla królewskiej gwardii przybocznej, z dokładką! Tu flaki. Gdybyś wyciągnął smocze flaki i rozciągnął je na ziemi, ułożyłyby się w taką długość, że końca byś nie widział... Tu żołądek. A, zaraz, nie dokończyłem!... że końca byś nie widział, idąc cały dzień wzdłuż smoczych flaków. Tu żołądek, który pomieści trzech roślących chłopów i trawi ich do pięciu dni. Z tego przez pierwsze dwa mogą jeszcze żyć, choć nie jest to jakiś nadzwyczajny komfort życiowy. Komora pod żołądkiem wydziela silne kwasy trawienne do rozkładania blach. Wokół widoczny jest mięsień zwany zwrotnym, tutaj, który pod wielkim ciśnieniem wypycha gazy do nosogardzieli. Zgrzytanie tymi oto zębami iskrzącymi powoduje zapłon od iskry. Rozumiesz na razie?

— Tak, mistrzu — przytaknął Walek z wielką pewnością siebie, ale zaraz przypomniało mu się czekające go spotkanie u Verhuna i cała pewność opuściła go jak ręką odjął. — Nie dzwoniли jeszcze na południe, mistrzu?

— Nie przeszkadzaj. Gdzież w owej anatomii znajdziemy słabe punkty? Oto one we własnej osobie! Proszę uprzejmie!

Łaskawym gestem staruszek wyjął z pudełeczka garść gwoździków z łebkami pomalowanymi na czerwono i sprawnie wbił je w smoczą podobiznę.

— Serce dolne, albowiem do górnego nawet z ko—

nia się nie dostaniesz. Zresztą leży na głębokości której pika nie osiąga bez złamania.

Gdybyś wepchnął miecz po samą rękojeść w lewą pachwinę smok zdycha w dwa pacierze.

Musisz zadać cios od dołu, co najłatwiej uzyskać leżąc, ale w tej pozycji ryzykujesz zdegnię—ie. Grubość skóry przechodzi męski biceps.

Staruszek przeczesał się palcami, a Walek zauważył z niepokojem, że przy tym ruchu ucho opuściło mu się niżej.

— Punkt drugi: ekstrakcja zębów iskrzących. Możesz ją wykonać, gdy smok nachyla się ku tobie, ale potrzebujesz trzech precyzyjnych ciosów. Po jednym na każdy łeb.

Okaleczenie smoka nie uśmierca, jednakowoż upośledza jego sprawność. Cięcie w punktach S na skrzydłach lub w punktach P pod podeszwami spowalnia. Cios w oko oślepia, w ucho ogłusza, w nozdrze drażni. Sztych w okolicę zamózgowia powoduje zgon niezależnie od wybranego łba, ale trudno tego dokonać od dołu, tak samo jak od góry. Łeb ucięty odrasta, jeżeli nie posypiesz go saletrą, z tym, że regeneracja następuje po trzech miesiącach... Czegoś się szczególnie obawiasz, widzę —przerwał. — Czego to?

— Czy aby nie dzwoniли już na południe, mistrzu! Staruszek machnął patykiem ze zniecierpliwieniem.

— Nie rozprasza się! Teraz wyjaśnię, dlaczego zabicie smoka ocali królestwo.

— Ocali? — zapytał Walek bez ciekawości. Nasłuchiwał, żeby nie przeoczyć bicia dzwonów w bez—okiennej klitce. — Słyszałem, że zgubi.

— Słyszałeś? Pewnie od Walisława! Zapowiadam ci, że królestwu jesteś winien wierność, nie królowi, który dziś ten, jutro inny. Czekałem tu na ciebie, że—

## POSOKA SMOKA

357

by ci wytłumaczyć wagę zadania od strony gospodarczej. Jak myślisz, czemu smok, mając skrzydła, nie fruwa tam i siam, ziejąc ogniem, tylko nie oddala się od pieczary?

— Spasł się?

— O, nie! Pilnuje wielkich skarbów złożonych w tylnej części góry! Odbiwszy mu je, zaprowadzi się oddolny dobrobyt. Trzeba tylko ubić bestię zachowując dyskrecję! Zanim księgowy koronny nie położy łapy na przychodzi! Bo wtedy wynikną koszty i wzrost zadłużenia. Rozumiesz na razie?

Fetor oliwy znów zaleciał Walka. Przyjrzał się z niedowierzaniem staruszkowi.

— Skąd znacie, mistrzu, takie sekrety, skoro smok żyje w dalekiej pieczarze, wy zaś żyjecie w izbie bez okienka na świat?

— Nie myślisz racjonalnie! — zirytował się staruszek. — Któż ci to powiedział, że ja żyję?

— Nikt. Sam wiem. A jak inaczej?

— Właśnie inaczej! Doświadczenie uczy, że gdzie kończy się życie, zaczyna się śmierć. Ten, kim owładnęła, nie żyje. Skoro umarłem, nie należy przypisywać mi życia.

Proste jak piszczel!

— Azali umarłeś, mistrzu? — zaniepokoił się Walek.

— Tak dawno, że ledwie pamiętam! — Staruszek lekceważąco wzruszył ramionami.

— Byłem wtedy młodym, pełnym życia huncwotem, ale po śmierci jedno i drugie szybko minęło.

— Młodość też? Powiadają, że umarli się nie starzeją.

— Powiadają, powiadają... Żeby to jedną bzdurę opowiadali ci, którzy nie mają pojęcia, o czym mówią. Zawsze patrz na sprawy racjonalnie. Skoro śmierć należy do przyrodzonego porządku świata,

358 Zbigniew Wojnarowski

jakże może zawieszać ten przyrodzony porządek? Nie może. Z przyrodzonego porządku zaś wynika, że każda rzecz przesuając się w czasie, starzeje się. Czy to człowiek, czy kaczka, czy szafa trzydrzwiowa. Choć objawy postępują u człowieka innym sposobem, u szafy innym, naturalnie. Weźmy mnie. Jeszcze parędziesiąt lat temu ledwie garstka włosów mi wychodziła z głowy, kiedy się podrapałem. Zaś wczoraj przy tej operacji odpadła mi ręka.

Złapał bark przez rękaw i pociągnął, żeby zademonstrować, że wewnątrz prowizorycznie podczepił ramię igiełkami.

— A na co umarliście, mistrzu? — zapytał niespokojnie Walek.

Staruszek przyczłapał do niego, zbliżył twarz do jego twarzy.

— Nie domyślasz się? — tchnął Wałkowi prosto w nos zapachem smażonych placków. — Toć smok mnie zabił!

*HISTORIA WALCZĄCEGO ZE SMOKIEM*

*Skwarny dzień rozpościera się na niebie, ale ciebie nie cieszą skowronki nad polami ani woń lubinu znad łąk. Tętniąca krew gra hejnał po aortach i jej tylko słuchasz. Niesiesz na końcu miecza własną chwałę, więc nie możesz się doczekać, kiedy dobędziesz ją z dna pochwy i zaprezentujesz zachwyconemu światu!*

*Rumak już osiodłany, nakryty haftowanym czapakiem i stalową końską przyłbicą z czubem na czole. Zbroja lśni srebrzyście, odpowiada pobrzą—kiem twoim krokom. Pióropusz nad hełmem szumi obiecująco w ciepłym wietrze.*

*Otwiera się nabijana ćwiekami brama, opada zwodzony most. Z cienia zamkowych murów wjeż—*

*pOSOKA SMOKA*

*dżasz w spiekotą dnia, który śnił ci się od dzieciństwa.*

*„Jacy moi przyjaciele poszliby, jak ja, na smoka niczym w tan?”, myślisz hardo. Nie ma takich!*

*Jeden już przygotował wyprawę. Kazał sprowadzić z za morza zbroję z blachy tłoczonyj w skrzydlate Iwiska, obstałował skrzynie, w których przywiezie smocze łby, poleciał*

*modnie się ufryzować. Zrezygnował, gdy okazało się, że nie wolno służby posłać, do czego przywykł w leniwym życiu, tylko samemu trzeba iść.*

*Drugi ślubował smokobójstwo cudnej pannie, jednak przed wyprawą zakochał się w jeszcze cudniejszej. Smok poszedł w odstawkę razem z byłą.*

*Trzeci zaklina się, że mija epoka rycerstwa. Czas pomyśleć o jutrze. Nie ubijać smoka w starodawnym zapale, tylko ustawić stragany z precelkami, pobudować platformy widokowe na obrzeżach doliny, obmyśleć hasła, wywiesić lampki nad pieczarą, sprowadzić dla dzieciak lizaki na patyku i baloniki. Otworzyć w bezpiecznej odległości dochodowe przedsiębiorstwo rozrywkowe, które pozwoli przetrwać podle czasy.*

*Gdy przychodzi co do czego, siebie tylko widzisz na drodze ku pieczarze.*

*W tyle zostały machające dziewczeczki, rodzina, przyjaciele, w tyle został gwar gapiów i ochocze*

*ł okrzyki, opuściły się błogosławiące ręce, zniknęły paradne chorągwie, ucichły dźwięki trąb. Nie zostało nic prócz ciebie i kurzu, który wzbijasz końskimi kopytami.*

*Przeżywszy to wszystko, ujrzałem na własne oczy Dolinę Śluzów. Nie latał nad nią ptak, zwierz nie pomykał wśród wapiennych skałek rozrzuconych na trawie.*

359

360 Zbigniew Wojnarowski

*Oko jeziora odbijało błękit nieba, w uszach dzwoniły kaskady, spadające z wysokości w rozbryz. gach pian. Koń ploszył się idąc, jakby wietrzył zł0 Gardziel smoczej pieczary czerniała u podnóża turni. Na podobieństwo własnego cienia rozlewała po dnie doliny jezior wypalonyj trawy i zgorzałych pni. Wzdłuż brzegów jeziora, gdzie wielkie ślady prowadziły do wodopoju, gęściej niż białe skałki walały się białe czerepy poprzerastane roślinnością.*



*Pogruchotane kościotrupy osmalone ogniem, z rycerskim mieczem wrażonym pomiędzy wielopalczystą biel żeber, jakby zmarły podniósł rękę sam na siebie, uciekając od gorszego losu.*

*Odczepiłem róg od pasa i zadawszy w niego, obudziłem echo doliny. Nie wywabiałem smoka. Jego cień nie przesunął się w głębi pieczary ani po wodzie, ani nad lasem. Zsiadłem, zostawiwszy konia nieuwiązanego, by mógł się ratować w potrzebie. Z siodła nie sposób walczyć. Wierzchowiec ponosi od strachu i zrzuca jeźdźca w proch.*

*Idziesz na śmiertelny bój pieszo, w brzęku blach i stuku serca.*

*W decydującej chwili przemykają ci po głowie metody walki, w których jesteś biegły.*

*Wszystkich nie sposób użyć. Liczysz na swoją odwagę, sławną po całej krainie. Małoś to śmiałków z tarczami w szachownicę postrącał w galopie? Małoś to szarżujących bestii natłukł*

*z kuszy? Odwaga w krzepkich nogach — to najskuteczniejsza z metod. Odskoczyć, gdy do skóry ci się dobierają, i ciąć, gdy okazja się nadarzy. Z tych dwóch wykonanych w porę ruchów urosły chwalebne żywoty najlepszych z nas.*

*Im bliżej podchodzisz, tym mniej czujesz tymotkę i tymianek. W nosie wierci cię swąd spalenizny.*

**pOSOKA SMOKA 361**

*Gnilny fetor. Amok stumania ci głowę, wyostrza się wzrok, wyteższa słuch. Miecz ożywa w ściśniętej dłoni. Nie jest już kawałkiem żelaza wyzbytym duszy. Twój niebieski patron unosi się nad tobą w upalnym powietrzu, wiodąc zastępy aniołów. Gdybyś poczuł się stracony w boju, zobaczysz welon białych piór spływający na twoją głowę.*

*Tak oto stanąłem przed smoczą pieczarą tamtego dnia.*

*Z wnętrza wionęło chłodem, aż nad blachami pancerza wzniosła się mgielka pary. Nie widziałem smoka, nie zwiتریłem jego siarkowego odoru. Jakby potwór wyniósł się z doliny.*

*Zadąłem znów i odrzuciwszy róg, wkroczyłem w czeluść.*

*Mrok pochłania z wolna błyski blach, jakby szykował cię do śmierci.*

*Idziesz z wysiłkiem, jakbyś przeprowiał się przez Rzekę Zapomnienia.*

*Zapachy, które czujesz, i dźwięki, które słyszysz, nie dochodzą już z tego świata.*

*A gdy spodziewasz się, że w głębi pieczary pochłonie cię czerń, o której nigdy niczego się nie dowiesz, widzisz blask spływający z góry skalną szczeliną. Kosztowności zbite ze sobą w skrzącą się opokę. Leżą tam połamane szkaplerze, pierścienie wciśnięte w kółka innych pierścieni, rozerwane kolie, rozsypane korale, ryngrafy pogięte jak papier, diademy złamane w pół. Ich nieznani właściciele, pożarci i zapomniani, patrzą na ciebie oczami brylantów.*

*Tylko tam ocalał błysk ich ostatniego spojrzenia.*

*Oto grobowiec, nad którym zapłakałem.*

*Stojąc tak, usłyszałem pomruk, który potoczył się przez pieczarę jak beczki po kamieniach. Zmilkł nad moim uchem. Ściany odbiły czerwony blask ognia, poczułem żar we wnętrzu pancerza,*

362

Zbigniew Wojnarowski

*jakby w blachach odżyła pamięć narodzin pod g0. rącym oddechem kowalskiego miecha.*

*Zawsze popełniasz ten sam błąd, idąc na smoka w zbroi odczyszczonej do połysku i marząc o fanfarach, które obwieszczą twój tryumfalny powrót. Zdaje ci się, że to jaszczurka, która wyrosła nad podziw. Nie bierzesz pod uwagę, że to, co przetrwało setki lat, nie dokonało tego przypadkiem. Też potrafi odskoczyć, gdy dobierają się do skóry, i ciąć, gdy nadarzy się okazja. Jeżeli nie przyszło na świat z tą umiejętnością — miało dość czasu, by nauczyć się wojennych sztuczek od chwatów, którzy ciągną jak do miodu. Rozpościerają pawi ogon talentów. Aniś z nich pierwszy, ani ostatni, choć wierzysz w swoją niepowtarzalną jedyność.*

*Ciąłem mieczem po własnych skórzanych zapinkach, by odrzucić gorące blachy. Gdy bestia, którą widziałem nad sobą jako rozchwiany cień, węszyła trzema łbami za blaszanym brzękiem, wypadłem z pieczary. Biegłem zanurzyć się w jeziorze. Ukoić bąble oparzeń.*

*Odzyskać wigor. Kiedy za progiem ściał mnie z nóg smoczy ogon, pojąłem, że nie dotrę do wody. Zerwałem się z mieczem w garści, gotów drogo sprzedać skórę.*

*Wszystko działo się tak szybko, że nie mogłem uwierzyć.*

*Świat stał się przez to nierzeczywisty. Już nie mój.*

*Zdążyłem ciąć trzy razy. Dwa razy w łeb, raz w łapę. Traciłem siły. Obwieszony resztkami zbroi, pokiereszowany, chlustający własną krwią przy każdym stąpieniu, przeczuwałem koniec. Nie umiałem rzec, w którym punkcie czasu miał miejsce początek końca. Która rana dobiła mnie za życia? Gdyby o to spytano, odparłbym: „Przybyłem i umarłem!”*

pOSOKA SMOKA 363

*Tyle tylko zdążyłem zauważyć.*

*U schyłku żywota zawsze zdarza się szczęśliwy przypadek. Bezsilny już tak samo jak reszta twojego świata. Mnie poszczęściło się w tym, że mój koń, mokry od panicznego potu, ze stalowym czubem przekrzywionym na łbie, nie uciekł. Może nie miał odwagi, sparaliżowany smoczym wzrokiem jak ptak okiem węża. Wdrapawszy się na niego ostatkiem sił, ruszyłem galopem ku wylotowi doliny.*

*Tam spadłem z siodła.*

*Zdążyłem podziękować niebieskiemu patronowi, że nie uczynił dla mnie grobowcem smoczego brzucha — i skonałem w niewypowiedzianych bólach.*

*Moje zwłoki znaleźli smolarze. Oni zawsze znajdują zwłoki albo ciężko rannych, których dobijają, co na jedno wychodzi. Obdarli mnie z blaszanego złomu, z łańcuszków z medalikami, z pierścieni, po czym wrzucili moje doczesne szczątki do skalnej rozpadliny.*

*Zrozumiałem z tego, że nikt mnie nigdy nie znajdzie. Zostanę uznany za przepadłe—go, jak niezliczeni przede mną.*

*Byłem na moim pogrzebie, gdzie grzebano pustą trumnę. Dowiedziałem się o sobie wspaniałych rzeczy, które za życia przemilczano przede mną. A te mniej wspaniałe interpretowano na moją ko —■ rzyść nad otwartą mogiłą. Uznałem, że ludzie nie są źli z natury, tylko życie ich do tego zmusza. Twoje życie. Kiedy już umrzesz, wraca w nich przyrodzona dobroć serc.*

*I to już wszystko. Bo cóż czynić dalej?*

*Nie ostrzeżesz przed własnymi błędami tych, którzy ruszą twym śladem. Twoja śmierć nie zatrzyma świata w bezpiecznym miejscu. Czym więc się zatrudniać? Wysłuchiwać pogawędek żołnierzy strażujących na murach, którzy zabijają bezczynność opowiadaniem dyrdymałów o duchach?*

364

Zbigniew Wojnarowski

*Nuda! Śmiertelna nuda!*

*Co więcej może cię zająć na tym i tamtym świecie? Huczne wesele narzeczonej, która pójdzie w tany, sypiąc iskry z podkówki, a w alkowie wyzna swojemu kogucikowi, że nikogo przed nim nie kochała naprawdę? Sute biby szczęśliwych spadkobierców, którzy picie twojego zdrowia uważają za przedni żart? Zjazdy przyjaciół, którzy wspominają cię ze łzą w oku do pierwszej szklanicy? Bo już przy drugiej bawią się setnie nieroztropnością, która kazała ci położyć głowę za przegraną sprawę.*

*Stopniowo wymierają, dołączają do ciebie, zasiadają w swoich wysłużonych fotelach*

*— ale to niczego nie zmienia. Nadal śmieją ci się w nos. Są przekonani, że śmierć, która ustawiła ich po tej samej stronie barykady, dała im zarazem te same prawa.*

*A żywi? Ci czczą smokobójcę latami, oddają mu honory, tyle że już dawno przestali go odróżniać od hodowców gołębi czy zbieraczy miodu, którym przytrafiła się szara codzienna śmierć.*

*Staruszek wciąż zionął na Walka wonią rozgrzanego oleju, którą z niewiadomych powodów wydzielala śmierć. W każdym razie jego śmierć.*

*— Rozumiesz na razie? — zapytał, ponieważ Walek milczał.*

— Tak, mistrzu.

— Więc idź i pomścij mnie! To mnie kręci! Żywi nic więcej nie potrafią!

— Nie wydaje mi się, żebym mógł tego dokonać, mistrzu!...

Walek przerwał. Za ścianą bił południowy dzwon. Staruszek nie zwrócił na to uwagi.

Jego twarz ściągnęła się bólem, jakby słowa Walka nie różniły się od sztyletu wbijanego w pierś.

POSOKA SMOKA 365

— Chcesz mnie zawieść?

— Nie, mistrzu, ale zdaje się, że nie pozwolą mi na nic.

Sylwetka staruszka przeobraziła się jak pod wpływem czaru. Powiało grozą. Z

popsutych zębów ściekła krwista ślina, drapieżnie zakrzywione palce uniosły się ku górze, oczy powiększone przez szkiełka uciekły w głąb czaszki, ukazując białka oplecione naczyniami krwionośnymi. Sztywny krok poniósł trzeszczące ciało ku Wałkowi. Trupie szpony zacisnęły się na szyi smokobójcy, aż ugiął się pod ich nieoczekiwaną siłą.

— To żart! — zachichotał staruszek, zwalnając uchwyt. — Ale zaręczam ci, że potrafię tak na serio! Nie napinaj mej cierpliwości!

**JLm/ozdział** czterdziesty ósmy

*w którym poznajemy*

*fascynujące życie łyżeczki do konfitur*

Na pozór nie ma nic nudniejszego niż bycie lipową łyżeczką do konfitur. Jako człowiek przeżywa się wiele przygód erotycznych, a w razie posuchy — intelektualnych. Elf doświadcza przebogatego życia wewnętrznego, choćby drzemał po obiedzie. Zombi, formalnie uznany za zmarłego, knuje nie gorzej niż niejeden żyjący. Gdy jest się psem, można przynajmniej pobiegać i poszczekać. A łyżeczka? Leży na stole lub sterczy z konfitur. Co najwyżej spada na podłogę, nieopatrznie strącona łokciem. Owszem, bywa, że dziewczęcy jęzorek wyliże ją do czysta. I tyle. Jednak ta konkretna łyżeczka do konfitur — która sama o sobie myślała: „Hawa” — nie narzekała na nudę. Już jako lipowy pień przeżyła ekscytujące uderzenie pioruna, podtopienie przez wielką po—

POSOKA SMOKA 367

wódź, dwie schadzki ludzkie i kilkadziesiąt ptasich, nornice między korzeniami, a przez krótki czas była świątkiem na wystawnych procesjach. Po najeździe Inkwizgantów spalono jej ciało, zaś w ocalałej resztki snycerz Małycz wyrzeźbił łyżeczkę do konfitur, którą sprzedał na jarmarku w Nohe. Uratował w ten sposób od głodu dwójkę swoich dzieci. W

sumie miał ich siódemkę, ale z małego kawałka lipy nie udało się już wydłubać ani wykałaczkę.

Tak Hawa trafiła do cholewy wojaka Burnsa i w jego towarzystwie zobaczyła pół

świata. Najmniej może widzieli konfitur. Na zamrożonych moczarach w dalekim kraju Jusim jedzono Hawę smalec wytopiony z tamtejszych centaurów. W podziemiach Morlaku służyła do spożywania win, które od starości nabrały konsystencji galarety. Podczas letniej przeprawy przez góry Harmer—Sykk wojak Burns kurował się przy jej pomocy z ropnej krostowargi, używając trzonka jako zatyczki.

Gdzieś w tym czasie z łyżeczki odłamała się podłużna drzazga. Wprawdzie ranę zeszlifowano, żeby nie raniła ust, ale panoramiczne pole widzenia Ha—wy zawężyło się do trzydziestu sześciu stopni. Z tego powodu nie widziała wielkiej bitwy pod Ozinbreko—quek, zawiewana przez łopoczący na piekielnym wietrze proporzec Siódmego Jaszczurczego Regimentu. Ślepa, ogłuszona bitewnym zgiełkiem, przez sześć godzin wystawała bez nadziei z cholewy martwego Burnsa, który padł podczas pierwszej straceńczej szarży.

Wtedy pojęła prastarą myśl, którą w czasie jednego z zagranicznych wojaży zdradził

jej spotkany przypadkiem cudzoziemski durszlak do makaronu: „Człowiek jest tylko nieistotnym epizodem w bujnym życiu przedmiotów”.

Nastąpiły lata koszmarne.

368 Zbigniew Wojnarowski

Hawa wpadła w ręce wędrownego plemienia Muj—wojów, żyjącego z obdzierania trupów. Poznała istoty prymitywne, żarłoczne, będące krzyżówką człowieka z czymś, czego nikt nie ważył się nazwać po imieniu. W jakichż to haniebnych celach nie wykorzystywano tam łyżeczki do konfitur! Dość rzecz, że Hawa uległa złamaniu w połowie trzonka. Miała nadzieję, że wyląduje na śmietniku i skończy z dotychczasowym półistnieniem. Ale Mujwojowie byli zbyt zachłanni, żeby cokolwiek wyrzucić. Nawet nie wynaleźli śmietników.

Stara żona wodza Lukany używała upokorzonej Hawy do drapania się w osypane łupieżem plecy.

Ale jak po nocy wstaje dzień, tak po latach chudych nastąpiły tłustsze. Żona wodza zmarła, a jej dobytek odziedziczyła wnuczka Pamela Li. Dała trzonek do wyszlifowania i Hawa znów stała się przykłądną łyżeczką do konfitur. Ten, kto ją naprawił, wyłobił nawet na niej stokrotkę, żeby zrekompensować stratę długości. Tyle że odtąd można było sięgać Hawą jedynie do płytkich słoików.

Za to konfitury, które towarzyszyły jej na nowym etapie życia, były w najlepszym gatunku. Wysmażano je z egzotycznych owoców — morfów, pomarań, banatów. Rafinada!

Na usta, w które wkładano Ha—wę, także nie sposób było narzekać. Pachnące, wdzięcznie wykrojone, kraszone wykwinnymi po—madkami. Może tylko stan zębów, kryjących się w głębi, pozostawiał nieco do życzenia. Cóż, Pamela Li celowo usunęła zdrowe siekacze. W jej fachu dało

się w ten sposób podbić cenę za niektóre usługi.

Wykonywała swój zawód wędrując od miasta do miasta, toteż szybko zgubiła Hawę w jednym z burdeli na wyspie Nieznam. Tam też odnalazł ją pod abonamentowym materacem zdolny malarz Rufus

pOSOKA SMOKA 369

praworęczny, zwany Imbryczkiem z uwagi na kształt istotnego szczegółu swej męskiej anatomii.

Tym sposobem łyżeczka dostała się w posiadanie zasłużonej rodziny Walaskesów, gdzie pozostawała do dziś jako własność Walaskesa juniora. Lipa była w okolicach Foksterieru cenionym i poszukiwanym surowcem.

Hawa leżała w mroku zamykanej szafki, wiszącej pomiędzy oknami zamkowej kwatery Walaskesa. Na tej samej półce leżał szkaplerz z wytłaczanym bogiem wojny i gliniana oficerska buława powleczone purpurową glazurą. Ze szkaplerzem nie dało się pogawędzić, gdyż od rana do nocy zajmowało go wyśpiewywanie blaszanym głosem litanii.

Za to buława znała mnóstwo pikantnych historyjek, tyle że świeżo wróciła z naprawy po obłamaniu główki. Nabierała sił.

W szafce było zatem sennie i przygnębiająco.

Znudzona

Hawę

uradował

skrzyp

zawiasów,

zwiastujący

otwieranie

płaskorzeźbionych drzwiczek. Zawsze jakaś odmiana. Ale zaraz potem aż stuknęła z odrazy.

W jej 36—stopniowym polu widzenia pojawiła się okropna twarz. Oko zdawało się z niej sływać, dziurki w zadartym nosie przywodziły na myśl świński ryjek, zęby rosły we wszystkie strony. Coś obrzydliwego!

Po półkach szafki macały trzy okropne dłonie, w tym jedna karłowata. Na szczęście ominęły Hawę. Po brzęku poznała, że wyjmują lakową czarę z niższej półki. Nie zdołały dosięgnąć wyżej.

Powykręcany garbus ustawił naczynie na stole pośrodku komnaty. Wyjął z zapałki woreczek. Zaczepił z niego migotliwego proszku.

Czyniąc to, rozejrzył się podejrzliwie, a jego wzrok padł na szafkę. Podbiegł

niezgrabnym krokiem, żeby domknąć drzwiczki i nie pozostawić śladu swej obecności. Od tej pory Hawa przestała go widzieć. Jesz—

370 Zbigniew Wojnarowski

cze przez chwilę słyszała nerwowe sapanie, potem jakby chłupot, wreszcie wszystko umilkło.

Nim zdążyła się nad tym zastanowić, usłyszała nowe odgłosy.

— Musiałam, waszmość! Ojej, to z tęsknoty! —przymiłał się głosik panny Helwecji.

— Odkąd źli ludzie spalili naszą lubą oberżę, gdzie się podziejemy?

— Ponoć kurestwo się tam odbywało, o jakim wać—panna nie śniłaś! —

odpowiedział głos młodego Wala—skesa. — Na zamku niebezpiecznie afiszować się pospołu. Zobaczy nas ojciec waćpanny i wytnie mi kuranta, że hej! A buławy nie pozwolę tknąć. Świeżo naprawiona po złamaniu, jeszcze niepewna. Jutro musi krzepko się prezentować na uroczystości!

— To może byśmy jego użyli, waszmość, o, jego? Hawa nadal nie widziała, czego dotyczy rozmowa.

— Nic z tego, mówię waćpannie. Już ja znam wać—pannę. Jutro na koniu nie wydolę siedzieć!

— A ja dziś nie wydolę, ojejku! Nie bądźże okrutny, waćpan!... Może by tak spożytkować dla wspólnego dobra, hmmm, może by tak...

Drzwiczki szafki otworzyły się raptownie. Hawa ujrzała tuż przed sobą rumianą, rozochoczoną twarzyczkę panny Helwecji. Niebieskie oczęta rozejrzały się po półkach, białe dłonie klasnęły.

— Wiem!... Może by tak lipową łyżeczkę do konfitur?

W głębi przy stole rozparł się rozczochrany Wala—skes w butach do konnej jazdy.

Hawa widziała go pod ramieniem rozgorączkowanej panny.

— Łyżeczkę waćpanna daj, i owszem! — zgodził się łaskawie. — Ale niczego sobie nie wyobrażaj. Zrelaksujemy się platonicznie dla dobra mojej kariery. Łyżeczką zjemy sobie aby kisiel.

POSOKA SMOKA

371

— Jakież to znowu kisiel? — westchnęła z rezygnacją panna Helwecja.

— A ten tu, o! Dla zdrowia. Widzę, że wierna służba zostawiła nam malinowy kisielek w mojej zdobyczej łąkowej czarce z kampanii w Dupont. O, ho, ho, rznąłem tam, aż miło!...

Panna Helwecja ścisnęła Hawę długimi paznokietkami i rzuciła ją ze złością na stół.

Aż zaboląło.

— Nienawidzę waszmości! Możesz się objadać, czym chcesz, ale nie licz na mój udział w tych zberezeństwach! Nie zamierzam rozpychać talii kisielka—mi!

Poza polem widzenia Hawy trzasnęły drzwi.

Walaskes westchnął z ulgą, zagwizdał pod nosem starą wojskową piosenkę o wesołej śmierci. Hawa poczuła na kibici jego mocne żołnierskie palce. Przed oczami zrobiło jej się malinowo, gdy zanurkowała w otchłań kisielu. Wypełniona nim poszybowała w górę, objęta łagodnym uściskiem warg i języka. Wspólnie uwolniły ją ze słodkiego ciężaru, a przy wyjeździe z ust motylek wąsów połaskotała jej łono.

Nie sprawiło to Hawie przyjemności, do jakiej przywykła. Coś w środku niej tętniło złowrogo niczym atawistyczne wspomnienie o kornikach. Niepokojąco osobliwa była malinowa lepkość, która dzisiaj nie w pełni smakowała znajomą malinową lepkością.

To był najbardziej podejrzany kisiel w życiu Hawy, choć nurzała się do tej pory w niezliczonych le—guminach. Miał w sobie coś nieopisanie mrocznego. Nieprawdziwego.

Jakby oblepiał podstępny sekret, czający się w jego galaretowatym wnętrzu. •

Czyżby garbus przyrządził go z tego dziwnego migotliwego proszku, który w żadnym razie nie wyglądał na maliny?

## **Rozdział czterdziesty dziewiąty**

*w którym mowa jest o losach świata i Walka albo też odwrotnie, jak kto woli* Wystawiając głowę przez dziurę w suficie — bo tędy prowadziło wejście do czarodziejskich komnat — Walek był przekonany, że jedynym ratunkiem jest dla niego śmierć. Niechże smok machnie ogonem i przetnie na pół głupiego chłopca! Niech oddzieli życie od śmierci, dobro od zła, udrękę od spokoju. Po zgonie zamieszka się na strychu w rodzinnej wsi Jagły, będzie się patrzyło, jak synek podраста, będzie się karmiło gruchające gołębie albo opracuje się jaką naukową maszynę do omłotów...

— Wejdz! — usłyszał nad głową.

Zrazu wydało mu się, że pomylił wejście.

Czarodziej Verhun galopował na karym koniu pośród drzew brodatych od mchu. Szył

z łuku do jele—



nia o dorodnym porożu. „Goń!” — krzyczał do myśliwskich psów, których obecność poświadczał trzepotliwy ruch wysokich paproci i krwiożerczy jazgot.

Czarno—srebrzyste szaty Verhuna łopotwały w pędzie.

Uniósł dłoń w skórzanej rękawicy, by wypuścić Isniącopiórego sokoła. Ten pomknął

nisko pomiędzy pniami w pogoni za zwinnym zającem leśnym o niebieskiej sierści. Gdy jeleń kluczył w chaszczach, czarodziej, nie przerywając pogoni, słał strzały ku koronom drzew.

Wyfruwały stamtąd z krzykiem kaczki krzyżówki. Niekiedy Verhun rzucał na boki żelazne paści, w które od ręki łapały się wilki i lisy. Zaś do końskiego łęku przytroczona była wędka ze spławi—kiem z drewna balsy, czekająca swej kolei.

Walek ogarnął tę panoramę jednym rzutem oka.

Na jego widok Verhun odrzucił łuk. Zatoczył wolną dłonią koło na wysokości rozwianej brody. Z czubków palców rozsypał się migotliwy pył, który pomknął w powietrzu po skomplikowanej trajektorii, zbierając w siebie elementy leśnego pejzażu.

Czarodziej przecesał dłonią brodę zmierzwioną od pędu.

Usiadł w wyplatany fotelu, obok okrągłego stolika z piórem, papierem i paterą czubato nasypaną rumianymi jabłkami. Za nim widniała biblioteka pełna zamykanych na klamry woluminów, przed nim piętrzyły się alchemiczne tygle, wypreparowane żaby, magiczne raptularze.

— Jestem zapracowany! — zwierzył się, ocierając pot czarną chustką w srebrzyste gwiazdki. — Tedy dla odprężenia poluję wirtualnie w wolnej chwili. A ty?

— Ja? W wolnej chwili? — zastanowił się Walek. — Za potrzebą pójdę czy jak.

374 Zbigniew Wojnarowski

Verhun wstał zza biurka, zrzucając z ramion szatę do polowań. Pod spodem miał taką samą, tylko czerwoną ze złotymi gwiazdkami, a do niej chusteczkę pod kolor do ocierania potu. Przyglądził obiema rękami długie włosy, wyciągnął dłoń ponad podłogą i wypowiedział

w obcym języku zaklęcie, którego Walek nie zrozumiał.

Był to *fugas prettum*, czar lokomocji, rzucały zwykle dla uniknięcia podsłuchu.

Na środku komnaty wykwitł z podłogowych desek migotliwy półłuk, który urósł na wysokość człowieka. Wypełnił się pulsującym błękitem.

— Chodź! — Verhun wskazał drogę laską czarodzieja. — Tam będzie spokojnie.

Z duszą na ramieniu Walek postąpił jego śladem.

Gdy oblała go błękitna poświata portalu, poczuł ból zębów i silne parcie na pęcherz.

Przymknął powieki, owiany na twarzy przez kłujący podmuch.

Niebo, które rozpościerało się teraz ponad głowami, miało purpurową barwę. Zimny wiatr gnał po nim czarnosiwe obłoki w stronę niebotycznych miast na horyzoncie. Powietrze pachniało wilgocią, choć różowy piasek pod stopami chrząścił sucho i twardo.

Znajdowali się na platformie utworzonej przez szczyt o pionowych zboczach. Góry dookoła przypominały wytknięte ku górze palce — sękaty, nierówne, pomarańczowe. Nie wyrastały z gigantycznych dłoni, lecz nikły w przepastnej czerni mgły ścielącej się w dole.

Czasami zimny podmuch przynosił potępieńcze jęki. Walek nie miał pojęcia, skąd dobiegają.

— Podoba ci się okolica? — zapytał Verhun. Pokraśniał na twarzy od barwy nieba.

Nawet jego

zęby połyskiwały czerwono, gdy otwierał usta. Bry—

POSOKA SMOKA

375

lant na wężowej rękojeści laski niecił w swoim wnętrzu krwawe iskry.

— Tak sobie — odparł oględnie Walek. Czarodziej roześmiał się. W śmiechu nie było już

nic z pozornej życzliwości, jaka zdawała się przebijać z głosu Verhuna po tamtej stronie świetlistej bramy.

— Zdaje ci się, że zginiesz, walcząc ze smokiem i że nie będzie to złe wyjście w zamęcie sprzecznych oczekiwań?

Walek wzruszył ramionami, nie odpowiadając.

— Nie zginiesz! — zapewnił Verhun, wyciągając spod szaty solonego orzeszka i wrzucając go zgrabnie do ust. — Nie zginiesz, ponieważ ci tego zabronię! Weź sobie do serca to, co teraz powiem. Przed wyruszeniem do Doliny Śluzów rzucę na ciebie czar nadochrony.

Nowy czar, którego użyję publicznie po raz pierwszy. Nie ma żadnej mocy. Jeszcze nie opracowano czaru na smoka, choć magowie chaldejscy od dawna się nad tym biedzą, a przy okazji wynaleźli magię demonologiczną i nekromancką. To też im się chwali, bo nie ratując rycerzy od śmierci, można

wszakże animować ich potem jako martwych. O nieskuteczności czaru, o którym mówię, nikt nie wie. I nie może się dowiedzieć, bo brak wiary w czarodziejską moc jest najgorszy dla obywateli. Z tych to przyczyn z wielką pompą rzucę na ciebie czar, który co najwyżej skutkuje przy zatwardzeniu. A i to nie zawsze. Lepsze ziele rzewienia, po którym od razu czujesz ulgę. Choć bywa gazorodne, jeżeli wcześniej spożywałeś turbota, nie przeczę... Zresztą to temat na inną okazję. W każdym razie pojmujesz, o czym mówię?

— O zatwardzeniu?

. — Nie, durniu! O tym, że nie zginiesz! Za jednym zamachem skompromitowałbyś czar i mnie! Życzę

376 Zbigniew Wojnaro<

sobie, żeby dworscy uwierzyli w jego skuteczność. Na tej wierze opieram dalsze plany mojej kariery, które już do ciebie nie należą. Po tobie spodziewam się jednego: że uciekniesz w drodze do smoczej pie. czary. Nie dopuścisz do zgubnej konfrontacji ze smokiem. W

przeciwnym razie obiecuję ci najgorsze, moja w tym głowa.

Doszli do końca platformy, ale Verhun nie zatrzymał się. Postawił nogę w powietrzu i okazało się, że nie spada. Stukając laską, szedł po niewidzialnym moście ponad czarną mgłą kłębiącą się pod stopami. Skinął dłonią na Walka, zachęcając go do pójścia w swoje ślady.

Jakby zamierzał mu udowodnić, że nie da się zginąć bez jego pozwolenia.

Walek niepewnie postawił stopę w powietrzu. Wyczuł pod podszwą twardy grunt, którego nie widziało się niczym szkła lub wody. Z boków wymacał nawet wygodne poręcze, a gdzieś tam w specjalnych zatoczkach ustawiono kolebiące się przy potrąceniu spluwaczki. Wszystko pozostawało niewidoczne i bezdźwięczne. Widziało się tylko bezdenną przepaść pod wiszącymi w powietrzu butami.

— Byli tacy, którzy obiecali mi najgorsze, jeśli ucieknę! — rzekł smętnie Walek.

— Jesteś wolnym człowiekiem. Możesz wybrać, czyją obietnicę wolisz.

Dotarli do grani sąsiedniego wierzchołka. Wyższy szczyt przytykał do niego jak mały palec do serdecznego. W spękanej ścianie otwarła się pionowa szczelina. Weszli w nią i kroczyli w ciemności, prowadzeni zielonym ognikiem, który pojawił się nie wiadomo skąd.

Tu potępieńcze jęki słyszało się z każdym krokiem głośniej, wzmocnione na dodatek przez dudniący pogłos.

pOSOKA SMOKA 377

Korytarz kończył się skalną półką, oświetloną rzędem łuczyw zatkniętych w ścianę.

Stąd Walek zobaczył w dole mrowie ludzi — nagich, półnagich, kapiących od potu, okrwawionych,

jęczących, zgrzytających zębami, łkających. Zamiast nieba wysoko nad nimi zwieszały się gigantyczne nacieki brunatnych skał.

— Podoba ci się okolica? — zapytał po raz drugi Verhun.

Okutym czubkiem laski zatoczył łuk ponad potępieńczą kotliną.

— Co im? — odpowiedział pytaniem Walek. Po jego skórze przepelznął lodowaty dreszcz.

— Nic nadzwyczajnego — odparł Verhun. — Nie żyją. Po skałkach poniżej ich stóp, gdzie ludzkie rzesze

kłębiły się o wyciągnięcie ręki, przepelzły trzy dwu—rękie węzowidła, budząc krótką panikę.

— Nie wyglądają na to — zwątpił Walek.

— Nie żyją za życia. Po zgonie zanimowałem ich skrupulatnie, nie szczędząc czaru —

wyjaśnił Ver—hun. — Nawet myśleć potrafią, choć nie chciałbym czytać w ich myślach.

Kilka kobiet wyło, bijąc głowami o skały. Ktoś inny rozpadł się niczym sparciały worek z ludzkimi wnętrznościami. Na ten widok Verhun zapewnił Walka, że nazajutrz nieszczęśnik znowu będzie jadł kamienie jak przed chwilą, bo umrzeć można tylko raz w życiu. Potem się jedynie pokutuje.

Brodaty mężczyzna pożerał własną rodzinę, samemu będąc jedzonym przez wygłodzone kormorany. Z rozchichotanej topielicy wszystkimi naturalnymi otworami wypełzały węgorze. Ktoś smażył się w smolnym kotle, pod który ktoś inny podkładał drwa z dzikim wyrzutem sumienia w oczach. Ktoś wspinał się na ścianę z aktualnym losem loteryjnym

378 Zbigniew Wojnarowski

w zębach, zawsze spadając w połowie drogi. Ktoś w obłąkaniu czytał zakazaną książkę, która nie kończyła się, gdyż zszyto ją w kółko.

Działo się mnóstwo rzeczy groteskowych, makabrycznych, a zwłaszcza niezrozumiałych, na które Verhun pozwolił do woli patrzeć drżącemu jak osika Wałkowi.

### ***O TYM, JAK ŚWIAT SIĘ NARODZIŁ I JAK ZEMRZE***

*Najpierw twoje oczy oglądają chaos, czarodzieju.*

*Nie pragniesz go w sobie. Próbujesz odurzać się narkotykami. Próbujesz czarów wsobnych. Próbujesz rzucić wszystko, by zostać szczęśliwym gryko—siejem pod niebem pełnym skowronków. Aż któregoś ranka budzisz się pogodzony. Nie w twojej mocy jest zmienić bieg rzeczy.*

*W twojej mocy jest opowiedzieć o drodze.*

*W twojej mocy jest godzić szczęście z bezsilą.*

*W twojej mocy jest wejrzeć w Chaos, skoro był i będzie.*

*Z niego wyłonili się Pradawni Bogowie, by skolonizować świat w miłości. U początku ich panowania Najwyższy Król Freaków ocalił Kryształ Arazun przed hordą Mort Yarpa, po czym wziął za żonę krasnoludzką księżniczkę, ustanawiając Pierwsze Prawo. W bitwie o wyspę Artuum zniszczono Czarny Wir wysysający magię świata. Zrodziły się klany elfów, po nich ludzi. Umarł pierwszy władca Punntów i rozpoczęła się migracja zwana Złotą.*

*Połączone armie Młodszych Krasnoludów i Starszych Elfów rozbiły gangi Starego Świata.*

*Założono twierdze na północy górskiego łańcucha Lajosh i skolonizowano wybrzeża Meri—dan.*

POSOKA SMOKA 379

*Tak kończy się Era Przedustawna.*

*Erę Wtórego Rozwoju rozpoczyna zjednoczenie lokalnych lordów. Na świat przychodzi Durkhal Minóg, przyszedł Wielki Nekromanta. Ostatni wódz Mrocznych Krasnoludów ginie na szafocie, a niedobitki jego watah rozbija podjazd elficko—ludzki w Wąwozie Śmierci. Po odkryciu złóż halucynogennego tetytu w potęgę rosną państwa—miasta Nowego Wspaniałego Świata. Najwyższy Kapłan Memmerth ginie w zamachu inspirowanym przez magów Ktulu, a fakt ten pozwala zjednoczyć pod wspólnym berłem Plemiona Północy.*

*Wnuk Lapto—ra, wsławiony odzyskaniem Kryształu Arazun, uniemożliwia budowę Czarnej Piramidy, niszcząc kabalistyczną cywilizację Uru.*

*Tak kończy się Era Wtórego Rozwoju.*

*Erę Trzeciej Szansy rozpoczyna stworzenie Imperium Słońca w elfickim dorzeczu Lśniących Wód. Wędrowny szczep krasnoludów buduje Ber—bay, uznane za cud nowożytnego świata z racji swoich fruwających ogrodów. Ludzie dobrej woli konfederują się, by pod wspólnym sztandarem pokonać Rasę z Przeklętych Moczarów. W myśl proroctwa prastarej Księgi Oh łamie się potęga króla Derenity. Bitwa Piramid kończy okres smuty, zapoczątkowany przez Gony Pięćsetletnie. W podmorskim imperium Denkado umiera ostatni zły ghul. Metropolia Splasti odbudowuje się po kataklizmach, wkraczając w okres prosperity.*

*W epoce Wielkich Żniw rozpoczyna panowanie król Wali—sław, ku czemu nieodwołalnie zmierzały dzieje.*

*Przez tysiąclecia upadały mroczne dążenia i kwitły siły światła. Skąd zatem wziął się bajzel nasz powszedni, w którym zasypiasz z wieczora i budzisz się z rana? — pytasz sam siebie. Czy*

*przyszedłeś na świat, żeby dać mu świadectwo'? Umniejszyć go? Uzasadnić?*

*Zignorować? Czy on jest tobą, a ty nim?*

*Wyrosłeś z adepta, który odbył żmudne nauki w Sanktuarium Czaszek, przyczepionym do nagie, go zbocza Mglistej Góry w prowincji Meung. Kompleks klasztorno—uniwersytecki zbudowano z milio—nowych czerepów pierwszych ludzi, na których widać kostne narośla rogów, zawiązki kłów szablastych, niecki potrójnych oczodołów, dubeltowe puszki mózgowie...*

*Anatomiczny kalejdoskop, który okazał się ślepą uliczką ewolucji.*

*Zaliczyłeś etapy wiedzy — od magii iluzyjnej po wojenną i demonologiczną — na wykładach zgorzkniałych magów—profesor ów, którzy marzyli o naprawie świata, skończyli zaś w nieopalanych aulach, gdzie nie zdążają z wypełnianiem arkuszy ocen. Rychtują cię w dalekie drogi, wtykają ci w dłoń berło czarodzieja niczym pielgrzymi kostur. Wiesz wszystko, czego mogli cię nauczyć niespełnieni pedagodzy tego i tamtego uniwersum.*

*Wielu z nas kończy jako kapłani wudu. Biegają z kurczakami o obciętych łbach, ochlapując krwią podwórka i zaułki, gdzie się za to płaci. Wywodzą się spośród nich frustraci, megalomani, duży odsetek alkoholików, dogorywających w alchemicznych bimbrowniach.*

*Inni zakładają szpiczastą czapkę z obwisłym rondem i brną przez śnieżne pustkowia, skwarne pustynie, by odnaleźć ostatniego jednorożca, którego odbicie dostrzegli w dzieciństwie na powierzchni leśnego strumienia. Umierają od orczej strzały w przydrożnym rowie, bo nie ma innego sposobu, żeby ocalić jednorożca. Owi są mitomani i łgarze, a także spora liczba ćpunów.*

**pOSOKA SMOKA**

381

*Bywają i tacy, którzy namiętnie ratują świat od Sił Mroku. Tropią je dniem i nocą po zapadłych monarchiach, jakby musieli szukać poza sobą. Miotają złote pierścienie w górskie kratery. Odnajdują w głębinach archanielskie trąby, które pode—rwą do boju Armie Cnoty.*

*Oplatają światy siecią politycznych intryg, warzą trucizny, budzą zmarłych. Z tych są szaleńcy i zbrodniarze, jedyni, o których pamięć nie zaginie. Miewają też aberracje seksualne.*

*Którą drogę obrać — pytasz, zaczepiwszy się w prowincjonalnym królestwie, gdzie dwieście lat ambitnej młodości trawisz na leczeniu królów z dziedzicznych hemoroidów. Świat nie ginie dramatycznie na twoich oczach, świat rozłazi się w szwach jak sparciiała materia.*

*Nie sposób uchwycić końców nitek i powiązać.*

*Wymaga się od ciebie tylko tyle, byś rzucił czar ochronny na mitomana, który planuje ubić smoka. Śni, że zbawi świat. Roi, że jednym cięciem miecza osiągnie to, co nie udało się pokoleniom potężnych czarodziejów, magom sławnym po krańce ziemi, odkrywcom filozoficznego kamienia i formuły życia.*

*A jeśli ów chłystek ma rację? — zastanawiasz się. — Czy wystarczy chcieć i wierzyć?*

*Czy może tak być, że droga do powszechnego szczęścia jest prostsza niż prawią oślepieni własną wiedzą mędracy?*

*Odtąd źle sypiasz, męczy cię zgaga, patrzysz nocami w gwiazdy, aż sumiennie otwierasz wszyst—  
kowiedzące oko w mózgu, którym ujrzałeś początek świata, więc ujrzysz jego koniec.*

*Kondukt żałobny znika w cieniach ruin, które pożerają chorągwie, pochodnie oplecione wawrzy—*

382 Zbigniew Wojnarowski

*nem, feretrony, zawodzące płaczki i trumnę 2e szczątkami Walisława, na której niosą pusty hełm*

*Upadają bogate królestwa Dalekiego Świata przed dziobami okrętów Zdobywcy zakwita zieleń  
nowych lądów. Świat powiększa się niby nadmuchany rybi pęcherz, transportowe karawele toną  
pod ciężarem złota i przypraw korzennych.*

*Tak rozpoczyna się Era Dobrej Nadziei.*

*W lasach Nowej Ziemi ginie ostatni elf, krasnoludy karłowacieją i zaludniają świat alternatywny.  
Ludzka cywilizacja rośnie w potęgę. Od tłoku szerzą się zarazy i kradzieże kieszonkowe.*

*Zagłada dynastycznych władców Słońca podkopuje wszechmoc Sług Stosów. Ginie w pułapce Zły  
Delfin, uwikłany w aferę korupcyjną. Ujarzmia się Wody Stojące, przemieniając je w Parę z  
Nitowanych Kotłów. Ludzie siodłają maszyny, a najwyższy władca Imperium Lwa okazuje się  
podstarzałą kobietą. Tonie Wielka Stalowa Ryba. Skutkiem tragedii magowie poczynają  
sprzedawać wiedzę o złych nawykach. Rodzi się Bestia o czarnych kłach i Bestia o czerwonych  
pazurach, lecz ich dni są policzone, a przewiny zważone. Ludzie z krańców ziemi rozmawiają ze  
sobą poprzez powietrze.*

*Tak kończy się Era Dobrej Nadziei.*

*Rozpoczyna się Era Lepszej Nadziei. Następca tronu ginie od niewidzialnej strzały,  
przepowiedzianej przez centurie. Rodzi się Mag Wszechświatowej Iluzji. Wielkie wojny pustoszą  
królestwa w Stuleciu Wielkich Wojen, po nich nastaje Era Wodnika i przemija. Z*

*pastwisk Imperium Lwa wyradza się plaga Przeżuwaczy, których mózg zatruwa sałatki  
wielowarzywne, zaś w betonowych lasach lęgnie się Przekleństwo Choroby Nadrzecznych  
Małpiałek. Z kosmosu powraca Arazun, kry—*

pOSOKA SMOKA 383

*ształ przeznaczenia, wynosząc na wielkiej fali ryby zwykłe i stalowe, jednako brzuchami do góry.*

*Słońce niespiesznie spala powietrze, nieznani ludzie giną od dotyku nieznanych ludzi w huk, dymie i kurzu krwi. W wielkim mieście dwóch bliźniaczych braci, olbrzymów ze szkła i obłoków,*

*pada od ran niezawinionych, grzebiąc tysiące. Wędrowne ptaki zwiastują nieprzespany sen. Z łona ludzkiej kobiety rodzi się Sztuczny Cieleśny Mag. Huraganowy wiatr niesie niewidzialnych rycerzy, toczących bitwy we wnętrzach ludzkich ciał, by zwyciężyć i zginąć. Nie ma pod niebem nikogo oprócz wrogów. Lody spływają z gór. Niebo czernieje i zapada się w siebie jak podmyty grobowiec. Gwiazdy spadają na złą wróżbę. Umierają Dawni Bogowie, a nowych nie ma komu zrodzić. W dymach niebosiężnych, wrzeniu wód gruntowych, deszczach popiołu i lawy przedwieczny Chaos powraca spod podszewki spraw.*

*Kończą się Przeznaczone Ery.*

*Upadły mroczne imperia pod ciosami świetlistych mieczy, rozpadły się fundamenty światów, dopełniły się dzieje. Nie odwrócił biegu spraw chłystek idący w pojedynkę na smoka.*

*Co masz z nim począć, gdy oto stoi jeszcze przed tobą na tańczącym koniu? Przegnać precz ku zgorzeniu tłumów? Pisać nowe centurie? Ulec nieuchronnemu?*

*Ruszaj śmiało, młodzieńcze! — mówisz mu. — Zabij bestię! Czeka cię sceptr i białe ramiona, i wieczna chwała świata! Ufaj w mój czar, gdyż jestem wielkim świętym magiem!*

*I zaiste — jesteś nim!*

*Cóż wywalczysz w zaciszu tego świata ponad ciepłą posadkę, kielich wina i odrobinę nocnej rozkoszy?*

384 Zbigniew Wojnarowski

— Słuchasz mojej duszy? — szepnął złowrogo Ver—hun. — Uważaj, zuchwalcze!

Możesz wystraszyć się na śmierć!

Stuknął laską w kamienny pomost, gasząc wszystkie pochodnie jednocześnie.

Ludzie na dnie poruszali się teraz w mdłej po—świacie wydzielanej przez ciała tych, którzy smażyli się na rusztach lub płonęli w rozgrzanym oleju. Walek dostrzegł kątem oka, że laska unosi się jeszcze raz. Wytrysnęła z niej długa, trzeszcząca błyskawica, uderzyła w skałę po przeciwnej stronie jęczącej kotliny. Ponad głazami zajaśniały sine kłęby kurzu. Poświata wydobyła z ciemności przedziwnie skomplikowaną maszynę o niewiadomym przeznaczeniu.

— Zrobiłem wszystko, żeby ułatwić ci decyzję. Oto miejsce zarezerwowane dla ciebie

— powiedział Ver—hun, patrząc ponuro w tamtym kierunku. — Jeżeli zachce ci się zginąć, będziesz mnie oglądał stamtąd. Wywelekę z grobu za łeb! Chcesz się już teraz przekonać, jak tam jest? Na próbę!

Kurz opadał, makabryczną maszynę na powrót pochłaniały ciemności. Walek trząsał się z nagłego zimna.



— Nie chcę — odpowiedział drżącym głosem. — Co to za paskudztwo?

— Przekonasz się po śmierci. Żyj, szubrawcze, żyj jak najdłużej! Radzę ci po przyjacielsku. Życie nie jest takie złe w porównaniu...

## **JL %/ozdział pięćdziesiąty**

*który dzieje się*

*w magicznym kredowym kręgu*

Po powrocie od znachorki Jagła zabrała się do odprawiania obrzędu.

Za oknami zmierzchało, a Babucha polecała szarą godzinę jako najsposobniejszą na magiczne ceremonie. Do smoka należało pofrunąć w nocy, niepostrzeżenie. Przyczaić się na skale nad pieczarą i poczekać na pierwsze poranne wyjście gada na siusiu. Z rana zielona plamka na środkowym łbie, zwana enigmą —najczulsze smocze miejsce pokryte niedorozwiniętą skórą — jest najlepiej widoczna. Najwrażliwsza. Wystarczy celny rzut kamieniem, żeby ubić niezwyciężone z pozoru ścierwo!

Rysując na podłodze kredowe koło i otwierając puzderka z magicznymi maściami, Jagła przepowiadała sobie pod nosem wskazówki Babuchy.

386 Zbigniew Wojnarowski

Dziwiło ją jedno. Nigdy nie słyszała, żeby jakiegokolwiek smoczysko miało słaby punkt na środkowym łbie. A jeśli znachorka oszukuje? Połaszczyła się na łatwe pieniądze od naiwnej służki. Żadne ryzyko. Toć jeśli smok dostanie kamieniem w potylicę, na której nie będzie śladu czulej plamki, Jagła nie wróci do Babuchy z pretensjami. Miną wieki, zanim poodnajdują się nawzajem krwawe strzępy, na jakie rozwścieczona bestia rozerwie ufne dziewczę.

— Ale co poczniesz, służko—biedna duszko? — uzaliła się na głos. — Nie ma innego sposobu, żeby ocalić miłość! A po co żyć bez miłości? Tak czy siak, kosztu—cha—ropucha!

Mówiąc to, zwlekła z siebie szaty.

Stanąwszy nago w kredowym kręgu, nasmarowała się od stóp do głów maścią koloru lazuru. Skóra pokryła się zrazu zielonkawą gęsią skórką, ale zaraz wróciła do poprzedniego apetycznego wyglądu.

Teraz Jagła rozpuściła włosy na ramiona. Sprawdziła dłońmi jędrność zgrabnych piersi. Tego co prawda nie było w recepturze Babuchy, ale nie mogła się powstrzymać.

Rozbierając się, zawsze sprawdzała sprężystość biustu. Jak dotąd wynik badania poprawiał jej samopoczucie.

Następnie, już zgodnie ze wskazówkami znachor—ki, obróciła się trzy razy dookoła

— w kierunku zachodzącego słońca. Klasnęła w dłonie. Przy jej ustach pokazała się gęsta para oddechu. Nabrała niebieskawego odcienia.

Ten symptom rozpoczął magiczny proces.

Jagła nabrała na dłoń różową papkę i z kolei nią się nasmarowała. Tak samo dokładnie, łącznie z sutkami, językiem i innymi intymnościami.

Skóra nagrzała się w dwa pacierze. Wydzielała z siebie syczącą mgiełkę różowej pary, która unosząc

POSOKA SMOKA

‘ .....

się pod sufit, zmieniała barwę na bladożółtą. Sama skóra nabierała za to pomarańczowego odcienia. Spod stóp Jagły z cichutkim szumem wypelzały zielone opary.

W ogóle robiło się kolorowo jak na jarmarku w Wielkopusty A jeśli Babucha łąze? — znowu przemknęło Jagle przez stumanioną głowę. Smoki mają skrzydła, kilka łbów, francowaty charakter, krosty na skórze, to święta prawda. Ale kto słyszał kiedy o czulej plamce?

— Ej, matulu, matulu — westchnęła. — Widać już nigdy i nigdzie nie ma dla dziewczyny miłości bez ryzyka!

Rozpostarła na podłodze dywanik, który powiezie ją pod chmurami, gdy zadziała maść. Smok nie usłyszy ludzkich kroków, toteż da się podejść. Tak zapewniała Babucha. Czy przypadkiem nie uśmiechała się wtedy złośliwie? Półgębkiem? Kryjąc szczerbate usta za dłońmi powykręcany przez reumatyzm?

Widać z tego, że największym przekleństwem świata jest reumatyzm, a nie smok. Na smoka Babucha znajdowała radę, a na reumatyzm jakoś nie. Dziwne. Aż Jagła znów poczuła nieokreślony niepokój.

Z przyrodzoną kobiecą dzielnością nie poddawała się zwątpieniu. W szarym świetle zmierzchu uklękła na spłowiałym wełnianym dywaniku. Wzniosła do góry nagie ramiona.

Pomiędzy wyprostowanymi palcami też snuły się żółtozielone mgiełki.

— Smoku—zboku, skryj się w mroku! — zaintonowała zakłęcie, którego nauczyła się od znachorki. —Hajde—majde, cień twój znajdę!

Obie maście połączyły się na skórze i szczerwienia—ły jak krew. Bulgotały w nich bąbelki powietrza, wydostające się przez pory skóry. To tajemnicze zjawisko rozpoczynało drugi etap procesu.

Od tej chwili nie było odwrotu.

Zbigniew Wojnarowski

Wielobarwne dymy i opary, pełzające dotychczas po służbówce, rozwiały się bez śladu. Wokół Jagły zaszumiał wiatr, jej długie włosy uniosły się ponad głowę furkocząc, przesłoniły twarz. Czują na skórze ich trzepotliwe uderzenia.

Trochę bała się tego, co się z nią dzieje. Owszem bywało, że w służbówce przeciąg załaskotał kosmykiem włosów w ucho, bo futryny nieszczelne. Wypaczone. Ale nie było porównania. Teraz zerwał się wicher, cyklon odbierający dech i siły — ale wiał wyłącznie nad chodniczkiem rozłożonym na podłodze. W pozostałych zakątkach służbówki trwał senny spokój.

Choć może nie całkiem.

Pod ścianą przemknęło coś, co wydało się Jagle spasionym czarnym kocurem. Ale skąd tu kot? Na pewno przywidzenie. Emocje. Aż czuła od nich czczość w żołądku. Taki reisefiber nie trząsał nią nawet tego dnia, gdy wyjeżdżała z rodzinnej wsi na królewskie dworzyszcze. Więc skutkiem choroby lo—komocyjnej widziała teraz niewyraźnie. Mrużyła oczy, w które włąziły rozwiewane pukle. Poza tym służbówkę mroczyły już głębokie cienie wieczoru.

A jednak pod ścianą coś się poruszało! Coś, co milczało i nie robiło dobrego wrażenia.

Przeciwnie —mroziło krew w żyłach!

Gdy powiewające włosy odsłoniły na moment widok, Jagła wytrzeszczyła oczy.

W samym środku magicznej translokacji spłynął na nią niepojęty, otchłanny strach.

Naprzeciw — pod ścianą służbówki — stała ona sama. Błada i niema.

Tamte jej ramiona okrywała czarna, zniszczona opończa. Materia zwisała martwo poza zasięgiem szalejącego wiatru. Przyszarzone przez cień włosy były zaplecione w warkocz. Czerwone wargi odsłaniały drobne zęby w grymasie, który mógł być pOSOKA SMOKA

uśmiechem, ale nim nie był. Miał w sobie coś nieludzkiego.

Dziw nad dziwy! O tym znachorka nie uprzedzała, więc Jagła nie wątpiła, że dzieje się coś, co komplikuje wyprawę na smoka. Gdy tamta odgarnęła opończę i w dłoni błysnął

zakrzywiony nóż — biedna służka pojęła, że los ma całkiem inne plany niż ona.

Nie padło ani jedno słowo. W gęstniejącej czerni wieczora ostrze uniosło się ponad obie jasnowłose

głowy. Zatrzepotał warkocz przy gwałtownym ruchu.

Jagła, oblana purpurowym potem bulgocącym jak wrzątek, daremnie usiłowała przerwać obrzęd. Uwolnić się spod władzy magicznego wichru. Uciec z pułapki trzepoczącego dywanika, który odbierał siłę łydkom i udom.

Opuszczony z impetem nóż trafił w szyję u końca zuchwy. Pod uchem.

Trysnęła struga tętniczej krwi, ramiona służki zatrzepotały jak skrzydła zarzynanej kury. Twarzą do ziemi upadła na skraju kredowego koła.

Bliźniacza Jagła czubkiem buta dotknęła ciała pokrytego czerwoną mazią. Wydawało się martwe jak kołek w płocie, ale dla pewności zbadała puls fachowym chwytem palców.

Wiatr cichnący w kredowym kręgu, który wciąż jeszcze muskał włosy służki, rozwichrzył

włosy nad czołem morderczyni. Przyglądała je niecierpliwie, popluwszy na dłoń. Oblizwała machinalnie czubek noża, zanim wytarła go do czysta w jedną z halek odłożonych na zydelku.

Niepokojący uśmiech znikł z jej twarzy, a rysy zyskały przymieszkę tępoty, jakby z wolna traciły wyrazistość.

Przerzuciła warkocz za ramię, żeby wydostać spod opończy szklaną kulę.

— Już! — odezwała się do niej niskim męskim głosem. — Nie żyje!

## **Rozdział pięćdziesiąty pierwszy**

*w którym przybywa smocza gnida, najwstrętniejszy bohater tej opowieści Aby zrozumieć, co się stało, trzeba cofnąć słońce na niebieskiej drodze. O żabi skok.*

W foksterierskim zamku trwa jeszcze ezoteryczna godzina przed zachodem słońca. Z

dala niesie się wieczorne poszczekiwanie psów, ludzie wracają z pól i warsztatów, łakomie myśląc o wieczery. Na przykład o kawale zimnej pieczeni podlanej dzbanem wina. Ech, rozkosz dla podniebienia!...

Jagła otworzyła akurat pierwszy słoiczek, ten z lazurową maścią Babuchy.

W tym czasie krużgankiem pierwszego piętra skradał się Walek. Niby szedł

zamaszystym chłopskim krokiem jak zwykle, ale zarazem przemykał pochylony, podejrzliwie zerkając spode łba. Jakby gnębiło go osobliwe rozdwojenie jaźni. Gdy ujrzał

POSOKA SMOKA

Komnatę Uciętych Łbów, przyczaił się pod osłoną wietrzonych na balustradzie pierzyn. Dwóch znudzonych wartowników sterczało przy drzwiach, pilnując, żeby smokobójca nie zmienił zdania. Ruszyła już państwowa machina smokobitnych uroczystości, zagraniczni goście byli w drodze. Klamka zapadła.

Zgięty wpół Walek wycofał się z pola widzenia tamtych. Dumął ponuro, bębniąc dłonią o udo. Przebierające nerwowo palce wkrótce zwolniły rytm, twarz osłonięta kapturem uniosła się ku sufitowi. Działo się coś nieprzewidzianego. Wymykającego się doświadczeniu.

Walek ani w ząb nie rozumiał odbieranego sygnału. Nadświadomość spływała z góry jak fale.

Jak zapachy. Nieprzyjemne, ciężkie wonie pozbawione uchwytnego źródła.

Zaniepokojony wbiegł na schody.

Wyżej mieściły się oficcerskie kwatery. Z jednych dobiegały wybuchy śmiechu, z innych orgiastyczne pojękiwania, ochania, mlaskania, ciamkania i różnorodne odgłosy trawienne.

— Dość komenderowania! Szybciej, wolniej, głębiej, płycej!... — ubolewał zza drzwi poirytowany baryton. — Kto tu kogo rycka, panno Klaro?!

Za zakrętem korytarza Walek trafił na źródło emanacji. Pociągnął nosem jak pies, zapukał w solidne dębowe drzwi. Nikt nie odpowiedział. Nacisnął klamkę, a zamek ustąpił z ciężkim szczękiem. Dla pewności Walek zapukał jeszcze raz, po czym zniknął we wnętrzu.

Wzdłuż krużganka ciężkim lotem przefrunęła pszczoła, powracająca do barci przed zmierzchem. Z dziedzińca dobiegały przytłumione nawoływania zmieniających się wart. W

którymś z górnych okien męski głos zapytał porywczo, skąd u baronowej pryszcz w takim miejscu? Zaraz zresztą wymienił

392 Zbigniew Wojnarowski

kilka własnych drastycznych hipotez na ten temat Poza tym nic się nie działo.

Niedługo później z komnaty, w której zniknął Walek, wynurzył się Tabrys i swoim kaczym krokiem pobiegł do schodów. Trzy ręce majtały niezdarnie wokół tułowia, garb podskakiwał nad ramieniem jak zapasowa głowa skryta w szatach. Węsząc podejrzliwie, śpiewak kierował się tam, skąd napływała kolejna fala smoczej nadświadomości. Była tak samo intensywna jak poprzednia, a zarazem niosła odmienną konotację.

To wydawało się kompletnie nierealne! Niepojęte!

Tabrys odczekał, aż przejdzie dworzanin niosący tacę ze srebrną pokrywą, spod której sterczał dumny bażanci ogon. Woń pieczystego załaskotała w nos. Dwie rozchichotane dworki czuliły się ze sobą w załomie ściany. W bocznym korytarzu grupka szlach—ciurów hałaśliwie polemizowała na pięści i miecze. Tabrys minął ich niepostrzeżony Zatrzymał się dopiero na trzecim piętrze.

Przez jego ciało przebiegł nagły dreszcz. Zdawało się, że roztrzęsie członki po pustym krużganku. Dygocącymi rękami śpiewak narzucił kaptur na głowę i przykucnął nakryty opończą po czubki ciżm. Czarno farbowane sukno uparcie wykonywało na nim dramatyczne ruchy. Wydymało się, zmieniało kształt, podskakiwało, aż uniosło się razem z człowiekiem powstającym z kucek. Spłynęło z ramion, przybierając znajomy kształt opończy.

Tyle że to już nie były ramiona Tabrysa.

Deyerpoth otrząsnął się jak pies wychodzący z wody, zsunął kaptur na czoło i ruszył

przed siebie sprężystym krokiem, z tułowiem nieznacznie odchylonym w lewo. W tej pozie kręgosłup najmniej mu dokuczał.

pOSOKA SMOKA

393

Fala mentalna wciąż spływała z góry. Potężniała na kształt wodospadu. Nawoływała.

Alarmowała.

Coś podobnego nigdy dotychczas nie miało miejsca!

Deyerpoth zatrzymał się za otwartymi na oścież drzwiami kredensu. Tam nie był

widoczny dla przechodzących. Z zakamarków odzieży wyciągnął szklaną kulę, wypucował ją starannie rękawem. Zaśniła migotliwie, w środku zamajaczyła daleka twarz. Chybotąła, jakby odbiła się na powierzchni wody.

— Oprejtor! — odezwał się półgłosem Deyerpoth. — Hej, Oprejtor!

Twarz z wolna nabrała życia. Uniosły się ciężkie powieki, wąsy zwisające jak dwa sznureczki poruszyły się pod tchnieniem oddechu. Na środku czoła sterczała potężna, brunatna narośl skórna. Przypominała karłowaty róg.

Cienkie usta rozchyliły się z ledwie słyszalnym mlaśnięciem.

— Co tam, Ower?

— Coś nie tak, Oprejtor! — odszepnął mężczyzna wyglądający jak Deyerpoth. —

Mamy niedokładne namiary! Figurant nie podchodzi mi na smokobójcę. Fala trzeci raz samoczynnie się przekierowuje.

— To ten cholerny świr Dubinek! — warknęła mętna twarz z wnętrza szklanej kuli.

— Przeżył podobno załamanie nerwowe czy odrodzenie moralne, jakieś takie gównno w każdym

razie! Wtrynił nam złe dane, kutas!

— Co w związku z tym, Oprejtor?

— Jajco! Po prostu nie przerywaj akcji, Ower. Tylko tyle! Nie przerywaj! Zlokalizuj falę na własną rękę i eliminuj! Tyle chyba potrafisz bez instrukcji?

— Robi się, Oprejtor!

Połączenie przerwano. W szklanej kuli pływały te—

394

Zbigniew Wojnarowski

raz małe niebieskie rybki w płaskich czapeczkach. Obraz kontrolny stanu „gotowość komunikacyjna”.

Zanim kula znikła pod opończą, Ower z mściwą satysfakcją napluł w miejsce, gdzie przed chwilą widniała twarz Oprejtora. Mruknął pod nosem obelgę i starannie wytarł

plwocinę rękawem, aż szkło zajaśniało.

Mała rzecz, a cieszy!

Wyjrzał zza drzwi kredensu. Na krużganku żywego ducha. Fala szła znad powały.

Ower znów skierował się do schodów. Wyżej ganki były drewniane i tworzyły kilkupoziomową płataninę, jak zwykle na piętrach dla służby, niemniej bez trudu znalazł

właściwe drzwi. Impulsy wydobywały się zza nich z niespotykaną intensywnością. Przyłożył

oko do dziurki od klucza, wciągnął w nozdrza nowy zapach. Opończa znów podskakiwała na nim jak żywa. Krzywiąc się z bólu w kolejnym rzucie mimikry — przybrał powierzchowność Jagły.

Tym razem dalej nie poszło gładko.

Z drzwi obok wyszedł nieoczekiwanie zamkowy pucybut Rymsza, wredny podrywacz i napaleniec. Mijając Owera uszczypnął go w pośladek, zgrabnie wsuwając rękę pod czarną opończę.

— Nosisz żałobę, Jagła? Po dziewictwie chyba?

— Spieszę się! — burknął Ower, zmieniając głos. Rymsza uśmiechnął się obleśnie.

— Potrafię szybciej niż królik, co ty na to? Mogę to robić po drodze, nie będę cię nawet zatrzymywał! Umiem w powozie, na mrozie, na kozie!...

— Przepuść mnie, proszę.

— Ale kiedy dzisiaj, Jagła, dzisiaj jesteś taka ponętna, psiakrew! Jak nigdy!

Na gankach leży się wieczorne cienie. Razem z Rymsza wydostał się z pomieszczenia zapach stę—

POSOKA SMOKA

395

chlizny. Ktoś znowu pytał baronową o przyszcz, najwidoczniej nie mogąc stłumić zadróści. W półmroku Ower poczuł rękę napalonego pucybuta pomiędzy udami. W

pierwszym odruchu wyrwał się z oburzeniem, ale gdy tamten nie zrezygnował, uznał, że nie ma chwili do stracenia.

Zarzucił opończę na głowę i wypiął tyłek.

— Migiem! Szybciej niż królik! — zapowiedział poirytowany.

Ower był smoczą gnidą, życie zaś smoczej gnidy wymaga nie lada poświęceń. W

zamian, naturalnie, daje pożytki, jakich nie doświadcza typowy zjadacz chleba. Pozwala uniknąć biedy, bezrobocia, niezaspokojonych pokus, rozterek sumienia. Wstręt do siebie trzeba przełamywać tylko raz — kiedy człowiek opowiada się po stronie smoka przeciwko ludziom. Dalej idzie z górki.

Obciążkami wyciskało się wągry na smoczej skórze twardej jak podeszwa.

Wydłubywało się resztki pożywienia spomiędzy niezliczonych zębisk.

Usuwało się gnój z pieczary.

Drapało się grabiami po gnuśnym brzuszysku, gdy rozleniwiona gadzina miała na to chęć.

Dla poprawienia smoczego humoru wydłubywało się smocze babole z trzech par wielkich smoczych nozdrzy.

Żeby przynieść ulgę w boleściach — lizało się bestii smrodliwe hemoroidy z głową w kloace głębokiej jak studnia.

W zamian korzystało się dla prywatnych celów z magicznej smoczej energii, piło się za klejnociki uszczknięte z wiekowych skarbów, nie odpowiadało się za świństwa wyczyniane bez zahamowań po okolicznych grodach.

396 Zbigniew Wojnarowski

Chroniło się gada jak źrenicę oka. Dzień i noc.

Był gwarancją życiowego powodzenia. Przepustką do szczęścia.



Nie wzbraniając Rymszy pośladek — Ower miał absolutną pewność, że tak trzeba.

Dla dobra sprawy. Poza tym to nawet nie była jego dupa, mimo że chwilowo nią dysponował.

Rzecz jasna, osobiście nie wątpił, że pucybut zaciekle dupczy jego, nie jakąś nieznaną dziewczuchę. Dupczy, aż klaskanie niesie się po gankach! Ale co z tego? Gdzie świadkowie upokorzenia? Stare głuche niebo widziało nie takie rzeczy, a nikogo więcej tu nie ma! Gdy opuści się na koniec opończę na zadek, wszystko będzie po staremu. Poczciwy świat migiem wróci do normy.

Ower odmówił pucybutowi buziaka na pożegnanie tylko dlatego, że naprawdę nie miał czasu. Smocze fale tłukły w mózg jak wodospad. Za drzwiami dziewczyna, której skopiowane ciało Ower przywłaszczył, ulegała jak najgorszym skłonnościom w stosunku do smoka.

Odczekawszy, aż rad z siebie pucybut odejdzie dopinając sączek przy spodniach, okutana w opończę gnida wślizgnęła się cichcem do służbówki.

Na dywaniku klęczała naguska wysmarowana maścią lokomocyjną. Jej włosy rozwiewał magiczny eol, jej emocje zjadał lęk, jej. myśli zatruło smokobi—cie. Nie wyglądała na zabójcę — ale Ower nie miał wątpliwości, że nim jest! Smokożercze impulsy mentalne szalały po komnatce jak huragan. Opanowana nieodpartą żądzą krwi — dzierlatka była w zasadzie bezbronna.

Ower wydobyl nóż spod opończy i uderzył w miejsce, które pomiędzy sobą — smoczymi gnidami — nazywali enigmą. Czułym punktem.

Trzepocząc jak zdekapitowana kura, naguska

POSOKA SMOKA 397

upadła w kredowym kręgu twarzą do podłogi. Gdy znieruchomiała, Ower trącił ją butem raz i drugi, sprawdził puls.

Była martwa jak ćwiek w desce.

Palcem umoczoną w bulgocącej jeszcze maści nakreślił na ścianie krwistoczerwoną czwórkę obróconą do góry nogami. Prastary smoczy Znak Rongo. Najtajniejszy z tajnych.

Kilka takich samych smocze gnidy umieściły w zamku na stałe. Umożliwiały przenikanie przez ścianę do pomieszczeń, które z sobą nie sąsiadują. Kradło się w ten sposób lekko jak ptak śpiewa.

Zwykle gnidy pustoszyły tę samą zasobną piwniczkę, położoną obok zamkowego skarbcza. Na klejnotach im nie zależało, bo w smoczym gnieździe miały tego po dziurki w nosie. Piwniczka kryła bardziej łakome dobra.

Ower także do niej przeniknął, żeby nie wracać do pieczary z pustymi rękami. Zabrał

na plecy sporą baryłkę. Ze smoczej energii, którą napakował się przed wyprawą, wysortował

halucynogeny. Dzięki nim minął strażę przy bramie jako kulawy wieśniak, dźwigający na ramieniu beczące jagniątko. Żołnierze ani na niego nie spojrzeli.

Mało kto zdawał sobie sprawę, że na świecie istnieją smocze gnidy.

## **R ozdzał pięćdziesiąty drugi**

*w którym roi się od świętych, choć w zasadzie nie ma mowy o świętości* Walisław polecił Dukakisowi wyszukanie w kodeksach sposobów nieprawnej nobilitacji. Bywały oczywiste, gdy na przykład uszlachcany umierał na ropne wrzody przed finałem ceremonii bądź w wyniku żenującej pomyłki okazywał się bul terierem. Ale bywały też zawikłane, kiedy na przykład zachodziło domniemanie, że uszlachcany spał podczas aktu nadania i śnił obraźliwie względem majestatu. W rezultacie Walisław zdecydował się na nieprawidłowy przebieg ceremonii jako prawną podstawę przyszej kasacji.

— Może potknę się, kładąc mu miecz na ramieniu? — poradził się małżonki.

— Zrobisz sobie krzywdę, *mon cheri* — obruszyła

POSOKA SMOKA

399

się Dobrodawka. — I będziesz wyglądał jak niezguła. To ma być prawny kruczek, nie operetka.

Walisław założył ręce za plecami i przespacerował się wzdłuż arrasu przedstawiającego aleję parkową w pogodny dzień.

— A gdybym powiedział: „Szczytuję szczęśliwie”, zamiast „Uszczęśliwiam zaszczytnie”?

— Kto ci uwierzy, *mon cheri* — westchnęła królowa.

Król zawrócił wzdłuż tej samej alejki.

— Wiem! Założę strój do konnej jazdy, wejdę tyłem i zwrócę się do kuchcika! Czy kuchcików zapraszamy na uroczystości? Nigdy nie zwróciłem uwagi.

— *Mon cheri*, zostaw to na mojej głowie — uspokoiła go królowa. — Zdrzemnij się, żebyś jutro nie obnosił worów pod oczami. Znów pójdzie fama, że masz tasiemca.

— Pijesz do koronacji Zeffa Longbardzkiego? — obruszył się Walisław. — To czysta złośliwość! Wtedy naprawdę miałem tasiemca.

— Ależ mnie nie przeszkadzają bynajmniej twoje tasiemce, *mon cheri*, tylko plotki na ich temat! Są niesmaczne!

Klasnęła na dworkę i nakazała, żeby sprowadzono Walka do oranżerii. Miała powody, żeby spotkać

się z nim właśnie tam.

— Oranżeria? — mruknął ze złością Walisław po wyjściu małżonki. — Że też sam na to nie wpadłem, psia jucha! Ale kto słyszał za moich czasów, żeby oranżeria unieważniała szlachectwo? Wywrotowe li—

• beralne nowinki!

Gdyby smokobójcy nie zaanonsowano, Dobrodawka nie rozpoznałaby go. Stojąc pośród palm i piętrowych pater ze słodkimi rogalikami, był cieniem czerstwego wieśniaka, którego pamiętała z ceremo—

400 Zbigniew Wojnarowski

nii powitalnej. W trakcie pojedynku na dziedzińcu nie zwróciła już na niego uwagi.

Bogata muskulatura herszta bardziej przyciągała damski wzrok.

— Zmizerniałeś! Czy aby nie masz tasiemca, dobry człowieku? — zainteresowała się wspaniałomyślnie, a ponieważ Walek nie zrozumiał, wytłumaczyła: — Takiego robaka w przewodzie wewnętrznym.

— Bo ja wiem, czy sam przewód mam? — poddał się zwątpieniu Walek. — Wiodę się z najbiedniejszych poddanych.

Im bliżej smokobicia, tym skwapliwiej wątpił we wszystko prócz własnej nędzy.

— Każdy ma przewód — wzruszyła ramionami królowa. — Choć w istocie dziwne, żebym ja tak jak ty... Doprawdy, dziwne. Usiądź i skosztuj rogalika, dobry człowieku.

Gdy Walek przeżuwał z tępą miną, jakby myślami krążył gdzie indziej, skinęła, żeby nalano mu kawy, po czym osobiście doprawiła ją śmietanką.

— Zatem jutro zamierzasz ubić smoka? — podjęła rozmowę.

— Bo ja wiem? — zwątpił konsekwentnie Walek.

— Czyżbyś nie był zdecydowany? — uśmiechnęła się surowo królowa i zaraz spoważniała. — Dla naszej rozmowy tak jest właściwie lepiej.

— Tak? — zdziwił się Walek, wachając kawę.

Ze śmietanką wydawała mu się inna niż podczas kolacji, kiedy śmietankę wypił

osobno, a kawę osobno.

Dobrodawka nie odpowiedziała, za to łaskawą monarszą ręką podała mu cukiernicę, z której wziął

kostkę cukru i włożył do ust, cmokając.

Za szklanymi ścianami oranżerii trwał jesienny wieczór. Oliwne lampki odbijały się w szybach. Pachniało kawą, figowcami, papuzim łajnem.

pOSOKA SMOKA

401

— Biedne nasze królestwo, gdy tak nad nim czarna noc zapada — uzaliła się refleksyjnie królowa.

— W dzień też z nim nie lepiej — pocieszył ją Walek.

— Święta prawda! — Dobrodawka ruchem dłoni odprawiła dworękę. — Z

przyjemnością widzę, że mówimy tym samym językiem, dobry człowieku. Oboje łamiemy głowę nad przyszłością niewinnej krainy. Wiesz ty, czego jej niezbędnie potrzeba?

— A jakże! Pieniądzy! — zgadł Walek. — Jak każdemu!

Królowa zachnęła się, ale rychło przywołała na twarz ten sam wyraz cierpliwej troski.

— O, tak. Na pewno masz wiele racji. Niemniej pieniądze to nie wszystko.

— Więcej pieniędzy! — poprawił się Walek.

— Być może, być może! Dajmy temu spokój na razie... — Dobrodawka przechyliła się poufale przez ogrodowy stół, aż jej piersi łysnęły ku Wałkowi ponętą mleczną bielą. —

Powiem wprost, dobry człowieku! Przykładu trzeba! Dobrego bogobojnego przykładu!

Takiego, jaki dajesz swoją osobą. Gdyby w twe ślady poszło więcej poddanych...

— Nie starczyłoby smoków — sprowadził ją na ziemię Walek.

Wyczuwał w rozmowie nerwowe napięcie, które mu się udzielało. Ledwie utrzymał

filizankę, gdy z zarośli mandarynowca wybiegł paw i wrzasnął tuż za jego plecami. Na królowej nie zrobiło to wrażenia.

— Och, nie zawsze ginie smok — przypomniała znacząco. — Szczerze mówiąc, zwykle dzieje się odwrotnie. Dlatego pojedynczy smok wystarcza dla wielu smokobójców.

Życzę ci naturalnie, żebyś okazał się wyjątkiem, ale nie bądźmy naiwni. Co zatem począć? W

naszej ludzkiej mocy jest tylko jedno: kię—

402 Zbigniew Wojnarowski

skę zamienić w tryumf. Wezwałam cię, aby pomócić o tym na osobności. Smaczne rogaliki? Może jeszcze?

— Nie zaszkodzą? — zwątpił Walek, ale posłusznie wziął następnego.

— Człowiekowi szkodzi co innego niż rogalik z konfiturą. Zła religia, wyznawana w zgubnej głupocie.

Dobrodawka wstała i poprawiła mantylkę na dekolcie.

— Pójdź za mną! — zachęciła tajemniczo Walka, niknąc w bocznej alejce, nad którą zwieszały się dorodne kule pomarańcz i cytryn.

Pod nogami chrzęścił żwir, w zaroślach nielotne papugi z tropików klęły w żywy kamień Longbardię i jej podły ustrój polityczny.

Na skrzyżowaniu alejek lśniła porośnięta nenufarami sadzawka. Pośrodku wykafelkowanego basenu stał na podwyższeniu golas gęsto osypany marmurowym proszkiem, opleciony powojem z egzotycznych deszczowych lasów. Uśmiechał się czołobitnie, trzymając w uniesionej ręce wagę. Co rusz zmieniał wykro—czną nogę dla odpoczynku, co wyglądało jak dostojny tan.

— Błogosławiony Luzeniusz — objaśniła królowa. — Miał stragan z towarami sypkimi na podzamczu i nie zdarzyło się, żeby nie dowążył. Zaszczytne przykłady dla kupieckiego stanu. Tylko trzymana przezeń waga nieoryginalna, bo oryginalna ma coś nie tak z po—działką.

Poszli dalej pośród odurzających woni.

Królowa poprzedzała Walka, wydzielając elegancki zapach werbeny. Nie tylko odurzał, ale onieśmiał. Paraliżował wolę.

Rozchyliła zarośla, w których krył się następny golas.

POSOKA SMOKA

403

— Błogosławiony Brum. — Wskazała go dłonią ciężką od błyskotek. — Przez trzy lata po ślubie nie dopuścił się zdrady i małżonce także nie zezwolił. Zabił niewierną przy pierwszym podejrzeniu.

Na kolejnym postumencie stał obrośnięty golas z kolanami uwalanymi świeżą ziemią. Powyżej był czysty, a nawet pachniał wodą kolońską tak intensywnie, jakby go w niej wykąpano. Skłonił się na widok majestatu, usłużnie wyciągając dłoń z zapisaną karteczką.

Królowa odebrała ją wspaniałomyślnie.

— Święty Dubinek, póki co nieoficjalny — objaśniła Wałkowi, podczas gdy golas uśmiechnął się skromnie. — Były żebrak. Wczoraj przeżył najpiękniejszą iluminację w dziejach królestwa. Odrodził

się z grzechu, dźwignął z upadku. Wspaniały nabytek dla nowej religii, którą zamierzam szerzyć ku pobożności poddanych. Kult jest na razie w powijakach, toteż święci nie zdążyli pomrzeć. Z latami staną tu rzecz jasna stosowne złote posągi męczenników obwieszane przez wota dziękczynne.

Prowadząc Walka alejkami, królowa zaprezentowała mu jeszcze kilku błogosławionych mężów z atrybutami ich chluby, a nawet dwie święte damy golutkie od stóp do głów. Nie przerywając przechadzki, wydała służbie odpowiednie dyspozycje po przeczytaniu karteczki od Dubinka. Donosił w niej, że święty Mamacy gwizdże sprośne piosenki, kiedy nikogo nie ma w oranżerii, a święta Alpuhara maluje sutki liściem drzewa korkowego, żeby przyćmić urodą innych świętych.

Idąc tak spacerkiem, doszli na powrót do kwadratowej sadzawki z nenufarami. Tam Dobrodawka położyła Wałkowi dłonie na piersi i szepnęła:

— Męczennika nam trzeba! Wspaniałe to postacie,

404 Zbigniew Wojnarowski

rzadkiej świętości, ale królestwu trzeba więcej. Męczennika! Pierwszego, który położył głowę za naszą nową wiarę.

— Aha — przytaknął apatycznie Walek.

— Nie aha, tylko o tobie mówię, dobry człowieku! — wyjaśniła Dobrodawka. —

Skoro masz zginąć, zgiń z korzyścią!

Tyle osiągnęła, że po raz pierwszy wyrwała smo—kobójcę ze stanu zwątpienia.

Zaprotestował całkiem żwawo. »

Toteż wyjaśniła niestrudzenie, że dla społecznego dobra należy zmienić wymowę faktów. Ta sama śmierć zdolna jest wpędzić lud w depresję lub wzbudzić w nim euforię.

Zależnie od tego, czy uzna ją za sromotną klęskę, czy za świadome poświęcenie. Należy tylko podpowiedzieć poddanym, co myślą.

— Widzisz laur? — Królowa pokazała na gąszcz bobkowych listków, w którym szemrała ukryta fontanna. — Rzucimy ci taki na doczesne szczątki, obsypimy je płatkami róż, skropimy wonnościami i przez rok możemy cię eksponować, byłeś nie cuchnął ponad miarę, pamiętaj! Spraw nam radość swoim zgonem. Daj ludowi weselić się w jego smutnym życiu, zamiast przymuszać niewinnych do zbytecznego płaczu.

— Mnie też weselej za życia! — uparł się Walek. Na wszystko mógł przystać, ale nie na swój zgon!

To by się mogło dla niego źle skończyć! Przed oczami stał mu jak żywy Verhun i jego pandemonium śmierci. Też jak żywe!

Królowa zaśmiała się perliście niczym z żartu.

— Uparciuszek! Ile takiego trzeba naprzekony—wać, zanim przełamie opór skromności! No to skoro —śmy zdecydowali się na twoją śmierć...

— Ja nie! — zaprzeczył Walek.

## POSOKA SMOKA

405

— Ale ja tak, dobry człowieku! — rzekła sucho królowa. — Oddasz życie za świętą sprawę. Jeszcze dziś każę rozpisać konkurs na modlitwę do ciebie i na projekt pomnika. W

złoto żyłkowanym marmurze z Korregidy. Osobiście podsunę artystom pomysł. Stojąc na postumencie, będziesz niósł w dłoniach swoją odgryzioną przez smoka głowę. To wzruszające. A jakie ekonomiczne! Kiedy posągi niszczeją, przeważnie odpada im głowa, co twojemu się nie przydarzy. Aby nie pozostawić cię jednak z wątpliwościami, przedstawię ci na pożegnanie ciekawe widowisko!

Spośród krzewów liliowej rivii z Eos wyciągnęła klatkę z wydrą.

— Moja ulubienica! — wyznała z uśmiechem, chwytając za obręcz u szczytu, aby zanurzyć klatkę w sadzawce. — Luba Mopcia, która potrafi papucie przynieść do łóżka. Albo zatańczy chodzonego z własnym ogonem! Kochane stworzenie!

W jednej chwili woda zakotłowała się i speniła krasną pianą.

Dobrodawka z uśmiechem podciągnęła klatkę do góry.

Wewnątrz Walek ujrzał ze zgrozą ogryziony szkielecik Mopci. Najgorsze było, że biedny kościotrupek wciąż żył. Wił się po klatce, wydając rozpaczliwe odgłosy. Pośród kości lśniły mokrą czerwienią narządy wewnętrzne, tu i tam zostały resztki ścięgien lub niedojedzone włókna mięśniowe. Rozmazywana krew barwiła mozaikową podłogę klatki.

— Małe brzydkie rybki z zamorskich rzek! — wyjaśniła zagadkę królowa, kręcąc klatką dla lepszego widoku. — Straszne żarłoczki, ale litościwe z natury. Widzisz? Zjedzą, a nie ukatrupią. Ich ślina zawiera narkotyk, który latami konserwuje procesy życiowe.

406 Zbigniew Wojnarowski

Doskonale też wpływa na jędrność piersi, ale to ci akurat niepotrzebne. Codziennie karmię żarłoczki do syta, żeby nie podgryzały nenufarów, bo drogie. Jesteś zdania, że z takim życiem jak Mopci nadal byłoby ci wesoło?

Otuliła dekolt mantylka i odeszła, zostawiając Walka na brzegu upiornej sadzawki.

Żwir alejki chrząścił złowrogo pod jej stopami. Zanim znikła wśród egzotycznie woniejących roślin, obejrzała się.

— Byłabym zapomniała — dorzuciła od niechcienia. — Czuj się szlachcicem.

Gratuluje. A jutro mam nadzieję zobaczyć cię na marach, dobry człowieku. Nie spraw mi zawodu. Nie próbuj ucieczki. Mam ręce dłuższe niż sam król!

\

## **R ozdial pięćdziesiąty trzeci**

*w którym mag Teleportas robi z łaźiebna „Kaczuszki” interesy na łączną kwotę dwudziestu pięciu sut*

Mag Teleportas odmaczał brud niewoli w jednej —z drewnianych kadzi, będących na wyposażeniu „Kaczuszki”, miejskiej łaźni w przygranicznym Nu—mes. Rozwieszona prześcieradła, oddzielające go od reszty pomieszczenia, tchnęły studziennym zapachem. Raz po raz przesuwiał się po nich cień nagiej dziewczeczki lub brzuchacza opasanego ręcznikiem, którzy przechodzili po tamtej stronie. Wyglądali jak bezszelestne duchy, błędzące w zaświatach wypełnionych parą i odgłosami chlapania. Nic nie zakłócało relaksu maga w trzyosobowej kadzi wynajętej na indywidualną kąpiel. Ta przyjemność kosztowała aż pięć sut, ale w cenę wliczono kompleksowe usługi ła—ziebnej. Dolewała wrzątku z cebrzyka, tarła plecy

408 Zbigniew Wojnarowski

ryżową szczotką, sypała do wody rumianek. Za dodatkowego sut zabrała szaty do uprania i przysrzygła skołtuniony zarost maga.

Teleportasowi zostało w sakiewce dziewiętnaście sut. Pokażna kwota jak na kogoś, kto o zachodzie słońca nie miał przy duszy złamanego fekela.

Zajrzał wtedy do gospody z nadzieją, że uprosi w kuchni o resztki. Skutkiem burzliwych przeżyć wewnętrznych jego solarna mana chwilowo materia—lizowała asympaty.

Zamiast upragnionego grochu z boczkiem, wyczarował się serwis do kawy z foczego futra.

Może awangardowe dzieło sztuki, ale nie obiad!

W gospodzie Wielki Mag przysiadł się do strojnie ubranego młodzieńca, który cierpiał

na brak apetytu nad stygnącą pieczenia z groszkiem. Trzy dni wcześniej porzuciła go ukochana. Teleportas zorientował się, że przygodny towarzysz bierze go za wróżbiarza trzeciej gildii, ale nie zaprzeczał.

Wywróżył mu z linii papilarnych odmianę uczuć ukochanej, ślub, piątkę udanych dzieci. Po namyśle dorzucił fortunę u schyłku roku. Niespodziewany spadek.



Biorąc zimną dłoń tamtego w swoje ręce, od razu wyczuł śmierć. Za półtora tygodnia młodzieńca potrafi rozpędzona karoca i dzień później zemrze w męczarniach. Jednakże Teleportas nie miał sumienia zatruwać ostatnich dni nieszczęśnika. Przydał jego przyszłości różowych kolorów. Swojej przy okazji także, bo wniebowzięty prorocstwem strojniś z własnej nieprzymuszonej woli wyliczył mu dwadzieścia pięć sut na rękę. Dzięki temu Wielki Mag moczył się w „Kaczuszcze” z uczuciem rozkosznego rozleniwienia.

Niestety, nawet najlepsze ludzkie czyny wracają

## POSOKA SMOKA

409

niekiedy jako klątwa. Wieszczą domena w mózgowej korze Teleportasa, pobudzona nie w porę nad cielecą pieczenia, nie ustawała w pracy. Na powierzchni wody pojawiały się bez ustanku falujące prorocze wizje, poprzerastane mydlaną pianą i rumiankiem.

Teleportas przypatrywał im się zmrożony grozą.

Daremnie szukał zaprzeczenia, wprawivszy się w stan rekongresji. To były autentyczne perfumy jutrzejszego dnia. Tego, który zaświta lada chwila, bo węzły spalających się sznurów pokazywały, że dawno minęła północ.

— Niech będę przeklęty! — jęknął Teleportas. Sam sobie nie umiał mydlić oczu różowymi kolorami jutra.

Na dźwięk jego jęku rozchełstana, lśniąca od pary i potu łaźiebna zatrzymała się z uniesionym cebrzykiem w dłoniach.

— Za gorąca? Nie dolewać?

— W sam raz! Nalewaj, kobieto, a bystro! — popędził ją Teleportas, wskazując palcem tam, gdzie jego wizja rozpryskiwała się w strugach lanego z góry wrzątku. —

Ujrzałem w wodzie coś fatalnego!

Łaźiebna zerknęła ciekawie we wskazane miejsce, ale pod powierzchnią dostrzegła tylko smętnie skurczone genitalia okolone pasmem starczej siwizny.

— Ano, sympatyczny ci nie jest, ale przynajmniej nie odpadł! — pocieszyła, bo klientowi płacącemu sześć sut należy się grzeczne traktowanie.

— Milcz, niemądra babo! — ofuknął ją mag. — Ujrzałem tam śmierć!

— Matko najmilejsza! Czyją? Moją?

Posługaczki w „Kaczuszcze” bywały niezbyt rozgarniętymi, wiecznie mokrymi babami, które łatwo

rozsięwały histeryczne emocje. Nie palono ich na stosach dlatego, że zazwyczaj nie chciały się zająć.

410 Zbigniew Wojnarowski

Wobec absurdałnego domysłu Teleportas oprzytomniał.

— Skądże! — uspokoił posługaczkę. — Okiełznaj megalomanię, łaziebna kobieto! Co ma świat proroctw do twojej małej głupiej śmierci? Widziałem okiem jaźni wstrząsającą walkę ze smokiem! Bój, który odcisnie się na świadomości pokoleń jak pieczęć z czerwonego laku! Widziałem krew i zniszczenie! Pojmujesz? Widziałem posokę smoka, zraszającą świat spod chmur na podobieństwo jesiennej ulewy!

Łaziebna przyglądała się magowi nieprzekonana.

— To, znaczy się, dobrze czy źle?

Teleportas nie usłyszał pytania. Z otchłannym bólem skrył twarz w mokrych dłoniach.

— O, ja nieszczęsny! Po cóżem sikał pod świętym dębem w tamerlańskim lesie!

Gdyby nie porwali mnie tam piraci, gdybym nie dostał się we władzę straszego człowieka o twarzy zebry, gdybym przerwał ciąg fenomenów, gdyby zgubne proroctwo nie objawiło się w naszym świecie... — wyliczał martwym głosem, zanim przerwał wątek w pół zdania. — Tyle razy sikałem pod drzewami całkiem bezkarnie! Ot, tak, dla opróżnienia pęcherza, nie szkodząc przeznaczeniu świata... Dlaczego tym razem nie przewidziałem następstw? To tylko moja wina, moja wielka wina! Nie do odkupienia!

— Dobrze z wami, panie? — zaniepokoiła się łaziebna. — Może woda za gorąca?

Co? Duszności wam nie dokuczają?

Gdy Teleportas odjął dłonie od spierzchniętej twarzy, wydawał się innym człowiekiem. Złamanym przez życie. Jakże często taki los staje się udziałem podstarzałych, kilkusetletnich czarodziejów! To danina, którą składają z samych siebie swoim magicznym talentom. Białka w oczach maga podeszły czer—

POSOKA SMOKA

411

wienią, jakby popękały w nich żyłki, końcówki siwych włosów szerniały, jakby unurzano je w smole. Wbił półprzytomny wzrok w łaziebna.

— Jestem przeklęty! Jestem synem ciemności! Nie chcę z tym żyć!

— Znaczy się, co? Dolać zimnej?

— Precz! — wrzasnął z wściekłością Teleportas, ciskając mydłem.

Jednak za chwilę przywołał łazienką z powrotem.

Gdy tylko uprzytomnił sobie niewyobrażalną nędzę swojego położenia.

Siedział w stygnącej wodzie, gryzł się, jego sławna czarodziejska moc przepoczwarzyła się w coś na kształt manufaktury, produkującej nikomu niepotrzebne serwisy z foczego futra.

A jutro dopełni się katastrofa, w której nieświadomie maczał palce.

Na domiar złego utknął na krańcu świata, gdzie —tępym tubylców zaprzęta jedno jedyne pytanie — czy woda na kąpiel ma odpowiednią temperaturę. Idiotyczne pytanie, na które padnie zbędna odpowiedź, jak na niezliczone idiotyczne pytania płodzone w mozole ducha przez mieszkańców tej podejrzanej, kryminogennej planety!

Zapewnił łazienką, że czuje się doskonale, i zapytał, czy dodatkowo nie chciałaby zarobić dziewiętnastu sut, które mu pozostały? Jeśli tak — niech naostrzy solidny nóż, przy którego pomocy wykona proste polecenie.

Kobieta okazała się zbyt miękka, żeby zrobić, co trzeba, ale zbyt twarda, żeby zostawić dziewiętnaście sut na pastwę losu.

Zanim woda, w której siedział Teleportas, wystygła, łazienką sprowadziła swojego męża. Woziwodę o długich atletycznych rękach. On to bez zbędnych 412

Zbigniew Wojnarowski

deliberacji poderznął gardło Teleportasa dokładnie według instrukcji klienta.

Gdy krew spłynęła szeroką strugą po nagiej piersi maga i zabarwiła wodę w kadzi, w

„Kaczuszce” jednocześnie zgasły kaganki. Wszędobylska para wodna skropliła się, spadając jako kwaśny deszcz. W zapadłych ciemnościach łuna solarnej many uniosła się pod belkowany sufit. Długimi pasmami przesączała się przez słomianą strzechę na zewnątrz, gdzie rozproszył ją kosmiczny wiatr. Towarzyszyły temu liczne anomalie. W Numes ocielily się wszystkie krowy, tutejszy aptekarz stracił głos, kwiaty doniczkowe odfrunęły na północ, co widziało wielu świadków. Rzekę wypełnił na dwie doby jabłkowy mus, natomiast w okolicznych wsiach siedmioro ludzi stanęło we śnie w płomieniach.

A słońce wzeszło tego dnia o dwa pacierze wcześniej, niż się spodziewano.

„R

—L wozdział pięćdziesiąty czwarty

*w którym uważajcie na nagniotki, bo tłoczno!*

Walek obudził się ze snów o Psiej Wólce z kamieniem na piersi. Za oknem stał blady świt. Chwilę później smokobójcą zajęło się więcej osób niż przez wszystkie poprzednie dni jego pobytu na zamku.

Najpierw służki wykapały go znowu, tyle że tym razem nie zwracał uwagi, czy nachylają się, czy wypinają, czy mydlą mu sekretne miejsca. Ubolewał w duchu, że nie przyszła z nimi Jagła, bo zdołaliby się choć pożegnać.

Po kąpeli podano jadło, po czym zabrano go na modły do zamkowej kaplicy, w której zebrał się cały dwór. Masowo klękano, śpiewano, dawano datki w naturze, skutkiem czego kury skakały po ołtarzu, a kwiczące wieprzki przewracały lichtarze. Dwunastu kapłanów, siedmiu druidów, cztery jasnowidzące

414 Zbigniew Wojnarowski

i święty byk na zmianę ryczeli proroczo, święcili drogę na Kutrzebno, obstawiali zakłady zwycięstwa, wyczytywali wróżby z dymów. Walek rychło się w tym pogubił, toteż postanowił, że odmówi pacierz na osobności.

Ale na razie nie było co marzyć o osobności. Tłumek, który otaczał smokobójcę, ani myślał zrzednąć. Rozstąpił się tylko, gdy do Komnaty Uciętych Łbów przybył Walisław z małżonką i delegacją kowali. Ci przynieśli miecz na atlasowej poduszce. Zgodnie z obietnicą klinga była tępa, co Walek dyskretnie sprawdził kciukiem. Za to jelcowi wyłożonemu perłową macicą nie zbywało na ostrości — przy mocniejszym chwycie przecinał do krwi skórę na palcach.

Na koniec dorodne służki przytaszczyły do komnaty zatrząsienie kwiatów od zamkowych rezydentów. Najwięcej było astrów i chryzantem, aż Walek nabrał podejrzeń, że ofiarodawcy chcą wykorzystać te same bukiety później, do pogrzebu. W mrowiu dygających dziewcząt teraz także nie wypatrzył Jagły, choć planował, że taka to właśnie będzie ostatnia piękna rzecz w jego życiu. Pożegna go ta sama, która powitała go w zamkowych progach —

tylko tym razem przyniesie ze sobą miłość w sercu i Wałkowe maleństwo pod sercem.

Ale Jagła nie przyszła.

Zagrzmiały trąby, podrywając gołębnie z ceglanych blanków.

Smokobójcę sprowadzono uroczyście na z'amkowy podwórzec. Przez korytarze i kamienne schody wlokła się za nim tak liczna asysta, że nie sądził, by ktoś więcej czekał na dziedzińcu. Zgromadził się tam jednak tłum nad tłumy! Szpilki nie wetknąć! Oddechu nie złapać, póki ktoś obok nie wypuści!

Koń przeznaczony dla Walka okazał się gniado—

POSOKA SMOKA 415

szem wysokim w kłębie, spokojnym, prawie melancholijnym. Podobno takie najmniej płoszą się w bliskości smoka. Nakrywał go złoto—czarny kropierz, spod którego wystawały białe skarpetki na pęcicach. Z okrągłych dziur haftowanego kaptura patrzyły krowio łagodne oczy. Nie był to bojowy

rumak, na jakich tu i tam siedzieli w ciżbie zakuci w żelazo rycerze.

Walek wdrapał się na niego z grzbietu dworzanina.

W tryumfalnym huku trąb uniesiono kratę i rozwarto nabijane wierzeje, za którymi poranna mgła dźwigała się znad chałup i łąk.

Gniadosz, unosząc wysoko nogi na błotnistym podejździe, zanurzył się w półmrok bramy. Gdy pojawił się po drugiej stronie, dudniąc kopytami na moście, Walek zmrużył oczy z niedowierzania. Tu dopiero zebrał się tłum! Nie miał pojęcia, że tylu ludzi żyje na świecie!

Tylko Jagły brakowało umiłowanej!

Wzdłuż gościńca na Kutrzebno stali jako pierwsi ambasadorowie i zagraniczni goście.

Longbardzcy, Helemicy, Robberowie, w cudzoziemskich strojach, łańcuchach, piórach, z równie ozdobnymi małżonkami, ze służbą umytą, uczesaną, o wyczyszczonych paznokciach.

Na trybunie przeznaczonej dla Walisława i Dobro—dawki sosnowe bale umajono gałązkami, szarfami łopoczącymi na wietrze, proporcami monarchii. Osobną trybunę miały wierzchowce ich królewskich mości.

Ponizej stali rozmodleni kapłani, druidzi w czapkach z kory, wróżbici, a naprzeciw rzędy błyszczącego rycerstwa mieniące się od szarf, herbów na tarczach, pióropuszy u hełmów. Walek wypatrywał zna—

416 Zbigniew Wojnarowski

nych mu osób, ale wszyscy zdawali mu się być obcy w odświętnych strojach.

Jagły nadal nie widział. Obejrzał się za siebie, omiół wzrokiem baszty, czy nie dojrzy chusteczki machającej w oknie. Tej też nie było.

Nad światem unosił” się jeden wielki, niewytłumaczalny smutek.

Tam, gdzie mury zakręcały ku rzece, stali kramarze, mieszczanie, mrowie okolicznego chłopstwa. Pod ich nogami kręciły się pacholęta i psy, tak ubłocone, że trudno było odróżnić jednych od drugich. Gromko wiwatujące tłumy słyszało się aż zza rogatek.

Verhun w złotej szacie, w asyście dwóch gołych pomocników pomalowanych w gwiazdki, rzucił na Walka obiecany czar ochronny przeciw zatwardzeniu. Operacja nie różniła się od puszczenia fajerwerków. Barwne eksplozje rozrzucały nad głowami zebranych ogniste pióropusze, fontanny, kaskady.

Król wygłosił refleksyjne przemówienie, które rozstawieni heroldowie powtarzali w tłum jak echo.

— Dynastio moja, goście, poddani! Gdy smokobój—ca zniknie z oczu, podążając za swą gwiazdą,

siądziemy za stołami gnącymi się od jadła, żeby uczcić wiekopomny dzień.

Gdy smokobójca wkroczy do Doliny Śluzów, niejednen sięgnie akurat po śliwkę na apetyt albo też po gruszkę na trawienie. Co jemy jedząc owoc? Oto jest pytanie! Co z niego idzie na zatracenie w naszych trzewiach, bo jest smaczne i soczyste? Co zaś wypluwamy z gęby?

Wypluwamy pestki! Niejadalne, niesmaczne, choć najważniejsze, bo z nich rodzi się owoc nowy! Tak samo z człowiekiem. Ciało jego nietrwałe, skazane na ztratę, choć smakowite, że paluszki lizać, zwłaszcza u dziewczeczek do lat czternastu. Aliści nie człowiecze ciało zajmuje poczesne miejsce w dziele stworzenia i choćby piekiel—

## POSOKA SMOKA

417

na bestia pożarła je z kosteczkami, nic to! Dusza liczy się w człowieku! Dusza! Ona jest pestką, którą potwór wypluje z obrzydzeniem, a wszak z niej to narodzi się nowy lepszy świat. Bądź pewien, smoko—bójco, że choćby cię smok pożarł, przetrawił twój cielesny miąższ w swoich potępienia godnych kiszkach, twojej pestce to nie zagrozi. Brawo, brawo, brawo i wieczna chwała!

Walek poprawił się w siodle. Zerknął w szare niebo, skąd nie nadchodziła pomoc ani nie pojawiały się zjawiska astrologiczne, mogące ją zapowiadać. Przeciwnie, kątem oka dojrzał kołującego pod chmurami sępa. Nawet dwa.

Ponieważ trwała głucha cisza, jakby czekano odpowiedzi, odezwał się:

— Królu, królowo, królewno, czarodzieju królewski, ministrowie z panem księgowym koronnym, rycerzu Hufnalu, prawniku Dukakisie, medyku, strażnicy zamkowi wszyscy razem i każdy z osobna...

Przed Wąłkowym gniadoszem pojawił się mistrz protokołu i chwyciwszy za ozdobną uździenicę, wspiął się na palce.

— Nie pieprzyć trzy po trzy! — szepnął niecierpliwie. — Ruszać, jak król kazał! Nie opóźniać, bo zaraz rozpoczyna się pokaz wołtyżerki i parada werblistów!

— ...oraz ty, szanowny mistrzu protokołu! — uzupełnił Walek.

Nie wiedząc, co dodać, zrezygnował i poklepał gniadosza po szyi.

— W dowód uznania dostaniesz na ostatnią drogę... To znaczy, na ostatni kawałek drogi, honorową asystę! — zawołał król z trybuny.

— Żeby ci co głupiego do łba nie strzeliło, pojedzie

418 Zbigniew Wojnarowski

z tobą w eskorcie żołnierz aż do Doliny Śluzów! Przypilnuje! — przetłumaczył mistrz protokołu.

Ze szpaleru wysunął się na rosłym bachmacie żołnierz z szeroko uśmiechniętą gębą.

Przy każdym boku miał ostry miecz, przy siodle kopię i kuszę, na głowie płaski hełm, W

którym — rzekłbyś — odbija się weselsze niebo niż to nad głowami. Zielony kubrak zakryty był od przodu półpancerzem, z pleców zwisała lamparcia pelerynka, furczący proporczyk sterczał z kulbaki. Chłopięcą twarz żołnierza zdobiły dorosłe wąsiska.

— Witaj, szlachetny smokobójco! — uniósł na powitanie glinianą buławę, którą trzymał w dłoni. — Jam jest Walaskes de Morodan z chorągwi księcia pana Smorgona de Morodan Walaskesa. Zaszczyt towarzyszenia ci przypadł mi w udziale za rodzinne koligacje.

Dopiero u progu twej chwały się rozstaniemy, gdy wkroczysz w smoczy matecznik! Jedź

śmiało, ja za tobą!

Walek wbił pięty w boki gniadosza i ruszyli truchtem. Żołnierz trzymał się o pół

długości konia z tyłu. Żegnała ich niewyobrażalna wrzawa. Do góry pofrunęły czapki i surduty. Zawadiackie gwizdy pomknęły ponad polami.

*Carpe diem!* — pomyślał Walek.

Nie wiedział, co znaczą te słowa, ale słyszał je z ust wielmoży przejeżdżającego przez Psią Wólkę. Wydało mu się, że powinien pomyśleć coś niezwykłego, skoro dziewczeczki rzucają polne kwiaty pod kopyta jego gniadosza, aż błoto na gościńcu mieni się od barw.

Ale zaraz odechciało mu się wzniosłości, gdy na te dziewczeczki patrzył z góry, nie dostrzegając wśród nich umiłowanej Jagły. Toteż zwątpił po raz kolejny i rozżalony pomyślał

bez żadnej dostojności:

POSOKA SMOKA

419

— Smok, w mordę kopany!... Smok! Gówno i dupa!

Tłumy zrzędy, ich gwar ucichł w oddali, zmęczeni się umorusani chłopcy, którzy od zamkowej bramy biegli za gniadoszem. Na gościńcu ku wsi Kutrzebno pozostał sam Walek z żołnierzkiem w lamparciej pelerynce, trzymającym się karnie o pół konia z tyłu.

On się nie odzywał, jego bachmat nie parskął, jakby byli tylko cieniem smokobójcy.

**Rozdział pięćdziesiąty piąty**

*nad którym*

*kołują już sępy z nagimi szyjami*

Pędził na smoka cwałem. Z pochyloną kopią. Furkotał proporczyk bez znaków.

Tętniące podkowy wyrzucały kępy wrywanych traw. Uciekające powietrze zatykało dech.

Strugi potu zalewały oczy.

Zapamiętałe wałąc ostrogami w końskie boki —widział na horyzoncie smoczą jaskinię.

Wyciągnięty jak struna rumak szorował brzuchem po stepowych burzanach. Płaty piany odrywały się od grzbietu, moczyły pierś jeźdźca. Rozwiana grzywa grała na wietrze niczym łopoczący sztandar bojowy.

Nie wiadomo skąd — smok plunął ogniem. Zapłonął pas traw pomiędzy jeźdźcem a pieczarą. Czarny dym zasnuł niebo. Wysokie płomienie zbliżały się z przerażającą szybkością, rozpędzony wierzchowiec nie reagował na ściągane wodze. Stękał z wysiłku.

## POSOKA SMOKA

421

Kwiczał. Za chwilę miał wpaść w morze ognia, żeby na drugim brzegu wynurzyć się jako galopujący kłęb płomieni z rozwrzeszczanym tobołem na grzbiecie.

W ostatnim momencie pojawiły się trzy kobiety o skrzydłach ważek. Uniosły smokobójcę z kulbaki. Spod chmur widział rumaka bez jeźdźca niknącego w piekielnej otchłani ognia. Za barykadą płomieni i dymów wylegiwał się brzuchem do góry syty smok. Z

zamkniętymi oczami pogwizdywał melodyjnie. „Złóż ręce, jakbyś skakał do wody!” Kobiety—ważki przekazały tę informację, nie otwierając ust. „Upuścimy cię nad bestią.

Wbijesz się jak taran w przebrzydłe brzuszysko i taki będzie smoczy koniec!” Wił się ze strachu w ich rękach. Darł się, że nie chce smoczej krzywdy, próbował wyslizgnąć się, spaść na trawę, choćby przyszło skrócić kark. Ale ważki były nieubłagane. Otworzyły trzy pary rąk nad cielskiem owiewanym przez dymy płonącej łąki.

Poleciał w dół z rozdzierającym wrzaskiem.

Obudził się z tego lękowego snu zdeglustowany. Narośl na czole rozogniła się, jakby w środku tlił się żar. Oprejtorą męczyły irytujące koszmary, gdy przed zaśnięciem pił wywar z makowin. Nie potrafił się od tego powstrzymać.

Usiadł na posłaniu z głową wtuloną w ramiona, pociągnął dłonią po nieogolonych, chrzęszczących policzkach. Smocze gnidy pochrapywały, z głębi pieczary dochodził poszum, jaki wydawały płuca śpiącego kolosa. Na dworze musiało być jeszcze wcześniej.



W szklanej kuli kłębił się dym. Po potrząśnięciu — opadł.

Huba na czole Oprejtor pulsowała zarem.

— Ower! Rusz swoją śmierdzącą dupę, Ower!

Razem patrzyli w kulę z wściekłym niedowierzaniem.

422 Zbigniew Wojnarowski

— Niech mnie smok wciągnie odwrotną stroną, Oprejtor, jeśli łgam! Wczoraj zabiłem smokobójcę! To była mała głupia kurewka! Dlaczego miałbym łgać? Ja też mam żonę i dzieci na utrzymaniu, Oprejtor!

— Rusz pustym łbem, Ower! Kto tu nadjeżdża z oficerską asystą? Pieskie—

królewskie posterunki są rozstawione od przedwczoraj! Mysz się nie przemknie! Kogo innego przepuścili, jeśli nie smokobójcę, durniu?

W kuli mglił się na gniadoszu młodzian ze smętnie opuszczoną głową. O pół długości konia za nim człapał na rośłym bachmacie zawadiacki żołnierz z buławą w garści. Za nimi przesuwały się w oparach daloprzestrzeni wapienne skałki, flankujące gościniec na Kutrzebno.

— Gdzieś podział wczorajszą baryłkę?

— No jada, skurwysyny! Nie rozumiem tego, Oprejtor! — zasepił się Ower.

— Nie słyszysz? Gdzie baryłka, pytam?

— Zakopałem na siedemnastej stai, w samej luce.

— Która to była?

Ower sięgnął pod posłanie, wyciągnął zatłuszczo—ną kartkę z zapiskami.

— Pięciotysięczna dwieście osiemdziesiąta szosta, Oprejtor.

Wyszli przed pieczarę. Niewidoczny stamtąd wodospad huczał nad głowami, wiatr roznosił bryzgi piany ponad lasem. Sosny na zboczach stały w błękicie przestrzeni. Jesienne słońce kładło cienie szczytów na dno doliny.

— Podrzynasz mi gardło, Ower! Budź pozostałych! Bierzcie baryłki z ziemianek, szykujcie sznury! Nigdy nie wiadomo, co robi taki wariat jak smokobój—ca! Nie ma na co czekać!

— Panikujesz, Oprejtor! — Ower wzruszył ramio—

POSOKA SMOKA

nami. — To nie pierwszy zasraniec, który przedał się przez zabezpieczenia. Smok sobie z nim poradzi! Zamiast odpowiedzi, Oprejtor uniósł rękę ku mglistemu niebu.

— Widzisz je?

Wysoko ponad górami kołowały ciemne sylwetki sępów. Szybowały na rozłożonych skrzydłach, wyciągając nieopierzone szyje ku ziemi.

— Co z tego? — mruknął lekceważąco Ower. — Zawsze się zlatują jak muchy do gówna, kiedy przychodzi co do czego. Czekają na ścierwo smokobójcy.

— Co ty powiesz? Policz sobie, ile się ich nasrało po niebie! Widziałeś kiedy tyle sępów nad doliną? — Oprejtor splunął w trawę, otarł usta ręką. — Budź ludzi, mówię ci! One węższą wielkie mięso, Ower! Za—jebicie wielkie mięso!

**JL wozdział** pięćdziesiąty szósty

*w którym pierwsze skrzypce gra żołnierz Walaskes, choć okazuje się, że los gra własną melodię na Walaskesie*

Za druidzkim dębem, gdy zamkowe baszty rozwiały się w mglistym powietrzu, zjechali z gościńca na łąkę pełną skałek.

— Zazdroścę wam, panie Walek! — odezwał się milczący dotąd Walaskes.

Nieszczęsny smokobójca wzdrygnął się na te słowa. Czy jeszcze nie widać po nim, że duszę zaprzedał zgubnym fanaberiom i z jego pestki nic nie wy—kiełkuje? Co najwyżej wyrośnie po nim obdarty sierota z usmarkanym nosem.

— Czego tu zazdrościć? — odburknął. Pocieszała go myśl, że kiedyś pojawi się na zamku

następny smokobójca. Każą mu ubić smoka i nie

POSOKA SMOKA

ubić, wziąć córę w nagrodę i nie wziąć, zginać męczeńsko i wynieść całą skórę...

Wtedy okaże się, że Walek z Psiej Wólki nie był najgłupszym chłopem na ziemi.

Jakim fatalnym trafem dał się zagnać losowi aż tutaj?

— Skromniście, panie Walek. Smokobójcy powszechnie się zazdrości! Podziw wzbudza i zyskuje sławę. Pokazuje ludziom wielkość, ich marzenia unosi ponad błotnistą ziemię, w której się babrzemy.

Smokobójca jedzie jakoby przez inny świat niż ludzie dookoła. Wspanialszy, sprawiedliwszy, miłszy dla oka.

— Zamień się ze mną, kiedy tak.

Żołnierz dźgnął bachmata ostrogami, zrównując się z Wałkiem. Góry były już tak blisko, że widzieli lśniące bryzgi piany wysoko, tam, gdzie strumienie spadały ze skalnych progów w Dolinę Śluzów.

— Prawdę mówiąc, mógłbym to zrobić. Bachmat, na którym siedzę, jest do tego szkolony od źrebięcia. Przyuczyłem go do pomieszanego smrodu krowiej bździny i ludzkiego ścierwa, oswoiłem z ogniem, wdrożyłem do obtańcowywania smoczej kukły! O, tak, chciałoby się na bestię ruszyć! — Walaskes klepnął radośnie miecz, aż bachmat zastrzygł

uszami. — Koń gotów! Ale co z żołnierką, do której mnie matka zrodziła? Miałbym opuścić mój posterunek na ziemi, żeby zająć cudze miejsce? Dziękuję za propozycję, panie Walek, ale co wolno koniowi, człowiekowi nie przystoi! Mnie pisana surowa żołnierska dola! Widzicie buławę? Oficerska, z glazurowanej gliny! Gdyby umiała mówić, dowiedziałbyś się, panie Walek, gdzie też nie była i czego nie dokonała! Przy niektórych okazjach doprawdy żal, że brak jej ludzkiego języka w gębie!

426 Zbigniew Wojnarowski

Przebyli mostek na rzeczulce. W dali widać było maczugowatą skałę, którą pokazywał

Wałkowi szambelan, zanim padł z ręki Ramireziaków.

Ostatnia okazja do ucieczki. Niech się dzieje, co chce! Niech gonia, łapia, obdzierają ze skóry, byle nie prowadzili jak barana na rzeź!

Ale co to da? Tylko się człowiek napoci przed nieuchronną męką!

Ponad Wałkiem przesunął się cień sępa. Uniósł głowę ku niemu, a kiedy ją opuścił, usłyszał duszę żołnierza. <

## ***OPOWIEŚĆ O WIELKIEJ BITWIE***

*Prawdziwy wojak żyje w bitwie. Żyje, gdy umiera na polu chwały! Wcześniej może mu się przytrafić picie na umór, nieślubne dziecko, przygoda z mężatką, ale każde z tych wydarzeń zmierza do tego samego finału.*

*Bo wszystko pod słońcem wiedzie do wielkiej bitwy. Małe zdarzenia spływają ku niej jak rzeki ku morzu. Trawa rośnie, by krew ją zrosiła. Każda przepowiednia tyczy się bitwy, o niej myśli matka ocierająca łzę przy oknie i narzeczona, patrząca w kurz nad gościńcem, gdzie zniknęły zbrojne pułki.*

*Nic nie dorówna pochodowi, w którym idziesz dniami i nocami, żeby stanąć w śmiertelnej potrzebie. Chrząszczą popręgi, brzęczą blachy, tysiączne konie parskają na dobrą wróżbę! Z dala*

*słyszysz skrzyp taborowych wozów i śpiewy markieta—nek. Nieraz sam hukniesz podniebną pieśń! Inni przyłączą się z ochotą i śpiewacie wielkim głosem, jakby nad światem szła nawałnica.*

*Nigdy nie poczujesz w sobie większej mocy jak w kupie!*

*Kiedy wytniecie gałązki do maskowania — znika bór! Kiedy nad waszymi zdrożonymi końmi krążą*

POSOKA SMOKA

427

*gzy — zachodzi słońce! Kiedy pogodne niebo odbije się w waszych zbrojach —*

*spadają w locie upieczone ptaki! Kiedy z rana załatwicie potrzeby — przez wieki nie znajdziesz wkoło żyźniejszej ziemi! Kiedy nałapiecie kur na obiad — okoliczne wioski już się po tym nie dźwigną! Kiedy w nocy chrapiecie —burza cichnie!*

*Nie ma piękniejszej melodii niż szelest map sztabowych. Nie ma cudniejszej woni niż buzujący testosteron. Dla tego wszystkiego warto srać po nogach z przedbitewnej emocji.*

*Warkot werbli niesie się pod niebem, konie tańczą nerwowo, wietrząc proch, harcownicy pyskują na siebie, wzdłuż szeregów lecą zmieniające się rozkazy, chmury przemieszczają się pędem ponad zakutymi łbami, bo w niebiesiech szykowane są tysiące nowych miejsc.*

*Na okamgnienie przestrzeń pomiędzy ziemią a niebem zalewa cisza — i w jednej chwili świat staje dęba!*

*Ludzie, zwierzęta, zjawiska atmosferyczne, zbiegi okoliczności — sprzysięgają się, by cię zabić. Cudza krew i własny pot zalewają ci oczy, koń ślizga się w bebeczach, wrogowie wyskakują z tumanów kurzu jak demony. Huczy powietrze. Po pancerzu łomczą ogniste kule miotane przez chimery. Na rozkaz szamanów grunt pęka w szczeliny, które pochłaniają jeźdźców i wierzchowce. Połamane miecze, krwawe blachy, końskie łby, odłamki kopii i ludzkich kości, kurzawa rzeczy trzepocze się w powietrzu, jakbyś walczył pośród piekielnych ptaków.*

*„Damy im łupnia!”*, prorokujesz w zapale.

*Ta myśl tkwiła w twojej głowie, gdyś galopował na rozpędzone hufce jak na spotkanie cyklonu. Tę*

428 Zbigniew Wojnarowski

*samą czytałeś w głowach pancernych towarzyszy, pędzących po bokach. Na razie nie żądasz innej mądrości, bo w inną i tak nie uwierzysz.*

*„Damy im łupnia!”*

*Jeśli padniesz, ta dewiza zabrzmi nad tobą jak dzwon pogrzebowy. Jeśli przeżyjesz, zapamiętasz ją jako zew chwały. Ona jest początkiem i końcem, alfą i omegą!*

„Damy im lupnia!”

*Ta dewiza ocala świat i pcha go do przodu, mimo że dla jej realizacji trzeba, owszem, sporo hartowanego żelaza, dużych przestrzeni bez zabudowy, kupę żywych i drugie tyle trupów, trzeba podniosłych pieśni, podręczników szkolnych, politycznych dysput, ministrów finansów, słodkich kobietek, którym chce się zaimponować, gotowych na wszystko biedaków i rozdrażnionych wszystkim frustratów, roślin na wieńce laurowe i żałobne, koni oswojonych z zapachem krwi, beczek prochu, trzeba szarpia, furaju, wróżów, strategów, zdrajców, bohaterów, drewna na mosty pontonowe, malarzy batalistycznych, pomników i muzeów, miedzi na fanfarówki i kompozytorów marszów, trzeba potraw nazwanych imionami wielkich wodzów, gościńców do szybkich przegrupowań, zwierząt rzeźnych dla koszar, budowniczych twierdz, werbowników, kobiet żyjących z żołnierskich żądź, gier strategicznych, namagnesowanych strzałek wskazujących kierunki, farb do malowania hasel... W gruncie rzeczy potrzeba całego świata, żeby dać im lupnia!*

*Gdyby na końcu nie było wielkiej bitwy, co by nam pozostało?*

*Świat jak uprzątnięty stół!*

*Po co żyć? Do czego dążyć? Czego się strzec? Ra—*

POSOKA SMOKA

429

*dować się z uniknięcia czego? Co wspominać? O czym tworzyć legendy? Po co zbierać grzyby i pisać wiersze?*

*Gdyby zabrakło wojny, co by nas czekało prócz miłości bez smaku, bez chluby, bez płodzenia bohaterów, kojenia odpoczywających wojowników i bez żegnania straceńców, za którymi niesie się podniecający rytm marsza?*

*Śmierć by nas czekała bez idei i męczarnia bez chwały...*

Dusza Walaskesa umilkła, gdy ten raptownie ściągnął bachmata wodzami. Głos zabrało żołnierskie ciało, z którym działo się coś złego. Dygotało, aż dzwoniły blachy. Spod ronda hełmu spłynęły grube krople potu. Buława wypadła z ręki w trawę jak wielki krwawy skrzep. Wyraz twarzy Walaskesa zmienił się nie do poznania. Wąsy uniosły się na żu—czą modłę. Oczy wylazły z orbit. Było w tym coś upiornego.

Walek zatrzymał się, obserwując zdarzenie z niepokojem.

Gwałtownymi ruchami żołnierz zdarł z siebie półpancerz. Rozerwawszy koszulę, odsłonił brzuch. Miotał się jak w barbarzyńskim tańcu. Stękał z dzikim, zwierzęcym przerażeniem. Beknął z głębi trzewi, jakby męczyły go nudności, za czym wyrzucił ustami fontannę krwi i rzygowin.

Bachmat stanął dęba, a Walaskes stoczył się z siodła w trawę.

Miotany strachem i bólem, wpatrywał się ze zgrozą w swój brzuch. Walek także widział, że dzieje się tam coś niepojętego.

Pękaty kałdun nadymał się, przybierał przedziwne kształty, jakby od środka napierały szpiczaste łokcie. Zarysowała się na nim krwista siatka pękają—

430 Zbigniew Wojnarowski

cych naczyń krwionośnych i nagle eksplodował, pryskając juchą i strzępami wnętrzości.

Z wnętrza wyskoczyła okrwawiona ludzka dłoń.

— Zaraza na twój parszywy łeb! — ryknął zszokowany Walek, choć nie bardzo wiedział, do kogo kieruje te słowa.

Walaskes stracił przytomność. Mimo to wciąż wrzeszczał ze strachu. To było najstraszniejsze. Z jego brzucha wydobywały się paniczne wrzaski i kolejne ludzkie członki oblepione śluzem. Ręka z barkiem, druga ręka, głowa, skręcony pokraccznie tułów, trzecia ręka...

— Boję się! Jasna dzuma, boję się! — darło się to wszystko razem. — Niech ktoś mnie stąd wyciągnie!

Z rozerwanego niby sparciały worek Walaskesa wygramolił się na trawę Tabrys, pokryty resztkami żołnierzyka. Zataczał się, plując i wymiotując. Narzekał na koszmarne ciemności. Walił łokciami na boki. Wyglądało, że nadal nie wie, co się z nim dzieje.

— Niech cię lichy! Skąd się tu wzięłeś, karle? Nad zrozumieniem odpowiedzi Walek musiał się nagłówkować, bo Tabrys bełkotał jak pijany.

— Piekielna znachorka i jej proszek na malinowe galaretki! Gdybym wiedział, że w takim rozmemła—nym kształcie mam ominąć strażę, nigdy bym się nie zdecydował, porabana babo! To nazywasz lekką transformacją? Mogło być jeszcze gorzej, gdyby ten nieszczęsny żołnierz wziął środki przeczyszczające przed wyjazdem! Trzeba było uprzedzić mnie zawczasu, niedojdo! — Przytknął ucho dłonią i nagle wrzasnął wściekle: — Zamknij się! Sam wiem, że biada mi!

Pospiesznie wdrapał się po skałce na Walaskeso—wego bachmata i ujął wodze w trzy garście.

— Zmieniłem życiowe plany! — oznajmił Wałkowi.

POSOKA SMOKA 431

— Wystarczy mi tego zakichanego smokobicia! Świat jest do dupy! Mamy dwa dobre konie, uciekajmy!

— Ze świata?

— Na razie ze smoczej doliny!

— Straże nikogo nie wypuszczą żywcem — uświadomił go Walek. — Trzeba zmierzyć się z bestią!

— Ona też żywcem nie wypuści! — przypomniał pragmatycznie Tabrys.

Smokobójca bezradnie rozłożył ręce. Nie było już w nim zwątpienia. Był

niezwyciężony fatalizm. Tabrys popatrzył na niego zachęcająco.

— Pokażemy im, żeśmy ubili smoka! — Chytrze wskazał palcem na rozszarpanego trupa Walaskesa.

— Trudno rozpoznać, że człowiek!

— Nie nabiorą się. Za mikry.

— Skąd im weźmiemy większego trupa?

— Nie potrzebują większych niż nasze własne! — wyjaśnił z beznadzieją Walek. —

Przypłatałeś się tu na swoją zgubę, garbusie. Śmierć siedzi mi na karku, nie widzisz jej? Ja widzę ją na twoim garbie! Straszna! Ma twarz wściekłego węża! Chichocze i dusi cię kolanami! Będzie tak czynić, póki nie zdechniesz z braku zdaniejszego wyjścia! Takie to są przyrodzone mechanizmy świata, które ujawniły się przede mną w ostatnie pamiętne dni!

Taki to zaszary ludzki żywot! A potem będzie jeszcze gorzej, przekonasz się! Lepiej nie myśleć.

— Co ty gędzisz? — wzdrygnął się Tabrys na grzbiecie bachmata. — Nie zgadzam się na to! Mam w dupie przyrodzone mechanizmy świata! Nie uwierzę, że stworzono go po to, żebym zdechł tutaj w towarzystwie wiejskiego ciołka! Jedź za mną, a doprowadzę cię do wybawienia! Nie trać ducha, smokobój—co! Jeśli sami sobie nie pomożemy, będzie po nas!

## **Rozdział pięćdziesiąty siódmy**

*w którym stajemy u wrót apokaliptycznej Doliny Śluzów w decydującym dniu* Tabrys już z konia wypatrzył skałkę, przy której przeszłej nocy stała Mućka.

Pochyliwszy się nad dziurą w ziemi, usłyszał dalekie brzęczenie menueta.

— Co tam jest? — zapytał rzeczowo Walek.

— Coś, co chwilowo bardzo nam się przyda! Wieczne życie! — wyjaśnił karzeł z odrobiną niezbędnego patosu. — Wystarczy sprowokować wampiry. Nic trudnego. Rzucają się z zębami jak wściekłe, dość im palcem pokiwać. A potem całe królestwo niech nam skoczy na puklerz! Jak się nie ma, co się lubi... Oni przywykli mimo tych wiecznych tańców i chłęptania krwi. A bo my to gorsi?

— Dla ciebie żadna różnica, ale ja jeszcze żyję jak człowiek.

— Jaki człowiek? Jak wiejski ćwok! A tam na dole hrabia hrabią pogania!

Wahali się. Walek osiągnął wprawdzie odpowiedni poziom dezorientacji, a Tabrys desperacji, ale brakowało im stanowczej woli.

Gdy tak zwlekali z zejściem, pod ziemią zakotłowało się zniecka.

Oblepiona pajęczynami postać wyprysnęła na wierzch jak kukielka na sprężynce.

Ciosem noża odcięła brzeg własnej szaty, za który szarpały dwie chude kobiece dłonie. Skóra obłaziła z nich płatami. Tabrys z Wałkiem odskoczyli na bezpieczną odległość. Dziura rozkwitła licznymi dłońmi jak wiele—palczystymi kwiatami. Sine, z krwią pod paznokciami, upierścienione. Zamykały się i otwierały na podobieństwo ukwiałów, nim nie poszedł z nich siwy dym. Jedne po drugich znikły pod ziemią do wtóru bolesnych wrzasków.

— Słoneczko szkodzi na zdrówko? — wrzasnął za nimi wzburzony uciekinier. —

Mnie chcieliście dostać w głupie pazury, głupie cioty—kloty? Niedoczekanie wasze, wypierdki śmierci, *excuse le mot*!

— Rjuten ajn Deyerpoth? — wyrwało się przerażonemu Tabrysowi.

Sam nie pojmował, skąd przyszło mu do głowy to posądzenie. Mężczyzna w niczym nie przypominał bezlitosnego pirata. Na obliczu nie miał śladu tatuażu i nosił obszarpaną damską suknię. I Tylko te jego powiedzonka! No i osłupiała mina, która demaskowała go jak zdarta z twarzy maska, gdy odwrócił się zamasyście, amortyzując dłonią kręgosłup. — Coś rzekł? Skąd mnie znasz? — Złapawszy Ta—brysa za garb, potrząsnął nim jak psiakiem. —

Poznaję cię! To ty wyprawileś mnie złośliwie do tych

434 Zbigniew Wojnarowski

zębatych danserów! Odpowiadaj, nędzniku budzący abominację!

Przez rozerwany gors ślubnej sukni błysnęła naga pierś — i Tabrys zachłysnął się własną śliną. Zarazem odzyskał głos, ugrzęzły wcześniej w krtani.

— Nie masz cycków?! — zawył pod niebo. — Co z tobą?

Deyerpoth odskoczył jak oparzony.

— Kim jesteś, garbata kanalio? Tylko jeden jedyny na tutejszym parszywym świecie odkrył... Ejże! Czyżbyś stał przede mną we własnej osobie, śpiewaku? Jak to cię zwano?

Tremolo? Tygrys? A nie, Tabrys! Tabrys Śpiewak, wścibska odstręczająca menda! Co z tobą?



Wyglądasz jak trzyręki kalafior, doprawdy! Zamierzasz dawać koncerty jako cała orkiestra symfoniczna?

— E, a co ze mną! — uzalił się z boku Walek w nagłym poczuciu zagubienia. —

Wierzyć się nie chce, że to ja!

Zanim skończył narzekać, padł w trawę z rozkwaszonym nosem. Po jego wardze ściekła pierwsza krew w Dniu Smokobicia. Cios był wszakże przypadkowy. To tylko tamci dwaj zwarli się w morderczym uścisku, w którym jeden miał więcej sił, a drugi rąk.

Tabrys pierwszy wgryzł się w ucho pirata. Deyerpoth zawył z bólu i oderwał od siebie garbate ciało. Odtąd krzepko trzymany śpiewak walczył głową w dół, dysząc spazmatycznie, gdy obwisłe podbródki zakrywały mu nos. Nie poddawał się, wypełniony goryczą krzywdy.

Odebrano mu sekret! Jedyłą tajemnicę świata, którą rozwikłał własnym rozumem! Deyerpoth wcale nie jest babą! Nigdy nie powstanie wielka pieśń o wielkiej prawdzie, bo prawda się zesrała! Weź z tym teraz żyj!

Biała suknia furkotała jak w weselnym tańcu,

POSOKA SMOKA

435

dwa ciała kręciły się zapamiętale pośród wapiennych skałek u wylotu doliny.

Walek pozbierał się z ziemi, ocierając nos rękawem. Nie był pewien, który z walczącej dwójki zahaczył go łokciem, więc dzielnie rzucił się na obu.

Potoczyli się po trawie we trójkę.

Ich spazmatyczne dyszenie zagłuszył piekielny smoczy ryk. Wydobył się ze skalistych trzewi Doliny Śluzów i przetoczył ponad głowami niczym zapowiedź burzy.

Trzej splątani ze sobą mężczyźni zamarli w bezruchu. Ich pomieszana krew skapywała w zeschnięte kępy ostów niczym zapowiedź braterstwa krwi.

Jak na komendę świat wokół wyszedł z formy. Melancholijny spokój jesieni uleciał w niebo pośród dzikiego świstu powietrza. Omal głów nie urwało! Wyjący wir położył trawy koncentrycznym ruchem. Kurzawa liści uniosła się ponad ziemią niby wielobarwny szeleszczący gejzer. Przebił go snop nieziemskiego światła, zabarwiając trzy niedogolone, zawiewa—ne włosami oblicza. Wywabił z nich cienie, wypełnił rysy trupią bladością błyskawicowej poświaty.

To otworzył się tunel komunikacyjny.

Kolebiąc się, zładował w poźółkłej trawie wełniany dywanik pod łóżko. Niósł na sobie martwe

ciało Jagły. Pokrywająca je czerwona maść bulgotała jeszcze w pachwinach i pod pachami. Cios, od którego biedna służka skonała, nie przerwał rozpoczętego obrzędu lokomocji. Spowolnił go jedynie.

— Co z tobą, Jagła? — huknął męski głos tak zdławiony rozpaczą, że trudno było rozpoznać, do którego z trójki mężczyzn należy.

Odpowiedziała mu głucha cisza. Umilkły czarodziejskie wichry, pogasły oślepiające światła, wokół

436 Zbigniew Wojnarowski

zwłok trwał ten sam powszedni dzień, który opończą chmur zawisł ponad smoczą doliną.

Walek osunął się na kolana, przyłożył ucho do kobiecych piersi, których nie poruszał

oddech. Wsłuchiwał się w martwą ciszę, jakby miał nadzieję, że pod zaschniętą skorupą maści usłyszy jeszcze żywe serca Jagły i swojego synka. Tabrys ukradkiem otarł łzę trzecią ręką. Deyerpoth milczał ponuro. Grube krople, które spadły spod chmur, zdawały się nie być deszczem, tylko litościwymi łzami boga.

Z jedną skromną służką umarły ziemskie pragnienia trzech mężczyzn.

Od przełęczы znów przetoczył się smoczy ryk. Z okolicznych chaszczы wzbiły się w górę setki spłoszonych ptaków, jakby niebo dostało ospowatej wysypki. Uwiązany do osiki koń Walka stanął dęba, rżąc ze strachu.

Tylko wyćwiczony bachmat Walaskesa spokojnie skubał trawę.

— Niech mnie kule biją! — odezwał się nagle Deyerpoth głosem dostojnym jak kapliczny dzwon. — Zaprawdę, to cudne dziewczę nie umarło na darmo! Teraz wiem!

Cholera, dotarłem wreszcie do źródła wiedzy! To my! Nikt inny, tylko my! Trzeba być niespełna rozumu, żeby nie rozpoznać! Pasuje jak klocek do klocka! Te idiotyczne anielskie skrzydła, balety, serpentyny, zełgane informatki, cała ta cwana telewizja, to wszystko miało sens!...

— Stracił zdrowy pomysłu nek od smoczego ryku! — mruknął posepnie Walek, nakrywając ciało Jagły dywanikiem. — Tak jak mój koń.

Melancholijny dotychczas wierzchowiec darł kopytami korę, próbując wdrapać się na drzewo.

— Facet bez cycków! Taki musi mieć odchyły! — potwierdził rozżalony Tabrys. —

My też stracimy tu—

POSOKA SMOKA

taj zdrowy pomysłuńek, mówię ci, smokobójco! To straszne miejsce! Uciekajmy, gdzie oczy poniosą!

— Stójcie, tchórze! — Deyerpoth kolejny raz uniósł drobną postać za szaty na garbie, jakby suka unosiła szczeniaka. Wchodziło mu to w nałóg. — Nie bądźcie przyziemnymi frajerami! Chyba nie macie ochoty grać z własnym losem w czapeczki—dupeczki? Pamięć o nas przetrwa wieki, powiadam wam! Jesteśmy Drużyną Smoka! Sławetną Drużyną Smoka, *uoidl*

Tabrys wzruszył trzema ramionami.

— Co tam pamięć wieków! Bierzmy nogi za pas, bo nikt nie będzie nas pamiętał już jutro. Ja też wam powiadam: Biada nam!

— Zamilknij, człowieku małego ducha! — uciszył go zirytowany Deyerpoth. —

Zaprawdę, zamilknij, powiadam ci! W telewizji niejednen raz słyshałem naszą historię!

Mędzili o tym na okrągło w każdy Dzień Smoka!

— W tele—czym? Że kto ci to, mówisz, powiedział? — Nie zrozumiał Walek.

— A co za różnica? Ważne, że wiem! Powiedział mi ktoś, kto nie takie cuda potrafi!

Tutejsze wszy—stkowiedźmy mogłyby mu ciźmy czyścić! Jesteśmy Drużyną Smoka, wierzcie mi! Tazir Dwugłowy, Da—zir Dwupłciowy, Wazir Dwunożny i Jazir Dwukrotnie Zabita! — wyrecytował w natchnieniu. — Przypatrzcie się sobie! Czy to nie my we własnych osobach?

— E, tam! — burknął z niechęcią Tabrys. — Zgadzą się raptem pierwsze litery w imionach. To nie przeszkadza, żebyśmy stąd spierd...

Wyszarpnięty spod sukni miecz Deyerpotha oparł się na jego podbródku.

— Nie przerywaj, kiedy mówię, karle! Kłamstwo umiera razem z ludźmi, tylko prawda żyje przez

438 Zbigniew Wojnarowski

wieki! Więc to musi być prawda! Zaakceptuj ją albo ci wpieprzę, ostrzegam! Jesteś Tazirem Dwugłowym! Czy to nie brzmi lepiej niż Tabrys trójreki garbus? Miej że odrobinę godności! Jak nazywasz to, co nosisz na plecach? — Zastukał w garb płazem miecza. —

Potomność uznała to za drugą głowę. Pokręciła fakty, być może, ale to twoja wina! Trzeba było zostawić po sobie jakieś motofoto! Myślisz, że ze mną nie pokręcili? Dazir Dwupłciowy! A cóż to niby znaczy? Tylko z naszym chłopkiem roztropkiem trafili! Wazir Dwunożny! Czym się ta osobistość wyróżnia spośród ludzkości? Niczym! A przed nami na ziemi kto? Trup! Zaręczysz, że morderca nie dobijał jej dwa razy? Wygląda na krzepką! Jazir Dwukrotnie Zabita! Jak mogły zdarzyć się cztery takie przypadki naraz, karle? Nie widzisz w tym proroczego znaku wielkiego jak symfonia Pagma Pani ego? Tabrys oblizał się nerwowo.

— Z grubsza biorąc, ekhm... Są spore nieściskości. Garb to jednak nie głowa.

— Uparłeś się jak jednogłowy osioł!

— Dwie nogi u mnie, to akurat się zgadza! — obliczył półgębkiem Walek. — Ale jak mogę sprzeciwić się całemu dworowi tylko dlatego, że mam dwie nogi?

— Skoro potomność tyle pokręciła, to... — Tabrys zatchnął się pod wpływem przerażającej myśli. — To... To może na koniec smok ubije nas, a nie my jego?

— Nie siej defetyzmu, Tazirze Dwugłowy! — warknął Deyerpoth. — Coś musi się zgadzać na tym kure—wskim świecie! Uruchomcie zasrane pozytywne myślenie! Czyńcież dobro! Na smoka, niewyciężone dupki!

## **R ozdzał pięćdziesiąty ósmy**

*który będzie sami—już—dobrze—wiecie—o—czym*

— Idą! — oznajmił Oprejtor, podając szklaną kulę Owerowi.

Gdy patrzyło się na przestrzał, działała jak przybliżające soczewki.

Smokobójcy zbliżali się całą szerokością starej drogi wzdłuż jeziora. Cztery ruchome punkciki. Trzy piesze sylwetki, jedna konna. Zarosły trakt wiódł do wioski na skraju doliny.

Jej czas minął, gdy osiedliły się tu smoki. Skruszała więźba dachowa sterczała spośród zielska jak żebra zdechłych w trawie potworów. Dawno rozpadłaby się w pył, gdyby nie skamieniałe skorupki po drzewnych ślimakach, których pokolenia obsiadły ją przed wiekami. Stracony z wieży dzwon pozieleniał od mchu. Zdziczałe sady, ogródki, podwórza zarosły chwastem wyższym od człowieka.

440

Zbigniew Wojnarowski

Monstrualne osty i pokrzywy chwiały się na pagórkach kryjących w sobie psie budy, koryta świń, kurniki, wygodki, druidzkie totemy.

Po tym wszystkim niejedną raz przeszedł smoczy ogień, więc za stopami smokobójców snuły się czarne ogony pyłu.

— Znasz ich?

— Tę golaskę na koniu wczoraj zabiłem.

— Nieźle ci poszło! Dobrane, psia ich mać, towarzystwo! — zachnął się Oprejtor. —

Na co czekasz? Czytaj podprogowo!

Ower starannie przetarł kulę rękawem, zwlekając z odpowiedzią.

— Szybciej! Aura, Ower! Widzisz ją?

— Niewyraźnie...

— Jak możesz widzieć niewyraźny kolor? Albo czerwony, albo zielony!

— Tak jakby... — Ower zająknął się, po czym wygarnął z bolesną szczerością: —

Czerwony, brachu. Niech ich szlag! Francowato czerwony!

Oprejtor wyjął kulę z jego zimnej, spoconej dłoni. Splunął z odrazą w popielisko, które skrzypiało im pod nogami.

— To niczego nie przesądza, Ower! Ludzie skończyli robotę? Weźmiesz ich z sobą i wybijecie te męty do nogi.

— Przy czerwonej aurze? W pięciu?

— W pięciu ma się przewagę nad czterema, czyżbym źle liczył? Nie dopuście zasrańców do smoka albo nie wracaj!

Tamci byli już na rozległej przestrzeni nad jeziorem. Szli czujnie, od kiedy wpadł im w oko pierwszy smokobójca. Musiał mieć ze trzysta lat. Popękane kości zbrunatniały, z oczodołów wybijały paprotki. Medalion na łańcuszku zwisał między żebrami jak POSOKA SMOKA

441

metalowe serce, stukające na wietrze o kości w groteskowej arytmii.

Wokół rozpościerało się gigantyczne pobojuwisko po wielkiej, chlubnej bitwie, która nigdy się nie odbyła.

Szkielety leżały wśród przerdzewiałych blach, sterczały z wody na przybrzeżnych mieliznach. Końskie kościotrupy nosiły paradne siodła na wygiętych w kabłąki kręgach grzbietów. Z czarnej ziemi sterczały połamane miecze, w osmalonych pniach utkwiły na wieczność ostrza włóczni, których drzewca wy—gniły. Z szelestem osypywała się sadza strącana przez biegające po drzewach jaszczurki, jedyne stworzenia, które nie wyniosły się z doliny.

Skrzyp popiołu pod podeszwami.

Swąd pogorzeliśka w nozdrzach.

Zimny pot wzdłuż kręgosłupa.

W miarę marszu świat stawał się okrutnie lapidarny. Na dobrą sprawę streszczał się już do tych kilku

ostatnich rzeczy.

Tabrys trzymał się z tyłu, przezornie ściskając w trzech dłoniach obnażony miecz Walaskesa. De—yerpoth swój ukrył na powrót pod suknią. Walek broń, wyjętą z uchwytu przy siodle gniadosza, przytroczył u pasa. Prowadził za uzdę bachmata, do którego przywiązali martwe ciało Jagły. Nakryli je lamparcią pelerynką Walaskesa, podparli gałęziami, żeby siedziało prosto. Uradzili, że jeśli pojedą we czwórkę, każda z głów smoka zajmie się jednym z nich, a czwarty zada śmiertelny cios. Zresztą i tak musieli zabrać Jagłę.

Należała do Drużyny.

Bachmat parsknął, zastrzygł uszami. Tylko dlatego nie przeoczyli smoczego cmentarzyska. Wyglądało z daleka jak skamieniały las. Gigantyczne zebra zamieniły się w aleję krzywych drzew obrosłych szarą

442

Zbigniew

Wojnarowski

.....

korą, okręconych zwiędłymi powojami. Wśród spękanych skał spoczął tylko smok—ojciec, rodzic obecnego rezydenta Doliny Śluzów, niemniej był to prastary cmentarz.

Nieboszczyk zdechł ze starości, a między bezzębnymi, porośniętymi mchem szczękami można jeszcze było dostrzec rozpołowiony szkielet piźmoczle—ka, dalekiego przodka człowieka współczesnego. W jego pierś wrósł kamienny ryngraf, skrzyżowane szczurze szczęki do dziś świadczyły o przedśmiertnym cierpieniu ofiary. Być może dogorywała długo po śmierci napastnika, skoro zniedołężniałe smoczy—sko nie dożyło swego ostatniego posiłku.

Potęga smoczego kośca robiła wrażenie, gdy drużynnicy unieśli głowy ku szczytom kolosalnych żeber, śpiewających w podmuchach wiatru jak piszczałki ponadwymiarowych organów.

— Są wielkie jak góra! — wyrwało się Wałkowi. — Trzeba na nie armii!

— Smoki? Są odwieczne, nikt nie dał im rady! — poparł go Tabrys. — Przetrwały zlodowacenia i erupcje trującej siarki!

— Panowie, *piano, pianissimol* — uciszył ich De—yerpoth. — Są śmiertelne! Chyba to rzuca się w oczy przede wszystkim?...

.Nie dokończył. Wokół świsnęły wyrzucone z proc kamienie. Jeden z nich rozłupał głowę Jagły i służka osunęła się na zad bachmata, trzymana przez troczące ją sznury.

— Nie mówiłem? — wrzasnął Deyerpoth, z konsekwencją trwając w nastroju triumfalistycznym. — Dwukrotnie Zabita! Zrobimy z gada kotlety!

Ludzie Owera z dzikim wrzaskiem wypadli z zarośli. Byli nabuzowani świeżą smoczą energią, włosy na głowie sterczały im od tego jak sitowie. Najmłodszemu, smoczej gnidzie Kredkowi, niewiele to po—

## POSOKA SMOKA

443

mogło. Nim dobiegli, uciekł — wystraszony widokiem Jagły na bachmacie — i rzucił

się w pław przez jezioro. W istocie służka pokryta zeschlą maścią, rozczochrana, ze szczęką opadłą w pośmiertnym bezwładzie, nie wyglądała przyjaźnie. Najstarszy z atakujących, Rewerans, także wypadł z gry. W jego wieku smocza energia wywoływała już skutki uboczne. Śpiewał smocze hymny na dwa głosy i lewitował koziółkując w powietrzu, co znacznie upośledzało jego bojową sprawność.

Pozostała trójka gnid z Owerem na czele natarła na smokobójców.

Pierwszego załatwił końską sztuczką bachmat pod Jagłą. Napastnik nieopatrznie odwrócił się do niego tyłem, atakując Walka. Widocznie Walaskes ćwiczył rumaka nie tylko do pojedynku ze smokiem. Dwa bezlitosne kopyta zdzieliły gnidę w krzyże i pozbawiły przytomności, a Deyerpoth dorznął leżącego bez nachylania się, żeby nie nadwerężyć kręgosłupa przed czasem.

Na odlew, ciosem mało finezyjnym, ale skutecznym, Walek ściął głowę Reweransowi, który tańczył przed nim w powietrzu do góry nogami.

Dwaj żyjący napastnicy całkiem stracili w związku z tym kontenans, toteż Tabrys skoczył najbliższemu na plecy i dusząc go dwiema rękami, trzecią zadał niespodziewany cios między żebra.

Ower osłupiał, gdy po paru chwilach nierównej walki trzy miecze skierowały się w jego pierś, a wyszczerzony bachmat wspiał się na zadnie nogi, jak konie przyuczone do rozgryzania czaszek podczas bitwy. Mimo że wcale nie wyglądało to na branie jeńca, Ower wybełkotał:

— Nie weźmiecie mnie żyw...!

Tu przerwał, zsiniał i upadł, wzbijając czarny kurz.

444 Zbigniew Wojnarowski

— Serce — zdiagnozował Deyerpoth, zajrzawszy mu w wybałuszone oczy. —

Tchórzy zabija w boju atak serca! My idziemy po zwycięstwo!

Ruszyli ławą, poprawiwszy Jagłę na bachmacie. Za wypaloną palisadą, która okazała się resztką po brzezynie, otworzyła się czarna przestrzeń. Jak kamienie dziedzińca, inkrustowały ją wdeptane w

ziemię rycerskie puklerze.

Zatrzymali się w bezpiecznej odległości.

Smok wydobywał się na światło dzienne skulony, szorujący bokami o ciasne skały, aż z otworu pieczary dymiło jak z paleniska. Na zewnątrz otrzepał się gwałtownym ruchem.

Jego cień przypełznął do nóg Drużyny, gdy trzy długie, muskularne szyje wyprostowały się na tle nieba. Na środkowej głowie, kurczowo okraczając ją udami, siedział Oprejtor w najlepszym niedzielnym ubraniu. Huba gorzała na środku jego czoła jak iskierka żaru.

— Zawróćcie, póki czas, padalce! — wrzasnął z wysokości.

— Zejdz albo zginiesz z tym żalonym bydlęciem! — odwrzasnął Deyerpoth.

Smok poruszył się zrazu niemrawo, na pozór niezgrabnie, aż zamaszystym miękkim ruchem rozpostarł skrzydła. Nie atakował. Giął szyje i przestępował z nogi na nogę, jakby chciał zaprezentować się w całej monumentalnej okazałości. Miał w sobie coś zdumiewająco pięknego. Moc połączoną z gracją. Kabalistyczny wzór na skrzydłach oszałamiał kontrastami purpur i jadowitych zieleni. Łuska opalizowała, tworząc w oczach patrzących hipnotyczne powidoki, ni to wirujące mimośrodowo koła, ni to mgliste kalejdoskopy, które tonęły w tężowej poświacie. Złotołuski brzuch wynurzał się z nich jak wygięty ponad tonią przód gondoli. Gdy z lekkością motyla

#### POSOKA SMOKA 445

smocze ciało uniosło się nieco ponad czarną ziemię i wokół rozszedł się zapach wędnących róż — Tabry—sowi zakręciła się w oku łza bezinteresownego zachwytu. A może tylko zapłakał nad swoim nieodwracalnym losem. Natomiast Walek zapatrzył się z podziwem na czerwono malowane baryłki, zwisające ze smoczych szyj na niezliczonych sznurach.

Przypominały gigantyczne korale, toteż pomyślał, że właściwie tak miało być od początku.

Sława i czerwone korale!

Czyżby spełniał się chłopski sen?

— Co widzicie? — wrzeszczał Oprejtor. — Nadludzkie piękno! Przedwieczną inteligencję! A wy kto? Karzeł wstrętny jak ropucha, plugawy transwestyta i tępy wsiowy burak! A na okrasę przeterminowane kurwiątko! Wasza ohyda przeciwko jedynej wspaniałości tego parszywego świata! Zgniłki! Psubraty! Kto zostanie, gdy zabraknie smoka?

Wy, zakały stworzenia?

— Pogarszasz jego sytuację! — przerwał mu zimno Deyerpoth.

Walek dobył tępego miecza, zastanawiając się, czy nie lepiej walić jelcem, który zdaje się ostrzejszy. Ta—brys popłuł w trzy dłonie jak drwał przed pracą. Na nic innego nie miał



pomysłu. Tylko Jagła siedziała bez ruchu na bachmacie, przepelniona spokojem śmierci. Ale wyglądało tak, jakby i ona myślała już tylko o jednym. O tym samym.

Zabić swój strach i smoka!

— Ani kroku, kundle! — nie milkł Oprejtor. — Nie ciekawi was, co jest w baryłkach?

Proch! Są pełne prochu po brzegi! Drugie tyle w pieczarze za moimi plecami, resztę zakopaliśmy na każdej staj w drodze do zamku. Odejdźcie po dobroci, knury i pajace, albo odfruniecie stąd w kawałkach! Czego wam trzeba,

446

Zbigniew Wojnarowski

żebyście odstąpili od smokobójczego zamiaru? Co was powstrzyma przed zgubnym krokiem? Chcecie klejnotów? Chcecie smoczej energii? Czego chcecie?

— Za mną! — ryknął nieustraszenie Deyerpoth. Podwinął w garści suknię i ruszył z uniesionym mieczem. Walek zdzielił bachmata w zad. Natarli ramię w ramię z Jagłą. Popiskujący bojowo Tabrys drobił z tyłu na krótkich nóżkach, wywijając mieczem i rękami.

Oprejtor widział z góry, jak przemierzają wypaloną ziemię, ciągnąc za sobą treny pyłu. Nie miał pojęcia, dlaczego te żałosne, małe figurki miałyby zniszczyć smoka, ale nie wątpił, że tak będzie. Znał Ukrytą Smoczą Przepowiednię. Smok znał ją również. Od niezliczonych stuleci drzemała w jego długowiecznych, inteligentnych genach.

Nikt nie miał wyboru.

— Kii tarrrga! — rozległ się pradawny, zapomniany okrzyk bojowy.

Smok zahuczał podniebnym głosem i plunął ogniem z trzech pysków.

Płomienie skrzyżowały się na jego piersi, omiatając dudniące jedna o drugą baryłki z prochem.

Apokaliptyczny huk wstrząsnął Doliną Śluzów.

Gejzer czarnego piasku wyrzucił pod niebo trupy, skały, pnie drzew. Niebo znikło, w jednej chwili dzień obrócił się w noc. Z rozprutych trzewi ziemi wyfrunęły wiekowe odpadki, kosztowności, hartowane blachy, robactwo, kamienie zapomnianych osad, ludzki proch.

Jakby wszystko stało się tym samym kurzem. W rozpełzłych ciemnościach nie sposób było dostrzec leja, który otworzył się w dnie smoczej doliny niby piekielna czeluść. Z

ogłuszającym hukiem runęły w nią wzburzone wody błękitnego jeziora.

## **R**ozdział pięćdziesiąty dziewiąty i ostatni

*który jest w pewnym sensie*

*buchalteryjny,*

*a w każdym razie podsumowujący*

Zanim zapłon dotarł do prochowni, na foksterier—skim zamku trwała w najlepsze feta z okazji Dnia Smokobójcy. Co prawda, gdy liczni goście zasiadali przy długich stołach, na dziedzińcu odpaliła skrzynia z przygotowanymi fajerwerkami. Ze ściany jadalni odpadł od wstrząsu płat tynku, odsłaniając wpółzatarty napis: EINE KLEINE NACHTMUSIK. Nikt z obecnych go nie rozumiał, toteż nie rozpoznano w nim złej wróżby. Tym bardziej, że kuso odziane tancerki rozpoczęły tańce przy kolumnach. Oplatały się wokół nich zgrabnymi nogami, zawisały głową w dół, zamiatając posadzkę kwiatami powplatanymi we włosy...

Delicje!

## Zbigniew Wojnarowski

Podawano jagnięcinę z truflami, gdy daleki łoskot wstrząsnął powietrzem. Na głowy biesiadników posypały się witraże z wysokich okien, przedstawiające cztery galopujące wierzchowce różnej maści, a trzecia część kompotów z rabarbaru rozlała się na śnieżnobiałe obrusy. Także —trzecia część kisieli z dyni.

I to nie wzbudziło jeszcze zgubnych emocji, wyjąwszy wzburzenie ochlapanych.

Żaden roztropny człowiek nie spodziewa się końca świata w trakcie proszonego obiadu.

Dalekie eksplozje na zaminowanych stajach budziły wesołość. Brano je za planowaną atrakcję smo —kobójczej imprezy. Dopiero gdy huknęły pod murami, kapela Musica Antiqua uciszyła wiole, flety i tamburyny, biesiadnicy zaś poderwali się od stołów. Było za późno. W

pył i gruz rozsypywało się sześćset sześćdziesiąt sześć komnat foksterierskiego zamczyska.

— Gore! Biada! Na pohybel! — wołano beładnie po korytarzach, gdy całym tym koszmarnym bałaganem targnął wybuch zamkowych prochów.

Verhun nigdy nie ujrzał tego, co Wielki Mag Tele—portas w proroczym jasnowiedzeniu wypatrzył na powierzchni brudnej wody w łaźni.

Korzystając z frywolnej swobody, jaka zapanowała na zamku po odprawieniu smokobójcy, czarodziej zamknął się w gabinecie. Leżał akurat na czarnym prześcieradle w gwiazdki, podczas gdy na jego twarzy siedziała jedna z tancerek. Ostatnim widokiem, jaki zabrał z tego świata przygnieciony wraz z nią spadającym sufitem, był rozłożysty fragment damskiej anatomii.

Zapewne Verhun wyszedł na tym lepiej niż Tele—portas, mimo że poniekąd tak samo.

Walislawa i Dobrodawkę zmasakrowała na tro—

POSOKA SMOKA

nach przewracająca się ściana z tajemniczym napisem. Królowna Kunegunda otworzyła uciekając siedem kolejnych komnat, żeby za progiem każdej ujrzeć przepaść sięgającą dna fosy. Przed ósmymi drzwiami nie zdążyła się zatrzymać, mimo że było za nimi nie inaczej.

Rycerz Hufnal spił się w sztok na początku biesiady, toteż nie miał pojęcia, w jaki sposób umarł. Królewski medyk oddał ducha skutkiem rozległego obrzęku mózgowego od uderzenia frunącym przez korytarz dębowym stołem. Księgowy koronny rozmienił się na drobne, rozprysnąwszy się po ścianach z sałatką z kukurydzy. Krasnoluda Haupcyndera pochłonał uskok tektoniczny, jaki otworzył

się w poprzek gościńca, którym wracał do Bajlandii, wioząc owinięty pieczołowicie derkami „Topór Haupcyndera”. Razem z nim zginęła przygodna elfia prostytutka, którą po drodze zabrał do podróznego wasąga na później.

Dubinek modlił się, oferując swą świętość w zamian za ocalenie, gdy wstrząs wrzucił go do basenu z rybkami i przygniótł całość dachem oranżerii.

Okazało się, że ustalenia senatorów monarchii nie były bezpodstawne. Przynajmniej częściowo. Pod rozległymi torfowiskami mieściły się zasobne złoża ropy naftowej, które za parę wieków mogły postawić królestwo na nogi. Teraz tryskały ogniem, rozrywając w bezdenne przepaście pola, łąki, wzgórza, ugory. Podmuch dotarł do Psiej Wólki, gdzie spalił

chałupy i wywiał domowe bydło. W innym miejscu kraju „Nomad” wpadł do wnętrza ziemi razem z rzeką Smrdą. Natomiast w mieście Błud, gdzie ta historia zaczęła się dla Tabrysa, na wiele lat spadła dzietność skutkiem klimatycznych anomalii.

Pan Hikorek ze swymi kolegami karaczanami przerwał pokera, gdy detonacje rozniosły ich zacisz—

450 Zbigniew Wojnarowski

ny kącik w ścianie sypialni ochmistrzyni. Przenieśli się z grą i zapasem brandy w świeży, dymiący zakątek ruin, nad którym snuł się narkotyczny zapach prochu strzelniczego.

— Śmieszny rozpieprz, co nie? — zapytał karaczan Remik, dobierając dwie karty. —

Cimcirymci!

— No! — potwierdził krótko pan Hikorek.

Miał fulla i cały wysiłek wkładał w zachowanie kamiennej miny pokerzysty.

— Sprawdzam! — zawołał karaczan Uman, zanim podjął temat: — Należało im się!

Co to za gatunek, co nie umie żyć w ruinach? Musi wyginać! My umiemy jak się należy, może nie?

Wyłożyli karty i Hikorek zgarnął pulę. Sto trzydzieści dwie kropelki whisky.

Wypili, wznosząc toast za pomyślność w następnym rozdaniu.

Zanim skończyli rozgrywkę, wśród karaczanów rozniosły się pogłoski o ostatnich zdarzeniach. Każdy chciał wyrobić sobie zdanie na ich temat.

— Moim ulubionym bohaterem jest Tazir Dwugłowy! — zachrumkała sentymentalnie karaczanica Eb —ba, obecna towarzyszka życia pana Hikorka. — Jest taki filigranowy, subtelny, całkiem jak karaczan!

— Wolę Wazira Dwunożnego — wyraziła odmienną opinię jej siostra Rubb. — Ma taką

nieskomplikowaną umysłowość, znalazłabym z nim wspólny język!

— A mnie pociąga Jazir! — mlasnął po karaczanie—mu jej mąż Urpantyn. — Pokryta seksowną skorupką maści na całym ciele! Jak młoda karaczanica pancerzykiem!

— Ciebie pociąga wszystko, co się rusza! — zachichotała złośliwie Rubb.

— Nieprawda! — odciął się Urpantyn. — Wcale się nie ruszała, bo była dwukrotnie zabita! Głupia za—

## POSOKA SMOKA

451

zdrość przez ciebie przemawia i o kogo? O człowieka! Śmiechu warte!

— Nie kłóćcie się — uspokoił ich Hikorek. — Każdy może sobie wybrać, kogo chce.

Mamy wolność! Ja na przykład podziwiam Dazira Dwupłciowego... Ten musiał się w życiu nachromotać za dwoje, co nie?

Ta uwaga podsunęła wszystkim kapitalny pomysł i przez dłuższy czas chromotali się w różnych układach i pozycjach miłosnych. Potem napili się w większym gronie, bo nadeszły sąsiedzkie karaluchy ze świeżymi plotkami.

Słońce nad gruzami zachodziło w malowniczej czerwieni, barwiąc różem obrzeża postrzępionych chmur. Hikorek uległ nastrojowi. Przypomniawszy sobie piękną piosenkę z dawnych lat, podrzucił innym słowa, podał ton i zachrumkali wspólnie, pograżając się z usypiskiem cegieł w nostalgiczne cienie jesiennego wieczora.

*Mój birkucie, sokoliku, miły chłopcze,*

*Czemu zwodzisz moje serce na manowce?*

*Zanim wzbijesz się pod chmury,*

*Uroń lotne piórko z góry,*

*Żebym miała czym przepędzać marylne noce...*

Piosenka płynęła pod spokojnym niebem, po którym wbrew jej słowom nie frunął

sokół, lecz sęp. Niósł w dziobie okrwawione ludzkie oko, podskakujące jak odpustowa piłeczka na gumce. Był już stary i głuchy, toteż nie słyszał karaczanich śpiewów z dołu. Nie widział też z tej wysokości niczego oprócz zastygłego morza ruin i spienionej ziemi.

Ludzkie oko w jego dziobie nie widziało i tyle, mimo że było okiem sławnego pogromcy smoka ze

Smoczej Drużyny. W każdym razie takie legendy krążyły wśród tutejszych sępów przez długie, długie lata.

# Epilog

*z którego dowiadujemy się, że nic na świecie nie przepada, a już dobre malarstwo to zawsze wyjdzie na swoje*

Leżenie w kompletnych ciemnościach przez setki lat, z paroma tonami gliniastej gleby na grzbiecie — nie rajcuje. Zwłaszcza gdy ma się świadomość, że świat przepadł. Ostatnim widokiem, jaki zabrało się ze sobą, były walące się sklepienia, pękające z hukiem naczynia stołowe, kondygnacje zamienione w deszcz potrzaskanych cegieł. Próbę czasu przetrwała nieprzenikniona ciemność o duszącym zapachu spalonej ziemi. Nie dziwota, że w zaistniałych warunkach Hawie nie było do śmiechu. Z drugiej strony, nie było jej także do płaczu, gdyż emocjonalne życie łyżeczek do konfitur jest ustabilizowane. Niekiedy — leżąc pośród gniotącej w trzonek nico—

POSOKA SMOKA

453

ści — odnosiła wrażenie, że nie wszystko się skończyło. A to ziemia zadrżała, jakby w pobliżu przebijał się stożek wzrostu, a to grunt popadał w rezonans jakby od ruchów dżdżownicy. Te niepoświadczone fakty mogły być jednak złudzeniem Hawy. W

ciemnościach pod ziemią nie tylko skąposzczety ulegają samotnemu szaleństwu.

A zatem Hawa popadała być może w obłąd.

Pewnego razu odniosła wrażenie, że wokół niej od nowa formuje się wszechświat. W

czarnej pustce zabłyśły dalekie gwiazdy. Nieboskłon był nimi usiany coraz gęściej, komponowały się w roje, konstelacje, galaktyki. Towarzyszył temu potęgujący się kosmiczny szum. Aż wszystko eksplodowało w nagłym rozbłysku i z błękitnego nieba runął na Hawę potop słonecznego światła. A z nim przejmujący ból, jakby drażyły ją na wylot watahy korników. Zanim oślepla, usłyszała podniecony ludzki głos:

— Tutaj, profesorze Jones, na siódmym stanowisku! Mamy coś! Zdaje się, że nieźle zachowaną łyżeczkę do konfitur!

Znów zapadła ciemność, ale tym razem wypełniały ją niezliczone odgłosy i dotknięcia. Ludzkie rozmowy, włosie pędzelka, kroki, muzyka, miękkie sukno, oddechy, szczekanie ratlerka, opuszki palców. Powoli dotarło do Hawy, że nie zwariowała w ciemnej pustce. Świat ocalał. Odrodził się pełen nowych woni i nieznanych dźwięków. Kataklyzm nie dał mu rady.

To ustalenie miało zbawienny wpływ na rekonwalescencję lipowego drewna. Hawa przejrzała na oczy. Zrazu otoczyły ją tylko rozmazane cienie na tle barwnej mgły, niemniej widzenie wyostrzało się z dnia na dzień.

Aż mogła się rozejrzeć z całą swobodą.

Leżała w muzealnej sali, w gablocie, za szkłem. Po jej lewej stronie zamknięto pod klucz grubą księgę z klamrami i ozdobnymi inicjałami. Nosiła tytuł *Machiny nielatające*, ale niczego więcej nie można było się od niej dowiedzieć. Strasznie zarozumiała. Za to po prawej leżało rubaszne strzemie rycerskie z siedemnastego wieku, typ łódczkowy, zdobienie powojowe z manufaktury ekierskiej — jak się samo dumnie sprezentowało. Jemu nie zamykały się usta.

Odrobinę eleganckiej rozrywki zapewniało Hawie oglądanie obrazów na przeciwległej ścianie. Choć były one zastanawiające, szczerze mówiąc.

Pierwszy przedstawiał niebrzydką dziewczynę na tle romantycznego krajobrazu.

Gładko uczesana, z dłońmi skromnie złożonymi na podołku — tyle że z jej dekoltu wyrastały trzy szyje, w związku z czym tajemniczy uśmiech modelki powtarzał się trzykrotnie na trzech twarzach. Następny obraz przedstawiał ekspresyjnie falującą postać na ponurym moście. Ta miała wprawdzie pojedynczą głowę, za to z jej szeroko otwartych ust strzelał purpurowy żar.

Jako kolejne wisiało płótno z płonącą żyrafą, która unosiła się nad ziemią na miniaturowych skrzydełkach wyrastających piętrowo z jej długiej szyi. Dalszych obrazów Hawa nie widziała wyraźnie. W każdym razie była na nich jakaś batalistyka — płomienie, zastępy skrzydlatych mieczowników o jasnych włosach, kule ognia. W narożniku sali stał też na jednonogim stoliczku obraz ruchomy. Nocami muzealny strażnik jadł przed nim posiłki, popijając kawą z termosu. Na tym obrazie było tak dużo chaotycznego ruchu, że na dobrą sprawę Hawa nie wiedziała, co też on przedstawia.

Którejś nocy strażnika odwiedziła sprzątaczką z działu rzeźb i ręcznie malowanych parawanów.

## POSOKA SMOKA

455

Rozebrali się nawzajem do naga i na mozaikowej posadzce przed gablotą Hawy oddali się igraszkom seksualnym. Początkowo patrzyła na to bez ciekawości, zresztą przeturlali się poza pole jej widzenia i słyszała tylko zdyszane szeptu: „Och, tak, tak, rób mi tak, Marc!”

„Och, tak, tak, rób mi tak, Sophie!” W końcu nagi strażnik rozkrzyżował się na podłodze niby pięcioramienna gwiazda, sprzątaczką siadła na nim okrakiem i przez dłuższy czas trwali w tej wyuzdanej pozycji pod portretem dziewczyny o trzech głowach, tajemniczo uśmiechającej się zza grubego szkła pancernego. Hawa miała okazję, żeby przyjrzeć się skrupulatnie spoconym, dyszącym namiętnie ciałom.

Nigdy w długim życiu łyżeczki nie przeżyła podobnego szoku.

Kochająca się para nie była ludźmi!

Różnili się anatomią od plemienia Mujwoj, od Wa—laskesa i panny Helwecji, od wszystkich



znanych Hawie osób. Niewiele, ale znacząco. Oboje pod skórą pleców mieli po dwie łopatki, wyglądające niczym zmarniałe resztki skrzydeł. W dole kręgosłupów dało się zauważyć ogonową wypustkę kostną po zani—kłym w toku ewolucji ogonie. A skóra karków, pokryta wymyślnym tatuażem, imitowała utraconą smoczą łuskę. Gdy osiągnęli apogeum miłosnego upojenia — wydzielali ustami białe obłoczki pary. Nikłe echo dawnej smoczej świetności.

Tej nocy Hawa zrozumiała, że nowy wspaniały świat odrodził się nie z ludzkich pokoleń, lecz ze smoczyc.

Patrz! — wołało do niej zza szklanej ścianki siedemnastowieczne strzemię. — Niech mnie kule biją! To jest normalnie sig—sauer, spluwa moich snów!

Strzemię podnieciło się pistoletem w kaburze, któ—

456

Zbigniew Wojnarowski

ra strażnik odwiesił na poręcz krzesła. O broni potrafiło gadać godzinami.

— Wyobrażasz sobie, co taka maszynka potrafi? —egzaltowało się za szybą. —

Polimerowy szkielet, leciutki, nawet ja bym uniosło taki wydymany plastik! Zobacz, Hawa, z laserowym celownikiem, kurde! Zgrabniutki, nie? Poręczny, krótszy niż ja, magazynek na piętnaście naboí. A każdy z nich złupie gościa razem z kawałkiem ściany!...

W miarę, jak mówiło, Hawa odzyskiwała pogodę ducha. Nie, żeby tak na nią wpłynęły parametry pistoletu. Po prostu powoli godziła się z myślą, że odtąd będzie żyła na smoczym padole łez. Bo właściwie co to za różnica? Gdyby się zastanowić, to niby co dobrego było w tamtym przepadłym świecie?

No co?

Chyba tylko konfitury!

**Spis rozdziałów**

# **Prolog**

*z którego dowiadujemy się,  
jaki był początek wszech rzeczy,  
czyli że tego za bardzo nie wiadomo 5*

## **Rozdział pierwszy**

*który jest pełen przemocy, seksu,  
wynaturzeń, żeby dobrze się zaczynało 8*

## **Rozdział drugi**

*w którym czytamy o czerwonych koralach i o smoku, a Walek wplątuje się po pijaku w życiową awanturę. 17*

## **Rozdział trzeci**

*w którym Walisław liczy dochody  
i smokobójców, jednakże nie dolicza się 23*

## **Rozdział czwarty**

*w którym poznajemy mroczną przeszłość Rjukana ajn Deyerpotha i jeszcze mroczniejszą przyszłość Tabrysa Śpiewaka 27*

458 Zbigniew Wojnarowski

# **Antrakt**

*kiedy to następuje pierwsza scena z wiedźmami 35* **Rozdział piąty** *w którym zapoznajemy się z kierunkami ewolucji słodkowodnych śledzi 40*

## **Rozdział szósty —**

*którego akcja dzieje się w drodze,  
jak w amerykańskim filmie Strach na wróble 44*

## **Rozdział siódmy**

*w którym akcja toczy się na lądzie i na wodzie, aczkolwiek tu i tu na jednostkach pływających 47*

## **Rozdział ósmy**

*w którym Walek spotyka różnych ludzi,  
ale zwróćmy uwagę na królewską służkę,  
zwłaszcza na jej biust 52*

## **Rozdział dziewiąty**

*w którym mają miejsce  
wielkie odkrycia naukowe,  
choć pojawiają się też elementy religii wudu 62*

## **Rozdział dziesiąty**

*w którym odbywa się dyskusja polityczna,  
wymówki, pogrożki, małżeńska scysja,  
a wszystko w rodzinie 70*

## **Rozdział jedenasty**

*w którym Walek przechodzi straszliwą próbę postmodernistycznego snu 75*

## **Rozdział dwunasty**

*w którym król udziela audiencji,*

*a orły srają, aczkolwiek nie sposób zaprzeczyć,*

*że odwrotnie byłoby zabawniej 83*

### **Rozdział trzynasty**

*w którym opowiada się o tym,*

*jak się opowiada o czym innym,*

*a dyskretnie w tle*

*poznajemy sytuację polityczną świata 89*

### **POSOKA SMOKA**

459

### **Rozdział czternasty**

*w którym Deyerpoth zajmuje się sztuką,*

*a Teleportas kładzie podwaliny nauki 95*

### **Rozdział piętnasty**

*w którym z rzeczy polecanych dla młodzieży*

*szkolnej zawarto krótki rys geograficzny*

*oraz niedługi opis umundurowania*

*Ósmego Regimentu 101*

### **Rozdział szesnasty**

*w którym Walek zaznaje rozkoszy łoża i stołu,*

*choć w wielkim świecie*

*to całkiem inaczej wygląda niż na wsi 108*

### **Rozdział siedemnasty**

*w którym Teleporth się deyerpotuje,*

*to jest, sorry, Deyerpoth się teleportuje 114*

## **Rozdział osiemnasty**

*który wciąż dzieje się tej samej burzliwej nocy,  
kiedy to Deyerpoth jest pechowo teleportowany,  
Tabrys zapoznaje się z dzielnym wojakiem,  
Walek oczekuje wizyty króla,  
a tymczasem spiskowcy... 124*

## **Rozdział dziewiętnasty**

*w którym odbywa się spotkanie  
Walka z królem, a na jaw wychodzą  
niebывałe tajemnice monarchii 130*

## **Rozdział dwudziesty**

*który zaczyna się od uciętej głowy,  
a Tabrys dowiaduje się,  
co to jest właściwa chwila 140*

## **Rozdział dwudziesty pierwszy**

*w którym żebrak Dubinek zachodzi do szulerni  
nie by trwonić pieniądze, lecz by je zarabiać 148*

## **Rozdział dwudziesty drugi**

*w którym poznajemy  
dalsze przygody Deyerpotha na obczyźnie 157*

460 Zbigniew Wojnarowski

## **Rozdział dwudziesty trzeci**

*który jest rycerski — nic dodać, nic ująć 167*

## **Rozdział dwudziesty czwarty**

*w którym dużo się plotkuje*

*i jeszcze więcej śmieje 180*

## **Rozdział dwudziesty piąty**

*w którym widzimy*

*dwóch specjalistów przy pracy 185*

# **Antrakt**

*w którym następuje druga scena z wiedźmami 194*

## **Rozdział dwudziesty szósty**

*w którym poznajemy*

*życie owadów na zamku,*

*a także odnajdują się nie te pary, co trzeba 198*

## **Rozdział dwudziesty siódmy**

*w którym zawarto dokończenie losów*

*wojaka Festa, jego klaczy Dereni*

*oraz elfickiego plemienia Gduleen 207*

## **Rozdział dwudziesty ósmy**

*w którym odbywa się*

*wycieczka z szambelanem, ochroną,*

*jamszczykiem, hajdukiem,*

*tresowanym dereszem i sokołami 214*

## **Rozdział dwudziesty dziewiąty**

*w którym są przerażające sceny batalistyczne*

*oraz bogowie na billboardach 220*

## **Rozdział trzydziesty**

*w którym Walek trafia w ręce zbójców*

*i poznaje tajemnicę pewnej dziupli 226*

## **Rozdział trzydziesty pierwszy**

*który spędzimy*

*w obeerzy „Pod Lodowym Gilem” 234*

## **Rozdział trzydziesty drugi**

*w którym uczestniczymy w Dniu Smoka 243*

**POSOKA SMOKA 461**

## **Rozdział trzydziesty trzeci**

*w którym poznajemy*

*życie codzienne seryjnego zabójcy 251*

## **Rozdział trzydziesty czwarty**

*w którym Tabrys Śpiewak*

*i Walek smokobójca jadą na jednym wozie 259*

## **Rozdział trzydziesty piąty**

*w którym inspektor Highway i Prad Bit*

*prowadzą śledztwo 266*

## **Rozdział trzydziesty szósty**

*w którym Tabrys próbuje odnaleźć swoje miejsce 274*

## **Rozdział trzydziesty siódmy**

*w którym Walek zapoznaje się*

*z udręczoną kobiecą duszą 284*

## **Rozdział trzydziesty ósmy**

*ze specjalnym udziałem miejskiego kata 294*

## **Rozdział trzydziesty dziewiąty**

*w którym pojawiają się tajemnicze łakocie,*

*ale ich sekret szybko się odkrywa 300*

## **Rozdział czterdziesty**

*w którym występują wampiry i krowy 307*



## **Rozdział czterdziesty pierwszy**

*czyli pojedynek, bo już na niego najwyższa pora* **314**

## **Rozdział czterdziesty drugi**

*w którym poznajemy wreszcie*

*drogę naukową sławnego profesora Gusjewa* **320**

# **Antrakt**

*a w nim ostatnie spotkanie z wiedźmami 327*

**Rozdział czterdziesty trzeci** *szczegółowo rejestrujący obrady senatu 331*

**Rozdział czterdziesty czwarty**

*w którym zakochani*

*spotykają się dzięki boskiej sile przypadku 338*

462

Zbigniew Wojnarowski

**Rozdział czterdziesty piąty**

*w którym wybucha ogień rewolucji i gaśnie 342*

**Rozdział czterdziesty szósty** *w którym spotykamy troje naszych znajomych 347*

**Rozdział czterdziesty siódmy**

*w którym Walek*

*nie może dotrzeć na umówione spotkanie 353*

**Rozdział czterdziesty ósmy**

*w którym poznajemy*

*fascynujące życie łyżeczki do konfitur 366*

**Rozdział czterdziesty dziewiąty**

*w którym mowa jest*

*o losach świata i Walka*

*albo też odwrotnie, jak kto woli 372*

**Rozdział pięćdziesiąty**

*który dzieje się w magicznym kredowym kręgu 385*

**Rozdział pięćdziesiąty pierwszy**

*w którym przybywa smocza gnida,*

*najwstrętniejszy bohater tej opowieści 390*

Rozdział pięćdziesiąty drugi

*w którym roi się od świętych,*

*choć w zasadzie nie ma mowy o świętości 398*

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

*w którym mag Teleportas robi*

*z łaziebną „Kaczuszki” interesy na łączną kwotę*

*dwudziestu pięciu sut 407*

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

*w którym uważajcie na nagniotki, bo tłoczno! 413*

Rozdział pięćdziesiąty piąty *nad którym kołują już sępy z nagimi szyjami 420*

Rozdział pięćdziesiąty szósty

*w którym pierwsze skrzypce gra*

*żołnierz Walaskes, choć okazuje się, że los gra*

*własną melodię na Walaskesie 424*

POSOKA SMOKA

463

**Rozdział pięćdziesiąty siódmy**

*w którym stajemy u wrót apokaliptycznej*

*Doliny Śluzów w decydującym dniu 432*

**Rozdział pięćdziesiąty ósmy**

*który będzie sami—już—dobrze—wiecie—o—czym 439*

**Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty**

*i ostatni, który jest*

*w pewnym sensie buchaltaryjny,*

*a w każdym razie podsumowujący **447***

# Epilog

*z którego dowiadujemy się,*

*że nic na świecie nie przepada,*

*a już dobre malarstwo to zawsze wyjdzie na swoje 452*

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)